

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



WACŁAW BERENT

ŻYWE KAMIENIE

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

CZEŚĆ PIERWSZA

* * *

Na schodach świątyni sprawowało się nabożeństwo wtóre w ciszy i słońcu. Pod żebraków litanie i śpiewne turkanie gołębi przyklekiwało tu chłopstwo na korne ucałowanie kościelnego podmurza. Lizwały ich wargi kształty mnogie w kamieniu tam zdziałane, całując w zachwytiliwej pokorze i mądrych, i głupich panien wyobrażenia, i Hioba na barłogu, i centaury, który pogaństwo oznacza, i gołębicę zwalczającą smoka. Żebractwo zamadlało te całunki bogomolne, a rozslonecznienie ranka kładło pozłocisty płaszcz miłosierdzia na te łby kołtuniaste, na parciane giezła, na nogi czarne jak ziemia. Zaś ptactwo kościelne gwarzyło ochotnie z serconych prostotą.

Tak sprawowało się pod kościołem odświętne kolędowanie najbardziej uznojonnych.

A gdy onym Bóg się rodził w każdego święta rozradowaniu, opodal zalegali taborem ludzie inni, którym Bóg, zda się, w piersiach umarł.

Wystawiało to spod łachmanów słońcu swe robactwo na piersiach. Snują się między nimi gołębie zamilkło i skaczą po nich lekkimi nóżki. A gnuśność miejskich nędzarzy, muchom nawet nieobronna, poziera tępo na ptaszę zwinności w słońcu.

I pątnik tu się znalazł - niegdyś do Ziemi Świętej wędrownik, dziś próżny łazęga po kościołach grodu - z posochem w dłoni i liściem palmowym na grzbiecie, zalegający schody domów Bożych. Aż dziwnie, że się tu palma znalazła. Bo prawdziwie jakowaś spiekota siłom serdecznym, rzekniesz, duch Wschodu ział na tych ludzi. Sterczą wśród nich sztywnymi kośćmi i starce w szopie włosów i brody, niczym pnice zmurszałe w grzybiej pakości: że braki najgnuśniejsze, które i pacierza za dusze ku zbożnemu jałmużnictwu nie umieją, a tylko urokiem straszą. Przywałęsał się tu i mnich jakiś, z klasztoru za opasłość wygnany, i klerk, który ducha przepił, a książki wraz z szatą oświeconego już dawno w kości przegrał.

I z murarzy wolnych niejedyn zalegał tu bezrobotnie. Niegdyś, bywało, strzępił dłutem te ciosy kościoła, głazom samym lekkości nadając. A gdy tysiącem rąk wypiętrzyły się one na skończony ogrom tumu, gdy wypadło dłuto, kierowane biciem serc tysiąca, owisły i ramiona w beczynie. Dusza, w zespole zapałów dzielna, nie ostała się w opieszałości powszechnej. I sama, od nie ociosanego głazu cięższa, leżała oto kamieniem u dokonanego społecznie dzieła. Ta się jeno skarga dobywała podczas z warg onych robotników: „O królu, królu nasz, wezwij naród swój do nowego czynu!”

I junaków wataha cała zalegała tu niemrawie do wojny tęskniąc w opieszałości dni swoich. „Onać, mówili, odmieni czasy.”

Przytrafiali się tu wreszcie ludzie dziwni: po pas nadzy, z różgą przy sobie. Duchem to niegdyś hardzi, heterodoksją zarażeni, jawiący się z wyroku, by każdego święta otrzymać przed ołtarzem przepisaną chłostę. Pod długim dociskiem hańby starły się te czoła; już ich zbiry ściągać tu nie potrzebowali; zwlekali się sami z różgą na się w garści. I z tym już tylko pouczeniem dla innych: „Nie przeciw się mocy, bo silna.”

Zgoła wszystkie te mieszczany, zubożałe w siły ziemskiego dotrwania, zwlekały się oto marami życia pod kościoł.

W onym zaś tłumie ręki upraszającej nikt nie podejmował: w zniechęceniu ku własnej doli zasklepiały się te serca goryczą nienawiścią ku ludziom. Wielu nie potrzebowało nawet jałmużny, mając w schowkach szat swoich jakieś tam nie liczone grosze. Bywało wszelako, że czyjeś zęby żują odruchem głodu chleb nie widziany i tym zbydlęcieniem w gnuśności roztkliwią tępe miłosierdzie sytych: padnie mu pod nogi kęs jaki. On połknie go rychło, wraz w tył się siania i, z wypogodzonym na chwilę obliczem, powiada za podziękę całą:

„Święty chlebuś pod kościoła murem najsmaczniejszy!”

A szerzyła się ta bizancka zaraza wszędy, osobliwie po miastach, niosąc otępienie w mamroty mnisznych i księżyich pacierzy i szerząc wśród ludzi świeckich gnuśną nieufność w zbawienie duszy. Opustoszały po grodach kościoły i warsztaty zarazem; objęło tłumy wielkie zobojętnienie zarówno dla spraw duszy jak i ciała. Że zaś łoża snem już tylko nęciły, więc zaniebdywane kobiety taką cierpkością i swarem wypełniły miasto, iż mierzło przez nie wszystkim i życie nawet samo. W oczach młodzieży nie dojrzysz ciepłych płomyków otuchy, jeno błyski zimnego szydu nad sobą, nad ludźmi i życiem; opróżniły im się piersi z tęsknot i nadziei. W popiołach życia dogasały ostatnie żuźle zapalu.

Ten trąd na dusze, grzech nierządny smutku, imieniem acedii przez Kościół potępiony, ział omartwiczą na życie świeckie i duchowne.

Powiadali, że Pan Jezus, ukrzyżowany, nie zmartwychwstał, a krzyżuje się wciąż w każdej chybionej doli człeczej: w wygasłej piersi młodziańskiej, w męskiej sile starganej daremnie, w zagoryczeniu niewieścim, w kwiecie zmrożonym i nadłamanej trzcinie. Każdy włókł nie tylko krzyż swej doli na grzbiecie, ale i krzyż Bożej Męki w piersiach, a chybieniem swego życia - żywego Boga w sobie zdradzał: nowy Judasz na nowe męki go wydawał. Świat stał się Golgotą sumień, rojną u stoków od czarnej szarańczy Judaszów - aż po nieboskłony krwawe.

Pod chmury wypiętrzone ogromy tumów runąć chyba miały, bo niskie smutki człecze toczyły już jęły Kościoła fundamenty - rzekniesz, nawet opokę Piętrową samą skruszyć by zdołały! Daremnie Kościół, w obronie siebie samego, wzywał za świętym Pawłem, aby ludzie pilnym przykładaniem rąk do spraw świeckich warowali się smutkom, które śmierć wyzywają. Daremnie biskupi głosem Pawła wołali po kościołach; „Weselcie się w Panu! I po wtóre powiadam wam: weselcie się w Panu! Zawsze się weselcie!” Daremnie chłopstwo, onymi głosy ruszone, zajmowało po grodach kościoły na święta prostaczej radości, na gburów weselisko, na przedrwinę pospółstwa z powagi i władzy każdej - bo choć się ona ciżbą roztańczyły kościoły, na duszne zniemożenie ludzi po grodach osiadłych nie było skutecznego słowa, tańca i leku.

W smutku rzesz sumieniem rozbolałych weseliły się matoly, a gburstwo ucieszne najbliższe się stało ołtarzów.

Więc zatrzasnęli biskupi dzwierze kościelne uweseleniom onym.

A smutek pozostawał.

Tedy każdego nazajutrz po odpustach narodowych i świątkach chorągwanianych troska sumień i bezjutrze doli zalegały ulice i przyrynki dobrego miasta. Wlekli ludzie swe kroki jak te muchy po kleju, żuli cierpliwie święty chlebuś ubóstwa między murami kościołów i wsłuchiwali się, zali nie pluskają konie jakowych przybyszów po odwiecznej kałuży u wrót miasta sennego.

Bo w opieszałości nadziei ostatnich i ta majaczyła się ludziom pod pierzynami: że jak miasto w potrzebie obronią pewnie błędni rycerze, tak życie powszechne uwarują najskuteczniej od smutków błędne rybałty.

Zasię dzień odpustowy ściągnie ich tu niechybnie zza murów, z wszelakich oddali.

Oto wielki bęben na wózku ogłasza gromko ich przybycie.

A ów zgiełk i gwar wielojęzyczny, jakim wypełnili wraz ulice, zdał się niejednym uszom dziwo-słuchem wróżbnym niczym blekot żurawi, słyszany niegdyś nad miastem. „I prawdziwie - zamyślali się ludzie na widok tego ciągu wędrownych - czymże wolność człeczka gorsza Bogu od ptaszej? Siejemy, bo i zbieramy troski nasze na jednej wciąż grudzie. Zwędrowali oni tą porą światy: napatrzyli się, nasłuchali, namądrzyli - hej!”

Tak to w smęty miejskiej ciasnoty, między życia smutniki, spadały nagle z szerokiego świata życia igrce.

W pstrym tłumie wagantów ledwie odróżnisz linochoda w blaszkowym stroju rycerza i z tyczką grochową w garści. Obok stąpa niedźwiednik z bestią srogą. I ognia pożeracz. I siłacz okrutnie gruby, który konia barami podźwignie. Zaś ku zaciekawieniu najbardziej opieszałych wkracza oto w miasto i skoczka piękna, wystawiając dumnie pierś całkiem gołą. Przy niej to chłopię w gieżle jeno: menestrel gęśle strojący pod uchem.

Oklaski powitają pieśniarza. I nie milkną w tłumie.

Póki z gromady nie wyskoczy tabulator z gębą gołą i sprośną, barwami szat obcisłych, rzekł-byś, przepołowion na żółtą i kraśną połąć człeka. „Hej! - witają ludzie gadkarza - idzie różga na mnichów i kropidło na nich szatańskie! Z pyszna mieć się będą księża i pany! I skapce na worach! I godności dufne!” Cieszy się gadkarz onym powitaniem, zaciera łapy, a ruchliwą gębą zębata pocznie parskać, strzyc nią i otrząsać: właśnie jak ta wydra, gdy rybę chwyci. „Wydroż ty, wydro, ze świata ucieszna, najdziesz dosyć karmi w stawisku naszym!”

Gdy ścichły, nawet w pamięci ludzi starych, rapsodów kobza i głos u studni wieszczący gęsta rycerskie, ten ci z wędrownych stał się ludziom najmiłszy: tabulator innobilium, mieszczan jurnik i pomściciel w śmiechu- sam dla nich niczym rycerz błędny, gród wyzwalający.

Krwi ludzkiej w żyłach ruszenie niosą swym pojawieniem ludzie wędrowni. Bo w rumorze i zgiełku ogromnym bije od tych gromad ochoczego ducha żywotność, zaraźliwsza nad smutki. „Joculatores!” - huka po ulicach niezbożne „hosanna” dla wagantów sprośnych. „Igrce w gród walą!” - rozbiega się nowina po mieście całym.

Za bławymi szybami w ołowiu w domach co zaciejszych prześwitują jasne główki pań z barwną taśmą nici u szyi, a pracowite paluszki jeszcze u szyb, zda się, wzorzają krosien obrazy. Wypatrują oczy w ulicę.

Któryż to między wami żongler będzie: romansów opowiadacz? Niech zajdzie w piekarnię. Nakarmię, wykapię, odzieję w szaty nowe, wszystkie lampy wieczernika rozjarzę, dzban wina wystawię i czarki piękne, druhny i służebne zwołam - i będziesz nam prawil, będziesz opowiadał!... A potem, w długie miesiące i lata, gdy płocze już dawno zapomną, snuć mi się będzie opowieść twoja i prząść, i motać w niciach, i wzorzyć w przejasne obrazy krosien na

błękitu pościeli. A rycerzy twoich czynami i kochaniem karmić będę płody męzowe w żywocie moim!”

„Hej, który to igrzec od powieści - żongler - między wami, wędrowni?”

„Tum ci jest!” - czterech się ozwało. Każdy inną obiecuje powieść i pod inny kościół prosi. Mężowie tymczasem stroskanym czołem nie ich to wypatrują przez szyby: w klerka czarnej szacie, w naramiennym kołnierzu i wisiorach kaptura szedł w tłumie herszt onej bandy, goliardus sam, wagant miastu groźny, który i biskupa się waży, i króla płaszczem zatarga, gdy ludzi wierszami zasmuca i podjudza wraz. Wyjdiesz, bywało, na rynek, posłuchać poety: krew ci wraz wszystka do głowy uderzy - owo słyszysz i contra papam carmina rebellis?...

„Joculatores!”-grzmi tymczasem miasto już całe. Do sunącego przez ulicę taboru i z datkiem w garści nie dociśniesz się teraz. Ledwie się doń dotłoczył wysłannik biskupa, tymi pytaniami swego pana zadyszany; sali nowe pieśni na świecie i zali mają waganty między sobą jakiego gęślarza przedniego i głos ku śpiewaniu świeży? Jawił się wraz i drugi biegacz, jeszcze pilniejszy - ucztę wydają dziś benedyktyni: hucznie się zjadą księża i pany. Dopusci opat przed stoły skoczka, wesołki i tabulatora - na kugle i uciechy. Zasię po wieczery zawezwie się może sprzed furty menestreła i żonglerów. Goliard niech progą przestępować się nie waży. Odpowie mu skoczka, ni to królowa cygaństwa onego:

„Albo wszyscy społem w refektarz przed sute stoły, albo niech się opat z gośćmi obje na smutno.” Zawre wśród wagantów.

„Nie masz tu pośledniejszych! Wszyscy my tu jedną goliardową familią. Wszyscy równo potrzebni ucieszeniem człeczego serca: i kuglce, i gędźce, i piszczki!” Pociągną dalej ku rynkowi taborem zgiełkliwym: i niedźwiednik z bestią, i linochód o kroku bociana, i siłacz okrutnie gruby, i pstry tabulator z gębą sprośną, i wesołki pląśne, i żaki ze szkół świata zbiegłe, i skoczka z goliardem, i żonglerzy z rybałkami: zgoła tota jocularum turba! Ten jeden radował jeszcze oczekiwania poważne - symfonista. Pośpiesza oto w tyle, z symfonią wielostrunną na grzbiecie, a datki, muzyków obyczajem, zawczas w czapę zbiera. Nie żałują ludzie, nad czarodziejstwem sztuki gędziebnej wraz zamyśleni.

Instrumentum to człeczego czucia najprzedniejsze: między ciszą a gromem mowa duszy śpiewna, którą Dawid z Bogiem rozmawiał, Cecylia z anioły. Przymierza to arka między smutkiem doli a wszechradością życia, myślom żagiel, dążeniom skrzydło sokole - mowa w słońce odziana, muzyka błogosławiona!

Oto goliard wmieszał się między ludzie o gędźbie gwarzące i powiada, jako ta sztuka nad króla Dawida starsza, gdyż od Apollona bożyca idzie, który usłonecznieniem człowieczego serca sięga tronu Boga żywego - z paniami swymi.

* * *

Jeszcze organów basy dudnią głucho z otwartych wrót fary, gdy na rynku biją już piszczkowie w bębny i świszczą cienko na fletniach. Taki tłum odpustowego ludu wysypał się rychło z kościoła, że omal nie starczyło miejsca na boisko uciechy.

Skokiem, wyrwanecm chynie tanecznicą na dywan rozesłany. I spręży ramię, targnie bębenek, a tak na nim rozdygota dzwonki, że choć sama murem stoi, drgają wszystkie jej żył tęt-

nem. Bardzo twarde piersi ma rybałtka piękna! A łyski i strzelistość przyczajonych oczu wagantki wyzywają ludzi osiadłych, chichoczą w twarz smutkom wszelkim.

Aż się zerwie w podrygach szereg wesołków, ramion szczepieniem na przedzie zwity, w rej rozkolebany: tak miękko i plaśnie suną zwinne chłopcy, wyrzucając w takt swe ciżby długo-dziobiaste i dzwoniąc sarnimi uszami wesołkowych kapturów.

Skoczka przodem krzepczy - wraz przybladła na twarzy, jakby wartkością krwi ruszonej aż bolesna.

„Bacche!” - wrzaśnie ktoś tam w tłumie, jakby zdjąwszy ten okrzyk z niemych warg dziewczyny.

Podejmą to żaki. I oto po rynku rozhuka się wołanie, dziwnie uroczyste:

„Bacche benevenies!...”

Wesołków wieniec rozmotął się tymczasem. Dopadają teraz do się, para w parę, bodą się kulkami, a klaskają w doskokach. Porwał się ku nim tłum, nazbyt już dziś niecierpliwy. Raz wraz któryś z widzów klaśnie w ręce, huknie dziewczce najbliższej nad uchem: „Bacche!”, a tak wystraszoną za ręce ze ścisku ludzkiego wyciąga i radowe z nią po rynku tańczy. Urwał się spektakl w natarczywości widzów; wszystko splątało się w jedno kłębowisko tanecznej uciechy.

Oto i baba sprzed kościoła, sama w tym zarojeniu się ludzisk ostawszy, podejmie swe szmaty aż po biodra i przytupuje sobie. A to zawołanie - że wzbronione - tym bardziej ją gwałci: jakby ten krzyk diabeł sam wyciskał jej z ochrypłego gardła:

„Bacche!... Bacche!...”

Już i pomosty, ni to kramy wysokie, zdążyli wystawić waganty na rynku. Kto się tańcem nacieszył, szedł przed nie głowę zadzierać i szczypać dziewczki w tłumie. A choć kuglowano już po innych deskach, choć śmigwały tam w powietrzu butle, kule i noże, choć ówdzie skakano przez ogniowe obręcze, gdzie indziej psy mądre wykonywały swe harce - przed pomost fabulatora garnęło się ludu najwięcej.

W obcisłych szmatach czerwono-żółtych kroczy oto sobie górą i pogwizdując zamyśla, jaką by dziś gadkę opowiedzieć ludziom. I zawczas uśmiecha się gębą gołą i sprośną.

Cieszył ten widok ludzi ogromnie.

Oto stąpa po deskach leciutko i skocznie, wycwania się minami na wszystkie strony i „Trala-la-la!” podśpiewuje sobie dla konceptu. Nagle strzyma się pośrodku i tak prawi ludziom w śpiewnych podrywkach:

„Te dziś słuchy krążą miasty: chodzić nie chcą już niewiasty! fruwać każda chce podwika, dziewczki tęsknią na wyżyny: „szczęsne, myślą, szczęsne wrony!” Trafiał zaczął się uczony, co roztropnym duchem wnika w racje, kauzy i terminy: „Nim latawcem sfruniesz w nieba, zważ, panienko rozmarzona, ku lataniu czego trzeba? - dzioba, skrzydeł i ogona!...” Filozofia jest rzecz pusta! panna słuchać jej nie życzy, bo - nie wiedzieć, czynić rada. Rybałt sprawy nie odwlecze, ku fizyce się przykłada: zacałuje dziewczce usta. „Co mi robisz?!” - panna krzyczy. „Dziób” - odrzeczce.”

Zaszumiał śmiechem lud u pomostu. I ścichnął wraz, by słuchać uważnie, jak żak dalej pannę do lotu sposobił. A potem już nie śmiechem wtórzył gadce, lecz nagłym wyparskiwaniem stada, wśród chichotów babich i basowych nad wszystkim rozśmiejców gburnego gdzieś w tłumie chłopca. Z piskiem uciekały precz dziewczęta co sromliwsze. Swawola szła na ludzi. Pieją otroki śmiechem jak te koguty za starym kurem. Kokoszą się dziewczęta zalotnym oburzeniem wstydu, krokiem szelestnym i pióreczkiem na głowie, by im który „Bacche!” nad

usząmi wrzasnął, a ramiona mocne pociągnęły gwałtem, choć zawstydzoną i gniewną - w tan, w radowe.

A żaki kołem, rozklaskane, zawodzą chór swój o tym, jak to Bacche koi curas et dolores - confert iocum, gaudia, risus et amores.

Oto i maskary wyskakują z któregoś zaułka: skoczki bachowe za kozodoje w kudły capów obszyte. I zagonili za niewiastami. Niczym koza nabeczy się, którą w kosmate łapy chwycą.

U wylotu ulicy widać poważne kloce mieszczan w czapach sobolich, z bursztynowymi różańcami w upierścienionych łapach. Srogo spozierają rajcę na to rozpętanie ludu, osobliwie zaś na te maskary satyrów, co w zalotach dzikich wygniatają im na rynku żonki i córki. Alić z igrzyskami i król, i Kościół nie poradzi.

Zgoła ingressus Tartari w miasto spokojne! Na tyłach fary, w zaciszu kanonii, zatrzymał się było u studni menestrel bosy w giele jeno ciemnym i rzemieniu za pas cały. W poważnym otoczeniu domostw duchownych czekał cierpliwie na słuchaczów swoich. Tymczasem stroi gęśle i układa w myślach pieśń, jaką dziś ludziom zaśpiewa. Czape opodał na ławie położył, by sama żebrała. A gdy ludzie zabłąkiwać się tu jęli i coś niecoś padało w czapę, on nie odejmując gęśli od ucha i nie pozierając nawet, kłaniał się jeno w tamtą stronę. Nie chybił uchem brzęknięcia szczodroblivszego datku; wówczas dorzucił do ukłonu:

„Niech wam stokrotnie wynagrodzi święty Julian, patron ludzi wędrownych!”

Dopiero gdy gwar większej już gromady rozbrzęczał się koło niego, wejrzał na słuchaczy swoich. Jedno mu się tylko nie spodobało bardzo: iż baby co starsze wypchały się, jak zazwyczaj, na przodek, a zaś młódki owo jak daleko ustawiły się skromnie. Więc aż westchnął mimo woli, tuląc szyję do gęśli. Gdy w tejże chwili usłyszał snadź jakąś przymówkę do się w gwarze publiki, bo nagle odwarknie się na boki:

„A wy, pani złośliwa (niepiękna wcale!), sięgnęlibyście raczej skąpą ręką do mieszka, niżli szydzić, że rybał długą tęskliwość gościńców w miasto wniósłszy rozbiegał się oczyma po urodach młodszych niż wasza... Bez nich i pieśni pono nie byłoby na świecie wcale. Komuż bo śpiewać? - groszom w czapie?”

Potoczy się ku niemu grosik od strony dziewcząt; zwinną stopą przypluśnie go i nie podejmując tymczasem, ustawi się na nim przezornie. „Zaśpiewam wam Echo, jak się ułożyło” - tłumaczy dziewczętom. Rzekniesz, pierś mu grać miała, tak się cały w jedno z gęsią zwierzał, tak znieobecniało na licu chłopię smyczkowe.

I wydało się niebawem słuchaczom, jak gdyby hen, za murami, pod dalekie cwały i tętenty rozegrał się pobudki łowieckiej hejnał, zaś wszystkie ulice i zamki grodu odkrzyknęły mu się tu wokół nawrotnymi akordami zaśpiewu:

Pani Diana w róg uderzy,

Echo jej odpowie:

„Jest tu - jest tu - Diana druga,
niech ją jeno złowię!”

Pani Diana groty ciska,

Echo odpowiada:

„Tu - u źródła - nimfa twoja
martwą łanią pada!...”

Porwie Panek nimfy ciało:

bogom skargę niesie.

W cwał tuż za nim pędzi Echo

i dudni po lesie:

„Eheu! - eheu! - eheu!...”

Opowiadała pieśń historię ona, jak to gdy pani Diana postarzawszy się, wszystkie nimfy zazdrośnie wybiła, zmiłkły na zawsze fletnie Panowe. Szczęła nawet pamięć o nich po grodach, a żyje jeszcze tylko po jarach pól, kędy je czasami przypomina Echo. Za wartką nutą rogu słyszeć się dały z strun gęśli i piersi śpiewaka rozchwiejne tony dzwonu:

Lirę - wieków - gdy - daleki

trąci dzwon kościoła...

w zaszum niski z jaru głuszy

Echo się obwoła:

„Pomnę - pomnę - nie te dzwony,

nie te smęty wszędzie.

- W fletnie Pana organkowe

Dudarz wieków gędzie. -

Jak tu drzewiej bujnie było,

a jak smutno ninie,

drze-wiej!... czasu winobrania,

w Bachowej kontynie!

„Eheu! - eheu! - eheu!”

Jeszcze słuchacze oklasku nie dali, jeszcze dziewczęta łez roztkliwienia utrzyć nie zdołały, gdy - „Satis!... satis, szelmy synu, wagancie!” - huknie nagle głos gruby nad głową śpiewaka. Ku przerażeniu ludzi wychylał się z małego okna kanonik sam. Do pasa widny, na poduszki łokciami wsparty zdał się wrosły w te mury niczym te półpostaci z kamienia, dźwigające święte Pańskie u kościoła.

„Wagancie! - huka - rybałcie omierzły! Kościoła dzwony tak bluźnierczym echem przedrzeźniać mi tu będziesz pod oknami! A wiesz ty, co dzwon kościoła oznacza? Czym najplugawsze to bluźnierstwo twoje?... I dziewcząt durne głowy będziesz mi tu czmucił, aby je sobie pieśnią ku amorom sposobić!... Będziesz ty mi gądl! wygędziesz mi wszystko na sądzie biskupim: skąd jesteś, gdzieś bywał. Bo szyję dam, że przed biskupi mi sąd należysz!... Toż widzę: choć kudły jak u barana, przecie ślad tonsury wciąż jeszcze innym wicherkiem na czubie się znaczy. Bo i skąd, pytam, ta łacina: to o Dianach i Panach uczone wiedzenie?... Wykarmiaż bo Kościół słodkim mlekiem nauki i zmijska takie! Owoż i kościelnego dzwonu pogańskie echo, ty i bractwo twoje: zonglery i murarze, goliardy i lekarze - cały ten wasz ordo vagorum!... Jam w prawie kazać ci tu łeb do trzeciej skóry zgolić, by i ten wicherkowy ślad tonsury z czuba zdjąć. A potem idź mi na swe drogi piekielne! Jak strąconym aniołom w niebo, tak wam w chóry społeczności człecznej już nie wrócić!”

Na zajęczych skokach śmigał w ulice śpiewak ledwie gęśle ze smyczkiem, a i ten grosik spod stopy unosząc. Czapę z groszem uzbieranym na ławie zostawił: milsze mu snadź były własne kudły na głowie nieosromionej niżli futro czapy. Słyszało z daleka czujne ucho muzyka, jak jego grosze sypią się w skarbonkę kościelną. I zęgnął się rybałt w myślach z nadzieją dumniejszego stroju nad to giezło dziergane i postronek za pas cały.

Długo grzmiał jeszcze kanonik na ludzi za grzech wspierania wagantów. A dziewczęta słuchając duchownej nauki, zerkwały wciąż, jak tam, w dali, pod zwiewnym gieżem śmigają w pędzie włochate łydy igrca; rzekłbyś: on sam, Panek spłoszony, pluska kopytem po kałużach ulicy.

Pod murami tymczasem pomykały się panie z domów co zacniejszych, ledwie rańtuszkiem jakim przysłaniając strój jeszcze nie odświętny. Prędkie bo wieści między niewiastami w grodzie: już wszystkie wiedziały, która ugaszcza w tej chwili zonglera, by w jej piekarni, innym kobietom ku zazdrości, opowiedział romans nowy. Zwykle o godności swe niezmiernie dbałe, dziś niczymi ukłonami nie sproszone tłoczyły się gwarnie w cudze progi. A która z nich bardziej niepohamowanej ciekawości była, zajrzała głębiej w domostwo. I w wannie nawet zongler spokoju nie zaznał od ich rozpytywań, jako że opowiadacze romansów wiedzą i o rozmaitych prawdziwych zdarzeniach: co się gdzie z kobiecych spraw dziwnych przytrafiło, osobliwie po znakach niedalekich.

Lecz oto przystrojon w szatę darowaną, z włosiem tłusto namaszczonym a twarzą lśniąca od świeżej kąpieli, zasiadł wreszcie zongler u pieca na ławie. Długo gardło zwilża, zanim opowiadać pocznie, raz po raz czarkę podstawia pod dzban szczodrej pani. A gdy mu wreszcie gęśliki na kolanach złoży, powstanie zongler z miejsca i wzniesioną dłonią ucisza gwary niewieście:

„Urodzone i szlachetne! Posłuchajcie opowieści wagabonda o rzeczach dalekich. Gdy kamraci włóczęgi na pomostach wśród rynku cieszą mężów waszych oczy i uszy, wy po staremu sercem życia ciekawsze zbiegłyście tu, do piekarni najzacniejszego domu, gdzie dawniej zachodziły rapsody, dziś rybałt z gęślą w opowieści zasobny.

Użycie tedy serca ciekawości słowom moim! Prawie potrafię o Ronsewalu i Aliscamps oraz o wszystkich czynach Rolandowego miecza. O pana Eckharda niedoli opowiadać umiem, o Krymhildy zdradzie, o pana Zygfyryda śmierci, o królu Popiciu romans... Lecz gdy te wielkie gesty rycerskie już pono nie ku słuchaniu wam (jak to z warg odętych widzę) - mam dla niewiast przedziwnie piękne opowieści o Iwanie przez ptaki kochanym lub o księżniczce indyjskiej w niewoli u Żurawioludów.

Nie chcecie i tego?... Zawsze wam tylko w trubadurskie tony! zawsze wam tylko o błędnych rycerzach!... A on! musi być pono, jak każecie. Sięgnijcież więc tym żwawiej ku swym jałmużnikom jedwabnym, które na długich taśmach u stóp wam się kolebią. I siadźcież, powiadam!

Lecz oto panów gromadki jawią się nawet; snadź na pomostach rynku skończyły się popisy. Po dwóch i po trzech wstępują tu panowie niedbale. To ich lekceważenie ku wam i ku mnie przerzucać się zamierza. Jakaż to mężczyzn garstka, za kobiet ciekawością nieufnie przybłąkana, a przynosząca nie serca, lecz wątroby ciekawość, staje nam dziś za słuchaczy jedynych wśród panów rycerskiego i kupieckiego stanu. Na to prawdziwie nam dziś przyszło, że słuchają nas już tylko żaki i niewiasty, no i owa garstka przybłądów za kobietami: wszystko, co wśród panów wiekiem dojrzałych do rozwałęsanego po rynkach ducha i zwiędłej już dawno, nie serdecznej ciekawości.

Tedy słowa „panowie!” na początek powieści, jak to inni czynią, poniechałem ja zupełnie. Prawdzie jeno świadczę, wręcz do was się zwracając: gędźby, pieśni, wierszy i powieści słuchaczki a dobrodziejki dziś bodaj jedyne!

Wyświadczone więc i tę łaskę, urodzone i szlachetne: poniechajcież wreszcie waszych plotek i ciekawości rozćwierkania! Wszak przyszłyście tu, aby mnie nie siebie, słuchać... I nie wsty-

dzę to takim paniom szeptać sobie na ucho jakoweś sprośne plotki o rybałtach?... Co takiego?! toż, na miły Bóg! jam ledwie w bramy tego miasta wstąpił!... Takie to wy słuchaczki i dobrodziejki nasze... Druhu symfonisto, rozdzwoń się gęźbą nad te puste gawędy kobiet, rozsiej mi ciszę ku zasłuchaniu.

Przestańcie gwarzyć, przestańcie, miłe! Baczcie nóżkami na muzyki kolebiące tony! Ciszy tam, w piekarni całej! Posłuchu dla ludzi wędrownych!”

* * *

Udręczony tęsknotą poniechał pan Lancelot błędnego rycerstwa; u dróg rozstajnych pożegnał Parsifala nie wyleczonego jeszcze z ran świeżych i wracał do Karduelu.

Z bram miasta, wraz z żebraków natręctwem, wyszło naprzeciw niego jakby własne serce jego, rozżalone tym lat ubytkiem, który łzami witać nam każe ojczyznę niedoli i szczęścia. Odczuł i koń poczciwy błędnego rycerstwa smęt: przeżył łeb ciężko zwieszony i w stępie wolnym niuchał wzdętymi chrapami ziemię rodzimą - ziemię zmysłów młodych. Otaczali ich rojem żebraki i trędowaci jak to stado kraczące a niesyte.

Wybiegało rycerza spojrzenie nad miasto, ku murom, wieżom i blankom, póki na rzeki i drogi zakręcie, wśród zamczyska rozłogów, nie wejrzy nań dworu samego jasność.

W trzy łuki okno narożnika było. W środkowym jego rozworze między kolumnami stoi pani: że bez płaszcza, od kolumn bardziej smukła, w złote po bokach warkocze wąsko ujęta i w tych rękawów purpurę, które od łokcia ku jej stopom zwisały. Pod nią murów i skały przepaść ciemna, na orli wzlot, nad nią już tylko nieba błękit przesłoneczny.

Targnęła się dłoń rycerza, kędy rwały się jego oczy: koń posłuszny w rzekę schodzi i w nabzrojnej ciężkiej kapie jak czerwona łódź wnet płynie. Pod lecących mew pokrzykiem przypływ morza w rzekę bije. Wpływa wielki wał zielony, w górę wznosi jeźdźca z koniem, w dół ich miecie i zabiera. Wielki głód jest zapatrzenia, gdy tęsknota go przedłuży.

Zratowano jednak pana.

Już nic dnia tego nie bawiło pani: ciągle widzi tonącego i ratunku w myślach woła. Tak się błąka przez dzień cały, włokąc po komnatach te podrękawy długie niczym skrzydła spętane-go ptaka. Książę dworak pilnie baczy i pod wieczór tak zagada:

„Królowo, rycerz w czarnej zbroi, który rankiem pod twym wejrzeniem tonął, snadź śmierci szuka. Ledwie zwiedziało się na mieście o wielkoludach onych, którzy twoje, Pani, pustoszą krainy i porywają twych ludzi, ruszył z miejsca ku ich jaskini. A nie powracał stamtąd żaden śmiały.”

Zagadnie go pani przez ramię:

„Czemużeście go puścili?”

Kłania się książę w pas i krzyżuje na piersiach ramiona:

„Śmiertelną żądzę chwały rozpala w sercach włócznia pani Wenus, gdy z wysoka ugodzi.”

Wyprostuje pani nagle szyję i krótkim spojrzeniem odrzuci dworaka od się precz. Kłania się książę jeszcze głębiej i cofa tyłem ku drzwiom.

Mieściła się pani komora w zamku wieżycy, którą niegdyś stawiali cyklopi, i wyziera w świat bezpiecznego okna półłukiem ściętym niby głazów szczeliną. Nad murów i skały ciemne po

nocy ogromy wysunie się z tej szczeliny pani głowa i szyja biała, wyskrzydłą ramiona jej białe, niczym z urocznego gniazda łabędź zakłęty. W dłonie czoło ująwszy wpatruje się Pani we wszystkich gwiazd niepokój drgający na niskim po nocy granacie nieba. Pod świerszczy muzykę, coraz to głośniejszą zasłuchaniu, srebrzy się coraz to widniej świat ciemności. Z gór dalekich gdzie wielkoludy jaskinię swą mają, wieje śmierci groza po nocy głuchej. Pani płacze. A gdy gwiazda jaka z Bożego płaszcza się oderwie i wróżbą nie odgadniętą między ludzi spada, pani w włos jasny policzki tuli wystawiając w lęk nocy tylko oczu poblask gwiezdny.

Lecz oto, na miasta ocknienie, jutrznię odzwaniać już jęła sygnaturka klasztorna. Skrzypiał ten dzwonny pacierz na poły sennym jeszcze mruczeniem, które się raz po raz jakby ocknie i „Ave!” - „Ave!” - „Ave!” na gwałt bije, by cichnąć znowuż w modlitewne podzwony, w litanii przyjęki i stłumić się wreszcie w zachłyśnięcie - w żal!

Tak mniszki, skowronki szare, odzwaniały się Bogu i budziły miasto.

W rosnę, na dachach i wieżach zróżwione już świtanie wyroił się tłum milczeniem nocy jeszcze objęty, jakby snów swych zmory wynoszący na jawę - w tych cichych rozruchach i poszeptach pod murami, w nagłych wybiegach ku bramie miasta i niepokojów gromadnym rozchwianiu. Gdy nagle wpadli w ulicę pastuchy dwa, jak te dwa capy górskie, w czarnych baranicach pękatych i na cienkich, rzekniesz, nóżkach kozłów. I wskazując posochami za miasto, w góry, skąd przybyli, jęli rozpowiadać o czymś gromadom w doskokach i rąk rozmachaniu: jak się to obwołuje ludziom wieści ważne. Starce siwobrode wysunęli się naprzód i uspokoiwszy ciekawości zamęty, jęli zwiastunów onych wypytywać roztropnie. A gdy się wszystkiego, jak trzeba, wywiedzieli, wznieśli ku niebu ramiona dziękczynne.

Zaludniła radość ulice i najlękliwszymi; skakał - kto młody, kto poważny - rozprawiał: święcili zwycięstwo mieszczenie zacni. Nie wytrzymały po domach i panny grodzkie: ledwie w bieli koszul i na bosych stopach wybiegły złocić piaskiem drogę do kościoła, tatarakiem ją mać i rozsiewać spod piersi jak płomień - róże i maki kraśne.

Już się na stopniach kościoła rozstawiły mnichy bure jak to ptactwo do śpiewu gotowe; już się kolejno wszystkie w grodzie odzywały dzwony.

Tak się ruch w mieście wszczynął i cichy jeszcze tumult święteczny.

Zawiedli się mieszczenie zacni, bo choć radość została, święto ich minęło: wielkoludów pogromca miast bramą w tryumfie wjechać, polem mury okrążył i wrócił w świat, skąd przybył. Odgadło w nim miasto Bożej łaski wysłannika ku obronie a krzywd pomszczeniu. Pod sklepienie kościoła wtoczyła się ciżby chmura; w grzmocie pieśni dziękczynnych zadrzała świątynia. Chmurą i grzmotem jest uczuć ludu wezbrana potęga. Niech żyje król! Odvodu jak gromu potrzebuje ta chmura i grzmot: ulewy wdzięczności - szczęścia gromadzkiego burza. Wypełniwszy tedy modłami niebosięzną nawę kościoła a groszem mnichów torby, wyroił się tłum na miasto, pod zamek. I postanowił zarazem, aby dzień ów radosny upamiętnić ludu pochodem z chorągwiami na przedzie. Coś jak дума słodkiego wezbrało w piersiach ludzkich, każdy wraz myślał o swych szatach odświętnych. Niech żyje naród!

W kościele tymczasem pozostały tylko kobiety, starce i mnichy w chórze; zatrzymała ich wymowa starego przeora, sławiąca błędne rycerstwo. A mówił kaznodzieja tymi słowy:

„Sokoła ziemskiej miłości podrzuciła ku rycerskiemu dziełu dłoń tu jakaś biała - orłem ponad czyn swój się wzbił. Nie powróci. Może spłynął tam w lesie krwią ran swoich, a w tej oto chwili bije już skrzydłem niecierpliwym we wrota miłości niebieskiej.

M a r y j o, otwórz rycerzowi Twemu! stęsknion za Tobą jest bardzo...”

Tak kazał przeor mnichów burch, sam niegdyś rycerz. I choć kobiety kościelnym obyczajem szlochały, starce po ławach spornie kiwali głowami, zasię mnichy czarne po stallach srożyły się ponuro. Czuły mnichy czarne tę hydrę kacerstwa, której głowa, ledwie ścięta, już nowym odrasta kształtem. Ta z piekieł chyba wyrosła nauka - jak to miłość ziemską ku niebieskiej wiedzy - już się po klasztorach niejednych zagnieżdża tajemnie, a całkiem jawnie po zamkach, kędy z rycerstwa dwornym dla niewiast duchem wierzeniami się splata. I wiarę rzymską plugawi.

Tak zszepetywały się ze sobą mnichy czarne po stallach chóru. I nuże raic pod kapturami, by skorzystać z wielkiego dziś uniesienia narodu i wyrwać te chwasty z winnicy Pańskiej: zetrzeć hydrę myśli wzbronionych!

Niech żyje naród!

Oto zbliża się pochód pod kościoła progi: błyszczą stroje odświętne, łopocą sztandary.

Spod trójłuku okna na zamku spoziera na miasto cicha sprawczyni wszystkiego. Coś z burzy tęsknot tej nocy i gwiazd uroku pozostało w zatuleniu postaci jej całej, tak wiotkiej i spłakanej u kolumny z granitu...

„Ku czemu się gra” - przerwał sobie nagle zongler w tym miejscu. I przykładał się wraz do gęśli.

Grał. Łagodność cisz niewieścich grał i krosienkowych rojeń moce, rzuconego w te cisze tonu długie przetrwanie, mleko marzeń, którymi karmią płody mężowe w żywocie swoim, wśród łez u kądzieli... Łodzie bezsterne u brzegu grał i to trzepotanie się żagłów w huraganie rojeń, gdy się wszystkie mewy burz dalekich zlatują na zale, na biady, na lamenty...

Gadł tęsknicie i tuhy niewieście, grał kobiet żądze strzeżone.

A gdy gęśle opadły, wystawioną przed się dłonią orosił zongler o baczenie na słowo:

„I mówi się dalej:”

W bizanckiej szacie z zielonego achmardu, złotem w ptaki-gryfy szytej, w korduańskich chobotach długodziobiastych a płaszczu białym, krwawnika wielką kłamrą na piersi spiętym, w złotej obręczy na doramiennych włosach płowych - tak wstępował pan Lancelot po upływie roku na zamku schody. A w kroków prędkości płaszcz jego tak się baniaste podwiewał, że zdawał się rycerz jak ten pani Ledy pogańskiej łabędź biały.

Sklepień chłód, żubrow łby brodate u murów, wśród pawęży i łuków na ścianach, korytarzy echowe pustki i nagła głuchość kobierców pod stopą... W chłodnym bezludziu ław, między granitowymi słupami, królowała stolnic martwica: puste były trony oba.

Powitał go książę-dworak głosem dla dostojności miejsca ściszym:

„Zostaniesz wać przyjęty in logiam, w rozmównicy, co jest znakiem osobliwej przychylności królowej pani.”

„Po roku, z trudem odnalezionego, siłą niemal przywodziś mnie tu, książę.”

„Kazano.”

Owóz i niewieście komory złotogłowie na ścianach i bagdadzkim dywanem w takie zaciśnięte stłumione, że ledwie się w nich słyszeć dały miękkie pobrzęki strun - wraz zamilkło. Oto z ław i skrzyń zrywają się panny i ręce na piersiach krzyżując kłonią swe główki. W ukłonie posuwistym, a ramienia pod płaszczem rozmachu chylą się głęboko rycerz i książę.

Kroczą panowie poszumni, szmera za nimi niewieściego dworu pogwarek.

Lecz oto komnata rycerstwa strażniczego pełna; stoją pod ścianą w surowości wejrzeń okrzepli, o pawężę barwiste wsparci. Za nimi dźwierze o potężnych antabach i zaworach, niczym wieko ce-

drowej skarbnicy. „Tuć jest.”, pomyślał. A gdy wzniosł oczy do góry o ducha skrzepienie, ujrzał nad drzwiami anioła w kamieniu z lilią u piersi. „Bacz waść na wysoki próg, jaki masz przestąpić: w trzy stopnie zdziałać go pani kazała, aby oznaczały wiarę, nadzieję i miłość.”

W omroczeniu przestąpił trójpróg tęsknoty, nie widząc nic prócz modrej strugi światła od jednej z szyb okiennych. Przykląkł, jak trzeba, na jedno kolano - i usłyszy nad sobą głos księcia: „Królowo, oto wielkoludów pogromca sprzed roku, a jeniec mój dzisiaj, którego twojej, Pani, łaskowości oddaję.”

W szelestnym zawiewie wonności zwieszające się od łokci pani białosrebrne rękawy objęły przyklękłego, właśnie jak te skrzydła anioła, gdy dłonie jej podawały mu się za oparcie, aby powstał. Ledwie się podjął zdążył, poczuł na wargach muśnięcie powitalnego całunku. Nie wypuszczając rąk jego z paluszków lekkich, zwracała go pani ku damom świty dla ukłonu i wiodła w nyżę okienną. „Siądź przy mnie, miły panie, radać widzę.” Chciał było godnie odpowiedzieć na to łaskawe powitanie obyczaju dwornego, lecz sięgnął młody po słowo zbyt głęboko w pierś: ugrzęzło w grdyce. Sprawnością kobiecą odpowiadała pani za niego sama, szukając zarazem prędkiej okazji śmiechu dla zdziałania w panach większej śmiałości.

Słów jej już nie słyszał, zapatrzony ku górze, gdzie się dlań trzepotało jej śmiechu ptaszę. A wejrzawszy ku powale widzi: sklepu łamane łuki w błękitie całe, a na nim gwiazdy jak o świcie - srebrne. Wstępuje tymczasem pani w okna wnękę i siada na poduszce w rozwartym koźle stołka, który snadniej niż ława oddaje kształtu giętkość i powłóczystość stroju. Złoty jest włos pani nabłyszczony światłem, opałowe są pereł wploty w kosy jej długie, rzucone spod srebrzystego czółka na fryzjijskiej sukni seledyny blade. A gdy dłoń podjęła, oczom na zasłonę od światła, rozskrzydła się jej rękaw i kładą się na nim szafiry, granaty i rubiny wielkie: od szyb w ołowiu drgające oka. Gdy zaś, cała w tej jasności barw i światła, uśmiechnęła się ku zapatrzeniu jego - pomyślało mu się w tej chwili tak dziwnie: że z tej tęczy słonecznego rozradowania uśmiecha się doń chyba sama gwiazda poranna w siostrzyc swoich chórze. I podjął znów oczy na błękit gwiazdzisty u stropu.

Książę, zabawiający gorliwie damy w drugim końcu izby, nie może się nadziwić z daleka długiej ciszy zniemówienia wśród obojga młodych. A gdy wreszcie spojrzeć się ośmielił, widzi, jak pani, na stołku przechylona, ściska dłońmi te brązowe główce u poręczy. Badawczym wyblyskiem patrzą jej oczy, a usta, tak miękkie w uśmiechu, okrzepły w tej chwili. Ledwie znacznym a władnych ruchem dłoni rozkaże panu Lancelotowi zwrócić się dwornie ku damom, a w zamian przywoła księcia.

„Nie wiem prawdziwie, co mniemać o tym rycerzu. Niewymowny jest bardzo, bo nie rzekł ani słowa. I nie patrzy, a wзира. Nie dziwię się teraz, że go przed rokiem w zapatrzeniu zatopiła fala.”

„Ujrzał rycerstwa swego i śmierci samej przodownicę - a nie słowem zwykł się wypowiadać w życiu. Królowo, wymowni w kochaniu poeci bywają. A niepewność jest w tym wielka, kto z nich jest aptior ad amorem: rycerz czy poeta.”

Odmie pani wargi w zamyśleniu jakowymś. „O mężu pomyślała” - domyśla się dworak. I zagaduje czym prędzej o tym, jak to opowiadają wszędzie poeci, jakoby w bramie Karduelu spoczywały w głązów ukryciu reguły miłości, wprost od pani Wenus idące, a przez Sybillę językiem Rzymian na złotych kartach spisane.

„Owóż na pierwszej karcie złości się to przykazanie: Causa conjugis non est ab amore excusatio - względ na małżonka nie będzie wymówką w kochaniu.”

Uśmiechnęła się pani niedbale: któraż bo z kobiet nie zna pani Wenus i poetów przykazań.
„Nie o królu myślałam przed chwilą - rzecze z grymasem. - Ach, ten pan Gawan i jego zazdrość naprzykrzona, tropiąca mnie wszędy!”

Długo zaciera książkę dłonie przy ustach, wreszcie chyli się ostrożnie do ucha pani:

„Feminam nihil prohibet a duobus amari - nie wadzi bynajmniej kobiecie i dwoistego zażyć kochania - uczą złote reguły miłości.”

Ledwie znacznym ruchem dłoni odrzuci go pani od swego ucha - na korny ukłon z daleka. I zachmurzy się na chwilę usteczkami. Lecz oto nagle przerwie to zachmurzenie śmiechu pustotą - jakby ptak z świegotem furknął nagle ku górze. Rycerz, i przed damami milczący, wejrzał znów na sklepienie i szukał pod gwiazdami tego śmiechu skowronka.

Za chwilę siedział przy pani, gdy pazik na miękkich nóżkach biegł szparko w drugi koniec izby i nurzał się w skrzyni, dobywając szachów, by je między państwem na kobiercu ławy rozłożyć i klęcząc ustawiać kamienie. Tak nakazała królowa, by wobec dam swoich dać milczeniu niemownego rycerza pozór grzeczny. A sama rozpina powoli opaskę czołka na podbródku, jak to czynią niewiasty, gdy chcą dać ustom folgę do całowania. I wyczekawszy chwilę gdy jej panie zapatrzyły się gdzie indziej, chwyci rycerza oburącz za głowę, pochyli ją sobie nad szachami i przylgnie mu do ust w długim całowaniu bez oddechu.

„Nieraz, nieraz czyniłam to już w myślach swych, tak smutnych od roku!... Odtąd twoją jestem duszą i ciałem i napełniam tym radością myśli me wszystkie.”

Targnął się ku niej ramion opłotem i rozsypał bierki szachowe. Przybiegły paziki cichutkie i jęły u nóg państwa spłoszonych zbierać kamienie jak te ptaki proso. W drugim kącie komory zachrzękały surowo obie panie świty: dworska dama Ypokryzja i stara panna Immaculata. Żarliwie zagadywał tych pan cnotę książkę wymowny.

I jął przemyślać nad tym, jak by (drogami pana Gawana nie idąc) uładzić młodym obyczajowi miłosnego dopełnienie. Niech błogosławią kochankowie cyklopowe mury i czujne straże, bowiem tylko w przeszkód goryczy dojrzewa słodycz namiętności naszych. Chrapią wtedy małżonkowie.

Śpi w dosyć rychłym król małżonek. Wysunie pani stopki chłodne spod zasłony z łoża szafy i poskoczy ku oknu komory, niczym na ciele nie osłonięta - jak to z małżeńskiego łoża. Pod zwabionych nietoperzy krążeniem oczekuje, rzekniesz, północnej godziny zaklęcia. Zahuka sowa na poniżu, a za trzecim razem, jakby łasicą spłoszona, zmyli głos w grdanie ostre. Zna książkę nocnych ptaków obyczaj i trwogi.

Ośłania pani swe gładkości, przy oknie opierchłe, w męża sobolowy płaszcz i czapę, pod futrem nóż ukrywa dla bezpieczeństwa osoby - i króla postacią mija straże komorowe.

Opuściła pani pieściwa królewskiego łoża puchy

I wonności, ociera się bosa o nocnych cieniów pomykania tajemne, a lękiem tylko oddech w sobie skłóca i zagrzewa ciało.

W ostatnie korytarze już bez noża w dłoni wstąpiła pani, sama jak widmo nocy - i tajemnica. (Nie będzie już pan Gawan tropić ją wszędy zazdrością swoją.)

Budzi zamku nocna ponurość sumienia ponure upiory. A gdy one serce kobiety zhukają, całą piekiel gorącość wypija z ust kochanek - szczęśliwy.

Żądzy wszystko pluży.

Oto w odległej gdzieś izbie zamku siedzi na tapczanie, w przebiałości swej wiotkiej, kochaniu cała z futra wychylona. A rozplotem złotych włosów zatula głowę kochanka ni to chustą

matczyną. I tym razem nic sobie powiedzieć nie zdążyli. Bo w pierwszym doskoku zwarły się ich usta, wtuliły piersi gdy serca biją do się jak te dzwony - w obietnicy szczęścia wrychle jeszcze większego. Niechby głos jaki ozwał się w pobliżu, padną oboje martwi: tak na pół oderwane od życia są serca człeczce, gdy swe szczęście śmierci zaczajonej kradną.

Kradniemy wszyscy swe najlepsze chwile życia - życia smutkowi i śmierci czyhającej. Niech nikt nie mija kochanków bez smutnego uśmiechu dla ich szczęścia motyli. A kto mądrzejszego jest serca, niech przechodzi, jak gdyby nic nie spostrzegając.

Godzi się tedy i nam przejść mimo nich, zostawiając młodych sobie.

Groźna jest nocy zamkowej ponurość, głucho nawołują straż. Śpi w dosycie praw swoich małżonek, król!

I mówi się dalej... Ale teraz już do panów, choćby ich tu, w piekarni, nie było dziś wcale:

Gdy zstępował rycerz z zamkowej góry, nocny granat nieba roztopiały już świty po nieboskłonach. Wysrebrzają się na chwilę złote do niedawna gwiazdy i dogasają wraz powoli. Nad zamkiem świeci jeszcze gwiazda poranna - w przejasnej otoczy bieli, perlistości i oparów. Białosrebrne jej skrzydła z obłoków muskają szafiry, granaty i rubiny zwiewne: zza bławych szyb widnokregu przebijające się promienie zorzy. Aż tej tęczy słonecznego rozradowania uśmiecha się głosem pierwszego na niebie skowronka - jutrzienka czujnych, pani Wenus gwiazdzistego nieba.

I zgasła.

A w rozzagwione jego wspomnienia tej nocy wkradł się z nagła melancholii smęt, że w tej chwili zgasła dlań może na zawsze jakaś dobra gwiazda na niebie - że nie ustokrotnią się już nigdy siły jego nad wielkoludów moce, bowiem zbył z własnego serca tej mocy wszystkrotnie.

Dla nabycia dwornej szaty swojej wyprzedził się było z miecza i zbroi. Ale rychło nowe na pewno dostanie. Rozkaże królowa niechybnie, aby poniechał błędnego rycerstwa i porzucił służbę w Straży Śmierci, a został u króla setnikiem Straży Ochronnej, która nosi najpiękniejsze stroje i płaszcze najdosłowniej.

Zasię na rozstaniu przykazywała mu pani prośbą i pocałunkami, aby dziś w tych oto szatach dumnych wystąpił na rynek i dał się poznać wdzięcznemu ludowi. Niech uderzą w dzwony, niech się rozspiewają mnichy, niech panny grodzkie poczną mu maść drogę i rzucać róże pod stopy. Niechże mają dziś święto i uciechę mieszczenie zacni. Jakże lubo, jakże lubo spozierać będzie na to królowa!

Oto ciągną szeregiem te bure śpiewaki, które w onczas, przed rokiem, ustawiły się było u fary z psalmami na cześć jego; na primę snadź pośpieszają teraz mnichy do kościoła. Przystojniej, zacniej to będzie z zakonnikami mszy naprzód wysłuchać, w kościele na naród pocze-kać, nim go spiże zdzwonią. I jako lubo, jakże lubo będzie to królowej!

Wyprzedził tedy szeregi mnichów, wstąpił w przedsienie, zagłębił się w nawę pustą. Zdjął go ziąb, objęły mroki, okolicy lśniąca kadłuby kolumn. Hen, na wyży, ledwie mającej pozłocistości ołtarza, pod nim na słupach otwarta czeluść krypty; górą rozogniły się na szybach płachty purpury, przelewa fiolet głęboki. Oto wszystko: chłód, mrok i pustka w kościele.

Kończą za nim mnichy. Zarzucił połę płaszcz na lewe ramię i wystawił się przed zakonnik!

„Jam jest rycerz Straży Śmierci, Graala poszukiwacz, wielkoludów pogromca, a grodu wybawiciel, Lancelot sam! Zdzwońcie miasto całe.”

Ani jedna twarz nie wychyliła się z tych burych kapturów, nie skierowała się ku niemu głowa żadna, nie przerwała pomruku pacierzy. Do krypty czarnej jak cienie w grób zstępować jęły te szeregi.

I znów pustka i mroki w bezludnym kościele. Tylko jakiś cień zakapturzony długą żerdzią rozjarza świece w nadołtarzowych fioletach, wśród złocistych mżeń i rozchwiei wyblasków. Na tle tej żarzy kościelnej wychyla się z mroku krucyfiks olbrzymi, zawisły nad chórem.

Przyklął i, jak trzeba, odmawia ranne pacierze. Póki w rozkolebaniu pobożnym nie zatrzymała mu się głowa: wziął na się wejrzenie krzyża.

„Tyżeś dla kobiety poniechał Parsifala u dróg rozstajnych - na samotność gorzką porzuciłeś druha, nie uleczonego z ran świeżych.”

„Porzuciłem!” - Uderzy się kułakiem w pierś.

„Tyżeś dla kobiety zaprzedał i przyjaciela drugiego! sprzedałeś, rycerzu, konia-druha najwierniejszego, który swe zdrowie i życie z twoim zjednoczył.”

„Przedałem!” - jęknie.

„Tyżeś dla kobiety, słowu Mojemu na wspak, miecz zastawił, by płaszcz strojny kupić! Tego nie uczynił i sam Judasz Iskariota, który mnie sprzedał.”

Bił czołem o kamienie kościoła.

Snadź na płytę grobowca głową natrafił, bo zadudniało pod nim echo z trumien piwnicy.

W długie potem zaciągi organowych basów uderzyło nagle gęste dreptanie mniszych chodaków. Wyraja się tych kapturów mnóstwo wielkie z podołtarzowej krypty, zda się, owiane tchnieniem trumien i zagłuszone w sobie szeptaniem pacierzy.

W kołacie i uroczystym rozruchu sadowią się mnichy po stallach.

Jeden z nich tylko zatrzymał się u wielkiej księgi graduału, w żółty blask świecy wychylił spod kaptura głowę jak z wosku, w onym wianku włosów na ciemieniu ni to w koronie cieniowej. Z opadłą powieką a bolesciwym rozchyleniem warg czai się śpiewak przodowny na nutę organów, rozstawia dłonie braciom na baczenie, czeka z intonacją:

O fidelis anima! clama de profundis te terrenis fugito rebus et immundis.

I zawiął dłońmi niczym mewa białymi skrzydłami.

A!-a!-a!-a!... A!-a!-a!... - biadają dusze czyścowe w mnichów lamentacji.

Wtórzył im rycerz piersi swych przyjęciem. Póki nie wytrzymał tego dłużej na sobie. Podjął głowę znad grobowej płyty i jał przypominać swe czyny chwalebne. Tym się wszakże i zmarłe obwołują z trumien: w onych tu napisach grobowcowych naokół. Nie z pychy czynią to zmarłe, przypominając się sprawiedliwości Bożej, lecz dla ulgi w męce czyścowej.

Przypominał tedy i on swe zasługi; odliczał je Bogu, jakby wypisując je na grobowcu swoim: „Wielkoludów dwóch srogich zabiłem! krzywdy ludzkie pomściłem! wielem życia człeczego zratowałem!”

Zmyliła mu wiarę skruchy niedoskonałość. A w złej skrusze oczy jego, jak i dusza rozpierchliwe, ujrzą nagle z dala pod ścianą kościoła postać niegdyś sercu tak bliską. Patrzą oczy, wypatrują: aż się nagle załzawią w zdumieniu radosnym. „Tużeś?!”

Szeptem zaledwie powiedział do się. A oto ze wszystkich mroków i ciemnic kościoła wpełza echem przerażenia:

„Tużeś jest?!”

Nad trójprogiem mniszego chóru spoczywa oto pod ścianą Parsifal sam. Snadź wielce utrudzony, w kościele wytchnienia szuka, jak to czynią, rycerze wędrowni.

Przyłbicy cień omracza mu czoło i oczy. Niczym dziób ponury sterczy nad twarzą nanośnik hełmu, broda nurza się w luskowej naszyjnicy, w podłuż spoczywa miecz srogi. Zbodły się nogi, zhaczyły ostrogami stóp długich. Zasepił się, skobuział cały w zamyśleniu. Jakby na bardzo długi czas tu zleżał, wielce życiem już uznojonny: tak się ulgła kolcza zbroja w gibkość osmętnionego ciała, tak się słańia głowa, w szołomie „ciężka, taka w nim całym zaduma kościelna nad człeczą dołą, taka frasobliwość ducha.

W beżmiernym nagle rozżaleniu do się za to poniechanie druha przed rokiem, z klęczek nawet nie powstał Lancelot, a czołga się doń na kolanach.

„Z k a m i e n i a ś?!” - okrzyknie się nagle grozą na kościół cały - aż się rozchwiały po stalach zawodzające mnichy.

„Nie Boży ty już na świecie, a mistrza kamieni żywych stwórz w kościele?!”

Organowe basy, w podobieństwo czyścowych jęków, na ciężkich skrzydłach kolebać się każą mniszym pieniom.

Na desce pozłocistej w przydymionych od kadzideł barwach widniał Ukrzyżowany, wielką chudziźną udreżzonego ciała nie owisły nawet w ramionach, lecz srogo stojący w męczeństwa swego gwoździach; a one ćwieki w dłoniach obu i stopach skutych wystawia przed oczy chrześcijan, chmurnie wyzierając spod cierniów korony.

„Kyrie Elejson!...”

Głuchy to przyjęk organów pociągnął tak zaświstem burzy pod ołtarz sam. I w jeden akord dudni pohukiem u ścian wszystkich - aż się strzęsła nawa troista. Na wyże wzięte, mnożą się tony: jak ten grom, gdy w jeden nieboskłon łomotami gruchoce, a po drugim wraz echem się toczy - i już gra po niebie całym groźną nawałnicą bezmiarów.

I wrywa mu z piersi jęki skruchy ostatniej:

„Dla kobiety wyrzekłem się w duchu onej czary: poniechałem szukania Graala... Przeze mnie i Parsifal nie znalazł cudotwórczej czary Twej - ostatni może z rycerzy Twoich!... Nie znaleziony będzie Graal Twój! nie zdjęty będziesz z krzyża w sercach ludzi smutnych! nie odnowione będą serca człeczce! nie starte będą smutki z oblicza ziemi!...”

Grzmiały mu tak w piersiach i te ostatnie basy, które jakby w gniewu surowości ściszyć się nie mogą u stropu.

Zakonników chór, świątyni dusza i pobożność, rzekniesz, sama - oddaliły się stąd precz. Chłód barw niemych zaległ na ołtarzu u pogaszonych świec. W okrzepłości surowej lśnią kolumn kadłuby. Dym kadzideł szczołgał się ze schodów chóru i snuje się po nawach zwidem pokutujących dusz. Kostnicy sienią pod krzyżem ponurym zdał się i kościół sam - bez swej służby Bożej. Odeszły mnichy.

Jakby z onych trumien w piwnicy owiała pokutnika na płycie grobowej ta dusz czyścowych męka i łaska zarazem: nadzieja. Bo to z pierwszym poruszeniem ramion załopotala w nim skrzydłami nadziei ta myśl: „A może? - rok czasu wszak minął! rok długi! - może Parsifal tymczasem...”

Dopał po raz trzeci żywego kamienia; oburącz ogarnia tę głowę w szołomie ciężką, jak gdyby ją z śmiertelnego posłania podźwignąć nieco chciał. I szepcze mu w usta same - pyta.

A po mrokach i ciemnicach fary ocknęły się jakby w żywych kamieniach dusze wszystkich pogrzebanych tu rycerzy. I trąci echo pustego kościoła organy tu wtóre, uderzy w basy ciszy grobowcowej:

„Znalazłeś?!”

Ledwie spostrzegli słuchacze, że tego pytania szloch i echo grały już tylko gęśle żonglera. Grał. One w grobach kościołów trumniska grał - ni to dążeń człecznych łodzie rozbite - i mni- chów pokutne nad nimi lamentsy, za dusz czyścowych żale de profundis: życiowych zbląd- dzeń biady, nie odparty immundis... Żywe kamienie grał w wiecznych schronach ciszy, błęd- nych rycerzy na grobach fraszobliwość wieczną i to mleko sił, ssane z ich piersi kamiennych, za żywą krew dążenia...

Gadł mężów tęsknicie i tuhy, grał ducha człeczego wieczne nieukoje.

A gdy gęśle tym razem opadły, daremnie ludzie na słowo baczyli: żongler po czarce swą się- gał i podstawił ją pod dzban szczodrej pani. A przypomniawszy sobie słuchaczy, machnie ręką na izbę.

„Wracajcie do domów, romans już skończony.”

* * *

Powolny jak żółw i jak pień niemy linochód, melancholicus w kunszcie swoim, przekładał tymczasem górą na linie swe nogi pajęczce. Czynił to ze statkiem i bardzo roztropnie. Więc rychło uprzykrzyli sobie ludzie te sztuki pedanta. I rozwałęsali się po rynku. Dalejże kuglice na swe pomosty i nuże znów skakać przez obręcze, ognie łykać, podkowy łamać - co który umiał.

Z tego nieładu wszystkich spektakłów naraz i rozpierzchliwości widzów starał się skorzystać gadkarz: skoczył zwawo na swój pomost i wabił ku sobie cwanyminami. Że zaś dzisiaj wszystkie już gadki, by najsprośniejsze, zdążył opowiedzieć ludziom, a ich szczodrość spod chudej była fary, więc pozazdrościwszy żonglerom w piekarniach, umyślił i on tu swoim ludziskom na rynku opowiedzieć romans - nie rycerski żaden, a grodzki: każdy rad wysłucha powieści prawdziwej, zwłaszcza gdy opowie rzeczy całkiem świeże.

Tedy gadkę swoją tak chytrze grodzianom wykladał, że choć wyśmiewa wszystkich, każdemu się zdaje: „O sąsiedzie gada!...” Więc słuchają wszyscy i wszyscy są radzi: „Ten bo z życia bierze!...” Siedzi gadkarz na pomoście, dzwoni sobie nogami nad gromadą ludzi - i prawi. A coraz to niecierpliwiej szyję bokiem ku swej czapie wyciąga. „Datków coś bardzo niewiele!” Więc skrzywi się i przerwie opowieść ciekawą. I już tylko w milczeniu nogami nad ludźmi wy- dzwania wytrzymując na swej wardze spojżenia ludzi.

„Nie dasz groszy żaden sknera?!... Diabli wezmą bohatera! Już się śmierć na niego czai...”

Mieszczanie ze śmiechem, ich żonki z nadąsaniem dorzucają przecie coś niecoś do czapy.

I powieść gładko się dalej potoczy: „Że zaś po miastach skąpo, jak widać, jest wszędzie, na weselu tej panny wołu więc nie będzie! Ale dobra pieczeń zawsze się usmaży...” I żongler o tej pieczeni długo, smacznie gwarzy.

Aż skończy i zbierze aplauzu oklaski.

I ten nie chybiał powołania joculara: wypogadzał twarze, ścierał smutki z oblicza świata: z widnokręgów ludzi swoich.

Tak myślał goliard, snując się po rynku. I marząc pewnie w skrytości, by choć raz jeszcze, raz jeden bodaj tylko! - jak to dawniej bywało - móc stanąć przed zacnym gronem oświeco- nych. Tymi słowy powitałby ich z ukłonem od proga:

„Wędrowny poeta sercom szlachetnym cnej radości przysporzyć pragnie...”

„Witaj!” - odrzeką. „Salve!” - dodzwonią czarkami.

I posadzą u stołu, zasłuchają się w słowo, opuszczą w skupieniu oczy na swe brody poważne. Ale nie było progę takiego w mieście całym. A czynił przecie wszystko, co trzeba: i na rynku się pokazywał, i na kanonię zachodził wykręcając szyję ku oknom wszystkim, i u studzien przystawał jak należy - z ramionami skrzyżowanymi na piersiach i gęsią zwisła w kułaku. Nie zbliżał się doń pacholek żaden, żaden nie doskakiwał biegacz z zaproszeniem do panów. Na rynku zgiełek tylko odpustowy, po ulicach cisze: ledwie mniszych chodaków gdzieniegdzie kołaty i te dzwonki a sygnaturki klasztorów dziesięciu - kłótlive w zgiełkach tonów, nie zestrojone wcale w miasta górną nutę - jakby na zaświadczenie, że i życiu tu samemu brak wszelkiego zestroju na rejestrach wyższych.

Więc gorycz powoli napełniała mu serce; już nie o to nawet, że nie pokarmiono go dziś nigdzie, lecz że mury w tym grodzie ponure, posępne kościoły... Dziewcząt na ulicach niewiele widać, a które się pokażą, nieładne są chyba, bo w oczach ich nie ma tego płomyka wrażliwości, który w naszych duszach zapala nieraz i najlepszych myśli światło.

A może po piekarniach biją w tej chwili wszystkie serca czujniejsze w tym mieście?

Zgadł chyba, bo niebawem tłumy wielkie wysypywać się jęły z niejednej bramy i wypełniać ulice. Jeszcze nie przybladły rumieńce ciekawości na policzkach kobiet, jeszcze nie przygały ich oczy rozżagwione. Mijał je z żalem do ludzi, w kapturze ukrywając się przed nimi. Aż go w tym ośpieniu zagadnęli żonglerzy na ulicy: czemu tak beczynnio po mieście się wałęsa, gdy zarobku dziś przecie pora.

„Kędyż pójde? - odpowie im. - Nie spuszczają się już dla nas zamkowe mosty, nie otwierają opactw furty, nie czekają na nas u biskupów ławy i misy - nie biją już na nasz widok serca mężów duchownych i świeckich. Rynki gawiedzi tylko pełne, piekarnie niewiast próżnych...” Odepchnęła wraz żonglerów ta pycha, na dnie goliardowego serca zawsze ukryta, choćby pod najskromniejszym osmuceniem twarzy. Takiego lepiej i w smutku poniechać - nie poradzą tu nic towarzysze.

Oto na chłodne ich milczenie podejmuje wreszcie spod kaptura swe oczy sępie - i pyta:

„Nie prawdęż ja powiadam, panowie żonglerzy?... Czymże było niegdyś wielkie imię wasze, które od jocus - gędźby - na igrę się wywodzi, a więc Apollinowego jest rodu? Baczcież! toć uragliwość mieszczan wasze gęśle mówione za jedno dziś waży z kuglców butlą, kulą i nożem. Co mówię! toż oni rzecz naszą za lichszą snadź mają, bo gdy się kuglcami i gadkarzem na rynku cieszą, naszym gęślom cóż to zostawili dzisiaj?... Owo żakom grodzkim języki w gębach rozwiązywać, zanim się w tych głowach myśli nawiązały, i mieszczki gzić! Powiedzmyż to sobie raz, panowie...!”

Milczeli żonglerzy, nieufnym zezem spojierając na goliarda. Więc on jakoś smętnie opuścił oczy, w ziemię je wbił i gada jakby do siebie już tylko:

„Zepchnęły nas czasy na rynki, między te mieszczany gorzej niż oziębłe, bo pełne niemej przedrwinny ze wszystkiego, co nie jest z ich trybu powszedniości. Na schyłek nam pono idzie, towarzysze! Jakby nie wszystkie trzy parki żywota były już z nami. Bo prawdziwie, po tych włóczęgach dziś naszych z grodu do grodu wałęsa się z nami ta jedna już tylko: Lachesis, zalotnica-żebraczka, obracająca koło rybałtowych dni! I to powiedzmy sobie wreszcie w oczy, panowie...!”

Goliardowe słowo spadało bo zawsze między ludzi jak młot, na wstrząśnienie myśli i serc oburzenie. Ale tego było dziś nad miarę wszelką! Żachną się zgodnie żonglerzy:

„Pychy nazbyt wiele ma w sobie ta żebraczka twoja.”

„A znasz ty, laiku jeden i drugi, ostatnią tarczę oświeconych?!... Komy będę jak pies, przed czym mi dusza pokorę nakaze.”

„Więc idź do kościoła.”

„Pójdę!...”

Łzy chlupnęły z nienacka w tej przekorze goliarda. I zatrzymały towarzyszy - kamrat bo z goliarda dobry zawsze bywa. Może by tak podzielić się z nim zarobkiem z piekarni? Że też w tym zatraconym mieście nie masz słuchaczy i dla poety!...

Ale spoglądali nań mimo to nieufnie - Muza, myślą, jest kochanką prostotliwych; niech klerk pilnuje damy Filozofii, gdy nie pilnował kościoła. Poeta bo oświecony na to tylko nieco barw życia w sztukę swą nagarnia, by niepokój w sercach rozczynić, ockniętą myśl porwać hardo na świata łady i dzierzce! Zaciejsza, Bogu i ludziom miłsza jest nasza sztuka żonglerów: ciekawą mnogobarwność świata w piersi brać i głosić ochoczo każdemu, kto słuchać zechce; a więc nie po łacinie, oświeconym tylko, lecz mową i sercem pospółstwa... Błogosławiona niech będzie nasza dola wszelaka, skoro w torbie włóczęgi przynosi ludziom to rozsiewne uradowanie się życiu: opowieść!

Lecz te racje swoje woleli nieufni żonglerzy zachować dla siebie. Odezwać się? Wiadomo: klerk mądry! - tylko pomylił uczucia. Milczeli tedy upodobnieni sowom, które i są, i woła być za dnia ślepe, bo jeszcze przyćmiewają oczy.

Postawszy tak czas jakiś z goliardem na ulicy, rozeszli się wreszcie w milczeniu - każdy za swojej igry kolejną i losem.

Żonglery tedy między kobiety, które ich teraz rozchwytywały po wieczernikach. Kto głębię sprawował, gardła nie żałował: pił za długie posty! Piłby przezornie i za posty przyszłe, gdyby tu i ówdzie jaka pani grzeczna nie prosiła na lepsze wywczasy: do alkierza swego. Wypysznił się tedy wagant i na bogatym łożu.

A i tam nawet żonglery zaczęli dopilnowywać spraw kamrata, który dziś nic nie zarobił, bając kobietom różności o Muzach i o goliardzie. Niejedna z kobiet jako wiersz goliardowy o Amorzem przypomniała sobie (trafiają bo się po grodach i oświecone Panie).

Urastały w honorze Muzy po alkierzach, a z nimi i poeta; ale na honorach dla nich zawsze się ponoć kończyło.

Goliard snuł się po ulicach grodu. Poniechanie jest gorzkie.

Bardzo gorzkie czasem. I żal życia, i żyć już nie wiadomo po co. Za każdym progiem, zda się, szczęście samo pieści ludzi miękką rączką, wagant jak pies bezdomny o próg każdy się ociera - i przeklina dolę swoją. Nie żeby głodny był znowuż tak bardzo, ile że... „Nie łkajże, człeku, na ulicy!”

Kto zgadnie i powie, jakie to szczęścia przeciche roją się po głowie waganta? Jakich tęczy wianki spletać on gotów na te bodaj progi, po których wbiega oto z pośpiechem jakaś drobna stopa, już o chwilę całą zapóźniona, ku swemu szczęściu?... Tyle doli wszelakich, tyle życia człeczkiego nagęszcza się w mieście!

Przysiadł gdzieś na progu, ni to pałnik zziębły u cudzego pieca. Jakoż z głębokiej sieni pod beczkowym stropem powiało nań chyba życia samego ciepłem serdecznym.

„Pobłogosław, Boże, wszystkim statkom i umiarom dusz!” Roił.

Oneż to rojenia niepohamowanej głowy - które poesim rodzą - oneż to wytrąciły go ze spójności katolickiego świata. „Pobłogosław, Boże, rządności serc człecznych...”

„Nie łzawże się, klerku, coram publice! - patrz, oglądają się za tobą.”

Tak więc poszanowanie dla swej szaty oświeconego ustatedniło go na koniec. Jak ocknięty oglądał się wokół. Domek - widzi - coś bardzo mizerny! To otrzeźwia go nieco. Ale gdy pod czołem zajaśniała już rozważa, w sercu smęt się wciąż jeszcze rozżala i gra w piersiach za rybałtowe gęśle same:

„Łzy za szczęściem na wydeptanym progu człecznej troski może - waszych to może zarojęń niedolę błogą? piękna jeszcze jedną uludę - oto co znalazł wędrowny poeta u nędzarzów bramy. Znalezione zwraca. Zaświadczy, Muzo, ludziom tego domu pozdrowienie waganta...!”

Dobyl z rękawa pióro i inkaustu flaszę, pisze coś szybko na karcie. I przywiesza ją potem u kołatki bramy - za votum włóczęgi, za wianek spleciony z onych kwiatów, których dla garści równie ponoć nie ma - jak szczęścia samego na świecie.

Za czym, pogodniejszy już o wiele, poszedł dalej. Obył się dziś i bez słuchaczy oświeconych. Prostotliwym pieśń swoją podrzucił pod progi. Zasię datków od biedy człecznej nie wziął przecie. Sam szczodrym był.

Toteż i głodu nawet nie czuje już wcale. Pogwizduje sobie.

Dobra myśl dobre przywabia do nas trafy. Oto czyjeś ramię - życia samego wiankiem - spadło znienacka na szyję goliarda. I zawlokło go sprzed ócz ulicy do bramy, wraz zatrzaśniętej. Skoczka to była z wielką, księgą pod pachą.

„Masz!” - wtyka mu w obie ręce ciężar swój.

Nieprędko połapał się: co, gdzie, jakim cudem się dzieje. Aż się powoli rzecz cała wyjaśniła: w tym mieście - jako żywo! - Horacy się znalazł i już go dziewczyna z rąk czyichś wydebiła dla niego. Gdy pierwsze zdumienie minęło i na karcie w tytule stwierdzić się wszystko dało, goliard niewdzięczny, zamiast podziękowania, wyrzucił przed się kułak gniewu:

„To ogłupiałe dziś syny i dziewczynie w zalotach oddadzą - ojców skarby takie!”

„Nie każdej pewnie.”

Jęła poprawiać włosy nieco rozwiane. A w tym podniesieniu głowy powiada doń jakby z góry: „Od pół roku o niczym innym i we snach nie gadasz! Masz go wreszcie samego. A trzymaj mocno, by ci go nie wydarł jaki mnich przepisania chciwy lub jeszcze chciwszy spalenia.”

Do goliarda przystąpiły tymczasem inne myśli, już nie do książki odnoszące się pono.

Skierował ku niej podejrzliwie białka oczu.

„No, i bywaj! - zakręciła się na pięcie - bo się śpieszę! Zaś to kapturzysko...”

Wystarczyło tych zwiewnych paluszków pomuskanie prędkie, by się zmylił zez goliarda w spojrzenie nieco milsze. Oboje oprą Horaca szanownie w kącie sieni, by się nie przewrócił. I dopadną do się piersiami.

„Żaden tak całować nie potrafi!” - pomyślała dziewczyna.

Ale tyle tylko, że się nacałować zdążyli, bo do bramy dobijają się już oto niecierpliwie zalotniki: obecna dziś w grodzie młodzież rycerska. Więc się śpieszy skoczka, bowiem przyobiegała im zatańczyć po raz drugi - na pokojach gdzieś pańskich. W pośpiechu już nawet nie całuje, a uderza wargami w policzki goliarda, by nie smęcił znowuż z tej przyczyny.

I wyszarpnąwszy nagle coś niecoś z mieszka, wtyka mu to w rękę, by podjadł sobie gdzie nareszcie: książka nie nakarmi go pono nazbyt suto - a nie poety rzeczą uganiać się po mieście za kęsem lada jakim.

„Nie czyń mi tego!” - syknie jak ukąszony. I natargnie z powrotem kaptur - przed ludźmi pewnie.

Bo skoczka otworzywszy bramę, wyskoczyła na ulicę. I daje się nieść brukom: podbijać, rzekniesz, kamieniom swe kroki prężne.

„Żadna tak stąpać nie umie!” - pomyśleć musiał goliard mimo ośepienia.

Za rytmem kroków dziewczyny, jak za werblem na przedzie, kroczyła szparko młódź rycerska cała.

Nie wszystka jednak z przytomnych tu dziś na odpuszcie. Innych bardziej dziś pono zagrzewało wino, bo oto ciągną z daleka z wrzawą na pół miasta.

I widzą: na kamieniu pod murem przycupnął jak kruk nad księgi szkarłatem klerk w czarnej szacie - zaczytał się pilnie, opadają na karty wisiory kaptura. A ich krzyków nad głową nie słyszy, zda się, wcale.

Więc się przypatrują temu ptakowi, który z wagantami spadł dziś na ulice grodu.

Rozkraczył się nad nim z rękoma na biodrach jakiś młody snadź władyka nad strażą i przygląda mu się jak zaciężnemu. Chłopak jest giętki jak wąż w swej kolczudze srebrzystej, a te mięśnie, rade życiu, grają mu gdzieś koło barków jak pod futrem młodego zwierza; prężny się widzi niczym skoczek, nawet w tej postawie butnej.

„Pozdrowienie Muzom!” - huknie nad głową goliarda.

„Niech opromienia młodość twoją, piękny panie.” A on wraz do kompanii swojej:

„Człek, widzicie, towarzyski: w terminach odpowiada żwawo. Chodź z nami pić, poeto! U czoła stołu posadzimy cię, jak to za ojców bywało. Będziesz nas chwalił przy gęśli.”

Goliard spokojnie kartę odwraca na znak, że się nie kwapi.

„Moja Muza na wasze rycerstwo nie patrzała, a sławić opojów nie będzie.”

„Zadziornyś?!... Nawet wtedy, gdy o zarobek idzie? Lubie!” - Trzepnie go łapą w plecy.

„Poniechajcie mnie, panowie. Mam tu zacniejsze towarzystwo w ciszy.”

„A nam się twego zachciało!... No, wstawaj, gburze! Ruszaj się?” - Poczną go trącać mieczami. I uprowadzili ze sobą. A śmieją się i drwią z księgi, którą dźwiga pod pachą.

„Gdzie ducha skapo, tam dufności wiele - odgryza się goliard w ich hałasie, - I nie tak za ojców bywało.”

A gdy przez rynek przechodzili, oprze się im nagle nie pójdzie! O datki ich nawet nie dba, bo droższy mu w tej chwili czas i księga, przy której go zastali. A jeśli już koniecznie chcą go posłuchać, to tu właśnie, na rynku, miałyby im coś niecoś do powiedzenia.

W kompanii nietrzeźwej - wiadomo - im rzecz bardziej nieoczekiwana, tym zgoda pewniejsza. Przyklasną z tumultem, gotowi na tarczach go nawet podnosić: „Tu nas pochwal, bracie!”

A goliard jakby odżył nagle, w tej myśli chyba, że na rynku tego miasta i on znalazł słuchaczy swoich.

Skoczy tedy na ławę u studni i wzniesie ramię.

„Panowie!...

Piękne jest zonglerstwo kamratów na rynku, piękne są skoczki tańce i nogi, piękną odwaga linochoda, odważny jest niedźwiedzia poskramiacz, zwinne jak w tańcu jest słowo gadkarza - zgoła: piękną jest każda zuchwałość i rącość ciała, i bystrego ducha żywość każda!

Atoli piękniejsza jest nasza stara igra! - śpiewa dumny poeta prowancki. Bo zważcież tylko, panowie! rzeczy kuglców, gadkarzy, a i zonglerów bywa po piekarniach tyle trwania, ile baczienia waszego- i otoście znów radości próżni, jak woncez gdyście wychodzili z domu. Inną jest nasza sztuka poetów i inne jej piękności! One serca sięgając, w pamięci pozostają, bo

czucia człecze rozszerzać zwykły. One jak na gęśli stroją w was te żyły serdeczne nienawiści i miłowania, na których życia waszego ton i - daj Boże! - chwałę sami wygracie.

Aliści, widzę, w rzadkie miny i cierpkie wejrzenia wasze powiadam ja to. Wyście tu oczekiwali gotowej dla się pochwały w rymach pobrzękliwych. Daremnie bym wam obiecywał bodaj dusz ocknienie ku nie doznany jeszcze czujnościom - niech wesołki uszami kukli swych zadzwonią, sam tu pono zostanę... Więc to jedno już tylko powiem wam na rychły wraz koniec, panowie, rycerskiego i kupieckiego stanu:

Oto jest kraina zaniedbania, gdzie synowie, nazbyt dufni, wyrzekli się Muz, przy których urastali duchem ich ojcowie, i odtrącili je od się precz - między mieszczany. Ci zasię - ładem trybu swego, który wszystko w cechy i bractwa wiąże - między kuglce dowiązali Muzy: w jedną wagantów bandę i ordinem. A hersztem tej bandy ustanowili w duchu swym poetę. Jestem. Tu są zaś zacni towarzysze moi, goliardowa familia, rzeką mieszczanie; i prawdziwie sercem tak dziś moja, że niejeden z was, panowie, lichszy mi przy nich i zgoła żaden: człek bez twarzy!”

Uragliwym śmiechem z brzucha zatrzęsą się wokół rycerze.

„Oto jest kraina opieszłości, gdzie nad lampami duszy baczenie mają już chyba tylko niewiasty: mądre i głupie razem... A śmieście się! - wzburzył się nagle, wychylił głowę spod kaptura, wichrzył czuprynę. - Wiemże! przed kuglców pomostami bawicie swe serca rycerskie, zdając pieśni i opowieści, gędźbę i wiersze - zgoła: oświeconych igrę zacniejszą - kobiet i młodzieniaszków pieczy, zdając ich jedynie baczeniu lampę i oliwę p o w s z e c h n e g o d u c h a... A, śmieście się! - doskoczy już do nich z ławy - unde saepe lacrimor quando vos ridetis!... Idźcie na rynki bawić oczy i uszy. A wracając na swe zamki, to jedno weźcie na swe serca ucieszone w grodzie - ona krzywdę powszechności całej, jej capitis et cordis diminutionem!... Idźcie na rynki bawić oczy i uszy! póki w głowy i serca mężów tego kraju nie spojrzy ktoś obcy i nie rzeknie, jak powiedział niedawno na synodzie on biskup surowy: rudes! idiotae! illiterati!...”

Padła na rynek cisza nagła i krótka jak błyskawica, gdy wielkiego gniewu warknięciem szczętkły raptem wszystkie miecze o swe tarcze i rzuciły grozę na tłumy.

Tarczami następują panowie na goliarda, by nie podnosić miecza na chama; jeszcze kilka kroków, a zgniotą go jak robaka pod stopą. Rzucą się waganty wyrwać kamienie z bruków; już je miotnąć mają na panów wybronię towarzysza.

Gdy - nie wiada skąd - rysiem spadnie przed one tarcze skoczka chyża. I wystawia na zgniecenie jawną pierś dziewczyny; a usta ma rozchylone zdumieniem i pogardą nad rycerstwem tak mizernym:

„Nie masz tu ani jednego, który by się zastawił za wolnego ptaka prawdę i szyję?!...”

I nie chybiła - tym właśnie przeciwstawieniem jednego gromadzie: do honoru obecnego tu może przypadkiem rycerza błędnego odwołała się bezwiednie. Nie chybiła zaś nade wszystko wyzwaniem swej urody.

Pryśło koło zemsty w pomrukach gniewu. I rozdwoiły się mniemania panów. Zalotniki skoczki opowiedziały się za wagantami: że naród to wolny; że gbur, kto się na słowo igrców obrusza; że dawniejszy obyczaj za podniesienie ręki na gęślarza i lirnika karał ramienia odjęciem - tak uczyli króle uszanowania dla poetów, sami zasię pozwalali im mówić całą zawsze prawdę, choćby z srogim gniewem poety przeciw sroższemu jeszcze gniewowi królewskiego majestatu i jego pięści zaciśniętej na miecza główni.

Te wszystkie racje oraz szanowne z nich technienie starych czasów ostudziły gniew panów. Więc niech goliard odszczeka ostatnie bodaj słowa.

Ale goliard niczego odszczekać nie chciał. Wszczęła się zwada. Niebawem nikt już nie sły-
szał się wzajem w tej wrzawie i nie rozumiał już wcale. Tu i owdzie zatrząskiwały się ponu-
ro przyłbic wizjery nad twarzami. Wpierano się w ziemię, mierząc przeciwnika złym okiem
spod larwy stalowej. Sapia - i czekają jak te koguty przypląwu pasji ostatniej. Rzadko który
okrzyknął się, jak trzeba:

„Wyzywamć!... Baczność miej!”

Najbardziej niepohamowanego miecza targnięcie się - od swej tarczy w górę - rozstrzygnęło
wszystko. I rozległ się on łomot srogi w nacieraniu na się dwóch gromad.

Mieszczanie jakby ogłupieli nagle, zapatrzwszy się w ten rozruch na rynku ni to na dziwo-
wisko odpustowe. Dopiero gdy krew bluznęła na kolczugi jasne i ktoś się tam zwałił z nóg
z chrzęstem, rzekniesz, bezwładnym - jakby kto garść żelaziwa o ziem cisnął - dopiero wtedy
zakolysał się tłum gwałtownie i wypadły z niego kobiety. Któraś z nich widziała krew, inna
powalenie się pana, trzecia zaś, najdalej stojąca, usłyszawszy to wszystko, wrzaśnie piskiem
przeraźliwym: „Zabili...” Wówczas jak stado gęsi w popłochu, z wielkim łopotem spódnic
zaganiać jęły kobiety - to tu, to tam - wpadając w ulice na osłep i roznosząc po mieście te
krzyki przeraźliwe: „Zabili!... Zabili!...”

Tym zamętem z ratusza wywołany wkroczył na rynek burmistrz z laską. Mało co baczy na
rycerzy potyczkę, bo gniewają go przede wszystkim te nieporządki i trwogi roznoszone przez
kobiety po mieście całym. Ku nim tedy kieruje swe spojrzenia srogie, Oto osoba tak otyła,
jak pani płatnerzowa grodu, toczy się po rynku niczym beczka hałaśliwa i drze się o tego
goliarda - za dziesięć młodych.

Nie masz bo w każdym grodzie bardziej przykrych niechęci niżli panów podstarzałych do
kobiet już niemłodych. Do niej tedy doskoczy burmistrz z całą surowością i nakazem wła-
dzy:

„Cicho mi pani bądź! bo na ratusz wezmę... i czego się dobrodzika drzesz?!” - Gestem żaby
rozczapirza dłonie i gębę przed babą tłustą.

„Takiego człowieka!... Takiego człowieka!...”

„Uspokój się pani: goliardowi nic się nie stało. Pewnie dlatego, że mu wisieć sądzono.”

„Takiego człowieka!” - wysapuje kobieta w uspokojeniu swą alterację sprzed chwili.

„Jakiego znowuż t a k i e g o?” - wyzabia się przed nią burmistrz, każdym słowem akcentu-
jąc jakby otyłość damy.

„Panie - przystępuje do niego z impetem - panie! człekże to w Salerno i Paryżu bywały, fizy-
ki i lekarstw u mistrzów nauczony, w filozofii biegły, w dysputacji artysta, a nade wszystko
poeta! vel magus” - uprzystępnia żarliwie ostatnie słowo burmistrzowi, który nie był z oświe-
conych.

(Żongler wgadał był to wszystko w kobietę, zalecając jej kamrata swego.)

Jakoż burmistrz stropił się nagle, nie chcąc uchybić aby jakimś tam może ważnościom po
dworach pańskich. A stropiony uraził się bardzo:

„My ludzie pracy! - rzeknie. - Uczty u nas skromne; wagantów na nie nie sprowadzamy... To
jedno wiem tylko: płacą miastu i dziewczki nierządne - od kapelusza. Zaś ta gołota darmo wła-
zi i wyłazi z miasta. Tyle tylko, że straży u bram grodu swe sztuki pokazać muszą, czy je aby
naprawdę umieją. A to nie jest podatek żaden!”

„Tam się zabijają na rynku, a on tu w myślach podatki z biedy ludzkiej żyłuje!” - oburzy się
do głębi pani płatnerzowa.

I mimo tuszy, duchem snadź krzepka, potoczy się żwawo pod miecze nieomal same.
„Panowie! - rozkłada ramiona matrony - panowie, opamiętanie miejcie!... Nie tak się rozstrzyga sprzeczki o Muzy!”
Rad nierad burmistrz biec za nią musi: nie daj Boże, zasieką i babę na rynku.
„Gdzie też dobrodzikę ponosi, na miłosierdzie Boskie?! I jakie tam znowu Muzy komu w głowie? Panowie tu juszą o - s k o c z k ę p i ę k n ą.”
I wysapał z brzucha ostatnią pasję na wszystko, co się od rana dziś w mieście dzieje:
„Owóz Muza, jaka nawiedziła dziś mieszczan i rycerzy! Tymczasem jeszcze - baczę - bez kapelusza.”

* * *

Otoczyć kazał król rynek cały i rozjąć panów przez strażę, a turbować ich mocno za nieposzanowanie świętego Floriana, którego odpust był dzisiaj. Z kilku powalonych zwłóczono zbroje i macano rany; że zaś nieważne okazały się wszystkie, zostawiono ich na placu - kobietom na wytkliwianie się; opatrunki i coś lepszego potem. Tak mówiły do pani płatnerzowej strażę gburne, powracając na zamek.

Ona bo była wszędzie: rządziła się na rynku jak ta gospodyni miasta.

Żonglerów jakby kto na sto koni wsadził; każdy z nich, gdzie mógł, nos wtykał, patrzył, wąchał, przyglądał się i zacierał łapy. A rzecz, widzianą tak osobiście, wyogromniał sobie - i już prawil w duchu, już myślą w innych gdzieś grodach opowiadał ludziom szumną awanturę rycerzy w obronie Muz i poety.

Goliard miał wciąż jeszcze w uszach te łomoty mieczów i plugawe przekleństwa rannych rycerzy - zaś krwi widoku całkiem już nie lubił. Więc był bardzo zgnębiony tym wszystkim i cierpki duszą. Stoi Przed nim najdzielniejszy z obrońców jego: pan, który znalazł się na rynku nie orężnie, w stroju odświętnym, a gołymi garściami miecz zdobył i nim goliarda zasłonił. A teraz oto ranę na lewym ramieniu pozwala kobietom opatrywać sobie. I by nie słyszeć z bólu, zagaduje:

„Opowiadaj o sobie: gdzieś bywał? skąd jesteś?” To butne wyzwanie, niby spotkanego gdzieś na gościńcu, nie podobało mu się wcale. Nie chce jednak zrażać do się wybawcy swego. Więc popatrzał nań uważnie i jak gdyby odgadnąwszy coś niecoś, powiada o sobie:

„Pięćdziesięciu królów ziemie schodziłem.” I trafił: jasne, gołębie wejrzenie spoczęło na nim.

„I ja również! - słyszy głos jakby uradowanego dziecka. - W błędnym rycerstwie zjeździłem, by rzec słuszniej... Ty zaś skąd jesteś?” „Z gościńca” - mruczy goliard. „Ojczyzna szeroka!”

„Wielce gorzka dola nam, wagantom, gdy do tej Innej jedynym już tylko nawiązaniem te waśnie o nas po rynkach.” „Więc czemu powody dawasz?” „Bo prawdę mówić mniemam!... Nieprawdy moje piękniejsze, ale o nie nikt tu nie stoi. Prawdy w żalu - bardzo gburne. Rzeczy grube każdy z nich usłyszcy i pojmie - stąd sprzeczki. Zgiełk wnoszę w miasto, chociaż przychodzę opowiadać rzeczy najcichsze. Daruj mi, panie, zamęt, jaki wszcząłem, i tę ranę twoją. Dziękując za życie, któreś mi dziś przedłużył.”

„Daj ci, Boże - na lepszą dolę.” Uważnie przyglądają mu się te oczy dobre. „Za bękartów jakiego rycerza błędnego gotów bym was uznać, waganty, spotkawszy gdzieś na gościńcach

świata - za liczne jego potomstwo z Cyganką może. Rozmaite bo sztuki umieją Cyganie... Duch zasię po ojcu w was pewnie... A i niedumne wy zresztą jak bękarty.”

Czuł goliard, że i w niego tu coś trafia; zachnie się tedy:

Kędyż więc pójdę? gdzie się podzieję? co tymi czasy uczynić z sobą mam?! gdy panowie duchownego i rycerskiego stanu stracili dziś doszczętnie serc swoich ciekawość bezkorzystną.”

„Pluń tedy na ich korzyści - i chodź ze mną”

„Dokądże to?”

„Szukać Graala.”

Goliard w zdumieniu aż w tył odstał bacząc zezem: czy gada doń człek przy zdrowych aby zmysłach? Widzi: bary jak u niedźwiedzia, że ta główka rycerza na nich maleńką się aż wydaje - właśnie jak u niedźwiedzia; oczy zaś równie małe, niczym w futrze tamtej bestii srogiej - i dobre; nie można powiedzieć inaczej: dobre! Odgaduje więc w nim raczej wielki upór myśli, przydatny żołnierzowi, niżli zmysłów nieład.

Odczuwa żołnierz w goliardzie wielki niestatek chęci wszelkich - jak to u poety - a wraz i chytrą przenikliwość klerka w jego spojrzeniu. Oto spod kaptura dobywa się baranim śmiechem ten szyd niepowściągnięty: „He, he! - graalowe szukanie!”

I przypatrują się sobie oczami tak odmiennymi.

Aż goliard przerwał to milczenie, trybem klerków, którzy od szyderstwa w oczach do mądrego odęcia się tak łatwo przechodzą.

„Wyczerpuje sam czas wierzenia człecz” - powiada pociągając dłońmi po wisiorach kaptura niczym po bokach brody.

„Niewyczerpana jest wiara w sercu, które samemu sobie wierne pozostaje - jak chce pierwsze przykazanie graalowego szukania.”

„I o tym wiesz już, panie?”

„Od was to wiem, poetów - i zamknąłem w piersi.”

Markotnie coś się stało goliardowi, poskrobał się po kapturze.

„Mimo to nazbyt zawierzyłeś, panie, dzisiejszej opowieści żonglera.”

Kułaczysko jak oklepiec chwyciło goliarda za ramię i zatrzęsło nim - nie z gniewu, widać, lecz z alteracji nagłej.

„Jakżeby ja nie miał zawierzyć żonglerowi?! Tyś goliardzie, człek mądry: posłuchaj i zważ...”

I nad tym grodem jest zamek, i w nim królowa najpiękniejsza. (Możesz już słyszał co o niej? Nie?!) I jam jest rycerz straży - straży grodzkiej - u króla mego. Sprawowałem nieraz straż i na pokojach: wysztywnion i skamieniały w słup - jak trzeba. A z sercem rozłopotanym pod zbroją, przed oczyma pani, która tak często, tak bardzo często przebiegała przede mną: liczne miała sprawy na pokojach swoich. Jeszcze dziś słyszę te jej nucenia z dala, te szumy płaszczka, te szelestki i stapania miękkie, gdym stał tam wysztywnion i skamieniały w słup - a coraz to bledszy i bledszy przed uśmiechem pani. A przedsię nikim byłem dla niej, kamieniem u muru, patrzącym bywało i na ramiona jej nie osłonięte wcale, i na pierś otwartą... - na nogi przymykałem oczy ku zdziwieniu pani: bo to był znak życia we mnie jedyny. Nie wolno nam, straży zamkowej, przemawiać do nikogo na świecie, oprócz króla samego. Zabawiało to panią przystawać przede mną z pytaniem: czemum taki błąd, i baczyć na milczenie moje, oczyma zgadywać odpowiedź niemego; a dotykać rozmaicie zbroi mojej: niby czym człek żywy, czy

głaz... Jeszcze dziś widzę przed sobą te rozchylone usteczka, oczy pod rzęs zatuleniem i ten uśmiech na policzkach, gdzieś tu, koło dołecz...! - gdym stał tam wysztywnion i skamieniały w słup, i coraz to bledszy, i bledszy przed tym uśmieszkiem pani... Aż zwałem się ciężko do jej nóg w rynsztunku całym - a chłop jestem duży. Nie dopuściła pani, abym szczeł z tej tęsknoty... Więcej nie powiem, goliardzie. Bo i nie godzi się więcej powiadać o kobiecie rycerzowi... A teraz zważ: i ja zastawiłem miecz, aby płaszcz strojny kupić. Zważ dalej: i na tym zamku padł nocy niedawnej rycerz jakiś. (Może ci już opowiadano o tym na mieście?! Co?!) Wiedz tedy: ja go zabiłem na zamku komnatach, bowiem uchybił czci mojej pani.” Hę?!” - goliard odął wargę.

„A teraz powiedz, mądry goliardzie: jakżeby nie miał zawierzyć opowieści zonglera? Krwią nabiegały mi oczy, gdym go słuchał w piekarni. Nie o mnież to? nie o mnie opowiada zongler? - biło mi wciąż w skroniach... A te żywe kamienie po kościołach teraz dopiero tłumaczyć mi się zaczęły swym duchem: leżą na grobach jak graalowe pątniki, które celu nie doszły, powalone w podrożu. Zaś ta na ich licach frasobliwość wieczna - żywe to wyrzuty sumień naszych: „Gdzie dążenia twoje?!” Obejdę wszystkie kościoły grodu, odszukam kamień taki i będę przed nim bił i bił czołem, aż chyba tę głowę nędzną roztrzaskam. Bo w jakież dosyty, w jakie zażywności, w jakie rozkosze ugrzązłem ja, bracie?! I w jaką pogardę dla się? A i w zbrodnię ponoć na pokojach królewskich? Im wyższe, im zażywniejsze te progi kochania, tym pewniej cudzą lub własną krwią zbroczyć je z czasem trzeba. A i mózgiem swym chyba. Bo o te progi łeb swój chyba rozbiję w pogardzie dla się! A dowiodła mnie do tego ta służba w straży: te dostatki, te piękne stroje, te kobiet bliskości nie ustające... Nie tak to za dobrej młodości bywało!... Ale gdy mi trzeci już koń padł (tu łzy zmaciły mu nagle słowa), gdy już trzeci koń pode mną padł w rycerstwie mym błędnym - a familia już więcej pieniędzy dawać nie chciała - wonczas w tej biedzie, w tej trosce bezradnej dałem się królowi do straży.”

Szczere było ponoć to wszystko, razem z tym żalem do familii, bo załzawił się, spotniał jeszcze bardziej i zwiesił ciężko tę głowę stroskaną. Goliard odparł oburzeniem wielkim:

„I taki nawet szuka swego życia i sumienia w zonglerowej gębie! Toć i zwierz jaki na woli, w całej gorącości żądź swoich, piękniejszy chyba od bestii, jaką niedźwiednik oprowadza po rynku za kolec w nosie. A żaden zongler na świecie innych ludzi nie pokazuje po piekarniach - kobietom na wytkliwiania się tęskne i urabiania dusz swoich wedle takich wzorów. Więc nie bądź jak one!... Ilekroć nam się przytrafi zasłuchać w dolę czyją, ogarnia nas zawsze to zdziwienie, jak krewne, jak bliskie, jak zrównane nieomal są wszystkie dole człeczce chocia pod różnymi gwiazdy i horoskopy.”

Nie śmie rycerz przeczyć słowem mądrymu klerkowi. Ale tą główką na potężnych barach potrzęsa wciąż spornie.

„Nie równa życie nierówności człecznych. A naszą dążność czy niedotrwanie jeszcze nam i przed śmiercią wypłacić zdoła.”

Tu już goliard białka oczu wytrzeszczył na niego; a palcem to na się wskazuje, to na niego, i z powrotem znowu: „Jaż to prawię gromko do ludzi czy on w cichości do sumienia swego?...”

I zdjęło go wielkie zawstydzienie przed tym wyznawcą słów Muzy niczym przykazań Pańskich.

On zaś ujmuje go pod ramię i zwierza mu się dalej słowem ciepłym:

„Omierzy mi do cna czeze družby rycerskie: ich gawędy puste i swary całkiem głupie. Z mądrym chcę przyjaźń zawrzeć: z tobą, goliardzie. A i ty przyjaźni szukaj, przyjaźni wiernie się daj - jak chce drugie przykazanie graalowego szukania! Mnie się daj: jać sprostuję dumę, jać zagrzeję w piersiach wiarę stygnącą, ja cię powiodę!”

„Dokądże to niby?”

„Na szukanie Graala.”

Goliardowi chciały zrazu opaść ramiona.

„I czegoż to żal ci jeszcze? Jakich to nadziei obietnice zostawiasz po grodach? Sameś mówił: nikt was dziś słuchać już nie chce - poetów; nie masz w sercach mężów ciekawości bezkorystnej. Więc jaka na cię dola czeka? Szwendać się w głodzie po ulicach miasta? Lub może mieszczanom się dać: ich żonki i córki słowem Muzy gzić? żakom języki w gębach rozwiązywać?! Lub może na rynku swarzyć się wciąż z narodem? Nie zawsze znajdzie się taki, co cię obroni. Zgniotą cię wreszcie na rynku rycerzy tarcze i wdepczą w bruki mieszczan stopy... Hańba wahaniu twemu!... Bo tak nędzny koniec na cóż to pomieniać ci teraz wolno? Pomyśl: na szukanie Graala! A czymżeś ty żył - nie na ulicy, nie na rynku, a w cichościach swoich? - czym, jeśli nie wiarą poety w Graala? Tak ja o tobie mniemać muszę... Hańba wahaniu twemu, goliardzie!”

„Jaż to - myśli goliard - prawie gromko do ludzi czy on do sumienia mego?”

I to ramię jego, w porę przecie powściągnięte, jęło wykonywać teraz gesty dziwnie nijakie: owszem, przytwierdza - ale się zastrzega! - przytakuje - a jakże! - jednak coś tam...

Kręci niepewnie miękką rączką. Twardy niedawno pognębiciel słowem narodu na rynku, giął się teraz i zwijał, i wykręcał ni ten wiła bez kośćca: wymknąć się jakby chciał - przed mocnym nastawieniem prawdziwości cudzej.

Ale za ramię pociągnięty pokroczył. Stał nawet mocno, nie własnej jednak determinacji mocą. To jedno jeszcze tylko zdołał powiedzieć od siebie:

„Baśni żonglera w piekarni nasłuchałeś się, panie, a i poetów, widzę. Nasze słowo nie święte. A gęśle to już nigdy prawdy nie głoszą.”

Tak rycerz błędny i wędrowny poeta wyruszyli na szukanie Graala.

CZEŚĆ DRUGA

* * *

Na palcach rannej ręki odliczał goliardowi nowy jego przyjaciel, jakie są pierwsze potrzeby w porwaniu się do czynu: Dobyć ojcowy miecz, zastawiony u Żydów; odszukać obecnych tu może na odpuście powinowatych jakich: na tak zacne rycerstwo familia pożyczki nie odmówi; na koniec dostać się na zamek, aby wziąć na się kolory i tęsknotę swej pani, bez czego nie ma w rycerstwie niczym dzielności powinnej.

„My, waganty, prościej wyruszamy w światy - pomyślał goliard. - A i bez pożyczki.” Ale przychrząknął w gorliwym potakiwaniu takiej przezorności rycerza. „Chodźmy!” - rzecze żwawo. Ruszą tedy w zaułki i podmurza grodzkie. Stoi Żyd u bramy w szachowej sukni i spiczastym kołpaku; żółtą ma na ramionach chustę, jak prawo każe. Zagadnięty, toczy w palcach koniec siwej brody, krzywi gębę w spojrzeniu: zamyśla ostrożnie, co by odpowiedzieć.

Widzą: źle bardzo! Błysnie rycerz krótką stałą mizerykordii Żydowi przed piersią. Kupiec zbladł, cofnął brodę, posiniały wraz staremu rozedrgane wargi. Ale krzepi się cofnięty. I zapala w oczach te ognie, które wszystko zapamiętać obiecują i wszystko w porę odemścić - Jak to oni. Po czym wzdał się brzuchem i rzecze hardo:

„Zbroję nabył płatnerz, miecz zasię wykupił poufnik królewski.”

Bardziej zbladł pono teraz i z większym cofnął się przerażeniem rycerz sam: gdzie królewski poufnik w sprawę się wmiesza, zawisa nad nią króla rękawica czerwona. A Żyd tymczasem:

„Wiele pieniędzy wysypał mi na stół pan z zamku. A sfukał mnie gębą i zgromił okiem, że śmiem przyjmować takie zastawy. Miecz rycerza, powiadał, od którego cenniejszy był tylko chyba oręż pana Lancelota samego.” (Już Żyd wiedział, o czym opowiadano w piekarni - u nich bo wieści zawsze najprędsze.)

„Prawdę ty mi powtarzasz?!”

„Nie wierz mu, panie, nie wierz wcale!” - goliard aż w pół obejmuje nowego przyjaciela chcąc mu oszczędzić alteracji tak płonnej.

„Ty w siebie tylko wierzysz!” - odepchnie go rycerz cierpko.

I odwróciwszy się odeń, zapłacze w dłonie nad zaprzepaszczonego miecza ceną u ludzi. (Każdy rzewnie w to wierzy, co mu podchlebia.) A Żyd przypomina sobie oto nagle płaszcz i szatę, które mu był za cenę miecza odprzedał. Choć palcami tknąć ich teraz nie śmie, smakuje z daleka dotyki ich miękkie, mlaska językiem na kolory, chwali sobie swój towar niedawny:

„W taki strój kogo chcesz, ubierz, kobiety zjedzą go za cukier.”

Szarpnął się teraz pan bardziej pono niżli Żyd przed mizerykordią w piersi. Że wywyższony podchlebstwem przed chwilą, tym głębiej odczuł zepchnięcie wraz potem urągliwe. Odtrąci od się bazyliuszka cmokającego szeroką wargą.

A Żyd pokłony już oto bije i czoła dotyka przed osoby dostojnością. A za odchodzącymi panami zamiata ziemię kołpakiem.

Przez kolumnowe podcienia ulic i kręte zaułki, tu i owdzie sklezione, w bramę, wywiodła ich droga pod gołą ścianę kościółka. W tej ciszy, z dala od zgiełku odpustowego, rozłożył lekarz swe zioła w misach na ławie; drugą ławę dla chorych przygotował, wór z narzędziami opodal położył; sam zaś siedział na dywanie pod kościołem w spokojnym oczekiwaniu na niemocnych.

Zrazu minął go rycerz idący z goliardem, nagle powiódł badawczym okiem po tych ziołach, chmurnie ścisnął podbródek w dłoni i odezwał się wreszcie:

„Maszli, lekarzu, ziele zapomnienia?”

„Mam tu zioła wszelakie...”

Ciężko podejmował się stary. I nie prędzej mówić dalej raczył, zanim go na ławie chorych nie posadził.

„Mam tu zioła wszelakie - rzekł zasiadając naprzeciw niego tak, że go kolanami dotykał. - A czegoż to, panie zapomnieć wam trzeba?”

„Szczęścia, dobry lekarzu.”

Uważnym zezem dopyta się lekarz reszty. I doczeka się odeń ciężkiego westchnienia. Już wiedział tedy, co mu było trzeba: przytakuje swym myślom brodą siwą. Po czym palec przed się wystawia i rzecze:

„Mam tu zioła wszelakie. Mam i kamienie wielce pomocne, w których ta siła jest, że na pierśiach noszone powracają nas do cielesnego zdrowia. Alić twoje cierpienie, panie, nie zda mi się cielesne. Bowiem wiedz: trojakie są niedole doczesności naszej, a wszystkie one z grzechu pierwородnego idą. Gdy Adam śmiertelność człeczą z jabłkiem węzowym zjadł, wówczas i ciała choroby wszystkie, i duszy zniemożenia wszelakie zjadł z tymże jabłkiem. Stąd troistość nędzy doczesnej. Na śmierć lekarstwo Kościół ma. Na ciała słabości zalecili nam leki skuteczne mistrze: Hipokras, Avicenna, pani Trota z Salerno, Hildegarda święta oraz inne męże uczone i mądre niewiasty. Alić na duszy zaniemożenie, gdy pacierz nie pomaga, każdy lekarstwa w życia ochocie zwawo szukać winien. Tedyć rzekę: co nam Adam pod jabłonią przyczynił, tego i chrzest święty z nas nie zdjął, a mniszę cnoty w tęsknocie za jedną znędznią cię tylko przed resztą. Znędznią i przed życiem samym.”

Odgadując, ku czemu zmierzają te dorady, machnie się rycerz od nich oburącz.

„Kobietyż to przyczyniają nam na ten koniec ów ciała smęt i duszy zaniebanie w melancholii. Oneż to, dobry lekarzu!”

Pokiwa się przez chwilę lekarz siwobrody.

„Ja, stary, dawnom je sobie omierzył. Ale ty innym stać się pragniesz. „Uczyń mnie innym, lekarzu!” - prosisz się jak wszyscy ci chorzy. Z nimi to ja ziołami paskudzić się muszę, tobie zaś, panie - żeś młody - wyznam: innym czyni niejednego za młodu (kobietom tego nie powiadaj!) każda miłość inna. Bowiem wszystkie bujności młodego w życiu działywania (mni-chom tego nie powtórz!) z Ewy są jabłka i węzowej w nas ciągle namowy. Pókiś młody!” Ja zaś, stary, jednakim już pono zostanę - do śmierci... Abyś zasię z prózną garścią ode mnie nie odszedł, odsypię ci w nią szczyptę ziela ukojenia, które sny łagodne daje i otuchę na grze-

chów odpuszczenie w sercu nieci... Bóg zapłać za datek szczodry... A gdy ci nalewka z ziela mego niejaką ulgę czasami przyniesie, zmów, proszę, nad ranem pacierz do świętego Józefa, który mi jest patronem: niech będzie łaskaw w niebie dla dobrego lekarza.”

Ledwie odeszli od niego, a rycerz sposepniał coś bardzo. Pod oddech ciężki, jakby kamień jaki toczył mu się w piersiach i opadał nagle, pod westchnienie głucho.

„Nie tęsknijże, panie, tak strasznie, na Boga!”

„Od was to mam” - mruknął tęskliwiec ponury.

Ale goliard, który pilnie baczył na jego zachowanie się przed Żydem i lekarzem, odzyskał było tymczasem utraconą pewność klerka. Pociąga znów wisiory kaptura.

„Mdle mamy serce dla żałośników. A i lekarz prawdziwie powiadał, że tęskliwiec tylko się znędznia przed życiem. Okpi go, wyszydzi i pognębi każda chytryść zimna. I odepchnie wreszcie precz życie nawet samo.”

„O kimże ty to mówisz?! - Aż się w zdziwieniu rycerz na miejscu zatrzymał. - O mnie czy o sobie to powiadasz? Nie żyjeszże ty sam, człeczko, zarojeniami tylko? Czyż nie wyszydza was za to powszechność cała?”

„My po zarojenia nasze garścią w życie nie sięgamy. Ani sięgać nie uczymy - jak to czynią żonglerzy, którzy lubią żyć w zgodzie z powszechnością.”

„Wolę ja po stokroć gorące słowo żonglerów, które w życie wiedzie!”

„Wierzyć, panie! Jesteś wszak sam z nich cały: z żonglerów ducha. A wielu dziś takich na świecie.”

Chciał był obruszyć się na to rycerz, ale spojrzawszy na goliarda, machnął tylko ręką wzgardliwie.

„Bliżsi nam przedsię będą zawsze ci, którzy z nami naszym sercem żyją - a nie klerki, nie poety.”

„Doznaję tego w życiu swym.”

I poszli dalej w milczeniu.

Tęskliwcowi każda, by najdrobniejsza, gorycz chwili a niepewność siebie samego zwraca niechybnie myśli ku kobiecie. Wróciła tedy na niego ta fala tęsknoty i objęła całkiem. Aż go z tego otępienia goliard pociąganiem za płaszcz cucić musiał.

„Panie, panie! - naglił go szeptem - nie krewny, to twój czasami: tamten, po drugiej stronie ulicy? Człek, widzę, zasobny.”

„Chyba nie” - odrzekł jak ze snu, nie obejrzawszy się nawet uważnie za przechodniem onym.

„Chyba!... - podrzeźniał goliard, wielce podrażniony nagle tą niedokładnością. - Chyba’... No, tak czy nie: koniec końców?!”

A spojrzawszy na jego twarz markotną, na ten męt roztęsknionego wejrzenia w próżnię, wpadł oto goliard w ostatnią już pasję:

„Połknij, panie, z miejsca wszystko ziele, jakie ci dał lekarz, i przestań już raz myśleć o kobiecie.”

Lecz on w nagłym napływie gniewu do głowy:

„Powiadaj, co ludzie o niej mówią!” - warknie głucho.

Goliard wzruszał ramionami. „W żonglerowych opowieściach lubowała się niegdyś pani - wie o tym miasto całe.”

„I...?”

„My, igrce, pań świętych nie przysparzamy Kościołowi Bożemu.”

Jak w ciemiu uderzony opuścił rycerz głowę, tym najbardziej dociśnięty, że przed samym sobą upokorzeń. Wbiły mu się oczy w ziemię.

Po chwili te oczy smutne zapatrzyły się jakoś niesamowicie, zaś twarz, dotychczas w gniewie czerwona, stała się nagle szara jak ten mur. „Co z tobą, panie?!”

„Nic to! Nic to! - odpycha go od się jak to zło, by nie następowało na duszę... - Zwidziało mi się już po raz drugi dzisiaj.” „Co takiego, na Boga?!” „Czerwona rękawica króla...”

Tu już goliard przeraził się zupełnie tym ponurym zwidem ostatniego prawa na ziemi. I zakrzętawszy się gorączkowo, odciągał go czym prędzej na rynek między ludzi; bo w tłumie, powiadał, tracą moc wszelką - nie tylko duch człeczcy, ale i duchy zaświata: wszelkie zmory, zwidzenia i przecucia. Na rynku wreszcie, rychlej niżli w ulic pustce, odszukać się da jaki krewny lub powinowaty, za którym wszak oglądają się wciąż po mieście.

Oto idzie wraz naprzeciw nich pan bardzo pysznie przystrojony, o tuszy i minie wielce potężnej; mieszek jak wór kolebie mu się u pasa... Gdybyż to był krewny jaki!

Przytakuje rycerz tym razem. Istotnie familiant to jego bliski, konia mu nawet winien od dawna, ale prosić go o nic nie będzie. „Rycerzem błędnym dawniej był i osiadł - powiada z pogardą dla niego. - I oto jak utył w dostatkach!”

„Na cóż by nam, panie, przydał się tu chudopachołek jaki?” „Nie chcę go znać!”

Goliard machnął ręką w zniechęceniu ostatnim. „Widzę, my w tym mieście pożyczki nie znajdziemy wcale!”

Wydostali się niebawem w ludu zgiełkowość odpustową i śpiewne obwoływania się kupców. Najwięcej jednak gwaru i ścisłu rozbrzeczca się w długim ulu sukiennic.

Tu jakbyś w tęczę wstąpił: mrużą się powieki przed kramów barwistością i weselą oczy. A kupcy znad ław swoich napędzają chęci:

„Piękne czółka, pasy i ciżmy sprzedają! Mieszki, wacki i jałmużnice! Alcbanty dumne na kobiet piersi!”

Skroś tłumy przepędza baba szkapinę objuczoną i zanosi się wołaniem:

„Świece z wosku płomieniste wiozę! Świece! A każda ci nocą jak ta gwiazda betlejemska zapłonie!”

Zgoła tumult wrzasków czyni się naokół. A niech ścienną na chwilę te głosy, rozlegają się pomruki czarnych mnichów:

„Chleba! Dla dominikanów chleba!”

I wtórzają temu dzwonki ich torb.

To rojenie się tłumów nie z popłochu, a w bezpiecznym zażywaniu targów, zaciekawilo oczy goliarda. A niech się w tłumie oczy rozciekawia trochę, wraz i zgiełk pragnień w człeku się budzi, niczym w skupieniu duszy, oraz ta niecierpliwość chęci - jak to w ludzkim roju.

Oto wprost na niego idzie dziewczka strojna; nuruje w rzece ludu jak ta rybka w kolorach godowych. Ledwie ją zoczył, już mu powabniejsza w oczy skacze: strojem głowy wabliwym kolebie się nad falą tłumy niczym ważka ulotna. Bo niedługo się jej napatrzył, już zdmuchnęła - darmo szukać w ciżbie.

Pomykają się w pstrym tłumowisku i mniszki pod włosiennicą i kapturem ni to kupy popiołu ruchome. Drepczą po dwie, po trzy - szarego stada rozbiegane kurki. Ledwo gdzie za grosik łaskawy Pana Boga pochwałą, głuszy je wnet głos kupca zza kramu:

„Atłasy pawio-barwne mam! Jedwabie, szkarłaty i purpury na stroje kobiet pięknych! A która ma skórki tak rozpieszczoną, że i jedwab sam dla niej za gruby, dla tej mam bisior najpie-

ściwszy, tkany przez robaki Salamandry w czeluściach gór ognistych. Ognia ciała przydaje giezłeczko takie - wiedzcie!... Poszukaj sobie każda kogo, ktoć to kupi, a ja sprzedam.”

Z różańców kostką w palcach przepychały się mniszki czym prędzej w dal, by nie zmylić porządku pacierzy.

Mrowi się wokół lud wszelaki. Nierzadko ujrysz człeka z liściem palmowym na baranicy i z muszlami na kołpaku, na znak, że z Ziemi Świętej idzie. Ci chociaż żebrem bogobojnym tu się snują, odbiją przecie od się ciekawość ludzką jak zwierciadła - na towary kramów, jako na dziwy równie zamorskie.

Wystaje przed kramami i mnich bury z licem jakby w omocie ciszy klasztornej.

„Jałmużny! - zawodzi. - Dla braci franciszkanów jałmużny!”

Nie poskąpią datku i kupce. A brata dziękowanie, chocia skromne, ma w sobie refektarza echo i mniszych odczytywań ton. Więc nad zgiełkiem sukiennic rozlegnie się gromko a senie:

„Niech wam stokroć wynagrodzi Pulcheria, cesarzowa święta, i Melania - jałmużnictwa patronki!...”

I kołacze dalej chodakami, podzwania skarbonką kwestarza. „Jałmużny! Dla braci...”

Aż się ocknie na widok obrazu, który kupiec za chorągiew u swego kramu wywiesił: pod wachlarzowym drzewem dźwiga Etiopus białe kły cukru. I zapamiętał się mnich nagle, zaroił o Zamorzu:

„Tam ptaki rajskie śpiewają Alleluja srebrnym chórem! Tam cukier z drzew tryska jak woda z Mojżeszowej skały! Snują się tam Etiopy czarne jak ten mag Baltazar. A dziwokszałtne bestiae ultramarinae, w podobieństwo tronów wędrujących, kołyszają królów majestaty w przepychach złota i purpury!... Wszystko tam jest cudowniejsze, dla bliskości Jezusowego grobu. Pójść w ona Ziemię Świętą! rozszerzyć duszę pobożnością, wypełnić ją światem!...”

Baśni żonglera w piekarni nasłuchiwał się było mnich przypadkiem - i rozkołysał duszę. Towarów po kramach napatrzył się brat - i zatęskni w światy. Światy zwożą w jukach swoich kupce na odpusty; tęsknoty waganatów nagarniają w dusz cisze kupce i żonglery.

Wabiła tymczasem ku sobie obrażna chorągiew coraz to więcej ciekawego ludu. Ni to mirry i kadzideł zawiewem buchały z kramu wonności korzenne: rogoże i wory otwarte ziały żar-kim dechom krain zamorskich. I zwieszał się nad tym okręt zdziałany w kształt maleńki. Wśród worów stał kupiec, białą chustą cały wraz z głową omotany i wyzierający z tej bieli gębą w brąz. Niemym gestem cudzoziemca wskazywał skupniom wszystkie zasoby towarów swoich: kły cukru po jukach, krupy pieprzu w pęcherzach, oliwki, cynamonu szczapy, imbi-ry, aloes limonie i goździki o woni oleistej.

Ale ze wszystkich korzenności najbardziej dla kobiet delectabiles są, wiadomo, rodzyнки. Nasypał tedy kupiec garść onych sobie na dłoń i błysnął okiem: która by ich zakosztować rada.

Wysunęła się naprzód dziewczyna z rozłechtany uśmiezkami licem, pod wiankiem róż na czepeczku białym. I dziobać mu jęły miedzianą łapę te paluszki ledwie wychylone z rękawu cieśni. Białkami wyiskrzyło się nagle ku niej wejrzenie obcego kupca. Głuchym jak u zwierza pomrukiem chwalił sobie Maur dziewczyny urodę.

Lecz jej oczy odkryły oto w tłumie wspaniały płaszcz i strój rycerza przechodzącego opodal z goliardem. Zdziwiona, z rodzyńką nie połkniętą w wargach, zapatrzyła się w strojnego pana z takim zachwytem, że te oczy jej żywe krzyknęły nieomal:

„Lancelot chyba sam?!”

Z piekarni wracała dziewczyna, baśni zonglera nasłuchiwała się tam.

Nagle zatrzepocze się spódnicą szeroką i w wachlarz rozciągnawszy ją po bokach, wionie z szelestem za towarzyszą ujrzaną. Dopieroż się nacieszą, naśmieją, w pogwarkach poprawiając sobie wzajem coś koło tych czepeczków i wianków różanych. Niby to sobą tak się radują, a wszystkie śmiechów gamy, te pogwarki i sekrety, szeptane sobie na ucho, czynią, bezwiednie może, dla rycerza opodal - jak to dziewczęta.

Lecz oto poza sobą usłyszają nagle głos donośny:

„Kamienie najszlachetniejsze z za morza wiozę! Skarbce Trebizondy takich nie mają! Piękniejszych nie widziały sułtanki!”

Furkną do kramu jednym zaszumem, jak gdyby tam proso sypano dla takich ptaków.

Stoi za ławą chłop w aksamitach i w srebrzystym zawoju na głowie. Broda jego, o czarności nad aksamity głębszej, błyska opalami wplecionych w nią pereł. Włochate i tłuste dłonie, splecione na brzuchu, obciążają mu pierścienie na wszystkich palcach. Podejmuje turkusowy naszyjnik, z srebrnych nici zmotany, i tak prawi do dziewczyn:

„Z smagłej to piersi księżniczki saraceńskiej, zmarłej z tęsknoty do chrześcijańskiego rycerza. Papież zaślubić jej nie pozwolił. Przedam, gdy poprosicie, choć dla mieszczek za pyszne to stroje. Mam za to dla was bursztyny w tych misach. Tu zaś korale, z głębi mórz potworom wydarte, w gałach, paciurach i rosochach całych.”

„Gdyby pożyczka już była!...” - westchnął ktoś nagle w tłumie. Obejrzały się na goliarda.

„Ba!...” - odmie się wzgardliwość na usteczkach dziewczyny i frunie, rzekniesz, bańką mydlaną ku górze.

Pogoniły tę bańkę oczy poety, zapatrzyły się w jej tęcze.

„Królom by zamki dla takiej kobiety budować!” Kupiec tymczasem dłoń swą niczym biskup ludziom przed oczy wystawia.

„W onych kamieniach - rzecze - mam poniektóre o mocy tak skutecznej, że nie radzęć nosić, gdy masz chęci mdłe: wielka moc obciąża serce wątłe... Szafir to - mówił dając ludziom na pokaz uklejnocony mały palec swej ręki. - Za morzem przytrafia się, że wraz z rosą z najczystsze go nieba szafir spada: stąd za nadzieję w pierścieniach noszony, truciznom wszystkim sporny, od jadu zawiści ochraniacz. Sardonik zaś ten cielisty kobiety uległymi mi czyni. Ten ci znów jest sardes, tajemnic stróż. Na wskazującym palcu szmaragd mam: najgłębszego blasku nabiera między piersiami kobiety, skąd miłość mężczyzn zbyt pożądlivą zbawiennie chłodzi, a rozpryskuje się sam, gdy kochanek zdradę pełni. Tu zaś jest - kończył postukując uwłoszonym pazurem wielkiego palca - tu zaś jest krwawnik, kamieni król! Dziś już go ziemia wcale nie wydaje; niegdyś przytrafiał się jako diament biały; przetrwały tak poniektóre w rzadkości wielkiej.”

Tu już goliard nie wytrzymał dłużej. I wzięwszy w siebie ton tego kupca, prawił dalej - dziewczynie, do której docisnął się już było tymczasem:

„Inne zaś krwawniki dostąpiły swej barwy królewskiej na piersiach takich jak ty kobiet, kędy się purpurą ich żył zabarwiły chyba? Lub w płomienistych, jak twoje, włosach noszone, takich pań myślami rozgorzały niegdyś? Lub na koniec zdobiacz takie jak twoje palce, czyniły z onych rąk kobiecych płomieniste różgi miłowania i zazdrości. W takich rękach i kamień najtwardszy, a przezczysty jak diament, przekrwawiłby się chyba i rozgorzał na rubin!... Użala się przecie tą biada prorok Ezechiel sam: Dałem manele na ręce twoje, a łańcuch koło szyje twojej i wieniec klejnotny na głowę twoją. I ozdobiłem się złotem i srebrem, i oblokłem cię w bisior i w szatę wzorzystą, i w rozmaite farby...”

A mówiąc to, czynił goliard mimo woli takie ruchy rękoma, jak gdyby w te drogocенności wszystkie przeoblekał ją oto - w wielkiej szcudroблиwości poety.

„Ba...!” - przysło, niby druga bańka mydlana, na wzdętych usteczkach dziewczyny.

Goliard tymczasem, jak gdyby już ją przystroiwszy, ramiona na piersi krzyżował i w tył się nieco odchyłał dla przyjrzenia się uklejnoceniu temu.

„I stałaś się piękną bardzo wielce - byłaś doskonała w ozdobności mojej!...”

„Baa.!” - uderzyła ku górze trzecia bańka mydlana - nie wzgardliwie przecie tym razem, lecz w smęcie, lecz w żalu...

On zaś przychyłał się do jej ucha:

„A ufając piękności twojej... wystawiałaś się każdemu mijającemu... - przepowiada prorok nawet sam! - Takie to z klejnotów wasze szczęście i niedola nasza.”

Niepokój roziskrzył się w wymownych oczach dziewczyny: „Niesamowity człek jakiś!” Alić druga w bok ją trącała; skrzyżowały ze sobą pytające spojrzenia i - dziewczęta bystre - odgadły wraz wszystko. Jedna za szyję towarzyszę objęła, przychylają do się główki w tych czepeczkach ukwieconych, proszą przymilnym wyciąganiem szyi... by wędrowny poeta prawil im dalej - o krwawniku, o rubinie!

Ale kupiec tymczasem skończywszy swoje, zachęcał pośpiesznie do targów.

Na czerwonych twarzach żonek mieszczzańskich wyszklily się rumieńce próżności, a w oczach aż łzawię rozbłysła chciwość. Każda zdała się sobie duchem aż nazbyt krzepka, byle tylko to złoto, to srebro, te drogocенności klejnotów - mieć a mieć!...

Goliard inaczej rozumiał - za dziewczęta - klejnotowe szczęście kobiet, nie wiedząc już nawet, że głośno wypowiada te odczucia swe za nie:

„Byle tylko to łaskotanie czarodziejskich mocy życia na młodym i prężnym ciele czuć!... A w te skry i ognie klejnotów na nie osłoniętych powabach strojna, stanąć w nagości jawnej przed króla samego obliczem: jak ta Sara nieplodna przed Abimelechem, jak Bethsabee przed Dawidem!...”

Pierwszym odruchem trwożnego instynktu cofnęły się o krok dziewczęta. Lecz zaokrągliły im się oto oczy, oddech stal się krótki i rozchyłał im usta na te dziwy... jak to wędrowny poeta prawi im snadź dalej - o krwawniku, o rubinie!...

A goliardowi zdało się, że to dwa krzewy różane w powojowym splocie wychylają ku niemu swe rozkwieczone główki. Tak róże pod rosy owiewem piękniejsze się stają, jakby w zadumaniu swej krasy - nad własnych woni i barw dostałością.

Nad tym bodaj zadumały się w tej chwili dziewczęta.

Prawdę powiadał poeta! Ileż to razy, przynosząc z grodu tyle oczu ludzkich zachwyty, roiły nad tym, by księcia lub króla zachwytem o władnąć: miłość, skarby i dzierżstwo razem wziąć - jak tamte panie z Pisma. Lub bodaj co dzień w tryumfach je zdobywać - jak pani Aspazja, jak pani Tais, o których prawią opowieści mówione.

Świata i życia wielkie obietnice wabią ze wszystkich kramów na odpuszcie. Użycia tęsknicie nagarniają w dusz cizze kupce i poety.

Mieszczanie tymczasem chmurzyli się u kramów spozierając spode łba na uklejnocone pazury obcego człeka, czy tu aby duszy swej w niebezpieczeństwo nie wiodą. Aliści już ich sidłały żony, uwisając u ramion i trzosów. Wszczywały się tedy targi. A choć się rzecz przez mężczyzn w powadze czyniła, chichotały kobiety - nie radością przecie, nie życia ochoczością nawet, lecz chciwości samej podłechtaniem.

Gdy w te szwargoty targów u kramu uderzy nagle bas organowy:

„Chle-ba!... Dla dominikanów chleba!...”

Daremnie klekotał naprzykrzony dzwonek torby, daremnie mnich czekał, zebrał i Pana Boga chwalił. Wreszcie, zgorszony ludzi skapstwem, łokciami przepchał się do kramu. Przyjrząwszy się bacznie kupcowi, gorszy się jeszcze bardziej i ramieniem a palcem sprężonym, ni to włócznią, wprost w jego oczy mierzy.

„A rańtuch twój żółty z ramion - gdzie?!... Myślisz, nie poznając ludzkie, coś za jeden, po grzechów twoich smrodzie, lewito?!... Włochatymi łapami w klejnotach czarować tu przyszedłeś chrześcijan jak ropuchami?!...”

Zadarł mnich głowę do góry, poziomo wystawia się ta jego broda miedziana u szyi.

„Cieszcie się, diabłowie, którzy nad tym kramem unosicie się chmarą! Babilonia się czyni. Nie nakarmiliście, diabły, grzechu kobiecego miodem i patoką wszystką, nie nasyciliście żarłoczności jego wszeteczeństwem i brzydlivością ziemi, owo kamienie klejnotne łykać mu dajecie, aby się zatwardziły serca kobiet, a razem serca mężów i miłośników ich... HUU! jak się cieszą diabły, jak płasają kołem, szczepiwszy się ogonami!...”

Nie baczę nawet, nad czyją to głową najrażniej wyskakują - mówił wodząc surowym okiem po ludziach i zatrzymując mimo woli spojrzenie na onej dziewczynie z wiankiem róż u czepca. - Nie baczę, nad czyją to głową... - powtarzały mu się słowa, zmylone jej urodą... - Nie baczę wcale! Ale temu może na dzisiejszą jeszcze noc śmierć się tym znakiem wróży. Nie mam zmiłowania! Niech idzie, niech idzie na sąd ostateczny ze szkaradą skapstwa swego na ziemi i tym najczarniejszym grzechem Babilonu, którym i diabeł niejednego paskudzić się nie raczy... A owoż to! owoż wam, kobiety, za poły mnie teraz targać i szczypać w ramiona: jaki grzech to? jakie jego nazwanie? Wam i do skruchy przez ciekawość! Wam i do nieba przez nią droga! Wam i lęk piekła jeszcze ciekawością z oczu płacze! Nie powiem. Nie nazwę. Abych cnych nad waszymi głowami nie ucieszył zanadto. Odstąpiecie! Satis, skończyłem, amen... Chle-ba! - dla dominikanów chleba!” Sćmiły się kobietom rozblaski cudownych kamieni: nazbyt gburnie zgasił im je mnich. A i królewskie w rojeniach nałożnice, księżne panie, dumne w klejnotów tęcze, stały oto za służki skomliwe, głaszczące z lękiem rękawy zagniewanego mnicha. Opodal tymczasem innym niepokojem zaroily się tłumy: za chłopcem kościelnym wstępował oto w sukiennice śmierci obwoływacz. Kroczył wolno, posuwał się ni to słup czarny, a spod czarnej larwy, rozciętej przed licem w ramiona krzyża, obwieszczal swe codzienne wieści krucze. Pobrząkiwał przed nim raz po raz cichy dzwonek śmierci. Szła ta zmora w najgęstsze cizby ludzkie tym niesamowitym spokojem kroku, który i mury chyba przeniknie. I obwołuje się głucho:

„Ja, Radocha, grzesznica, ludziom nazbyt miła, zmarłam tej nocy w przepychu i bogactwie spróśnym, w całego dobytku Kościołowi darowaniu, a w grzechów nie odpokutowanych żalu. Wymódlcie duszę z czyścowej udręki, wyzwólcie jałmużną! O grosz zebrzę, o pacierz proszę!”

Podstawiał chłopiec swą torbę jałmużniczą, uderzał w dzwonek i wiódł dalej śmierci obwoływacza. Z ciszy, jaką zostawiali za sobą, zrywało się za nimi gromadne szeptanie pacierza jak wiatru zaszumienie.

Oto tuż u kramu klejnotów jęknie po raz wtóry zza kiru śmierci:

„Wymódlcie duszę z czyścowej udręki, wyzwólcie jałmużną!”

Ale dominikanin uprzedził kościelnego chłopca i swoją tu torbę podsunąwszy, czym prędzej w nią zgarnął datki pobożne.

Bo z rąk kobiet u kramu opadały teraz same zakupione naszyjniki, pierścienie, manele i kamieniami zdobne opaski biodrowe. Za tę żon jałmużnę, nazbyt już szczodłą dla duszy w czyśc-
cu tak lichej, a rzuconą na domiar nie do właściwej torby, otrzymałby mnich niejeden przy-
datek mężowskiego kułaka - gdyby nie nagle zatrzepotanie się tamtej dziewczyny z wiankiem
róż na czepcu.

„Ja nie chcę tej nocy umierać!” - wybuchnie przeraźliwym płaczem.

Już nie modre źrenice, a białka same przelewają się w jej oczach. Za chwilę coś tęży jej piersi
poczyna, a zło jakieś miąć i wykrzywiać twarz we łzach i pocie całą. Zdarł się czepiec z wian-
kiem róż, dziko wywichrzył się spod niego włos płomienisty. A ręce tak się miotać i siepać na
wsze strony jęły, że pękają oto w podłuż wąskie rękawy, obnażając całą cielistość ramion.

Nagle oprzytomnieje zaszlochem rzewnym jak przy matce. I rzuci się mnichowi do nóg.

„Diabłów przepędź, ojczyźnie kaznodziejo!... Przepędź szatanów znad głowy!”

Piskiem trwogi okrzykną się mieszczki u kramu i rozpierzchną się, rozfruną na wsze strony,
niczym gdy jastrząb na stado złata.

„Ja chcę żyć! - łka dziewczyna płaczem, który i śmierć samą wzruszyć by zdołał. - Żyć!...”

Tkliwymi rączkami zatula bosą w łapiu stopę mnicha. Żyć!...”

Sięgnął mnich do swej kieszeni przepaścistej po dzwonek świętego Antoniego na złych du-
chów przepłaszanie i odzwania długo na wsze strony powalę sukiennic.

Po czym dźwignie dziewczynę znad swej stopy, uspokoi, życie i szczęście przyobieca. Cze-
peczek każe podjąć z wianuszkim. I powlecze ją za sobą, bardziej teraz miedzianą brodą
podzwaniając niżli torbą kwestarza.

„Bodajes!” - sklął go w myślach niejeden z przyczyny onych ramion dziewczki, osobliwie gład-
kich.

Szybko iszczą się zazwyczaj marzenia kobiet pięknych. Oto klejnotami z torby mnich ją pew-
nie przystroi za sułtankę. Od stóp do głowy przyozdobi dla się jej ciało jak ten Abimelech Sarę
niepłodną. Przysposobił jej duszę ku temu poeta. Goliard zdał się jak ta kokosz, gdy jej kania
piskłę spod skrzydła nieomal porwie. Wówczas kura łeb jakoś bokiem przechyla, jednym okiem
wyzierając ku górze - żalosna bardzo w tej desperacji swojej z ciekawością razem.

A rycerz natrząsa się oto nad nim pełnym pogardy kiwaniem głowy. W roztargnieniu chwili
nie pojmował goliard, co właściwie wyrzucają mu tak ponuro. A przypominając ledwie przez
pół wszystko, co przedtem było, domyśla się, że to pewnie napomnienie za opieszałość
w przedsięwzięciach wyższych. I surowe wezwanie do graalowego szukania. „Już idę!” Za-
wijał się szczerze w płaszcz.

* * *

Lecz oto w sukiennicach mieszają się znów tłumy i cichną zgiełki: z dala słyszeć się dają
kołatki trędowatych.

Kupą ciągnie ćma zarazy. Grzechocze kołatkami, jak trzeba, postukuje w swe misy cynowe
i wlecze się w pełganiach kalekich. Jeden oto wśród nich, zwawszego snadź ducha, podrywa
się na kostyrach swoich, skacze jak ta żaba, trzepocze pstrymi łachmanami. I do kobiet się
wyszczorza. Takie to życie mocne w niejednym człeku.

Rzucał im, kto dobry, jaki ochłap na drogę: niech podejmą, gdy się zwloką - a sam umykał czym prędzej przed srogim ich fetorem i widoku obrzydliwością. Opustoszały sukiennice.

Na miejscu pozostał rycerz tylko. Uczynił to z nawyku godności, spornej popłochom gromady. Z odrazą jednak spoglądał na te karki ku ziemi dogięte, na łby owrzodzone i zaszele szpetniejszą jeszcze bielą zagojeń. A od pysznego płaszczka rycerza wionęły w one łby jakoweś mętne wyobrażenia rozkoszy: odgadywały one półzwierze, że tak się panowie przyoblekają do kobiet. I zagziła się do życia płochoci ponura czereda potępionych, chwytając się pazurami płaszczka zalotnika. Rzekłbyś, ta szatanów chmara, zażegnwana przez dominikanina, opadła oto na ziemię, rzuca się na swój żer grzechu, obtańcowuje go kołem wyjców.

Wyrwał jednemu z nich kij spod pachy, oczyścił miejsce przed sobą, rozszerzył koło tych diabłów. A oni otaczają go z dala jak te szakale. Na niejednym czubie płonie mycka czerwona, a z rozognionej rany pyska szczerzą się zębiska żółte chichotem uragliwym. Wyciągają ku niemu kostyry swoje ni to widły piekiel. Przypomniał słowa dominikanina sprzed kramu: komu to, dziś może jeszcze, śmierć się tym znakiem wróży?

I w otrząsieniu nagłym przysłonił oburącz twarz przed trzecim już dziś zwidem czerwonej rękawicy króla...

Wśród trędowatych zakotłowało się tymczasem. Co raźniejszy wyskakiwał z gromady na drągach swoich. „Brat!... Braciszek!” - dało się słyszeć z gęby niejednej, której zaraza mowy jeszcze nie odjęła.

Wstąpił brat franciszkanin między te kaleki i rozstawił nad nimi skrzydła habitu.

„Srodze was Pan Bóg pokarał za grzechy wasze, bracia trądem zdjęci.”

A oni nuże łasić mu się pod ramiona i skomleć za jałmużną litościwego dotknięcia, a bardziej jeszcze za onym kęsem miłosierdzia, jaki jest w dobrym słowie człeczyna. Więc rzecze im:

„Baczcież, mili, jakżeście to wy stokrotnie szczęśliwsi od Hioba starozakonnego, który zapalczywości gniewu Pańskiego lamentem się jeno obwoływał z barłogu beznadziei żydowskiej. Dla wasze to, chrześcijany! Bóg syna swego na mękę dał, więc i na wasze, pomnijcie! uleczenie: aby się szczęśliwość jak morze rozlała, gdy się pokuta dopełni.”

Dźwigać się jęły ku górze te karki doziemne. I ta pełgaczy chmara, niczym szarańcza za żerem nieustannie podrywna, sprężyć poczyna szyje ku wejrzeniu górnemu, by chociaż raz oderwać oczy od ochłapów na śmietniskach.

Takie jest dobrego słowa miłosierdzie.

I garną się z wdzięcznością pod ramiona braciszka tulą się do habitu jego. Dotyka brat dłonią białą te pełne wrzodów i jam oblicza.

„W obrzydłości pogrążeni, wskrześnicie z uśmiechem młodzieńców, a między chóry anielskie powiodą was za ręce najpiękniejsze panie!...”

Zatliwszy tak rojeń płomyki po duszach jak piekło ciemnych, aby płomień wiary w nich rozgorzał, przysłoni brat twarz swoją. I wymadla w dłonie on żal przed Przenajświętszą Panną na niepohamowanie gniewu Pańskiego, który smutkiem, nędzą, cierpieniem i wielkimi szkody ciała kara wciąż i wciąż!...

Udzielił się jakby ten smęt i rycerzowi stojącemu opodal. Owiał duszę tak mocno, że zdmuchnął mu w myślach nawet grozę miecza zawisłego nad nim. I oto zadumał się, już nie nad swoją, lecz nad człeczą dolą.

Napatrzył się w sukiennicach doznań pospółstwa i rozważył, że wszystko to razem byłoby jeno gnuśnymi targi i przetargi mieszczan, gdyby przypadek nie wwiódł między tłumy - ot, jakie-

gość tam gładkiego lica pod róż wiankiem i wesołych oczu młodości dziewczęcej. I przybyło rojeniu się tu ludzkiemu gdyby skrzydeł lekkości, na których zakolebała się ludzkom jakby ochota sama i radość życia serdeczna! Motyl jasnobarwny, rzekniesz - Psychy wysłannik, powiadają goliardy - zatrzepotał tu nad gnuśnymi głowami. I spalił się ćmą u pokusy pierwszego kramu... A z doli człecznych wyjrzały, jak te ohydne maskary smutku: grzechów lęki, diabły, kar doczesnych pogrozy, trądy i śmierć sama.

Oto wychyliwszy się z za węgła następuje wprost na niego ten ruchomy słup kiru. I kracze swoje spod krzyżowej larwy:

Wymódlcie duszę z czyścowej udręki, wyzwólcie jałmużną.”

Łokciem i kułakiem odepchnie rycerz od się śmierć nałożącą nań tak niecierpliwie.

Jest dosyć dziadów pod kościoła progiem, by omadlały grzechy nasze młode! Dosyć diabłów cupi na kościoła zrębach, by straszyły sumienia stare! Takiego dziada i diabła takiego za cały kościół w piersiach mieć - kobiet to rzecz... Więc ci pacierza nie dam - jałmużną raczę.”

I stargnął z ramion płaszcz swój drogocenny, mnie go w gniewnych rękach.

„Bacz, dajęć tę jałmużnę za dusze wszystkich grzesznic, ludziom nazbyt miłych - za to przydawanie życiu skrzydeł lekkości! za ich wolne z świata smętem!”

Chciwie chwyta śmierć w szpony swoje bodaj płaszcz jego tymczasem.

Daremnie pan szczodry płaszcz zbył, daremnie grzechem myśli grzechy cudzych czynów salwował, daremnie życie człecz przed grzechem, diabłem, trądem i śmiercią sobą rycersko zastawiał - własne serce tylko dołą człeczą obciążył.

Jak opodał ten rycerz błędny drugi, szukający już tylko w sercu swoim Graala - jak brat franciszkanin wśród trędowatych.

W zadumie nad dołą człeczą owiało ich obu onym czyścem ducha: acedią, która jak dymami kadzideł pogrzebnych i kirem żaloby przysłania nam świat cały,

Huczą ulice wciąż. Zewsząd rozgiełk się niesie, jakby całe to miasto żyło jeno targiem nieustającym. Gromadami szpaków obwołują kupcy wciąż jedno, kołem. A gdy się w tych pokrzykach zwadzą, naszczekują na się jak te psy zza kramów. Krzyczą lekarze spod kościołów o ziół swoich mocy skutecznej; krzyczą cyruliki spod swego znaku nogi obciętej, zachwalają swe cęgi i noże; krzyczą klasztory prośbami kwestarzy; krzyczy Kościół obwoływaczami śmierci lub głosem zakrystianów w świat następnych obwieszczaniu.

Niczym na bitwie skłębiają się ludzkie tłumowiska - „Pojrzyjcie!” a „Kupujcie!” - pod to hasło:

„Pieniądze”, które rzuca raz po raz mieniacz z nad ławy swojej. Zasię pod gołą ścianę kościółka znoszą, rzekniesz, rannych bitwy onej - tam pod ręką lekarza ten krzyk: „Ratunku!” bełkoce w ślinie i łzach ludzkich. Gdy opodał szumią pstrocizny szmatek niewieścich, wlokąc za sobą niejednych piersi zadławiony spazm: „Miłowania!...” A wśród zamętów tej bitwy dnia powszedniego snuje się czarny obwoływacz śmierci z ostatnim krzykiem powalonych na zawsze: „Pacierza!...”

Tak to w mieście! Temu uczy przesyła i rzyganie w nadmiarach, temu śmierć pod jego progiem głodowa; temu śmiechy, radość i nadzieja, temu klątwy, rozpacz i głową o mur bicie; temu rozkosz w całowaniach pod ciche pieścoty kochanki, temu ostatniego pacierza szepkanie pod wiatyku cichy dzwonek - a wszystkim zarówno jeden lęk a groza przed ona skoczka kościana, która każdego z kolei poprosi w swój taniec śmierci.

Ozwały się dzwony kościoła i rozpylają jak gdyby popioły w przedwieczornej porze smęt:

„Nie karz nas, Panie, wedle win naszych, lecz wedle wielkiego miłosierdzia Twego!”

Nad ulic gwary i dzwony kościoła uderzą nagle mosiężne łoskoty - pospólstwu na baczenie. Słowo się wieścić ma!

Jak w kotły biją łomoty tonów i biegną hen, w powietrzne dale; tam „gonionego” w pędzie grają; lecą wici skrzydlate...

Wraca echo powietrznych jeźdźców rysią; muzyka drży w ten cwał, tupotem surmy huczy z gardzieli trąb - aż tych rytmów Wysokim zakrzykiem nie rozhejnali się pobudki zew: „Woła król!... woła król!... woła król!...”

Na kościoła progach stał - sam za chorągiew na wietrze łopotliwą - chłop w czerwieniach szerokich, z kitą u kraśnej czapy. Uchorągwną trąbkę obejmuje od gęby jeszcze wzdętej i rozstawia przed swe oczy pismo.

Scichły dzwony na kościele. Ciągną zewsząd zszeptane mrowia. A herolda głos donośny uderza królewskim słowem na rynek cały, dudni pod stropem sukiennic!...

„Wiadomo czynimy!...”

I zważyć nade wszystko każdemu rozkazujemy, że kto z dzielnych wierności sobie nie docho-
wa, zacną chwałę u ludzi w pogardę odmieni i odwróci się odeń najcierpliwsza Łaska Boża.

Słuchajcie!... Setnik Naszej straży grodzkiej, w służbie Nam i grodowi dzielnie wierny, samemu sobie zdrajca nędzny, wdarłszy się nocą na Nasz zamek królewski dziewicy Naszej dwornej rapt zadał, a dla onej sromoty zatajenia rycerza Naszego komornego w zwadzie mieczem na zamku przybił. Zwiększa gniewu i kary miarę pohańbiona oręża dostojność. Nakazujemy tedy: gdziekolwiek on zbrodzień będzie pojman, miecz nad nim złamać, zbroję i przyodzievek zedrzyć i w nagości stworzenia mistrzowi oddać. A ma być tak: w pręgierzu na rynku przez ludzi pohańbion, na kole łaman, po ręk odjęciu końmi na pal wwołczon, spalony ma być za żywa na zwykłym miejscu kaźni.

Niech Bóg ma w swojej pieczy cnotliwych mieszkańców dobrego grodu Naszego. Amen.”

Na wtórne amen skołysały się tłumy w westchnieniach.

Wówczas herold przybił do muru kościoła pismo z pieczęcią uwisłą i przytwierdził nad nim czerwoną rękawicę króla.

Pośrodku opustoszałych sukiennic zwałił się tymczasem ktoś na klęczki. „Odpuść nam winy nasze!” - jęknął w nim wraz z tym przypadem do ziemi. Ciemię wygolone, szyja po bary widna i biały sznur w trzy węzły oznaczały brata franciszkanina. Trędowaci, spłoszeni trąby łoskotem, zbili się wokół niego w stado owiec.

Tuż za nimi, jakby w ziemię z przerażenia wrosły, stał rycerz sam.

Gdy nad głową jego przelatywało pobudką zawołanie królewskie, otrząsł z siebie natychmiast brzemień melancholii; sprężył się w sobie, samych mięśni nagłym ubojowaniem, gotów wraz do porwania się na schwał - dla grodu i króla. Lecz gdy słowa herolda rozlegać się potem jęły, jakby błyskawica i grom razem rozdarły nad nim czeluście przerażeń. I oślepiły, zagłuszyły człeka odrętwieniem hańby.

„Tę zelżywość nikczemną o jakowejś tam dworce diabeł chyba spłodził, by króla łoże przed ludźmi osłonić. Za rapt dziewczynie zadany karze prawo zamknięciem w chlewie i karmieniem z wieprzami: oto między jakie sromotniki domieszano mnie! Już mnie tam, na rynku, wystawiono pod pręgierz, zanim zbiry pochwyć zdołały.

Dają tam miłość nawet moją na tak żalosne pośmiewisko wśród towarzyszy samych! Któż bo z rycerzy w pannie się kocha?! Ku czemu tu duszę przyłożyć? i o co? Gburów to najbardziej

nieoświeconych afekty, mieszczan i Żydów rzecz łąsić się na mdłe miody dziewictwa. Najżałośniejszy tylko z rycerzy, który żadnej mężatce spodobać się nie potrafi przyłasza się na ten koniec do panien. Kiedyż to żongler jaki romans o pannie opowiadał? lub opiewa ją trubadur jaki?... Więc i miecz mój nawet ośmieszyli, że się w onej zwadzie na zamku podjął - o pannę, powiadają!

Ale mojej prawdzie język i przed kaźnią już pono wydarto, bo wszak sama pani to była, w osobie własnej! Więc tylko wasza łez o tej dworce głosić się będzie, kabał dworskich stroiciele! Hańbę i pośmiewisko zgotowaliście mi i przed pręgierzem samym! Zasię mnie milczenie już pono pozostaje tylko - i pod mistrza łapą na kole.”

Na myśl o nim zimny pot wystąpił mu na czoło za ciernie tej męki największej - bo zawczas wyobrażanej. Przeżywał tedy marzyciel kaźń swoją w najokrutniejszych dla się barwach szczegółów wszystkich. I to jest darem Muz. Poetą najokrutniejszych dla się bolesności staje się człek w godzinę ponurych przewidywań.

Więc choć wolny jeszcze, i tu w sukiennicach opodal mnicha stojący, już czuł się w łapach mistrza na zwykłym miejscu kaźni - już kolec pala wbija mu się od tyłu w trzewia...

„Pacierz mów!” - krzyknie przed nim jakowyś szept żarliwy.

Mnich, klęczący opodal, wymachuje ku niemu w pośpiechu gwałtownym ni ten człek z ładu, który deskę tonącemu rzuciwszy nawołuje znakami do chwytania się za nią. Alić topielcowa wręcz groza w tamtych oczach udzieliła się wejrzeniem i zakonnikowi. Ukrył twarz w dłoniach.

„Jakże ty będziesz mógł, bracie mistrzu, to biedne ciało człeczce, przez Pana Boga stworzone?... O, nie mogę pomyśleć!... Oo! zmiłowania, łaski dla brata zbrodniarza!...”

A ta groza wejrzenia pociągała jakby niesamowicie jego oczy, bo raz po raz wyzierał spod dłoni, na tym większe za każdym razem otrząsy. Nagle zerwie się z kolan, pochwyci obie ręce rycerza i do piersi je sobie przyciska: z piersi w pierś człeczczą powiedzieć coś pragnie. I spłonął brat tymi słowy:

„Niemocen jestem wziąć na się twej męki na zwykłym miejscu kaźni - ale duszę twą piekłu wydrzeć mogę, by bodaj w czyścicu nie traciła nadziei... Gdy ci czasu na pokutę nie dano, gdy dla twej duszy już tylko piekiel beznadzieja - przerzuć, bracie zbrodniu, grzech twój śmiertelny na moje barki zakonnika, w żarliwość moich pacierzy! w moje serce mnisze!...”

Węgiel rozżarzony chyba podał mu w usta rycerz w gwałtownym pocałunku warg swoich.

Bo żar jakowyś warem krwi rycerskiej rozlewać się wraz począł mnichowi po żyłach.

Więc imał się czym prędzej pacierzy.

Ludzie, z rynku nagarnęli się było tymczasem do sukiennic; wśród nich wielu panów, coś groźnie pomrukujących na króla. Z korzennego kramu wyskoczą nagle dwaj rycerze z białą chustą Maura jak z żaglem w rękach. I w jednej chwili ta chusta znalazła się na skazanym, zatulając i głowę jego. Postacią Maura uprowadzają go ze sobą ci ratownicy. Familia to snadź była, bo świadcząc mu tę pomoc w ostatnim docisku losu, czyni to jednak z uragowiskiem - jak to w rodzinie.

„Panny mu się zachciało! Ojcowiznę całą przepaskudził na te Muzy i żonglery, na włóczęgi tęskliwe, na błędne rycerstwa i graalowe szukanie... Wszystkich królów ziemi na to zjeździł, by się złąkomić na koniec na fartuszek i wianuszek grodzki... Panny! - Już i kułak niejednego familianta wbija mu tę wymówkę pod zebro. - Żenić może się chciałeś? I sameś poszedł sobie za swata nocą do jej alkierza? Miodu w woszczyne jeszcze rozmazistej, a i z pszczoła-

mi do pyska - zachciało się niedźwiedziowi!... A teraz tylko srom i hańba familii całej... Ruszaj, ruszajże się prędzej, by cię ni gród, ni ziemia więcej nie oglądały!”

Z twardym zaciskiem szczęk i bledszy od tej chusty ratowniczej stąpał rycerz pod wymówkami familii. Nie wyda tajemnicy swej pani.

Mnich tym żarliwiej się modlił, że on nagły war w żyłach jął mu zapalać i w duszy dziwne obrazy, a mącić nimi pacierze. Na słowach „odpuść nam...” zatrzymały mu się myśli i rozłożyły ramiona przed kramami:

„Odpustową to wszak porą wabią z kramów i po piekarniach wszystkie ponęty świeckie?!... Prawdziwie mówię, Boże, nie wódź! nie wódź! nie wódź nas na pokuszenie przez kupce i żonglery!...”

Niebawem tłum kobiet zebrał się nad nim i zachwycił cudownym darem łez u brata. Nie dały mu spokoju niewiasty: podjęły z kolan i nuże głaskać po rękawach, by z onego daru przemówił do nich. Daremnie się mnich wypraszał, lichotą słowa franciszkańskiego zasłaniał, do wymowniejszych dominikanów odsyłał; przemogły, jak zazwyczaj, kobiet upór i ciekawość. I zniewoliły brata.

Podjął powieki ciężkie, wyjrzał ku nim jakby z omotu ciszy klasztornej. A te oczy smutkiem nasiąkłe, ta bezradność młoda w wejrzeniu tej twarzy na gołej szyi franciszkanina - któremu i ta szyja owo sama wyciągała się jakby z cisz wszystkich ku życiu - ten smęt, ta żałość, te ciężkie od rojeń rzęsy dziwnym wyrzutem spoglądały na kobiety. Aż się markotnie uczyniło im wszystkim. A on kiwa nad nimi głową, wymawia im coś z serca, natrzasa się nad nimi gorzkością milczenia swego. Wreszcie dobył z piersi wyrzut takiego żalu, że się pod tym głosem samym otrząsała niejedna kobieta, zatulając mocniej w swą chustę.

„A stworzył was przecie Pan Bóg ku uzacnieniu miłością rodzaju ludzkiego!... Ku temu łaską Bożą stworzone, czymżeście się stały rodzajowi ludzkiemu?!...”

Westchną chórem sapliwym.

A po długiej znów ciszy postrzegając, że franciszkanin niewymowny nic już im dzisiaj więcej nie Powie, westchną tym głębiej na amen. Najmłodsza zasię z nich, jeszcze dziecko prawie, już widzieć poczyna w myślach męki rycerza na kole; a bladość zgoła niedobra, na wargach sina, mdliła wątłe siły dziewczęce. I wybuchła nagle płaczem dziewczyna taka. Za nią inne. A i starsze kobiety poderwały nagle fartuchy do oczu. Spłynął dar łez z pokutnego brata na wszystkie kobiety. Proszą, by je wiódł przodem w kościoła progi, kędy wzywał dzwon.

Za tym zapłakany korowodem ruszyły chmarą sukiennice całe.

Po obwieszczeniu królewskiego wyroku coraz to bardziej ponure tchnienie krążyć jęło po mieście w powolnym przycichaniu targów. Kupować nikt nie chciał towarów; bajaniem kupców wszyscy nagle wierzyć przestali; najbardziej pstre kramy już nie pociągały. Pustkami stały sukiennice. Wraz z ciężkimi dymami przedwieczera osmętnica zasnuwała domy; ludzie przed bramami dziwne opowiadali sobie rzeczy - jak to z wieczora. Niedobra rzecz wróży się miastu, które dzielnego strażnika i obrońcę swego hańbić ma na rynku. Bardzo rzecz się wróży niedobra! Rzekniesz, na odpust dzisiejszy przyszedł ze świata arcysędziwiec on siwobrody, złych wróżb roznosiciel, a klęsk tajemniczy zwiastun: Kartafilus sam - Żyd, wieczny tułacz. Trafiali się i tacy w zaszeptanych gromadach, którzy już go spotykali po zaułkach.

Wszelaki bo naród zza murów ściągnął na odpust dzisiejszy.

Który zaś z grodzian natury pogodniejszej i smoka nadzieją zwalczał, ten powiadał, że nie wiadomo, na co się wyrok królewski obróci, że na gniew króla jest gniew inny, rycerski - trzymają ze sobą pany. A obcych rycerzy, których nikt nie zna, pełno dziś w mieście.

Tu się namieszały gawędy, pewnie z piekarni rodem, i poszły słuchem między ludzi ciemnych, którzy nigdy romansu nie słyszeli w życiu. Nie każda bo z kobiet i powieść nawet zrozumie, choć wszystkie o niej gęsto rozprawiać zwykłe. Tedy jedne opowiedziały coś drugim, inne coś do tego zmyśliły, tamte znów zaniepokoiły się bardzo, bowiem rzecz całą usłyszały o zmroku w ciemnym gdzieś kącie izby... I tak oto zrodziła się plotka: że na odpuszcie dzisiejszym bawią, nikomu nie znani - Lancelot najwaleczniejszy i Parsifal sam!...

Coś tu dziś będzie... Coś się w mieście stanie...” - szeptano do się na rogach ulic.

Zamożnością ustatecznieni mieszczanie, wiadomo, nigdy niczemu nie wierzą - osobliwie, by coś jutro miało być inaczej, niż było wczoraj. Ich gniewały tylko gawędy gołoty wszelkiej. A nade wszystko to ich tłoczenie się teraz oto za mnichem i nawoływanie do się miasta całego. Więc po długich odymaniach się, ledwie na zamknięcie pochodu przyłączyć się liczyli do procesji, wszczętej bez księży i chorągwi, a nade wszystko tak bez ładu i poszanowania miejskich godności.

Oto w szerokich swych strojach pobożnie, pod czarnymi rańtuchy stąpają matrony. Rozchwiane kaczym krokiem powagi, prawią między sobą o wyroku królewskim, kokoszą się cnotą i rezonem, temu osobliwie rade, że przysmałać mistrz będzie diabelskiego syna jak tę kielbasę na patyku!

Za matronami postępują młode niewiasty: odświętnie, w jubkach baniastych i tak suto pod pierśią wypiętych, że się każda jak brzemienna zdała. Te paluszki, ledwie wychylone z rękawów ciasnych, splatając na onej fałdzie szaty, kroczą sztywno, układnie i zszeptują się między sobą o skazanym rycerzu w smęcie i wzgardliwości zarazem:

„I patrzcież: gdzie się przypyta!... Za jabłka świeże w grodzie jaki orzech suchy na zamku wolał!... Wiadomo, jadu pełne są te stare skorupy cnoty. Powiadała, że panną chce zostać! dla nieświętości stanu małżeńskiego, mówiła! A przecie aż dwóch przyłasiła ku sobie! aby się tam zabijali pod jej progiem... Ludzie wy dobrzy, oczamiż oni panowie na nią, suchą wierzbę, patrzyli - czy czym?!...”

Za córami kroczą ojcowie: osoby znaczne, o twarzach nosatych jak te stare kruki - z włosiem tłusto zaczesanym na szyje: gwoli krukowego przetrwania wszelakiej doli miejskiej. Posuwają się ciężko pod sobolowymi szubami, futrzane czapy w rękach niosą splatając na nich upierścienione palce. Idą rzekniesz, nie do kościoła, lecz na ławy radzieckie na roków sprawowanie, bo przystają raz po raz w rozprawach - brzuchami do się. Radzą - by któremu z rycerzy dać na zratowanie setnika, ile zechce; niech go sobie w klasztorze jakim przechowają tymczasem, póki prawo nazbyt świeże i parzy za dotknięciem. Gdy prawo nieco wystygnie, będzie można setnika wyprawić jakoś z grodu. Gdyby zaś nie chciał opuszczać miasta, z tęsknoty ku tej dziewczce zgwałconej na zamku, to mu się ją wyśle, kędy zechce - i do klasztoru nawet. Groszem wszystko zrobi w sekrecie - nie trzeba wcale gwałcić po nocy.

Tak postanowili na rozum mieszczkański, radzi po swojemu spłacać z pełnego trzosa on dług wdzięczności, który wstydomi cięży.

Bo jakby plecy im łechtaly te zszeptywania się młodzieży tuż za nimi. Gromadą ciągnie młódz grodzka, wzdęta pierśią w swych sajanach czerwonych i zadziorna kitami u czap. Nazbyt bo już hardo wystawia się dziś młodzież tymi kity! Oto pohukuje nawet w tłumie na cześć skazanego rycerza - nie by sami zamierzali zratować jego, lecz by innych do tego podjudzić. Znaj młodzież! i króla przestraszy, a choćby ojców własnych tylko. Więc pohukuje wciąż.

„Milczeć!...” - Czerwienieją ojcowie z gniewu i lęku.

I wznoszą do góry paluchy.

Baczą na nich rycerze z procesji. I pojęli rychło, że do sumień własnych było raczej pobożnemu sobkostwu mieszczan - starych i młodych - niżli prawdziwie do zratowania wiernego strażnika grodu.

Goliard tymczasem przebiegał gorączkowo opustoszałe ulice. Trędowaci rozdzielili go było z rycerzem w sukiennicach, odniosły w dal tłoki ludzkie. Czyżby już pojman był?" - szeptał do się w trwogę. Więc raz jeszcze przeszedł sukiennice, zaglądając nawet do kramów, bez końca rynek na wsze strony przebiegał - aż mu to obrzydziły dwa gbury jakoweś, nazbyt już często ukazujące się w pobliżu jego. I z coraz to jawniejszym popłochem w oczach snuł się po przyrynkach, błąkał po wszystkich zapiecach i zakamarkach tych murów, aż wreszcie z biegiem cuchnącego ścieku zanurzył się w jakiś zaułek, ni to w piwnicę:

Czarne prawie ściany, nie ulicy, a lochu, zbliżone do się na rozpostarcie ramion, wiodą go wprost pod okna jakoweś i ciemną jak grób jamą wyprowadzają ni to na placyk tej uliczki, na kamienną cembrowinę studni pod gankiem, z którego sypią się w tej chwili jak gruszki szczury spłoszone. Dalej w ponurości tych murów nad ściekiem już tylko te okienka nędzarne: ziejące paszcze trądu i czarnego powietrza. Na ludzi lepiej tu nie patrzeć. Nie twarze mają, a saraceńskie chyba mordy pomsty, ślinę zmij w pyskach, a w ślepiach wszystkie klątwy i urzeczenia na kalectwo lub śmierć nagłą. Ledwie się z widoków tych potworów nędzy otrząsnął, a błysnie na cię białkami i wyszczerzy się kłębem w gębie jedynym jaka jęcza u bramy, prosząca do swego zamtuza - na lubość ze śmiercią kościaną chyba, przepasaną w biodrach czerwoną szmatą zbrodni. Bo krwią mordu zanosi tu z każdej bramy, a wszystkich czarów i trucizn tajemnice wychytrzają się z oczu wiedźm starych.

„Tu na pewno nie tryskają źródła nektaru i ambrozji ani nie kwitną jabłonie Hesperyd! - Otrząsnął się goliard. - Więc mój rycerz błędny tu się chyba nie zabłąkał.”

Szczur odrazu wcisnął mu się za kołnierz. Ponurość nędzy grodzkiej spoglądała na waganta cyklopowym okiem przerażeń. Na domiar one dwa gnuśniki, przechadzające się wprzód po rynku w tępych milczeniu gburów, i tu się za nim przywlokły. Oto pełgają u murów jak te dwa czołgi. Nawet oglądać się za nimi nie potrzebował; zęby same zgrzytnęły mu w ustach:

„Zbiry!...”

Wiadomo - gdy wagant w mieście od gromady się odbije i luzem chodzi, snują się za nim zazwyczaj cienie takie; nie by mu co złego zrobić, lecz aby się wywiedzieć tylko: dokąd też taki chadza? z kim się też widuje?... Dzisiaj zasię mogą mieć i inne jeszcze ku temu przyczyny. Piekiel nienawiść zieje między wagantami a zbirami. Nie masz bo większych przeciwieństw natury nad ptaki wolne i szakale niewoli.

Oto zgubili go snadź z oczu w krętym zaułku, bo przyśpieszając kroków, już nie pełgają chytrze, lecz stąpają twardo z dala. I cwany przymrugiwaniem oczu witają w przechodniach... zbrodnie przyszłe.

„Widzieli mnie pewnie z rycerzem - myśli tymczasem goliard. - I za moim śladem szukają teraz jego tropu.”

Dogonili go znów i mijają tym razem. A swym chytrym, przenikającym wejrzeniem witają jakby i w nim zbrodnię przyszłą.

Na to wejrzenie szakali krew uderzyła mu nagle do głowy.

Z buta czy spod płaszcza - nie rozróżnisz w ruchu gwałtownym - wytargnął wagancki nóż składany. Otworzył go z chrzęstem twardego zatrzasku. I chustą okutał rękojeść wraz z kuła-

kiem, by mocniej nóż osadzić w trzonie i garści.

Dziki ryś woli i swobody rozdał nagle nozdrza w krwawym zaułku grodu - jawny już nienawistnik społeczności grodzkiej.

Lecz oni mijają go z chmurną pewnością siebie, która zdała się powiadać: „Przyjdzie i na ciebie pora!...” A odchodząc zagadali nagle do siebie te gnuśniki oba: o skoczce coś tam prawią między sobą.

I stąpieniem wołów oddalają się powoli - stróże mienia i spokoju mieszczan.

Lecz oto czoło procesji zbliża się tymczasem do świątyni w całości jeszcze nie widnej, tym bardziej odczutej, bo w przedwieczornym słońcu kładł się na ten kawał miasta głęboki cień tumu. Nad czerwienie dachów, nad wielkie ich skosy i załamania bezładne - nad cały ten chaos ludzkiego murowiska - wychylają się gór spokojem obie wieże kościelne.

Za iglice podniebne między obłoków przeloty wypiętrzyć je chciała zuchwałość murarza. Alić króla wola ułamała je w połowie, wieńcząc ich rozłomy w dwie korony olbrzymie, aby tym straszniejszą zdała się wysokość tych wpół przełamanych iglic, sterczących nad grodem za dwie góry wieżate z koroną u wyniosłych czoł - aby przypominały ludziom słowa Pisma, że Bóg jest wysoki, straszny, król wielki nade wszystką ziemię!

Uczepiły się tych gór słupy strzeliste i piętrzą się ostrymi łukami jak na monstrancjach: wzwyż i wzwyż. Zaś one z głazu wstęgi ustrzępione, niczym kwietnych umajeń łuki, te słupy bruzdkowane, jakby wód ociekających zastygłością, czoła onych kolumn pod fontanny tryszczeniem skamieniałym: wszystko to zda się jakby tryumfalnym umajeniem Bożego domu.

Zaś to rozkwiecenie i głazów nawet samych pod kształtującą dłonią człeczą rozpajęcza się w oczach, rozdymia górą w szarosrebrzystą omglę ciosu, w rosistość ożyłego głazu: w niedokształceń twórczych mgławicę, wstępującą na wyże kościoła jak ta rosa Heron na Syjon.

Wynurzają się z niej tryumfem dnia szóstego postaci w kamieniu człeczce. Pełno ich wszędzie. Po krokach błędnych gdzieś ganków na wysokościach, po węglach i graniach hen, na tej górze muru, po zrębach i okopach dziwnie rojnych - wszędy tłoczą się kamienie żywe. Że zaś ich kształtu i świętości znaku nie dojrzyć pod rozblaski zachodu, więc zda się, że po tych Jakubowych drabinach dziewięć chórów anielskich wstępuje na kościoła szczyty z tym „Hosanna!” budowców i kamieniarzy tumu - jako to Bóg jest wysoki, straszny, król wielki nade wszystką ziemię!...

Za trąb anielskich rozśpiewy, spiżów dzwony głoszą to w tej chwili z wież obu.

I wydzwoniły jakby nietoperza z kryjówek wieżowych. Nad zbocz krawędzi najniższego okapu, wprost pod łunę zorzy, wychynał się żywym kamieniem jaszczurczy kadłub i chichotliwy dziób przerazy.

Bo jawnie chichocze niemym dziobem swoim to kruczysko sabatów. Ucieszył się snadź w piekle szatan grodu z tych mieszczan pychy odętej, z jaką zbliżają się oto pod dom Boży, który za Boga wolą zdziałał geniusz człeczcy - duszą i dłonią wagantów.

Gdy ojcowie miasta przed ołtarze Pańskie wystąpić raczą, wagantom wszelkim w kruchcie jeno, w przedsienu kościoła wolno się przygarnąć do murów świętych - z rodziną ich całą go-liardową - aby ład i porządek w społeczności był.

Lecz oto już na schody się mają przodowni procesji pstrą gromadą pokurczów kalekich żebraków i bab co najstarszych: ludu zawsze co najniecierpliwszego w kościoła progi.

Mnogie rzesze grodzian ścigały tymczasem zewsząd ku świątyni.

I sędziwce ślepe, ponieczone dziś po izbach domów, wynurzają się oto z bram jak te widma czasów siwobrode; wyciągają za procesją ramiona wyschłe na kość, proszą bełkotem, by ich

kto miłosierny zawiódł do kościoła: sam Bóg za te przewody zapłaci! Za nimi ich prawnuczęta chyba, maleństwa bose i w giezłeczkach jeno, wybląkały się oto z izb na ulice z wielkim lamentem dzieci, że ich na procesję nie poniosły matki w ramionach. A rozrnachawszy rączki, maszerują na piechotę te stadka płacziwe, podrywają się biegiem z rozżaleniem jeszcze większym - polatują do kościoła gołąbki te białe. Gdzieniegdzie wynoszą rodziny swych ciężko chorych wraz z łożem, by chociaż raz do roku wysłuchali mszy świętej. Żebractwo, przez tych chorych, szcudrze osypane groszem, raduje się przy ich łożach: skacze, tańczy a klaska. I śpiewa, rzekniesz, chórem:

„Wszyscy klaskajcie rękoma! wykrzykujcie Boga imieniem wesela!”

Zgoła miasto całe zamienione odświętnie w wagantów familię radosną, w weselnych pątników rzeszę - takie jest dla duszy figmentum zbożnego stłumienia się procesji.

Już czeka na nich korab dusz, już się kolebie na cichych wodach przystani, już się chwieje, bacz! masztami dwoma w rej i żagłów swych gęstwinie. Rychło poderwie kotwicę i wypłynie - za morze! - ku Ziemi Świętej! - ku Kalwarii samej! W tej Arce jest dosyć miejsca dla wszystkich ludzi z grodu.

Za dobrym bratem najbardziej pogardzanej lichoty grodzkiej - za franciszkaninem wiodącym procesję - jak te klucze za żurawiem dogarniali się ludzie z zaułków - tłumem, motłochem, cizbą...

W otrząsanie zaniepokojonych sumień zamykali kupcy czym prędzej swe kramy.

Szumem ludu jak wielkimi wody wypełniły się ulice.

Don Boga i ludu, który gwałtom i zdzierstwu nożnych tak hardo się przeciwi, ludu zamek w grodzie, sporny zamkom panów, wzywa oto teraz i wzywa przynaglaniem dzwonów. Więc pośpieszają rzesze wszystkie. I zda się, że oto ludu święteczną nadzieją rozdzwaniają się w tej chwili dzwony:

„Potargane będą pęta zniewolenia mego!... Żyć będę duszą moją.”

Mury grodu ogarniają jak gdyby życia i świata krańce w sąsiedzkim przytuleniu. Nie mógł się temu nadziwić goliard, gdy wybląkawszy się z krętego zaułka, wstąpił niebawem, niczym na płyty zamkowego podwórca, na śliskie głązy ulicy złotników i płatnerzy, górą omal że nie zamkniętej sutymi okapami kamienic. Więc mrocznie i tu było, ale jak w kościele: rzekniesz, dla ściszenia zgiełków a myśli skupienia.

Powaga i stateczność tej ulicy ustateczniły wnet i goliarda. Schował nóż, poprawił czym prędzej płaszcz i kaptura, by w onym tu dostatku nie czynić sobą osoby nazbyt lichej.

Wychylają się z onych domostw na śróddroże wykusze dumne, migocąc błyskami szyb w ołowiu. Dołem zaś, dla obwieszczenia zasobności kuźnic po tych wnętrzach, wystawiono u wrót niejednych kolczugę lub karacnę świeżo zdziałaną, miecz zaledwie ukuty lub tarczę spizowymi ozdobami wypukłą.

Przy jednej takiej zbroi zatrzymał się mimo woli. Prostsza ona o wiele od innych dawnego obyczaju surowością. Koncert jej oburęczny zda się nad miarę sił ludzkich: szukaj ramion i chłopca na zamachnięcie się takim toporzyskiem obusiecznym! Pawęż, za którą i konny by się ukrył - czarna, w srebrne ćwieki. Kolczuga, z grubych pierścieni skuta, ma w sobie głuchą, żagwisłą czerwoność miedzi czy rdzy. Ujrzyj takiego z dała na koniu, a wyda ci się jak w zarzy świętego Jerzego.

Zrazu nie zdawał sobie goliard sprawy, co właściwie przykuwa mu oczy do tych narzędzi rycerskiego utrudzenia, których, na wspak żonglerom, na ogół nie lubił odnosząc się do nich ze wzgardliwą niedbałością klerka. Nagle:

„Czerwona zbroja?!... - błysnie mu w pamięci. - Toż to Parsifalowej kolczugi barwa! - jak o tym wszyscy opowiadają żonglerzy... Czyżby ten płatnerz taki rozmaszysty człek był, że dla okazania, co kuźnia jego zdziałać zdolna, ukuł oto jakby Parsifala samego zbroję - nikomu z żywych na pożytek - lecz ot: na pokaz tylko i na pochwałę w ratuszu?”

„Czołem biję! - kłaniał się przed pustym progiem jego domu. Poesim czynisz młotem - bezkorzystną! Alić dzieło twoje daremnie na ulicę wystawiasz: miną gapie - niezrozumieniem. I nie pochwalą cię na ratuszu. Toć wróżę, brat twój wędrowny. Bywaj!”

Tuż nad głową jego otwarło się z trzaskiem okienko wykusza.

„Witaj goliardzie! Niech ci Bóg da długie zdrowie za to wszystko, coś nagadał rycerzom na rynku. Właśnie spełniam to zdrowie twoje w medytacji nad winem. Więc pośpieszaj czym prędzej do mnie na górę, bo samemu cni się przy dzbanie... Baby żadnej u mnie w domu nie ma - więc się nie bój!”

Widzi goliard: leży broda siwa na skórzanym fartuchu, po pas sięga. Przy niej ramiona ni to z powróseł poza łokieć jak u rzeźnika - gołe. I gęba w ogniu cała.

„Vulcanus, widzę, pros! Niechże się na mnie nie pogniewa boski kowal oręza - ale kościół, ale nieszpory!...”

Tym się goliard tłumaczył, by nie mówić o sprawie rycerza, która mu z ulic zejść nie pozwalała, a beztroski przy czarce żadną miarą doznać teraz nie pozwoli. „Ale kościół, ale nieszpory!...”

„Kłaniaj się kanonikowi i dobrodzice!” - warknie bas nad jego głową. I gniewnie zatrzasknęło się okienko wykusza.

„Oho, kacerz!...” - roześmiał się goliard i nad konceptem jego, i nad swoim wraz domysłem. Lecz po chwili kiwał smętnie głową.

„Że baby w twym domu nie ma, temu chętnie wierzę: żadna żonka nie pozwoliłaby na utrudzanie się tak bezkorzystne. Ale kacerstwo?... - Hm!

Będiesz ty, starcze, gasił potężne, widzę, ognie w kuźnicy swojej!”

A postać jego kojarzyć mu się jęła w myślach wraz z tamtą zbroją w jednego ducha wyraz. I on nałóg rozmyślań osępił mu wnet oblicze pod klerka kapucą.

„Czymże ten Parsifal tak nieugięty w dążeniach swych był?... Owo że tych ramion i goleni potężnych nie czepiała się w życiu jego żadna kochanka ani żona, ani bachorki: że jednym i dla tego jednego tylko żył! że ona zaciekłość dożywotnią dawnych bohaterów znał! że zęby w sercu miał - jak Peredur, jak Cormon-Pies!...”

I aż zacisnęły się mimo woli oba kułaki goliarda.

A zaduma szeptała mu dalej pod kaptur:

„Czymże tak żyw i potężny w sumieniach naszych Parsifal ten - choć Graala przecie nie ma?”

I odpowiedział jej duch sam z skupienia swego:

„Bo nie ustawał w szukaniu szukanie m!”

A sumienie nastąpi na ducha z miejsca w mig - jakby krzyżowym przerzutem miecza. Nie osłonią od tego ciosu pawęże żadne:

„A ty?!...”

Chciał było goliard wymknąć się westchnieniu temu, które tak ciężko podnosiło mu pierś. Spręza grzbiet, rozciąga ramiona... Alić pierś człeczca, ni ten miech w kuźnicy ducha, nie oprze się mocnemu naciskowi sumienia. Opadła. I dobyło się z niej jakby to żywe i twórcze tchnienie Bożego ducha, zmarnowanego w ciele jego człeczym (nie jednoż to: czy dla kochanki, żony, dzieci lub chudoby?) - westchnienie najboleśniej, jakie człek znieść zdoła.

Pokonała go sromotnie Parsifalowa zbroja sama, wywieszona u bramy płatnerza.

Ale i w turniejowym potkaniu, im przeciwnik znamienitszy, tym mniej dopuści, aby powalonymu smutek pogwałceniem się stał - pod ramię zwykł go tedy prowadzić dzień cały. Tak się dziwnie zdało goliardowi, że ramię jakieś przemocne podwiodło go siłą przed złotniczą komorę i roztargnieniem oczu ratować mu się każe od nadmiernego przygnębienia myśli.

We wnęce muru za kratami widniały garbate szkatuły misternie w żelazie kute: krzyże i cyboria o surowym tchnieniu wielce pobożnej pracy - palec szczerosrebrny z pierścieniem biskupa - klucz srogi, rzekniesz Piotrowy, bo o takiej mocy wejrzenia - jakieś skrzynki i puzdra z niewidną pieczęcią tajemnicy - w kości słoniowej cięte stacje Męki na ołtarzyki klęcznikowe - miedziane krucyfiksy barwione polewą, czarki z opalu w obrzeżach złotych - roztruchany królewskie rzezane w kryształach - białe rolandy łowieckie, w których drzemią hejnały - wreszcie w ogniu kamieni szlachetnych monstrancje złociste, spiętrzone kunsztownie, ku przechowaniu świętych kosteczek męczenników Pańskich.

Nigdy, jako żyw, nie widział wagant takiej obfitości skarbów!... Zaś te cuda jak z baśni tuż obok onej zbroi w żarzy świętego Jerzego i miecza przeogromnionego nad moc człeczka - stumańczyły go całkiem. Zdało mu się, że wstąpiwszy na śliskie tu głązy, pod wielkie okapy tych kamienic, wkroczył niby w magów pieczarę, kędy po kuźnicach kowale uparte wykuwają w utrudzeniu bezkorzystnym świat wyższej mocy i piękności!...

Oczy poety - cudzowidze i bez skarbów - nie dostrzegają już wcale ani tych głązów wymoszczenia pod stopą, ani tych okapów ciężarnych nad głową; zatarły się przed nimi i mury miasta: świat cały i zmierzch!, i przeświecił się zarazem w jakowyś omrok sinoperlisty. Tęczy kołem zawisa w nim otocza glorii z ogniowych bełtów i tęczowego wiru płomieni!... I wyswietla się w niej cichą, barankową bielą - Graala czara.

Kacierz snadź zbroję czarnoksięską zdziałał, która - i bez bohatera ramion a piersi - pokonała goliarda po dwakroć Parsifalowego ducha tchnieniem.

Jak nieprzytomny wytaczał się z ulicy złotników i płatnerzy. Lecz u jej wylotu ocknął się nagle czuć wszystkich ściszeniem i kornością:

Ujrzał przed sobą katedry pierś wielkowspaniałą - w ogromie całym.

Małą czarną postacią zakapturzonego klerka widniał goliard na schodów jasnym rozłogu, pod wielkim okiem kościoła: pod różycą tumanu w purpurze i fiolecie przyćmieniu.

Sam tu był, sam jeden w nikłości postaci swojej. Gród cały nabił się już było do wnętrza tej Arki; brzęczy w niej jak w ulu lud wszystkich.

I zdało się klerkowi, któremu nawet wiary wyraz maciły Muzy pogańskie, że niebawem, pod gęste dzwonki ministrantów, gdy się lud cały pokotem pochyli, hukną organy same na Podniesienie:

„Oto wieczyste źródło nektaru i ambrozji! Oto jabłoń najpłodniejsza z ogrodu Hery! Oto Graala czara z Kalwarii Monsalwatu! I kędyż, kędyż wam, szaleńce, szukać jej jeszcze po świecie!?!...”

Ale kościół swoje, niespokojny duch człeczki swoje. I wiecznie pono szukać będzie po bezkresach cudotwórczej mocy jakowejś - na starcie smutków z oblicza ziemi, na odnowienie serc wszystkich!

Oto na samych dźwierzach kościoła - odkryły to już żaki - kędy w gęstym szeregu czwórlistków spizowych widnieją opowieści wszystkich klęsk rodzaju ludzkiego, od wygnania z raju począwszy, i ratunków wiary - oto w ostatniego listka ramie widać konia długiego jak łasica,

a na nim rycerzy dwóch z wzniesionymi jak na tryumf mieczami. Nikt inny to, jeno Parsifal i Lancelot, wyruszający na graalowe szukanie.

I na wrota kościoła nawet, postaciami ze spiżu, wtargnęły żonglerowych opowieści duchy. Ogromna wypuklina na piersiach katedry, ni to na sercu jej samym, chłonie, rzekniesz, ku otwartym wrotom wnętrza.

U murów tej wnęki widnieją wniebowzięciem smukłe szeregi pań świętych i błogosławionych królowych. Stoją te stróżki kościoła. Bożego domu gospodynie, pod ustrzępionymi baldaszki z kamienia, na pogiębionych grzbietach jakowychś pokurczów człecznych.

Nie grzechów przerazy zdziałać tu chciała ręka mistrza, lecz przyziemności natury człecznej wedle Pisma. Oto, z gębą jadła niemą a czapą w garści, wychylają swe grzbiety „tłusci ziemscy, którzy jedzą i kłaniają się”; oto, w swarliwej zajadłości ku sobie grzbietami wychyleni, radcy grodu czy też króla, „usidlani w radach, które wymyślają”; oto, z trzosem u serca a z czół oziębłością, „którzy majątności nabywszy, i serce do niej przyłożyli”; oto, z bazyliżkowym wydęciem warg, Żydów cmokająca przedrwina; oto wreszcie, z twarzą zgoła nie widną, „którzy brzuchem do ziemi przygłi...”

A wszystek on lud, wychylający się grzbietami spod stóp świętych, zdał się w tej chwili natrzasać nad głowami igrców stojących tuż obok w kruchcie - że owo wszystkie fortuny dary, a podczas i szczęście nawet samo, oddają ni za co, bo za ono waganctwo goliardowe - a nie jeden z nich, bywa, jedynie za to nieustawanie w szukaniu szukaniem.

I tym urągowskim swoim zdają się obiecywać, iż „wejrzeniem złośników wypatrywać ich będą, aby ich umorzyć, głupiemu na pośmiech dać”.

Goliardowa familia tymczasem wśród żebraków w przedsieni, gdzie przykleknąć jej było wolno, zwraca ku sobie ze wszystkich naw wejrzenie ciekawe. Ale o ciekawość ludzką tym razem nie stoją waganty wcale, bowiem już teraz, przed nabożeństwem nawet, odmawiają pilnie koronki. A spostrzegłszy samego goliarda przed drzwiami, poczną sykać zgoła nieprzystojnie, z wielkim tłoczeniem się owiec czyniąc miejsce między sobą dla błędnego pasterza swego.

On zaś baczy tylko, czy skoczki między nimi nie ma. A nie dostrzegłszy jej, odmachnie się ręką w ich stronę: ostawajcie sami!

Bo w takiej chwili najuroczystszej, kiedy cała społeczność człeczna staje oto przed Bogiem, widok swych towarzyszy wśród żebraków napęlił go taką żalnością do Boga za kamratów i za się, że już tylko wargi gryzł i odmachiwał się ręką od ich sykań natarczywych.

„Jest!...” - Drgnęła w nim mimo wszystko jakowaś tajona czujność i oczekiwanie.

Jak ten jelen z gąszczy ku strudze, wychynęła się z ulicy na plac skoczka zapóźniona. I bierze w chrapki bliskie tchnienie tłumów.

Jakby wyzywając te ciężkie w swych strojach mieszczyki, które podejmowały się tędy przed chwilą, wbiega szybko na schody kościoła stopą bosą, a z piersią otwartą - ledwie u wrót samych przysłania je chustą przed zgorszeniem pobożnych.

Za rytmem kroków dziewczyny, jak za werblem na przedzie, wkracza szparko młódź rycerska cała.

I wielki rumor panów powstaje w kościele.

Goliard przypadł nagle ustami do stóp świętych jednej z onych postaci we wnęce dzwierzowej. Przysłania się płaszczem i kapturem, by nie widziano, co się z nim w tej chwili dzieje ani że mu coś raz po raz głowę podrzuca na długie zapatrzenia się w tamto lico pod baldaszkiem z kamienia. Ujrzał bowiem w jej oczach cichych Bożego miłosierdzia mnóstwo wielkie...

Tu pod murem srogo dudniło powietrze od potraçań spiżu jakby od rozorganiań się onych chórów anielskich na wieżycach obu. A co jedna wieża swym basem wyhuczy, druga wyższą nutą wraz podejmie i rozgłasza, rozdzwania:

Kędyż wam?... Kędyż wam...? - w wielką ciszę grodu dzwon bije fary na roki sumienia.

Kędyż-bo?... Kędyż-bo?... - wtórzy druga wieża -
sumień są roki, serc waszych sądzie?

Kędyż odpustu znajdziecie orędzie?

Kędyż się zgarną człecze wszechcierpienia?...

Nieme zaciszenie legło nad grodem.

Kędyż wam?!... Kędyż wam?!... - jękły znów nieukojem, skołysane serca spiżów obu.

CZEŚĆ TRZECIA

* * *

Już i królowa, zabawiająca się w polu łowami z sokołem, zwiedziła się było od dworek o linochoda popisach w mieście. Zechciała pani ujrzeć go na własne oczy. Ale chęć wielkich państwa cierpliwa być musi. Nim się orszak należytym szykiem ustawił, przez biegacze w mieście obwieścił i ku bramie zdążył, już linochód zapomniał, kiedy dotarł było do drugiej wieży. Nie bardzo gniewała się pani, bo nie do uciechy pospólstwa jej było, lecz do własnej troski: zażyła tego fortelu, by przez miasto na zamek powracać i zwiedzić się samej o rycerzu skazanym.

Miała pani lepsze szpiegi nad gburne zbiry królewskie, bo wścibstwo dworek swoich i cichą pomoc co ładniejszych kobiet w mieście. Jakoż ledwie biegacz wpadł na plac przed kościołem, a już oto z naw głębi ciągnęły niewiasty przed królowej oblicze brata franciszkanina. Ten, myślały, będzie niechybnie coś wiedział o rycerzu: nazbyt bo żarliwie modli się i płacze od czasu ogłoszenia wyroku.

Jednego tylko nie mogły wiedzieć kobiety: że w łówkę domysłów swoich schwyciły dla pani najwłaściwszego teraz ptaka. Bo od czasu pocałunku rycerza już tylko o niej myślał mnich wśród pacierzy.

A jednak wywleczonej z nawy, niczym osiny liść rozdygotał się brat cichy, który królów w żywych kamieniach po kościołach jeno oglądał, a w twarz ich cielesną, za żywa, pojrząc nigdy się nie ważył choć, bywało, mijał orszaki. Ukląkł tedy przed kobietami i rozkładał błagalnie ręce, a na gardło nimi wskazywał, że głosu nie dobędzie przed królowej obliczem. Powiadają, iż tyle tylko wybiegała ku niej myśl mnisza, że jej zdrowie, jak trzeba, do pacierza włączał.

„Boże, miej w pieczy królową! - powtórzcie jej niewiasty. I że mnich ani więcej myśli w głowie, ani śmiałości w gardle nie znajdzie przy niej. Próżno wzywać niemego.”

Co ledwie rzekłszy wstrząsnie się gwałtownie: bo oto wszystkie gołębie sfrunęły nagle z ziemi i nuże garnąć się do murów kościoła, na figury święte: stanęła każda jak ten święty Franciszek w ptactwa chmurze.

Tymczasem psiarni pstrokatej sfora wbiega za ptactwa wiatrem aż na schody fary, a pod bicia kłaśniecie zawrócona zbija się w trzodę owiec. I biegnie truchtem u nóg końskich. Błyskają nad nią skrętne węże trąb u boku harcowników kraśnych. Ciągną dalej konne szeregi łuczników w kitowych czapach. Za nimi dopiero widać jasne stroje dworu.

Patrzy mnich: koń złotogłowiej jak tron nakryty, na nim okazała pani w szkarłatach; przy niej na koniu osoba duchowna. Stanęło serce mnicha na tę myśl radosną: „Królowa pani z biskupem!” I samo ubłożenie ślania go na klęczki.

Przeszkodziły kobiety. „To dworska dama ze spowiednikiem dworu.”

Ślepną mnisze oczy pod ten rozruch uroczysty i lśnienia naokół; ledwie w nich zaświeci w błękicie kształt niewiasty, smuklejszy od onych na murach kościoła; przy niej rycerz gro-nostajowego płaszcza rozrzutem osłania siebie i rumaka zarazem. „Król jegomość i pani!” - krzyknęła w mnichu pokora.

I słania go wraz na kolana.

Przeszkodziły kobiety. „To panna dworska z wielkim sokolnikiem dworu.”

Już się oczom jego ten przepych w tęczę roztargnął i zmigotał w rosnę blaski diamentów. Jak z tęczy i fosy wyblysnął ku niemu uśmiech kobiecy. O! - składa mnich dłonie - królowej to naszej Najpiękniejszej uroda! Przy niej pan! - dumniej żadne nie spoglądają króle!”

Podjęły niewiasty mnicha z klęczek. „To służebna pani i starszy sługa pałacowy.”

Rozstęp się czyni w korowodzie i takie zaciszenie wśród tłumów, że słyhać z dala ciężki chód komorowej straży. Wynurza się to z ulicy czerwienią drugich pawęży i rysiwymi futra-mi na ramionach, a stąpa w surowości zakrzepłej. Uderzył wreszcie okrzyk ludu tak gromki, że otrząsły się z świętych murów gołębie kościelne i nuże chmarą białą wiać a wiać nad pla-cem...

„Królowa pani!” - krzykną kobiety mnichowi w ucho. I pchną go, by sam ku niej zeszedł.

Pogięty, przelaman w pasie, głową jeno wygoloną widny, z rozstawionymi jak u pływaka ra-mionami zstępował, spływał mnich ze schodów kościoła ku strzemionom pani.

„Twoich ja praw spowiednika naruszać nie życzę. Ani okrutnemu wyrokowi króla przeciwieć się nie śmiem. Przecie wieści o rycerzu łaknę.”

„Boże, miej w pieczy królową!”

„Dziękując, choć po raz wtóry to słyszę. I odegnij wreszcie karku, w oczy mi spójrz: może w twej twarzy odczytam wieść jaką.”

„Boże, miej w pieczy królową!”

„Surowość nazbyt okrutna jest, bracie, w pokorze twojej. Będę i ja surowa w błaganii moim: mnichu, podejm głowę! bo, z karku ci zdjętą, pod oczy Podjąć ją sobie każę.”

Aż się sokół na berle pani strzepnął, a że oślepien w tej chwili kapturkiem złotym, nie wie-dział, czego chcą od niego. Więc się tylko szponami berła lekliwie chwycił, szum orłowy czyniąc nad głową zahukanego mnicha. Podjęła się spod konia charcica biała, ledwie tam przyległa, pręży kabłąk chudego ciała i dziwi się niuchem uporowi mnicha. Nie warkła prze-cie ta królowej stróżka, a tylko pysk swój długi na ramieniu mu kładzie - łasi się nim do mnicha.

Na ten widok opadł natychmiast gniew pani w oprzytomnieniu onym, że wszak to brat fran-ciszkanin przed nią klęczy: wszelkiego stworzenia przyjaciel najłagodniejszy. Na tę myśl, pewność siebie - ta kobieca - rozjaśniła jej twarz: jako że kobieta z dobrego zawsze swoje dobędzie, a i z niemym, gdy dobry, ugwarzy. Ku czemu wszakże najkrótsza droga, by w lica urodę choć raz przecie wejrzał!

Poprawi się pani na strzemionach, tuż u pochylonej głowy mnicha: ujrzy brat, jak pod biało-futrzanym obłogiem królewskiej szaty, na złoty łuk strzemia, wychyli się łasiczką i zako-łebie gołąbkim siwym pani ciżemek biały. I choć oczy natychmiast zamknie, widzi wciąż tę stopkę malutką.

Dziwi się pani w duchu, że mnich jest tak zakamieniały, iż mimo tego nawet nie spojrzął jej jeszcze w twarz. Więc zgubi strzemię i „popraw, braciszku, popraw! - woła - bo się osunę

z siodła”. Jęły ręce mnicha opływać on kształt z oddali, nie śmiejąc dotknąć ni tę ptaszynę, gdy sfrunie z gniazda. I tak, troskę świadcząc rąk dewocją, pomocy zaniechał; nóżka sama trafić w strzemię musiała. I już się dawno na nim oparła, gdy przypadły do niej wreszcie ręce nieskore, a za rękoma i usta mnicha. Nie broniła pani, choć się nieco zdumiewa temu zaszlochaniu, które wstrząsa wciąż klęczącym.

„A teraz - cofa pani łagodnie nóżkę, by nie całował bez końca - a teraz, powiadaj mi wszystko, co wiesz o rycerzu.”

Ruszyły się wreszcie słowa w zaciśniętym gardle mnicha:

Królowo, niewiele ja wiem. To jedno powiedzieć ci mogę, choć ciałem przypląci, duszą żyć będzie rycerz wiecznie! Bowiem ja wziąłem na się jego grzech śmiertelny.”

Ty?!...”

Aż się stupotał i sparskał pod nią biały rumak królewski.

„Ty?!...” - spojrzy nań z żałosliwą pogardą.

I zakończy surowo:

„Bacz, co-ć powiadam! Znajdą się niewiasty, które rycerzowi do ucieczki dopomogą: ty je doń powiesz. I powiesz mu, że jeśli króla przebaczenie uzyskać z czasem pragnie, niech wywiedzion na wolę rusza w światy na szukanie Graala. Kocha się król w onej tęsknicy dawnego rycerstwa. A za królem i ja się kochać nie przestawam... Te ostatnie dwa słowa akuratnie powtórz, choćbyś wszystko inne uronił w pamięci.”

Ledwie pani o Graalu wspomniała, a mnich porwie się z kolan, nastawi się ku niej twarzą. I jakby mu licowego widzenia nie dość było, ręce rozkłada - dłońmi, rzekniesz, wziera: chłonie w siebie wid i płomienieje w tym napatrzaniu.

A że nie dość korne to olśnienie było, targnęła się po niewoli dłoń pani - aż sokół na berle nastroszył czujnie pióra i, choć oślepien, obraca głowę za wyżą widnokreęgę.

„Bacz owo, jakeś zdufniał rychło ku mnie, mnichu korny?”

Ale brat już nie z gardła zaciśniętego dobywał słowa, lecz w pierś wezbraną po nie sięgał:

„Niczym on sokół, próżno ja, Pani, w twe wyże spoglądam: - i jam oślepien kapucą. (Targnął na głowę kaptur mniszcy). A przecie pod kapturem onym przeżywam ja w sobie wszystkie dzieje onego rycerstwa, o którym rzekłaś przed chwilą. Bo wiedz: składa przeor mój kroniki śpiewne o rycerzach Graala, jako że żonglerzy po piekarniach nazbyt już nieświętym uczynili słowo dawne. Na skrzyni ksiąg w swej celi siada wtedy przeor siwobrody i mówi wonczas z siebie. Ja zaś w nyży okiennej przy księdze stoję i wpisuję w nią akuratnie przeorowe słowo, A gdzie się pieśń nowa rozpocząć ma, tam ja wymyślnymi sploty w złoto i purpurę obłamiam przeorowej księgi karty wieczne; zaś gdzieniegdzie i obraz błękitny w księgę kładę. Nie za grzech mi to liczy przeor dobry. A odpustową porą nawet za kwestarza oto na miasto wysła, bym nieco farb świata w oczy wziął: księga, powiada, piękniejsza przez to się sta nie - na klasztoru chwałę... Oto napatrzyłem się dziś w sukiennicach wszystkich farb świata! Oto nasłuchałem się w piekarni takich kolorów życia, że za oczyma śćmiła mi się i dusza!... Aż na koniec biorę w swe oczy purpurę życia, świata różę! - oblicze jakby onej królowej pana Lancelota, o której żongler opowiadał w piekarni - lico najpiękniejsze, jakie Bóg dał kiedy kobiecie ziemskiej!...”

Wonczas dopiero pojęła pani to zapatrzenie się jego. Spod kaptura na bladej jak opłatek twarzy jarzą się ku niej oczy mnicha: świecą zjawie żonglerowego romansu. Aż zrumieniła się twarz pani i rzesami przytuliły jej oczy na takie aż pochlebstwo! - Ileż bo razy w rojeniach

swych skrytych miała się za królową Ginewrę najpiękniejszą, pana Lancelota samego kochankę! ileż to razy kazała żonglerom opowiadać sobie ona powieść! - Więc aż się wstydzi. A gdy palce zabawia teraz w zmieszaniu różą u swych piersi, myśleć musi, że wszak to malarz, piękności zachwytiliwiec, utonął oto oczyma w jej urodzie. Więc ta jej głowa na wiotkiej szyi sama się słania ku zapatrzeniu mnicha: napatrz się, miły, napatrz do syta.

I zaduma, na poły senna, skołysała nagle jej myśli:

„Miodna pszczoła na mej róży - miód piękności wiecznotrwały!... W przeorową księgę wieczną, w błękit, złoto i purpurę, w szat królewskich glorii całej mnisze wwiedzie mnie pachole.”

I skinąwszy, by pochód ruszył dalej, tę różę sprzed piersi miotnie w uroczone oczy mnicha.

A gdy się wszczęły koło niej orszaku gwary i okrzyki ludu, patrzyła przed się jak nie w porę ocknięta: tak dziwnie obce zdało jej się wszystko naokół: i ten plac przed kościołem, i ten lud pokrzykliwy, i ten zamek na górze widny. Kędyż to śpieszyć kazała i wieść się dworakom? W komnat swoich pustkę smętną, gdzie tłuką się marami wszystkich grzechów i zbrodni przypomnienia? Czy tak jej się niesamowicie wydało, że skinęła oto, by pochodem królewskim ruszyć poza wszystkie grzechów chwile i życia mknienie - wyżej - dalej - w złoty błękit wieczności...

Pod to zapatrzenie się malarza, jak gdyby łódź chwili ochyła się w morze czasu.

„Mej urody czasom stanie - jak kościoła!”

Nad miastem wyświetlały się jeszcze wieże, a wielce strome dachy martwym już odbłaskiem, niby pyłem ceglastym, wypełniały rynek i ulice. Oczom nikli ludzie o tej porze, twarzy nabierały mury: w powietrzu zmierzchowym stały teraz, każdym załomem i granią srodze wyraziste ni to w zmarszczkach sędziwego wieku. Kędy spojrzysz: kadłuby murów, surowe kraty okien, wykusze ciężkie na rogach, dachów połamane piachy i te warownie gołe, bez blanków nawet - surowo, jakby na mieszczańską pogrozę, wypiętrzone wieżyska.

Za rozchwiewną ciszę pól na Ave, tu okrzepłość, chmurna kurzem ulic, opylem murów a wzywami piwnic, padała i na dusze. I nie jaskółki świerkliwe zganiały się w powietrzu, a niemo w bezszelestnym trzepocie targwały się między murami nietoperze.

Pod szerniałą w mroku górą kościoła ledwie się znaczył brat franciszkanin, przyległy gdzieś do schodów szeroką kupą szmat mniszych. Z rzadka tylko przerywał pacierze, prostował grzbiet i rozglądał się po placu: czekał na one dworki, które miały rycerzowi uładzić ucieczkę z miasta. Ale niewiasty one nie zjawiały się wcale - mnogie bo sprawy ma pewnie królowa na głowie swojej!

Pusto było. Tylko, ku przerażeniu mnicha, kozodój rogaty przehycnął tędy w poświstach i pokrzykach żaków pędzących za nim. Ujrzawszy brata, ucieszył się bardzo on cap, a gdy się zdało, że zbodzie rogami w napędzie, przytuli się do habitu kosmatą piersią, wyjmie z półdrętwych palców tę różę, którą zostawiła mu królowa, powącha kwiat, wetknie go mnichowi z powrotem w garść, sprośną swawolą polechta brata, parsknie mu w twarz jak ten koń - i poskoczy dalej w ulice. A za nim żaki. Śmieją się, niecnoty, z zakonnika. I znów pusto.

Wola cudza, mnisze posłuchanie: gdy trzeba, stać będzie do rana - iż tym ogniem w palcach. U figury pod klasztoru murem złoży tę różę; może ujmie wonczas duszy ciąglego przypomnienia tej chwili, jak pod szaty obłogiem na złotym strzemieniu kolebie się gołąbką siwym ten cizemek pani... „Oo!” - coraz to bezradniej myślom z wieczora za furką klasztorną... „Pana Lancelota siłą królowa do się sprowadzić kazała, opowiadał żongler... Został przyjęty in lo-giam, w rozmównicy, co było znakiem osobliwej przychylności pani...”

Ociężało serce; grzech rojeń czai się nad duszą i głuży pacierze. Domarad, niedobra gorączka otrząsa mnicha dygotką.

Na plac wjeżdża konny; gdyby nie zatętnienie kopyt, cieniem by się zdał. Wprost na mnicha jedzie.

„W imię Ojca, Syna i Ducha... Od niej wieść!!”

„Tyżeś jest brat franciszkanin, z którym mówiła królowa?”

„Ja, panie!... Ot, ja, ja!”

„Masz u pułapu kościoła w absydowej bani obraz Zwiastowania zdziałać, a królową w nim za anioła.

Zdołaszli to?”

Ku górze rozłożyły się w olśnieniu dłonie brata; nie wiadomo: w niebali się tak zapatrzył czy też w oglądany już zawczasu on obraz w absydowej bani aż wysłannik królowej po dwakroć swe pytanie powtórzyć musiał:

„Zdołaszli to?”

Gdy przeor każe, potrafię.”

Pomówi się przeto z przeorem. Wioząc i drugi rozkaz. Masz się jutro na zamku u królowej pani stawić.”

Mnich tylko ramionami bezradnie rozkłada i chyli się a chyli w pasie.

„Zostaniesz, bracie...”

„Przyjęty in logiam, w rozmównicy!...” - przerwie mu mnich. I chwyci się rozpacznie za głowę. Podejmie się pan w strzemionach, zdumiony, o czym to właściwie mniszysko zabredziło tak gwałtownie. I odyma wargi nad tym szczególnym upodobaniem sobie jego przez królową.

„Przyjmą cię, mnichu, na zamku, gdzie raczą w łasce. A jakiegokolwiek doznasz, w milczeniu doniesione musi to być do grobu. Inaczej biada tobie i klasztorowi!”

„Oo!...”

Zawrócił pan stępa, głucho uderzają kopyta konia.

Pędem ruszy brat do klasztoru. Lecz zza wieży kościoła zabiega przed niego nagłym wyskokiem chmara złych postaci - jakby z górnych krawędzi wieżowych ześlizgnęły się doń po murze.

Z twarzą w dłoniach przypadł mnich do ziemi.

Na rynku tymczasem po nieszpórach zatańczono znowuż. Te skoczne gromady wszelakiego ludu, w siwym zmierzchu dymami zasnute i naświetlone zwiewnymi wybłyskami płomieni, wydawały się zza szyb ludzi statecznych nieledwie zmorą wieczora, strzyg tajemniczym zło-tem. Bo choć niby radosne te pląsy, w posuwiste reje snują się przy pochodniach, w ciężkich mieszczan upojenia lube.

Tylko rybałty czynią skoczne wyrwańce. Tylko mieszczka jaka, z mężatek mocno już pod-łechtanych szerokie swe stroje jeszcze bardziej poszerzy spódnic podjęciem i pod ona kupą ciężkiego szychu śmiga lekką jak u kozy nóżką - żakom pod nos niemal.

I kogo na rynku wonczas nie było! kto nie płaśał tą porą! - a sprośnie jak tamta żonka czyjaś. Różne bo stają się w chęciach swoich w czas odpustu i najzacniejsze panie! Osobliwie, gdy się nasłuchały wprzódy romansów po piekarniach. Bywają bo bardzo pochutne opowieści; a gdy panie szczodre, i najzacniejszy żongler niedługo będzie się wzbraniał, aby takiego romansu nie opowiedzieć z powagą - z powagą koniecznie i ze smutkiem na końcu - by nie stawać się jak ten gadkarz na rynku. Tylko że ta powaga i smutek nie udzielały się kobietom.

Taka i przez komin przeleźć gotowa, gdy zielonymi oczyma rozmarzeń zapatrzy się w ognie tańca i swawoli miłosnej. Niczym kot o zmierzchu giętka, a od rozręsknień ciepła i cielistą, pomyka się pod murami na miękkich stopach kocicy.

Rade witają je żaki w tej oćmie zmierzchowej; po ciemku niejedno wolno, przed czym za dnia i pazurami się bronia; nigdy nie zgadniesz, jaką kotka po nocy będzie, W tej zasię nadziei oto aż ponosi żaków w zawodzeniu rybałtowego chóru:

Bacche saepe visitans

mulierum genus,

facit eas subditas

tibi, o tu, Venus!

I prawdziwie uległymi je czyni. Opodal rynku po głuchych z wieczora podwórcach studziennych płoszą się szczury i zlatują nietoperze ku nagłym bielom cielesnym. Tylko sówka z wieży przedrzeźnia starek chichoty.

Bo żak jak ten kogut niewiele tam patrzy: która płacze mu się najbliżej, a gdacze najgłośniej - ta dobra! Natomiast Bakchowe skoczki w capów futrze zaganiają tylko za młódkami. Brzydzą się Panki szczurów zalotem i ciemnymi zakamarki, a cieszą ich zarówno dziewcząt śmiechy, jak i dąsy, zaś nade wszystko raduje gromadzka uciecha. Bo gdy ich nawet która między rogi piastką zdzieli, nie gniewają się wcale o to marcholty one sprośne; parskają tylko, otrząsną kudły i skoczą wraz do innej, szczypać ją słowem satyrów. Rychło patrzeć, jak za dąsami i gniewem taka skłonność wzięła kobiety ku nim, że się same ich psotom następczają: za kozią bródkę targają, kłują, czym się da, w łydy.

Oto wtuliła się któraś sama takim w kosmate łapy.

„Panku!...” - szepcze pieściwie. „Mhm?...” - wymrucza się cap w lubości. „Szpetnyś jak na pokaranie Boskie!” I wywinie mu się wraz z ramienia, cofa się tyłem, a łapkami trzepie: psoci ni ten kociak z kundlem grubym. Zbodnąć ją biegnie Panek drażniony, a wraz fletnie spod pachy wyciąga i gniew swój a jurność całą piosenką wyśwista, wytupocze w tańcu.

Owóz i druga garnie się ku niemu: ta już się nie tuli, a wprost ramiona na szyję mu zarzuca. „Poskoczyłabym z tobą, kozodoju, żeś leciutki! Popędziłabym w pola, żeś wesół! I że się nie naprzykrzasz wciąż o jedno tylko jak pan mąż lub te żaki przylepne. Nacieszyłabym się napróżd sobą przy tobie, a potem dopiero może i czym innym - razem. Bo tak potrzeba nam, kobietom, aby wszystko w nas było komu lube: i śmiech nasz, i psota, i dąsy, i gniew srogi, i płacze - i rozdąsanie. Pobiegłażbym z tobą! popędziła w światy!”

„To się rozzuj wprzódy do kopytek - drażni ją cap - bym widział, czyś mi kamratka.” „O, wa! myślisz?...” I już siedzi na ziemi, gdzie stała, ściąga cizemki i pończochy i ciska to wszystko po kolei Pankowi na głowę. A targając się przy tej robocie, mówić nie przestaje:

„Niechże się choć rozzuję nie w pana-mężowe łożo a sobie na ochotę, na psotę, na nic chocia - o!... Myślisz, capie, gdy nam z wiankiem z głowy i młodą ochotę z duszy panu mężowi oddać trza w skrzynię pod klucze, że my to już starki nazajutrz, choć nas w szerokie szaty objuczą i stapać każą jak tym kobyłom dla panów mężów godności... Myślisz, że się powstydzę? lub poboję? O, wej!... Niech się pan mąż pod górą pierzyny nasapie dziś pomstliwie, gdy ocknąwszy się nocką, sięgnie łapą jak po to swoje... a tu żonki - nie ma!... Naciesz się, nalubuj z pierzyną. - Wybuchnie śmiechem wysokim, zatreluje radości gamą, a przecie aż zgrzytliwie w tym weselu młodym. - Patrz, jakie mi pan mąż pończoszki ładne dziś kupił... Na, masz! - Rzuca mu je na głowę... - Jestem! Zaświstaj! Połańcu jem.”

Oto druga, trzecia, piąta para taka znalazła się tymczasem: ilu Panków było, każdy nimfę znalazł.

Krząta się między nimi wyziębły i zagrzewa ramiony menestrel w swym gieżle podwiewnym. Że za pieśń śpiewaną na kanoniach ledwie grosik spod stopy uratował, tu by onym „tańczoną” zagrał. Dadzą co, nie dadzą: gbur, kto z wesołą kompanią zawczas układa.

Ozwała się gęśl na przedzie par onych, a przyspiesza tonu za głosem fletni. Rozskakał się jak ten kozieł psotny i sam smyk na strunach - zawodzą satyry:

O! o! - totus floreo!

igni iam venereo

totus ardeo!...

Rozprężnie pokładają się tanecznice w kosmatych ramionach satyrów, wypuklają piersi w nabiegu szalonym. A rybałtów pieśni w skrytości snadź świadomy zawtórzy pod fletnie cienki chór kobiet:

Novus, novus amor

est quo pereo!...

Wywiódł ich diabeł na przedkościelny plac w chwili, gdy brat porwać się chciał było do klasztoru przed nimi to padł mnich na twarz. Kobiety, których w rozpętaniu swawoli nigdy nic nie powstrzyma skore były łechtać sobą i tę cichość człeczą: oto potracają już nóżkami kaptur mniszy.

A menestrel - któremu się w tej chwili nazbyt dobrze grało dla płochych uszu taneczników - rad, że się tu czulsze nastreczają uszy, pochyla się nad głową mnicha z gęślami swymi.

I gra mu wszystkich śmiechów niewieścich rozpryski na strunach, wszystkich psot i dąsów białogłowskich zakrętne płasy, ich uporu nawrotne śpiewki, ich rozgwarne ćwierki pustoty, ich tkliwienia się rzewne na przeciwtonie fałszu, ich porywów wybuchy rozpętane, ich pychy korowody pawie - i cisze... pod wrzeczona warkotne wspominki, pod grzesznych rojeń kołysanki nowe...

„Wiem, wiem, szatanie, o czym to gędziesz sumieniu! - okrzyknie się mnich, nie podnosząc twarzy,- One to zawieruchy duszne wziętem na się z grzechem rycerza! one w sercach naszych przemoce! Przemogły, przemogły i w lichym sercu moim! Nie pokutę wziętem na się, a grzech żywy... Tęsknię!...”

„Nasyciłeś się gędźbą: ona zawsze tęsknotę żywi. Masz, bracie kwestarzu, skarbonkę zasobną, wytrząchnij za to choć grosik!”

„Jam wasz i ze szkatułą ona!”

A że mnich leży jak kłoda, choć niby wszystko oddaje, więc kompania wesoła sama ściąga zeń rzemień skarbonki. Ledwie trząchną jej grosiwem obfitym, a szal ich porwie i poniesie w skokach. „Bacche!... Bacche!...”

Zaś mnicha wtedy dopiero poderwało z ziemi i wwiało aż na schody kościoła. Z rozstawionymi ramionami okrzyknie się za nimi:

„Za to klasztoru okradzenie będziez mnie ona chociaż chciała, szatany?!”

„Kaźda!” - ryknie śmiechem sfera piekielna. I w tego śmiechu rozpryskach na gęśli ruszy w płas sabatu. Pokładają się strzygi w kosmate łapy incubów swoich, rozrywają szaty pod szyjami, snadź i wstyd sam już im za ciasny ku uciesze onej. A piersi, spod gieżła dobyte, prężą przed sobą za rogi bodliwe. I w poskokach szalonych uderzą w ten diabolic skwir:

Novus, novus amor

est quo ardeo!...

Nie na długo jednak wrócono do uciesze tej. Oto u wylotu ulicy, widzą, stoi pan mąż w szubie i ogromnej czapie na uszach - opodal drugi - za węglem trzeci się czai. Satyry, nie rycerze: tylko ich kopyta widziały niewiasty, gdy mąż za kark już chwycił i rzucał o ziem, sobie pod nogi.

„Tużeś?!... Tużeś mi?!... Na takim to weselu? Ledwie zonglera przepędził z piekarni, co ci romanssem głowę szmucił, za szatę ze skrzyni najdroższą, rozrzutnico durna!... I zgził mi przecie babę! Skoczków ci się teraz zachciało i piszczków na tańce ucieszne?... Którędyś wylazła z zapartego domu? Powiadaj!”

Bardzo gruby rzemień odpasał pan mąż pod szubą; a gdzie zdzieli, tam i przydepnie.

„Za goliardy! - wali tedy - za waganty! za gołotą w miasto naszła żonka mi od krosienek przez okno po lince... Baczże, widzieli to sąsiedzi! Czekaj, aż ci przyjdą wyśpiewać to pod oknami na srom mój... A wiesz ty, że one twe goliardy i rybałty nawet do łaźni wpuszczają tylko w piątki z Żydami razem?... A tyś się dała w kompanię lichocie takiej!”

Tymi słowy pobudził się sam do takiego gniewu, że mu wraz spęczniała grdyka i na burak szcerwieniła twarz.

„Zechcesz mi może podmiotnąć co z onego nasienia?!- A ona jak gdyby się zachwyciła tym męzowskim pomysłem, bo ścichnie nagle w zanoszeniach się od płaczu. Tę starganą jak u czarownicy głowę podejmie i wyblęśnie mściwymi oczyma. I wraz ramionami coś niby tuli do swych piersi.

„Jakżeby takiego kołysała, panie mężu! jakżeby pieściła! Pewnie by gędziec lub pieśniarz wyrósł z niego.”

I on jad wsączywszy mu w myśli na pomstę wywinie mu się spod ramienia; ucieka w ulicę. A choć do sińców zbita, obziera się przecie, czy pasja sroga zalewa należycie ten łeb czerwony. „A cizemki gdzie?! - Spostrzegął teraz dopiero jej boscie nogi. - Gdzieżeś obuwia zbyła, mał-po rozrzutna?!... Ledwie ci je kupił w sukiennicach!... Cizemkiż one i pończoszki strojne gdzie?!”

Zgoni po raz drugi i zdzieli łapą ciężką, miotnie jak tłomok w bramę domostwa. Aż się zatrzasnęły wreszcie wrota i ścichły za nimi skowyty bólu.

Ciągnęli panowie męże żonki swe do się, na one łoża wysokie, pod te baldachy a pierzyny ludzi osiadłych.

Tam też szukać o tej porze wszystkiego, co stateczne w mieście. Na ulicach i wagantów już nie znajdziesz: pilno im było przepijać po gospodach zarobki dzisiejsze. Tu i owdzie spotkasz tylko rozwrzeszczane bandy młodzi grodzkiej. Choć ledwie co dziesiąty gębę gdzie w kufie umaczał, spoił się dziś wszyscy od onego szału urągania wszystkiemu, Przed czym czapkowali wczoraj. Osobliwą radość sprawiało im teraz drzeć się przed tymi oknami najpoważniejszych ojców grodu, skąd rozlegały się krzyki kobiet karconych. Księża i mnichy jakby się pod ziemię zapadli, by ich który, co się wczoraj kajał, nie zapytał o zdrowie dobrodziki. Oto wyrostek jakowś odyma się przy dziewce grubej, pokazując niby ludziom, jak to kroczy przez miasto srogi ksiądz kanonik cum sua matrona. A tłum ryczy z uciechy.

Zadziorne i szczwane wejrzzenia ma teraz młodzież grodzka, jakoby pełne sprośnych tajemnic cudzych i trafnego z nich szydu. Gdzie wdowa jaka mieszkała, która za mąż wydać się rada, gdzie panna nieprawicza, gdzie rogacz cichy, który kukulczęta pocziwie chowa - tam ściągały ucieszniki grodzkie, by w maskary przyodziane, w blachy pod oknami dzwonić i skoki urągliwe wyczyniać.

Radosność wagantów tyle bo wznieciła w sercach grodzian: rozpalając do białą nienawiść ku sobie wśród ojców miasta, zgziła im żonki i córki, a w młodzieży wzbudziła ona zadziorność z sąsiady i pomstliwe wścibstwo w cudze sprawy i dole.

Tyle wnieśli wędrowni między osiadłych, tyle on wiew swobody z gościńców świata, tyle ducha wici z uciechą razem, tyle gędzba i menestrelstwo zacniejsze, tyle wolna igra z życia niewolnym smutkiem.

I diabły same nie wiedziały, zali się teraz cieszyć mają, jako że w onych urągowskich młodzieży nad ojcami, księżmi i sąsiady cnota sama święcić się pono chciała.

Wagantów już to dawno nie cieszyło. Omierzyli im do cna te osiadłe satyry grodzkie; poszli za swymi - dzikimi. Oto zasobną szkatułą franciszkańskiego kwestarza zdzwaniają Panki rybałów wszystkich na dożynki dzisiejszego żniwa.

* * *

Rybały, utrudzone popisami na rynku, ciężko zasiadały na ławach gospody, wdychając z lubością zapach zwilgłej kadzi, myszki i winnego wyszynku.

Piwnica była długa jak refektarz; jej strop beczkowy łamał się w łuki tuż nad głową, o ławy nieomal żebrami wsparty. W głębi zwisa ciemną czeluścią komora dymnika, pod nią na różnie wołu byś upiekł. Tymczasem kury obsiadły krawędzi jego na górze. Opodał komina stoi beczka; w żółtym świetle wśród dzbanów krząta się dziewczka tłusta.

„Dobrze tu! - myśli goliard - kompania swoja, ciepło, wino obiecuje się smacznie.”

Począł trzeć grzbietem o ścianę.

„Locus est genialis!”

I chwyciwszy gęślarza zapraszającego wciąż kamratów pobrzękiem franciszkańskiej szkatuły, sadza go przy sobie na ławie.

„Siądźże, napijże się, użyjże, człecze, choć raz czegoś więcej, prócz własnej ochoty! Boć, po staremu, chciwsze gardła wino sprzed nosa wypiją, zasobniejsze trzosi kobietę z ramion odbiorą, ksiądz twe grosze do skarbonki kościelnej przesybie, a ty zostaniesz pono zawsze - bosonóż i z gęsią pod pachą - byś wiedział, za co cię kanonik ze społeczności chrześcijan wytrąca, a franciszkanin za czarta samego bierze!”

„On z poczciwości! Duszę mi swoją z tą skarbonką oddał - za gędzbę piękną.”

„A przecie mniszysko ignorans jest. Choćby maszkar nie rozeznał, wiedzieć winien, co pisze świąty Heronim w żywocie świętego Antoniego: że nie szatanów są natury, że i w pogaństwie nawet nie zostali satyrowie dzicy.”

„Prawdaż to?” - zdziwią się żaki. Goliard widząc dzbany na stole, zawczas wycierał o połę łagiewkę drewnianą. I w oczekiwaniu na wino rad gwarzy:

„Na pustyni egipskiej zastąpił drogę świętemu stwór taki. I jął go prosić imieniem całego rodu swego: faunów, panków i satyrów, aby ich polecił królowi betlejemskiemu, o którym się zwiedzieli, że przyszedł na świat zbawić wszystkich. Że prawdziwie tak było, a wierzący w to duszy swej w pokuszenie nie wiedzie - pisze Hieronim - zaświadczyć mógł to potem lud mnogi, bowiem sprowadzono takiego za żywa do miasta Aleksandrii, czasu Konstantina cesarza.”

„A dziś? - zaciekała się skoczka, zatrzymując się przed nim z dzbanem - sali jeszcze Panki prawdziwe? choćby tam, za morzem?”

„Różnie różni powiadają. Są, którzy mówią, że gdy pani Diana postarzała się, wszystkie nimfy zazdrośnie wytepiła, cherłać poczęli i kasłać Pankowie. W takiej żałości widzano go w Aleksandrii. I tak szczęśli pono. Zasię dziś? teraz?... By prawdę rzec, mnie się onych przytrafiało widzieć tylko wśród ucieszników grodzkich pod sąsiadów oknami, ale w skórze zapożyczonych pono od bydłat.”

Żaki już się znaleźli pod stołem, by szczypać w łydki skoczków Dachowych, w capów skórę zaszytych, i drażnić słowem - że bydłeca. Aż się goliard za nimi ująć musiał:

„Nie o naszych ja przecie myślałem! Wszakże oni to dla sztuki mimusy tych dawnych. I nikomu na krzywdę, a sobie na zarobek poczciwy. Bo zważcie, żaki: nie natrzęsali się nigdy nad dolą i niedolą człeczą satyrowie dzicy, radzi każdemu spod smętu życia wylechtać jego własną ochotę, własnemu jego życiu na ulgę! Tak też i nasi czynią. I ich sztuka satyrów zacna, a z pradawniejszych piękności idzie niżli każda inna. Ich by na czoło igry wszelkiej, by zbudli ludziom wprzód z grzbietów wszystkie pomstliwe brzemiona doli.” Skoczka tymczasem pochyła nad jego łagiewką cynowe dzbanisko wina, przyciskając do swej na pół obnażonej piersi: z zadymionej cyny zdały się po równo, w złocistych połyskach światła. Jał głaskać dłonią te dwie obłe kruże: kobiecych piersi i dzbana.

„Od gorzkości dnia powszedniego chronią nas obie” - powiada żakom na pouczenie.

Zaś widząc, że od jego czarki kolejno wino nalewać zaczyna: że mu tak świadczy przy kam-ratach - nie bardzo snadź w to respektowanie wierząc - dorzuca dalej żakom ku nauce:

„Najbardziej zasię chronią nas od wulgarii dnia codziennego kobiecych świadczeń kłamstwa grzeczne, bowiem z nich rodzi się ornatio życia samego w obyczajach dwornym.”

„A któreż to kłamią?” - wtrącił nagle bas gruby.

Tuż przy kadzi siedzi samotnie herold w czerwieniach, nie królewski przecie, a z wędrownych po zamkach. Rozwała się na stołku, miecz naprzód wystawia i pyta zadziornie: „Któreż to kłamią?”

„Kłamią, panie, wszystkie kobiety społem, życiu naszemu powszedniemu na ulgę.”

„Ty sam łżesz na ten koniec - bo tak każe liche rzemiosło twoje. A na kobiety nie pyskuj, bo rycerz cię słucha!”

Żaki już pochowały nosy w kułaki i parskają w nie nad tym wystawnym rycerstwem ledwie pasowanego gbura. Z gęby przecie widać: nie pan to żaden, a człek chudorodny; pełny trzos tylko odyma go w takie rycerstwo szumne. Mają bo dziś pieniądze heroldy - ho, ho! - więcej niżli kiedykolwiek miewali waganty. Bodaj to dziś rycerzom, biskupom i opatom znaki tarczowe ich przodków wy, kładąc, każdego od króla Dawida lub Scypiona afrykańskiego wywodzić! Zaś to zasadzanie się dziś panów na kupców juki i wory - owszem - chwalić. Baczyć natomiast, by rycerz nie brał takiej żonki w łóżce, na jaką mu herold nie pozwoli. Ogłupili ich przecie do tyła!

„Wiodła niegdyś Muza rycerzy i na boje święte! - myślą smętne żaki. - Hej, gdzie te czasy! Milsza dziś na zamkach heroldów Muza. Onaż to zaparła przed wagantami wrota zamkowe i opactw furty.”

Dziwi się goliard obecności takiego pana w waganckiej gospodzie i jego zaczepności od pierwszego słowa. Więc zezem baczy na skoczka. Ona zachnie się ramionami, chcąc tym pewnie powiedzieć, że go tu siłą przecie nie ściągała, komu zaś jej taniec nazbyt do głowy

uderzył, sztuki to sprawa, a nie czyja. „Takie zaś gbury - dodaje - są zawsze najbardziej przy-
lepne ze wszystkich zalotników, bo się w nich krew rusza na gnuśno: długo i cierpliwie. Więc
czekają z łapą na mieszkupelnym.”

„Ciszej mów!...” - zgrzytnie goliard. I przytwierdzi ten nakaz białkami oczu. By za chwilę
twarz poczerwieniała oburącz przysłonić.

„Ach, ty” - szepce doń skoczka grubą piesszotą.

I zwinnym rzutem wgarnie mu się w ramiona - całym ciałem, bo i nogi jego nogami jakoś
oplata, powojem osnuwa, wtula się w pierś, przyhołubia... I sączy mu w usta jeden pocałunek
bez końca - by nie miał ni czasu, ni mocy do rozmyślań nad tym, co się między nią i herol-
dem przytrafi.

Gwałtowne poszczęki ostróg i miecza dały się nagle słyszeć od stołka przy beczce. Ledwie to
usłyszysz skoczka, a ręce jej jakby coś targnęły przed sobą.

Jam wolna! - krzyknie w stronę herolda. A słyszeć się to dało niczym jastrzębia głos po lesie:
w tak ostre echa rozbijał się jej bas w pisku kobiecej pasji. - my tu wszyscy ludzie wolne!...”
Bacche!...” - dzikim wrzaskiem odkrzykną jej się rybałty na hardy wtór. I zerwą się z ław,
w górę podniosą czarki.

Gęślarz tymczasem zagonił się za karczmarką, dziewczką jak piec rozłożystą, twardą i śliską.
„Toż byś ty świerszczem grającym mógł się przytulić do tego komina!” - drwią z niego żaki.
On czyni przecie te zaloty nie dla się tylko, lecz jakby kamratom na wygodzenie i uciechę.
Bo co ona mu rzecze, on wraz na izbę okrzykuje.

„Powiada, że się nazywa Helena.”

„Czemu wszystko powtarzasz!” - zdzieli go dziewczka tęgą łapą po pośladku, aż się podegnie
wątlak.

A żaki w śmiech nad tym szumnym, z zamku, imieniem dziewczki spod wiechy. Oto jeden ko-
gucik wystawi się przed nią i recytuje jej w nos:

„Si tu esses Helena, vellem esse Paris!”

Naprzykrzają jej się te zacyzyska jak złe muchy, a przecie rada widzi, że się za nią po izbie
wciąż merdają. Każdej lubo, gdy się zalotniki koło niej kręcą.

Gdy tak żaki płocze figlują z dziewczką, przestąpiło próg aż czterech panów poważnych z krótkimi
gęślikami do opowieści. Nie od razu poznały rybałty panów żonglerów, którzy pod żaden kościół
utrudzać się nie potrzebowali, rozchwytni po wszystkich piekarniach i wierzerniach grodu.

„Bodaj to sztuka prawienia romansów! - wzdymają igrce. - Każdy z nich na świeżo wyką-
pan, nakarmion, w szatach dumnych...”

„Nie drażnić bestii!” - huknie tymczasem jakiś głos zza proga.

Rozległ się głuchy szczęk łańcucha i za chłopem w spiczastym kołpaku wwała sapliwie swe ciel-
sko niedźwiedź ogromny, aż zacuchniało nagle w izbie. Na zadnich łapach kołysze się w chodzie,
srogi i głupi zarazem z tym kolcem w nosie. Niedźwiednik szczęka łańcuchem, a drągiem usuwa
ludzi. „Nie drażnić bestii!” - doprasza się wciąż. U komina go ułożył, jakby wielkie futro z ra-
mion na ziem cisnął. Wtedy dopiero obnaży głowę i pozdrowi gromko wszystkich kamratów:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!” Taki to piękny obyczaj miał: znad Odry szedł
z niedźwiedziem swoim.

Przysiadł się do stołu, spracowaną głowę obciera z potu i rozpytuje pocziwie każdego, jak
mu też igra dziś poszła, ile Pan Bóg zarobić pozwolił. Człeczysko było spokojne, a kompan
wszystkim najlepszy. O sztuki nigdy się nie spierał.

Czyniły to tymczasem żaki z zaciekleym ferworem dysputacji - tak na nich podziałało wejście panów żonglerów. Ledwie ich uspokoił siłacz gruby; ozwał się jednak dziwnie cienko, głosem zdziwionego, rzekniesz, dziecka:

„Które żadnej igry nie czynią - żaki - rozgwarzyły się najgłośniejsz, jaka sztuka Bogu i ludziom miłsza i na jaką modłę sprawować się winna. Jeszcze mnie te żaczki siłą zechcą uczyć po łacinie!”

Nabijała się tymczasem gospoda. Zapóźnione waganty ściągały powoli. Zwlekali się kuglice z wymyślnymi sprzętami swoich popisów. Wokół stołów szastać się jeły i rybalki, których sztuka na rynku nieznaczną, a zarobkowanie po ulicach inne. Zanosilo od nich jak od tego niedźwiedzia, tylko na lepko, na słodko. To tchnienie przykrych olejków roznosząc po izbie z szelestem, wtykały wszędzie swe barwione twarze. Jawią się wreszcie i wesółki, a rozdzwonią wraz w tłumie swymi kukłami. Ich psy mądre poczną się ścigać między stołami w kręgi, w zawroty, w wiewiórcze szały; czynią to na wytchnienie swobody po sztucznych popisach rynkowych, a po trosze i dlatego, że coś z pana natury jest zawsze i w zwierzęciu jego: cieszą się psy waganckie na nową wędrówkę po gościńcach świata.

Przywlokł się wreszcie i gadkarz, ale jakiś zgoła inny niż na rynku. Sprośne przed ludźmi oblicze ściągało mu teraz znużenie w cierpką powagę; cały ciemnym płaszczem zatulony przysiadł się ponuro do towarzyszy. Na ulicach zastępowali go teraz ucieszni grodzkie. „Choćbyś im nie wiem jakie gadki wymyślał - skarży się kamratom - im zawsze ciekawsze sąsiadów sprawy; na nie każą mi wciąż składać gadki, a i szczodrymi być wtedy obiecują.” Wina pić nie chciał - bo niech groszy mało do domu z włóczęgi przyniesie, zanęka żona, dzieciaczyska zaszczypią na śmierć.

Goliard tymczasem swarzył się o coś ze skoczka. „Gdym ci taka niepoczciwa, to za co mnie lubisz?”

Nie znalazł odpowiedzi, choć po nią trzy razy do czarki zaglądał - a głęboko. Aż mu ją odjęła sprzed ust.

„Za com ci luba?” - nastaje uparcie.

Patrzy goliard na te dzikie płočky czarnych włosów gdzieś koło ucha, na te kędziorki i kosmyki wicherkowe pod uchem na śniadej szyi.

„Veneris tentoria res est amatoria - znalazł wreszcie odpowiedź - a nie było takiego magistra, który by kogo nauczył, co by mu się, miarą rozumu, podobać winno w kobiecie. Prócz cnoty, prócz cnoty oczywiście, którą Kościół kochać nam każe.”

„Gdym ci zawsze taka niepoczciwa była, to czemu składałeś na mnie one wiersze, którymi delectują się po świecie i biskupy?... Niech ci przypomną żaki!” - dorzuci z hardym wyzwaniem.

Żaków tylko tym trąć: już wyskakiwali z ław, by skłóconymi takty, jeden przez drugiego odębnić wiersze jakoweś. Nic z tego rozgardiaszu wysłuchać nie można, ledwie to jedno zdanie wyrwie się zgodnych chórem: „Nympha non est formae tantae...”

„Silentium!” - huknie na nich goliard, właśnie jak ten mnich na żaki. I pocznie czochrać się po kapturze, wyciągać dłońmi jego wisiory, zły na tę ohydę, jaką uczyniły żaki z wiersza jego.

„Wiedz, pyszna kobieto, że są godniejsze pięknych wierszy i biskupich nad nimi delectacji. Niewiasty które pacierzem, postem i jałmużną Pana Boga i świętych w niebie ciesząc kwitną przy krosienkach w obyczajach pocziwości. Tylko że onych piękno ledwie chóry anielskie wygłosić potrafią. Dlatego też grzeszny poeta śpiewać musi o podlejszych.”

Ale ona była już w pomszczeniu, więc zatrzymała myśl na ciekawości dla się w tej chwili najważniejszej. Ciągnie go za rękaw, uchyla mu znów czarkę od ust.

„Powiedz: te nimfy?... jakie one z siebie były?” Goliard był wciąż jeszcze markotny za to zohydzenie wiersza jego w odbębnieniu żaków.

„Nic o nich na pewno powiedzieć się nie da! - odmruknie na jej zapytanie. - Nie sprowadzano takich za żywa do miasta Aleksandrii, czasu Konstantyna cesarza.”

„Nie kasłaj, nie kasłaj, stary!”

„Schłysnałem się winem, niedobra! I zapamiętałaż mściwie o tym kaszlu!... A przecie mnie starym zowiesz? Czym siwy, czym krzywy? swarliwy?” „Aleś klerk: oświecony.”

„E h e u! gorzkie laury twoje, nauko, przed kobietami!... Niestarym, póki mater Venus, przy tobie tak szczodrze subsidit amori.”

„Dulcia stipendia!” - mamrotał coś do się po chwili, ledwie trafiając wargami na wrąg łągiewki. Bo chwiał się już na ławie.

Spostrzeże to skoczka, więc ściągnie mu kaptur z głowy i wstrząchnie czuprynę - by wydymiło. A sama wymknie się chyłkiem z piwnicy.

U komina urosła tymczasem tęczowa góra instrumentów sztuk wszystkich. Ten i ów jeszcze się ze swoim rozstać nie może: to w trąbkę lub piszczała zadmie, to w kocioł uderzy, rozdzwoni bębenki. Pod niskim sklepieniem piwnicy czyni się gwar piekielny wśród poszczekiwania psów rozbieganych, gdakania kur, budzonych raz po raz na kominie, i głuchego pomruku niedźwiedzia. A nad tym sabatem waganckiej gospody rozlega się w krótkich pokrzykach jakby w targaniach się pasji:

„Cztery!...” „Siedem!...” „Dziesięć!”

Po Bachowych ołtarzach przyszła kolej i na diabłowe: grano w kości.

Niejeden, zanim się opatrzył, przegrał cały swój zarobek dzisiejszy. Oto i zongler, który od szczodrej pani w mieście otrzymał najcenniejszą szatę ze skrzyni, tu się z niej rozdziać musiał. A jeszcze mu w tym pomagają żaki, zawodząc kołem:

O, fortuna!

velut luna,

situ variabilis...

Znalazł się nawet psalterz na stawkę, na co linochód aż kubek z kośćmi precz odrzucił zażegnawając się od tak bezbożnego grania.

Menestrel, że swój grosik rychło przegrał, a skarbonkę kwestarza dawno z kamratami przepił, cieszył się już tylko szczęściem innych, pogodnie swe serce przerzucając zawsze na stronę fortunnego. A że skrzat mały nie mógł docisnąć się w tłumie, więc się w swym gieżle i z bosymi nogami usadowił na stole, tuż przy desce graczy.

„Pięć!” - wrzasną mu nad uchem.

A on smykiem poddaje żakom takty. I zanuci im:

Hej, ty żaczku nauczony,

Powiedz, co jest **pięć**?

Im w to graj. Gruchną pięściami w stół, rozbębnią się w poddane takty żaczkowego śpiewu:

Pięć ran cierpiał Pan!

Cztery listy Wangelisty!

A Patriarchy Trzy!

„Dziwięć!” - przerwie im wrzaskiem gracz któryś przy desce.

Dziwięć chórów jest anielskich -

zawodzi cienko zespół żaczków.

Święciła dożynki goliardowa familia. On zaś, stumaniony winem, siedział na ławie w podokiennej nyży. Po kilkakroć wyciągał rękę po Horaca, którego wsparł było opodal na ławie; ale czy że ramię było za krótkie, czy że książka sama odsuwała się za każdym razem od garści precz - nie mógł się jej domacać. Wreszcie zapomniał o niej w durze winnym. A gdy się znów jak ta lampa rozświetliła myśl wielką z nagłą jasnością - objęła go nieodparta chęć miotnąć na poły wypróżnioną łagiewkę między te kamraty z gościńca i uciec stąd precz, do kąd nogi poniosą. Bramy miasta tego minąć, aby co najrychlej, do pierwszej furty klasztornej zakolatać - jak to nieraz już czynił po świecie - by do ksiąg zacnych w klasztorze się dostać: Virgilim znów się podelektować, od Boetiusa consolationem zaczerpnąć - a za najlepsze pocieszenie powiązać one myśli własne, które raz po raz to muzyką, to słowem wierszy wyświełają się głowie. A roi się po niej rzecz taka, na którą nikt się jeszcze nie ważył: Piekło i Czyściec, nawiedzone za żywa; mistrz Pitagor po piekle i czyścicu obwodzi zatrzymując się u bram niebieskich. Ledwie strzępy tego błąkają się w odpisach między oświeconymi po świecie - i w wielkim są wśród nich respektowaniu. Ale dalsze oto ciągi rozsypane są teraz w myślach jak te paciorki zerwanego różańca, roztargane jak to sumienie samo... Za ciszą klasztoru zawyje nieraz coś w człeku głosem psa, zaskowyczy w ocknieniu tęsknoty za swym domem prawym - osobliwie w gospodzie, gdy wypite już kruże.

A i panowie żonglerzy siedzą jakoś posepnie. Oto pochyla się któryś z nich z sekretem do goliardowego ucha:

„Gawędy dziwne słyhać było w przedwieczornym dziś niepokoju ludzi, jakowychś guseł podszepty: Jakoby po odpuście dzisiejszym błąkał się przez nikogo nie poznany - aż powtórzyć nijako... Parsifal z Lancelotem.”

Spojrzy goliard urągłiwie na tę niepewność siebie i zalęknienie żonglerów:

„Laici non sapiunt ea quae vatis sunt!” - mruknie wzgardliwie pod nosem.

Ale coś mu tam po głowie nietrzeźwej błąkać się wraz jęło strzępami wspomnień. Wzywano go dziś wszakże na graalowe szukanie. Po dwakroć. Raz czynił to człek żywy, potem zbroja niesamowita w żarzy świętego Jerzego za czarną pawężą w srebrne ćwieki. Onaż to czarę samą ukazała mu czarnoksięską mocą.

Za chwilę porwie się z miejsca i stara się pociągnąć ze sobą żonglerów.

„Chodźmyż czym prędzej, panowie, na ulicę złotników i płatnerzy! Chodźmyż, na miłosierdzie Boskie! bodaj wejrzeniem odnowić w sobie on głód dążenia... Bez tego czymże nasza dola wagancka?!...”

Zaledwie kilka kroków uczyni, a zachwieje się i runie z powrotem na ławę.

Grzbietem domaca się węgła i usadowi wygodnie, szeroko rozłożywszy kolana. Ręce splótł na poczcziwo, z klerków nawyku, jakby różaniec zapomniany w nich trzymał; zwiesił głowę nad czymś zamamrotaną. Żaki, respektu dla trzeźwego niepomne i rade, że się psota sama nastęcza, wsunęli pod te złożone dłonie psalterz, a w palce wetknęli mu organkowe fletnie Pana. I tak pozostawili go zadrzemanu. Mgławo, przez rzęsy, które zlepily się ciężko - za oćmą, za durem migota skrzydło czerwone w blasku płomienia. Zezem rozchyli goliard jedną źrenicę zeszkłałą.

„Diabelś?!...”

Rozewrze się powoli i drugie oko. I stwierdza, że herold to tylko czerwieni się u beczki skrzydłem ramienia swego.

Więc się zdrzemnął uspokojony. Alić po chwili znów mu się rozwiera ta jedna źrenica niepewna. „Strzyga?!...”

Popatrzy uważniej okiem drugim. Na progu ukazał się zjaw chyba skoczki - bo choć lico jej niby, postać zgoła już inna.

Ani tak czarodziejska różdżka nie odmieni kogo, ani tak wieszczki upięknąć nie zdołają. Jak te odmienne wymyślnych swych strojów - kobiety - potrafią się same przeinaczać, odnowić oczom ludzkim, odświeżyć požądaniom!... Wyszła z izby rybałką bosą, wróciła zaklęta w dziwo strojne... A jeszcze takiego stroju nie widziała chyba i mieszcza nawet żadna, by one krągłości niewieściego kształtu nie osłaniały się powłóczyście, oczom na domysły, lecz wypychały się niesromnie w obciążłość szaty, przylegającej do ciała samego.

Spode łba spogląda na nią goliard. Żonglerów twarze rozbłysły tymczasem; smakują ich oczy, aż strapione tym, że takiego stroju nie widziały jeszcze... Czyżby?!... Więc poczną szukać w pamięci, przypominać królów wszelakich ziemie i miasta. Komuż bo wiedzieć, jeśli nie im, wagantom, którzy na to tylko oczy po świecie roznoszą, by patrzyły na rzeczy dziwne i piękne, a więc i na te motyle, i kwietne powaby, jakimi kobiece stroje cieszą oczy i mnożą samą ochotę życia? Kto wreszcie pierwsze wieści o nowych strojach roznosi po świecie, jeśli nie oni, żonglerzy? z tą ciekawością opadają ich wszak nade wszystko kobiety po miastach. Jakże więc zapomnieć! - wyrzucają sobie.

Już, już wie któryś z nich. Ten strój najnowszy hen, skąd idzie - aż z Polski!... Od Tatarów wzięli Polacy to troczenie kobiet; tylko co u tamtych jak siodło na kobiecie się wydaje, u nich dwornością miłą i powabem się stało. A zwie się ta szata wymyślna - suknia!

Gdy od Polek do niewiast cesarstwa przeszła moda ta, na chwałę „suckenie gar feyn” rozbrzęczały wraz harfy śpiewaków niemieckich. Ba, i za Renem przytrafiło się słyszeć któregoś z wagantów wielojęzycznych:

Nulle robe n'est si belle
que souquenie a demoiselle.

I prawdziwie - gdy stary strój kobiety jak z kamienia lub drzewa ciosanymi czyni, za topole uwysmukła, ten nowy w foremność niewieściego kształtu je toczy i umiła zdrobnieniem postaci, że zwrotna jak ten ptak na gałęzi zda się kobieta cała - a każda w niej panną będzie.

Tak rozważali żonglerzy, karmiąc dosytnio swe oczy dziecinne.

„Suknia jest alheruntowa - zapamiętywali tedy uważnie - barwy maku, w popielicowych obłogach, na jędrnych piersiach białą wstążką krzepko zmotana i w pozłociste bajorki szyta. Zwinności przydaje i krótkość szaty, a i te chobotki niewieście - że jakaś szparkość tupotliwa bije do postaci wdzięcznej. W kosy jak smoła połyskliwe wwiła sobie wstążeczki kraśne, jakby czerń włosów płomykiem przewiała... Nie ma przecie w tym stroju nowym nic tak bardzo zdroznego, a i zbytowości nie takie znowuż królewskie, bo alherunt tanią jest tkaniną a w Polsce, skąd suknia rodem, nędzą się zowie. Tylko że dla goliarda i nędza za bogata. Stąd nieufności smutne.”

Gdy tak dumali żonglerzy - żaki, którym szkoła niedawna zostawiła na oczach jeszcze przyćmienie na wszelkie immunda, nie wiedząc zgoła, czy to ładne, czy brzydkie, mieli w oczach tylko świąteczność uroczystą. Uniosły się ku skoczce ręce żaków gdy wykrzyknęli po niewoli w chór aż pobożny:

„O, dilecta domina!”

Ale ona nawet nie zważa na to. Niedźwiednik koło niej się kręcił, po rękach całował i swoim obyczajem za kolana w pokłonach chwycił.

Goliardowi tymczasem przygasły oczy, a spożyły się tylko brwi pod kapturem.

Gdzież to była myśl jego przed chwilą? - chwycił się za głowę, obalamuconą zjawieniem się skoczki. - U Muz dziś pohańbionych na świecie. A przedtem aż piekła z Pitagorem nawiedzać chciała tym rozwrażliwionym sumieniem, gdy po opilstwie objęło go jak zawsze omierzenie wielkie dla całej tej goliardii żywota swego. Do klasztoru zatęsknił w wielkiej nagle żądzy ciszy i osamotnienia, by zebrać rozsypane paciorki z różańca rojeń, skupić roztargnione sumienie.

U Muz były myśli tedy: wielkie poema o czyścicu i piekle snuć dalej chciały. Zaś to ich rozpłomienienie i pęd wewnętrzny niemocen człowiek wstrzymać w sobie do woli. Tylko diabeł potrafi cały ich rozpęd w człowieku przetargnąć z ponośliwych sfer ducha w grzeskie męty spraw kobiecych. A wtedy piekło na ziemi się iści, gdy chuci niepokój uzasobni się w żarliwość wewnętrzną. Wówczas też co przypadek pod oczy podsunie - osobliwie gdy to będzie rzecz nowa - ściąga na się całą tę pasję wewnętrzną. Tak pies podszczuty wpada z miejsca w szal zażartości, gdy ujrzy przypadkiem rzecz jeszcze nie widzianą.

I oto stoi w pośrodku izby ta dziewczka, przystrojona, jak jeszcze nie widziano kobiet. Niby to w szacie - myśli goliard - a pierśmi i na tyłach wypukła, w pasie cienko spętana, szyją goła, od łokcia ku dłonom nie ma wcale - nic! Sprośność sama! - podjudza się patrzaniem - tym półodkryciem wabliwsza stokrotnie niżli ciało gołe, a wonnością olejków pragnąca się doważyć, dolechać ku ostatnim pożądliwościom mężczyzn - chyba wszystkich! - myślał. - Na psie wesele wyszła ta miłośnica jego! przez innych przystrojona sprośnym wymysłem mody w te przepychy królewskie - jemu na srom, biedzie jego na urągowisko!

Oto idzie naprzeciw niego, uśmiechnięta tym pytaniem:

„Nie pięknamż?”

Ale goliard nie widział już jej chyba wcale, bo tylko tymi nastroszonymi brwiami wyzierał spod kaptura. Przed nim stała już nie kochanka, nie jakaś tam dziewczka strojna, lecz - k o b i e t a, jedna, wszystka, szkarada sumień, matka wszeteczeństw, Babilonia wielka!

Mnich cały ocknął się w duszy.

Chwyci ją za rękę jak w kleszcz i odciąga na ubocze. Wytargnie mu się skoczka rzutem całego ciała. I już nie zdziwienie ma w oczach, ale głęboką pogardę nad tym gburstwem, które pięknie przystrojoną kobietę tak oto targać śmie. A gdy zgromi chyma wejrzeniem, rączkę swą dokładnie obejrzy, czy nie zadrapaną.

„Przystroiłam się tak dla cię - rozzali się niespodzianie - aby i tobie na sercu dumniej się stało, że nie skoczkię lichą masz...”

Jęła poprawiać markotnie te wstążki na piersiach zmotane.

„Nigdy nie zgadnąć, co cię uraduje, a co utrafi sumienie - osobliwie po winie. Przykre masz serce.”

„Kto ci te szmaty kupił?!”

„A gałów tak srodze nie wytrzeszczaj! bo ja się i dominikańskich nie boję, gdy tańczącą na rynku tak mnie przez ślepie swoje piekłem straszają.”

Wstrząśnie hardo głową: warkocze na plecy odrzuci.

„A piekło toś sobie sam w duszy nagotował myśleniem. Innego pono nie ma też wcale. Po co ty wszystko tak przemyśliwasz? czemu się tak dręczysz, człecze? osobliwie po wychmieleniu.”

„Ktoś te szmaty kupił?!...” „Nie ty podobno. Ale niech ci to serca nie kazi. I nie herold. Więc w tamtą stronę darmo białka przewracasz. Ktoś inny, jeśli cię to mniej zasmuci... Chcesz, bym w worku chodziła? Wolisz mnie półnągą na rynku niżli przystrojoną dumnie? Wolisz? Prawdziwie?!... Widzisz: boś przywykł do dawnych zazdrości niczym koń do starego zaprzęgu; jużes sobie w nim i brykał, szydził ze wszystkiego trefnym słowem, mądrył się w życiu! Każda nowa zazdrość jest najgorsza i zupełnie psuje wam rozum.” Pocznie łądzić te wstążki w końcach warkoczy. „Jakiś ty luby przy czarce i jaki mądry przy starych zazdrościach! I jaki durny przy wszystkim, co nowe!... Ach, jak ja nienawidzę tych kajań się twoich! - Chwyci go nagle za płaszcz na piersiach i odepchnie od się precz. - Nienawidzę!... Czemu ty nie umiesz cieszyć się naszym życiem wolnym - całym? A nie tylko tymi chwilkami, gdy się do mnie na lubość przyłasisz i na drugą do wina przyśmiejesz. Wtedy ci tylko świat piękny. Nie cierpię! Nędzne to życie - połową serca załedwie.”

„Lub może - podejmie za chwilę - może ci się przy winie zroiło, pocie, żeś pan radca miejski sam i że masz własną żonkę pod pierzyną? Zapomniałeś przy winie, że mi za pyszny baldachim twego łoża przy świata gościńcach nierzadko tylko te gwiazdy po nocy świecą, a raniem ptaki nad głową polatują. I wiedzże - kładzie mu już śmiało rękę na ramieniu - pokochołam ja te przepychy nasze, ale razem z wolnością moją... I nie dośćże ci, wagancie durny, że ja bym za tobą i na ostatnie gościńce poszła? a i z królewskiego łoża! Tylko nie mniemaj, że mi tęsknie od złotej gdzieś niewoli w twoją nędzarną.”

Zrzedła goliardowi mina. A i ona w łagodność większą wmówiła się swymi słowy. Ściągnie mu znowuż kaptur z głowy, wstrząchnie czuprynę.

„Wydymiło wino, wydymi i ta siarka piekiel ze łba, wysuszą się łzy kajania. Będziesz mi jutro po dawnemu trefny przy winie. I mądry! - Klepie go po twarzy, a błyska okiem, czy mięknie. - I luby!” - dodaje pieszcząc go paluszkami po policzkach.

Nie zmiękł, ale opadł jakoś w sobie - w nazbyt jednak smutną rezygnację i bezradność wejżenia.

Tym ci bardziej zachnie się ona na to:

„Musiałam ci się w głębi duszy nazbyt podobać w sukni. Więc mnie zanękasz teraz tym nosem smutnym!” - Targnie mu nos ku dołowi.

„Kobieto, Bóg mi świadkiem, że nie o tobie myślę, gdy mi zejdziesz z oczu. A najmniej teraz, zanim weszłaś. Po stokroć, nie o tobie!”

„Ale przeze mnie! - nastąpi nań hardo. - Bo wiedzże na koniec, czemuś to mi luby mimo wszystko: i sercu, i głowie, i dumie mojej!... Owo że tak pięknie roisz przeze mnie, że się tym delektują oświeceni na świecie szerokim - a i biskupi po pałacach swoich... Może nie tylko przeze mnie?” - pomiarkuje się niespodziewanie, zerknąwszy na dzbany wina.

„Prawdaż to?!” - pytał głucho, jakby siebie samego, wiodąc okiem za jej spojrzeniem.

I opadł na ławę, ukrył twarz w ramionach na stole:

„Vae meae menti!”

A ona tym szamotaniem jego sumienia już do pasji dowiedziona poskoczy za nim do stołu; jedną nogą na ławie przykleknie, ogarnie ramieniem kruczę wielką, przytuli się do niej pierśią, warkoczami omota.

„Patrz na nas obie - woła - pogłaskaj jak wprzód!”

I uderzy w śmiech swój basowy nad tą utrapioną głową - a zabawia palce długimi jej kędziory. Zapatrzą się w ten obraz zonglerzy.

Lecz ona zniecierpliwi się niebawem i za te włosy Podejmie mu głowę. I by policzkiem do twarzy mu się przytulić, na stole się oto cała w podłuż układa: uwypukla oczom tę pyszną kruz bieder swoich. Gdzieś obok siebie domaca się czarki i podstawia mu wprost pod wargi - niczym dwa kielichy - i czarzę, i usta swoje.

„Pij! - woła. - Całuj! - wyzywa. - Radujże się, człeku, z życia, że prócz lubości dla się, jeszcze i szczęścia nadmiar wypijesz, wycalujesz ludziom oświeconym na szerokim świecie! Gdziekolwiek kompania zacniejsza się zbierze, tam twoje wszak pieśni śpiewają przy krużach? Gdzie się dwoje niegburów kocha, tam twoje pieśni szepczą w całowaniach?... Kochaj, więc, jak my tu wszyscy, nasze sztuki wolne! I razem naszą dolę wagancką - ze wszystkim, co na niej twój diabeł uwiesił. I nie wierz w mnichów upiory. Nie ma diabła! Nie ma piekła! Nie ma grzechu! krom w twojej udręce i zrojeniu.”

„Nie ma piekła? nie ma grzechu? - powtarza goliard jak ze snu. - Gdy wszystkiego już dla cię nie ma, duszaż to przecie zostaje, wieczna - dusza nieśmiertelna! I w tobie.”

Poderwie mu się przed oczyma, lecz półciałem tylko jak ta ryba. I tak nań popatrzy. A potem trąca go kułakiem w czoło.

„Nieśmiertelna!... Wieczna! - przedrzeźnia. - i zaroilaż się ta głowa utrapieńca nad wiecznościami! Jestże gdzie wieczność? Wiesz na pewno?”

„**Kobieto !**” - szarpnie się w tył.

Ale daremnie: mocno ogarniała go ramieniem.

„Byś patrzył teraz na mnie, a widział, jak ja ciebie chcę w tej chwili, a czuł mnie całą do ciepłej skóry, krzyknałbyś mi to w usta - niemą wargą! A chwyciwszy w ramiona, poniósłbyś mnie na gościńce wolne - zaświstałbyś ludziom na szyderstwo z cnoty wszelkiej - zagrał na piszczałkach pani Wenus samej - jej na chwałę zaśpiewał pieśń!... Z lubością powtarzać ją będą oświeceni po szerokim świecie... A gdy się zmęczymy szczęściem, splatać ci będę w słońcu u źródła wianek tej jednej wieczności, która jest. Ja ci ją dam - nie kościoły.”

„Satanassa lubrica!...” - zagrzmie nagle jak w kościele, aż się strzęsło coś w ludziach.

Lecz w tejże chwili zerwali się wszyscy z ław. Goliard, nie wiadomo kiedy i jak, wśmignął się było na stół; już kolanem jej piersi przygniata, łokciem szyję. I szamocze się z czymś w dłoniach. Usłyszą twardy w zamku chrzęst waganckiego noża. Ciało dziewczyny trzepie się już zawczas na stole niczym ryba na desce.

Wrzasną rybałty jednym krzykiem. I rzucą się ku nim. Bóg łaskaw: w porę jeszcze dopadli. A gdy ją mściwość docuciła rychło, goliard, obstąpiony przez kamratów, z sztychem heroldowego miecza przed piersią, zdał się całkiem pomieszany. I bełkotał tylko wciąż:

„Piekła nie ma?! Duszy nie ma?! Wieczności nie ma?!... Dziewka nad kościoły!”

Ona tymczasem ledwie nogi na ławę opuściwszy siedzi na stole i wybłyska przekleństwem spod rozkudłanej głowy.

By uspokoić sumienie swoje i gromady po tym, co tu słyszano, przystąpi do niej linochód i rzeczce rozważnie:

„Goliard bredzić może z winnego duru lub zazdrości. Byś się oczyściła z tego, coć przed nami zadał, odmawiaj tu gromko dla wszystkich **Wierzę**... Inaczej - zwraca się na izbę - z kimeśmy się szkaradzili, kamraty?!”

„Odmawiaj!... Powiadaj!...” - wołają jeden przez drugiego. A linochód stoi nad nią z palcem wystawionym ni ten mnich karcący.

Plunie mu skoczka w gębę. I wionie jak kot na środek izby.

„Jam kobieta wolna!... Mea sum!... Nikomu na się nastawać nie dam!” „Odmawiaj! Powiadaj!”

Wyszarpnie się im; a pojmana przez innych, wytarga się, wyszczypie im z rąk.

„Baczież tedy, co wam odmawiać pocznę, wy nędzne... wy...!”

I odsadzi się pod komin, by ją wszyscy dobrze słyszeli - już furia w płomieniach buntu:

„**W Baccha wierzę!... W panią Wenus wierzę!...**”

W izbie wszczął się ryk jeden i zakłębienie tumultu. A nad wszystkim grzmiał głos linocho-da, by ją z miejsca w kominie powiesić.

Goliard już nie wiedział, zali prawdziwe rzeczy ogląda. Herold, zda się, swym baniastym ramieniem jak skrzydłem czerwonym ją ogarnął - i okrutnym blaskiem spod tego skrzydła od-groził od ludzi.

Ale wszystko wino dzisiejsze, przypomniane znów wzburzonej krwi, objęło go znów zamro-czeniem nagłym. Rozchwiał się po izbie, aż się rękoma beczki w kącie domacał. Osłabłe nie uczepliły się jej krągłości - zwałił się głową między dzbany, lampę oliwną u kurka potracił i zamotał się cały w jej swędy i dymy.

Ciemność zaległa piwnicę.

A w tym runięciu o ziemię zdało mu się, że jakowaś zamieć gwałtowna wstrząsnęła domem całym. Przez komin stacza się coś z łoskotem, spada a tupocze o głuchoe mury. Z owisłej na izbę czeluści dymnika zwała się na żuźle komina koźlisko czarne o skrętnych rogach. Jed-nym targnięciem przyodziewku obnaży się skoczka całkiem. I dosiędzie onego kozła. Spina go białym udem, piętą daje ostrogę - i wzlatuje na nim w rozwartą dymnika jamę; turkocze okrutnie po murach w kominowym pędzie. A na izbę buchnie dym czarny i wyblęsną na wsze strony żółte języki siarkowego ognia - aż rybałty wszystkie złote mieli twarze i zielone oczy. Ale już nie ruszał się nawet - rzeził tylko u beczki.

* * *

Lekarza nie trzeba było szukać daleko, bo gdy się ściemniło i dobrych chorych nie stało, prze-niósł się sprzed kościoła ze swymi worami i w drugiej izbie tejże gospody leczył podlejszy naród. Rad był tedy i on, że go od smrodu tych kalek odciągnięto między weselszych cho-rych.

Oto ledwie próg przestąpił, roześmiały mu się oczy do pstrego ludu rybałtów. Wysoko podjął z czoła kołpak.

„Witajcie, mistrze!”

„Witaj, dobry lekarzu!”

Obstąpią go kołem zgiełkliwym. Kiwa lekarz głową wyrozumiale: wie dobrze, jak srodze al-teruje choroba płochy naród igrców, a cóż dopiero zjawienie się osoby tak poważnej, poprzed-nika księdza z wiatykiem: lekarza. Więc choć niewiele słyszysz w tym gwarze, potakuje wciąż siwą brodą:

„Wiem, wiem - na pamięć umiem, co się między rybałty przytrafić może. Pił któryś z mi-strzów nad miarę głowy? - i ustrzeliło! Diabły mu się przed tym zwidywały? - no! Dziewka była w robocie? - oczywiście! Uciekła z heroldem? - bywa! wasze kobiety lubią uciekać...

Ciężka afektacja serca na pijaną głowę - niedobrze! Człek pijany spokoju szuka - pod ławą. Gdzie on? Tam do licha, goliardus sam!... Oo! - pochyla się nad nim - uciekła?!...”

Lecz gdy chorego za puls ujął, zrzęła mu mina natychmiast.

„Okna mi wszystkie natychmiast otworzyć!... Worek z nożami przynieś mi który co tchu... Biegaj! Tu mi go dawajcie, na ławę, bliżej światła... Chłopcy, źle jest.”

Przycichły natychmiast rybałty, jakby makiem posiał.

A lekarz mrucał w brodę; bardzo mu się nie chciało krajać z wieczora, a i dzień świętego Floriana nieosobliwy na krwi puszczenie. Ale trudno: rzecz nagła! Wytrząchnął tedy z worka swoje narzędzia, znalazł nóż potrzebny i wecuje go gniewnie o kamień. „Garnczek mi tu jaki! - mruczy. - A, jezdeś!” - postrzega teraz dopiero dziewczkę, która z garnczkiem pod krew i lampką w dłoni już klęczała u ławy.

Bilo rude w dymie światło oliwy na rozciągniętą postać goliarda, złociło siwą brodę lekarza i czarny jego kołpak, padało wzwyż na pstre spiętrzenie rybałtów, którzy powłazili na zydle, ławy i stoły, by patrzeć z biciem serc na tę rzecz srodze poważną: zachorzenie człecze.

Linochód wziął było złą wieść najgłębiej do serca; kroczył ponuro na uboczu i mrucał do się:

„Czym dla mnie lina w powietrzu, dla niedźwiednika bestia, tym dla poety kobieta. Wielkie niebezpieczeństwo dla ciała i duszy jest w sztuce każdej.”

„Prawdę rzekłeś, mistrzu! - przytakuje lekarz, oglądając swój nóż pod światło. - Prawdę rzekłeś! Osobliwie w sztuce lekarskiej, która jest oddawaniem swego dobrego zdrowia niedołączom, a współczującej duszy chrześcijańskiej diabłu bezlitości. Bo w naszej sztuce zbędziesz z czasem litowania wszel... Zaciął. Chlusnęła krew i zabulgotała w garnku.

„Jezus Maria, zarznął człeka!” - wrzaśnie w tej chwili dziewczka.

A lekarz ją z miejsca w pysk, aż się obali, klęcząca.

„Czego ryczysz, krowo, kiedy nie ciebie rzną?! Trzymajże tam który garnczek, bo nas tu wszystkich zabluzga.”

Nie wytrzymał na sobie widoku krwi nierycerski naród rybałtów. Porozłaziło się bractwo po izbie, a w gawędach odwodzi usilnie myśli od przykrego widoku.

„A wszystko to sprawiła ona suknia z nędzy. Och, te stroje kobiece! Ciekawość, który to właściwie tak się na nią wykosztował?” - rzucił jeden z nich pytanie.

I zakotłowało się nagle wśród wagantów; poczną pozierać podejrzliwie jeden na drugiego, aż cisza tego pytania zawiśnie w powietrzu.

Niedźwiednik skrobał się frasobliwie w swój lniany łeb. Obsiadły go rybałty jak te osy.

„Ty, niedźwiedziu tkliwy! Uważ: tyżeś ją na tęskliwości swoje pięknie obłóczył, tym ci milej inny ją teraz rozdziewa - akuratnie jak w małżeństwie. I nie dośćże ci było jednej bestii? Pół świata z onymi szmatami schodził, nim ją gdzie znowu w jakiej bandzie igrców odnalazł.”

Lekarz przy chorym zaciekał się bardzo, o czymże to rozgwarzyły się tak rybałty. I nagle zamacha ręką.

„E! e! e! jednemu ona Mużę, drugiemu kochankę, trzeci ją aż w suknie stroi, czwarty na noczkę zabiera, dziewiąty pewnie mężem być się szczyci, a jedenasty wiesza się z desperacji, że go poniechała nawrotem do dziesiątego. E! e! e! tego i święty Piotr na Sądzie Ostatecznym nie rozwikła, by każdą duszę z osobna za jej przewiny zważyć. Więc w księgę niebieską zapisze w desperacji ryczałem: robota jednej kobiety wśród rybałtów - pięćdziesiąt dusz potępionych!... To nie śmiechy! Znaczy to, że dola wasza ziemską i w wieczność za wami pój-

dzie: że i w piekle nawet żaden z was sam sobą - jak inne dusze grzeszne - nic znaczyć nie może, lecz w jeden snop związanych przerzucać was będzie diabeł widłami - jak i w doczesności waszej, jak owo i teraz, na ziemi.”

Nudził się lekarz przy pulsie chorego, więc po chwili znów ich zaczęła rozmowa:

„No jakże, rybałty, wyklóciście do końca wasze swary: która sztuka i czyja Bogu i ludziom miłsza?... Nie dawajcież się, kuglce, zawsze w tych sprzeczkach ciche!”

Ale przerwie mu tę gawędę lament dziewczki u kolan:

„Dosyć już tej krwi, dobry lekarzu! Na miłosierdzie Boskie, dosyć! Baczcież, już się goliard rucha.”

„Zaprawdę, już się ruszać poczyna!... Tylko czym ja go obwiążę? - Począł się obzierać naokół. - Gieźło swoje zawczas przyniosłaś? No, toć się chwali. Są i pocziwe na świecie.”

Imał się tedy tłumić krew ostrymi prochy i korzeńmi, zacierać ranę chlebem z pajęczyną i omotywać szyję chorego szmatami z koszuli. A przy tej robocie spoziera zezem na grubą dziewczkę i tak do niej gwarzy:

„Przytrafiają się i pocziwe na świecie - osobliwie wśród otyłych. I ta, niesyta żołnierzy, matrona z Efezu, także dobra była! Im ogromniejsze w was one tęskliwości cielesne, tym się z macierzyństwa żądzą żarliwiej w sercu waszym płaczą - że gotowieście zawczas matkować światu całemu. Najlepsze są, które rade i łatwo rodzą: wiedzą o tym lekarze. Które zaś ciężko, cierpkie bywają i samolubne z natury swojej - dla miednic wąskości. Najgorsze zaś jałowe. Te są niuchem in venereis zawsze niespokojne, zradne i bodliwe: o tym wiedzą i pastuchy. Tak to zło i dobro wasze, kobiece, nie w duszy jak u nas. Stąd wątpienie stare, czy macie ona i czy możecie być zbawione.”

Opatruje lekarz chorego. Dziewka klęczy wciąż na ziemi z garnczkiem krwi w jednej ręce, a z lampką w drugiej, i słucha oczyma i gębą, jak też to człek uczony nad nią prawi. W dymnym świetle oliwy zda się twarz goliarda jak wśród kadzielnic okrzepla i żółta jak na katafalku. Gromadzą się znowuż naokół rybałty, włączają na zydle, ławy i stoły, by spojrzeć na on cud sztuki leczenia: na wydartego śmierci człeka. Słyszać było i pochlebstwa żaków.

„Doctor miraculosus!” - szepczą w tłumie.

A te ich szepty w rozgwar podziwu zamieniły się nagle, gdy goliard przysiadłszy na ławie, zażądał kęsa chleba - kto po chleb sięga, ziemi się chwyta. Tylko widok potem towarzysza, jak oto żuje smutnie kromczynę jakowąś bez okras, a i nuży się co chwila przy tej robocie dziecka - dziwny obraz zanękania i bezradności życiowej - goryczą i żalem wypełniły serca kamratów. Obsiada go kołem, każdy wtyka mu jaki kęs z sakwy, proszą, by się dobrą myślą całkiem ozdrowił. Nie dziw, że mu wino tak rychło uderzyło do głowy, skoro je wlewał w puste kiszki. Dziewka już tam warzy dla niego na żużlach komina polewkę krzepiącą. Żonglerzy tymczasem, jako towarzysze najpoważniejsi, przysiedli się doń na ławie i skrzepiają słowem: żyć winien, potrzebna ludziom sztuka jego.

„Komu?” - pyta goliard z gębą pełną chleba.

„Choćby kamratom wszystkim. Żaki jak mlekiem żywią się nią. Wszystkie gęśle towarzyszy ton jego wszak stroi. Na nic i powieść każda, której nie przoduje ton poezji.”

Dziewka tymczasem podnosi mu do ust łyżkę polewki z garnczka.

„Na!”

„Bóg zapł... Dobra!” - Uśmiechnie się szeroko za Pierwszym zaraz łykiem.

Co widząc, lekarz wskazał go wszem wobec jako dzieło sztuki swojej.

Tylko linochod kroczy jak bocian po izbie. Śmierć już po raz drugi tego wieczora przewiała nad gromadą, jemu jakby na złą wróżbę i przestrożę, by zawczas szukał doczesnego i wiecznego bezpieczeństwa w klasztorze.

Jutro będzie znów zawisał nad wieżami grodu jakiego, tyle mając dla się oparcia, co tej liny pod stopą. Dołem huczeć będzie gawiedź i strzelać w górę conceptami. A śmierć płaszać znów pocznie tuż za nim po linie i naszeptywać w ucho...: „Posłuchaj, jak klaszczą. Spójrzże na dół, uśmiechnij się, ręką skiń, ich przymówki conceptem odparuj: na rynkach lubią przymiżgi takie, w ich oczach lekkości nada to kunsztowi twemu. Gdy tego zaniechasz, lubić cię mimo wszystko nie będą; a gdy skończysz swoje, pies się o ciebie nie zatroska... Nie chcesz? Wolisz swą sztukę w powadze czynić...? Zatocz tedy okiem wkoło: pod tobą miasto całe! Nie chwyta cię zawrót nad tym, na coś się znowu ważył?... Nie śmiesz nawet patrzeć?... Więc poza siebie obejrzyj się czym prędzej, bo kochanie twe, w życiu niegdyś, najmocniejsze, tu cię dogania po linie, pewnie w złych przeczuć lęku, by cię pożegnać w tej chwili może ostat... Słysz, ten huragan oklasków! - za to, żeś się zachwiał tak okrutnie, a nie zleciał przecie; że znów suniesz dalej z oczyma utkwionymi w dal...” „W imię Ojca, Syna i Ducha!... Ni pod się, ni od się, ni poza się, a tylko przed siebie, przed siebie wciąż! - ku tamtej wieży - gdzie cel!...” „Spadasz?!... Leć, na łeb na szyję!”

A tu śmierć, przewiawszy wróżbę i pogrozą nad płochymi głowami tych igrców wszystkich, nie grozę zostawiła po sobie, lecz oto jakby większe jeszcze ciepło i przytulność wśród nich. Zadomowienie dobre ogarnia nawet tych wagantów w gospodzie przydrożnej. Chce diabeł, byśmy kochali życie całą przytulnością serc naszych.

Zaś to Ignienie do chwili by najlichszego istnienia tak wypełnia piwnicę całą, że owo i ten zapach beczki a wyszynku jakoweś macierzyste ma w sobie wonie: rzekniesz - łono spokoju i wytchnienia. Owiało to, zda się, nawet te kury na dymniku. Ocknie się raz po raz któraś z nich, strzepnie piórami, strzyknie na izbę i rozepchnawszy sąsiadki, usadza się lubo na zarzemanie otuchy pełne. Tam zasię, w złotym blanku oliwnicy, rozgwarzyli się ludzie: serdeczne, rzewliwe głosy w przerywanej wciąż gawędzie i ciszy - jak to przy chorym, gdy się leki w nadzieję obróca: tak gwarzyć rada otucha człeczka. Ledwie śmierć skrzydłem swoim musnęła izbę- myśli melancholik - a tu stworzenie każde zatula się ufnie w to ciepło życia, którego jutro może już nie będzie. „Strzeż nas, Panie, ode złego.”

Lekarz był rad z uzdrowienia goliarda, a i połechtany pochlebstwem żaków. Uśmiechały mu się oczki nad siwą brodą i zacierały ręce, gdy krążył teraz koło pustych stołów, zaglądając daremnie we wszystkie dzbany.

„Stągwi sześć, jak w Kanie galilejskiej!...”

Dostrzeże to dziewczka i już z krużką a czarką biegnie od beczki.

„Znowuż ty! - Uszczypnie ją lekarz w policzek. - Ty jedynie pomyślałaś nad tym, co się należy utrudzonemu. Należy pocziwą ręką. Ze wszystkich kobiet tego miasta ty jedyna nakarmiłaś wędrownego poetę. Tego ci święty Julian, patron wędrownych, nie zapomni w życiu... W twoje dobre oczy! - przepił. - Należy i drugi raz. A goliard niech ci się wierszem wywdzięczy: szczęście w miłości przynosi wiersz poety, gdy komu przypisany... W twoje!... Możesz nalać i trzecią. Gdybym miał syna, szepnąłbym wyrostkowi o tobie. Przy innych złądaczyc może łatwo i na waganty zejść, zaś na takich piersiach - kładł jej rękę na tej dyni - jak na łonie matki ziemi, ucłowieczy się tylko młodzieniec i tą się myślą zawczas ustatedzni, że my chwilą, a trwaniem syny, wnuki...”

Tę jej perorę powiedziawszy nad piersią obfitą, wyjął jej dzban z rąk. „Odejdź, odejdź lepiej, bo, stary, przy winie lubię Oceanidy takie!”

„Hu, jak grzeje od tego pieca!... A wiecie, chłopcy - wołał do rybałtów, nalewając sobie następną czarę - wiecie, czemu taka przytulność i zadowolenie w dobrej gawędzie ogarnęły was z nagle w tej izbie? Sprawił to onego łona wiew na izbę całą. Aura feminae!... A właśnie waganty, którym jej brak najczęściej, tak jej mocno ulegają i bez wiedzy dla się. Gdyby wszystkie były jak ona, nie byłoby wcale wagantów na świecie. Każdy by gdzieś przylgnął, gdzieś zażył i rozmnożył się jak ten Abraham.”

A wśród śmiechu rybałtów małe oczki jego znad brody baczą wciąż na dziewczynę.

„Darmo ty się za tym gęślarzem wciąż oglądasz - odgadł wraz swoje. - Jemu ani ty, ani żadna inna w głowie pogodnej. Im pogodniejsza myśl, tym wolniejsze serce, a ciało przy kobiecie wróbelkiem wtedy: dla ciebie to na nic!... I upodobał sobie taki ogrom baby chudzinę mizerną, którą trzepie po zadzie niczym dziecko swoje. Choć taki dziś jeszcze w świąty pójdzie, a nigdy może już tu nie wróci; nie zbrakłoby, widzę, mleka synowi jego - ani pracy rąk twoich robotnych, myślę - ani pazurów ku dziecka obronie... Nie becz!”

Aż jej głowę do się przytulał. „No, nie rycz, nie rycz, sieroto! narodzisz się dosyć w życiu: napłodzisz potomstwa jak dynia pestek.”

Na stojący załatwiał się lekarz ze dzbanem. Za każdą tylko czarą obracał się do najbliższego z rybałtów i klepał go po ramieniu. Uśmiechali się doń wszyscy, rozumiejąc, że człek to pogodny, który luba ludzi. Dajże mu, Boże, jak najdłuższe zdrowie!

Wyświecały się po tych czarkach policzki starego, gdy coraz to żwawiej igrały myśli w oczkach stulonych.

„Szkoda, że tę skoczkę waszą już diabeł porwał! Chętnie bym z nią tu pogwarzył. Mądra musiała to być kobieta! Prawdę powiedziała ona wonce na ulicy: nie masz między wami ostatnich!... Niejeden skoczek, bywa, w żarliwej chwili ukochania igry swej, ptakiem się poczuje, skrzydeł u ramion przed Bogiem i ludźmi dostaje. A toć jest wszystko! Jedna jest boska igra z ciężkim smętem życia... Bo zważcie: iluż to żonglerów duch skrzepiał ciała na boje rycerskie?! A iluż to skoczków i wesołków swawola podbijała ciężkiego w osmętnieniu ducha na drogi zwawsze?! Lekarz wam mówię: zmory świata, acedii, wy pogromcę! Smutek nierządny połową ludzkości piekło by zaludnił; - chytry jest tedy jej obrachunek, by was, nie-liczne życia orędowniki, na swe miejsce tam wysyłać. Diabeł ma być tak oszukany, bo za połowę człowieczeństwa, która mu z prawa zawsze należy, was tylko dostanie - i to w jednym snopie: nie bardzo się tym nacieszy.” Koło rozpromienionych twarzy otoczyło lekarza. „Co więcej wam rzekę, chłopcy: na wdzięczność przez was dusznie uleczonych nie liczcie! Lekarz wam mówię. Gdy na nich zstąpią życia trwogi i nędze, pierwsi potępić was będą... Ot, jak wy tę panią Muzę waszą, którąście, słyszę, w kominie wieszać chcieli.”

Na twarzach rybałtów odbiło się nagle skłócenie niepokoju. Tylko te żaczki, sumieniem płocne, a uwagą czujne jak szpaki na to jedno słowo: „Muza” - zakłębią się wraz koło lekarza. Prawdą jest, co o skoczce powiada! Panią tu ona Pośród nich była. Przez nią i skoczki wyżej skakali, i piszczki bardziej cienie wyciągali nuty, a huczniej w bębny swe bili! I niedźwiednik dla jej pochwały tak groźnie ze swą bestią poczynał, że niemieli widzę. I linochoda, gdy w ostatniej chwili truchlał, bywało, o nie rozgrzeszoną duszę, ona wpędzała pogardą na linę między wieżami. A żonglerzy? Niech ją ujrzą tylko w krasie nowej szatki, a płótno zgrzebne na jej piersiach bisiosem dla nich się staje, „nędza” złotogłowiem: rozślawią w powieściach

ten jej strój, roz tęsknią ku niemu kobiety. (Od dziś na przykład, gdy rzecz się stała wiadoma, każda tylko o sukni roić będzie.)

Na tę pochwałę zerwie się nagle niedźwiednik spod pieca:

„A wyście to, wyście wieszając ją chcieli” - krzyknie nie tyle gębą, ile tym kułakiem podstawionym pod nos linochodowi.

Zagarnie lekarz ten kułak i trzyma w swoim dla uspokojenia.

„Owoż tak jest i z igra waszą pośród ludzi - zwraca się do rybałów. - Raz po raz wieszając ją chcą u kramów lub pieców... I dziwić się im, gdyście to sami uczynić chcieli z igry waszej panią!... A jeśli ona - jak zaprawdę myślę - czarownicą była?...”

Tu już w ruchach rybałów odbiła się ponura niepewność; otwierały się usta, nie wiedzące, co rzec. I tak milczało wszystko w frasobliwości sumień.

A i sam lekarz wgadał się w gorliwość. Choć przycichły na chwilę, kroczy po izbie, z rękoma w tyle splecionymi, błyska przenikliwym Okiem na waganty.

Wreszcie staje przed nimi. Każdy czuje, że rzuci w tej chwili słowo na hazard jak kości.

„A że was tak zło samo przez igrę z życiem ku wyzwoleniu serc człecznych wiecie, a dusz ich odkupieniu z piekieł - tego wam żaden klerk rzymskiego Kościoła nie wytłumaczy. Bo nie wyzna Kościół rzymski, że zło światem rządzi, jako że zły Bóg go stworzył. Dobry Bóg w niebie mieszka i ku niemu nasze tęsknoty. Ale działania nasze na ziemi ziemską stoją podniętą, pokusą i pchnięciem: nie z niebieskich krynic pijemy życia ochoczość... A kto wszystkiemu złu uchylić się pragnie, bierze na się najcięższe jego brzemię: smutek nierządny!”

Pojrzawszy na ludzi, strzymał słowa swoje i jał znów kroczyć po izbie. Odprowadzają go tam i sam nazbyt już podejrzliwe oczy rybałów, baczące na ruch jego każdy. Aż się zmieształ stary,

„Podejmcież goliarda z ławy. Niechże rzeknie co, gdy już gadać zdoła.”

Lecz on już się sam podźwignął było w zasłuchaniu - o żaków dusze był goliard zawsze bardzo zazdrosny. Rozpoczął wszakże nie od tego, o co go tu nagabywano. Głos zasię miał zrazu bardzo słaby:

„Niedobrzem czynił narzuciwszy się wonce na rycerzy. Nie o kęs lepszej doli i ludzkiego uważania oszczeniwać mi się było na rynku jak temu psu o gnat... Dotknij, lekarzu, piersi: zbyła dawnej gorącości, dla której wszystko z życia było owo - psim gnatem ledwie, bo substancji dla się szukała tam!...”

Wyrzucił ramię w górę jak ten mnich na kazalnicy.

Stropił ten gest srogi żaków; ku niemu kierują teraz swe oczy. A on zbliżając się ku nim, targa na sobie płaszcz i szatę - wystawia pierś nagą jak ten pokutnik przed ołtarzem.

„Czuję, zbyła dawnej gorącości w łaknieniu! Stygnie w niej on płomień dążenia ku rzeczom, które są z ducha!... Za was to - żaki! - pierś swoją lekarzowi wystawiam, skoro nas tu nowymi nauki zleczyć pragnie. I jakież to użyźnień moce? jakie soki? jakie skrzepienie obiecuje on jabłonkom dusz waszych młodych, by przed się nie zakończyły na okwiecie? Wiaryż to kielich przychyła wam do ust? Dumy skrzydła przypina wam do ramion? Wzwyż porywa? - nad te śmietniki i gnaty, jakie jeno zostawili nam ludzie w życiu... Inny on tu z diabłem kadył dla was lek. Na zapału stygnienie w piersiach - zło i grzech jawny - za gryzącą kauterię na serce?!”

To spadło już na głowy żaków jakby z kułaka pokutnego kaznodziei. I spłoszyło ich całkiem. Już nie oczy, a dusze młode kierują się za goliardem.

Co widząc, lekarz czym prędzej zlekceważyć stara się go przed nimi. „Chociażes ty dysputacji artysta, widzę, i od paryskich może mistrzów spróbuję ja się jednak i z tobą” - myśli. Więc rzecze z umysłu niedbale:

„Gryzie cię, mistrzu, nade wszystko sumienia nęk za to wszystko czegoś zaznał przy skoczce. Tylko że z nim do żadnego udziałania w życiu nie dojdiesz, ledwie pod klasztor się do-wleciesz. Moja zaś troska, lekarza, o życie. Od ciebie ledwim śmierć przepędził, z grobu mi gadasz... Baczże: gdy ty się tu z panią śmiercią na ławie pieścisz, na ulicy przed gospodą zebrało się już kilku z acedii dziś uleczonych. Na ich czele murarz kościołów, a mistrz kamieni żywych, czeka tam z worem swych narzędzi. I ja tu, lekarz, z wami. Zgoła cały nasz ordo vagorum zbierze się do świtu.”

I wmiast kułaka mniszych pokajają, rozwartą dłoń wesela wystawi przed żaki:

„Pójdziemy, waganty, za naszym przeznaczeniem szukać corde jucundo, co w smutkach wciąż gubią osiadli! Poza życia radością cóż by to było, powiedzcie mi, towarzysze? Czegóż to szuka po świecie nasz ordo?... Śpiewał nam tenże goliard, gdy mu zło bodaj gorętszą krew czyniło - śpiewał nam:

„In secta nostra scriptum est: Probate omnia!” To znaczy: bierzcie w pierś ochoczą wszystko, cokolwiek życie niesie, dobro i zło społem - i na wszystko się ważcie lekkością ciała i ducha wolnego! Owóż i skrzydło zapału, które porwie za sobą chmury wszystkie z życia skał, aż pociągnie za wami i rozum rozumnych, i roztropność roztropnych. Bo i do onych ociężalców roztropności, do doktorów a wnikaczy w świata tajemki, zwraca się goliardowe słowo: nad wszystko, co z ksiąg wiedzieć możecie, nad Aristotelesy i Tomasze, doświadczcie wszystkiego, wnikajcie we wszystko, na wszystko się ważcie zuchwałością ducha wolnego!... Może tak syczał niegdyś wąż Adamowy z drzewa wiadomości złego i dobrego? Może my prawdziwie zła i dobra sacerdotes ambulantes? Bo acz waganty, my to wszak budujemy osiadłym ich kościoły! by kościelnych wież okapy zaludniać naszych sumień przerazami. A jeśli na kajanie się przyjdzie, wonczas pieśń nasza - z przedsieni - huraganem wdziera się do kościoła i wstrząsa kolumnami naw wszystkich! - z goliardów to wszak gęśli zerwał się ten świata krzyk, który wstrząsa kościołami: Dies irae?!”

Ni ten łan młody rozchwiały się żaków głowy pod mocnym podmuchem ducha. Wobec czego lekarz, stary snadź gracz na duszach, wziął z umysłu ton spokojniejszy:

„My to znosimy osiadłym nowych wiar nauki, nową gędzbę i opowieści nowe: - ducha wici nieustanne - a nade wszystko - rybałtową igrę z smętem życia!... Gdy osiadli murami grodów odgraniczają się od świata, dążymy, waganty, zawsze w światy nieznanne: Chronosowi chyba samemu naprzeciw... Może nas grzechy zasłużenie kiedyś w piekło strąca, ale to pewna, że tęsknotom i dążeniom osiadłych tędy droga, i po naszych grobach, kędy my je targniemy za życia!...”

Tu już szał porwał żaki.

„Doctor admirabilis!” - hukną z młodych piersi.

I rzucają się ku temu nauczycielowi, porwą na ramiona. Któryś z nich puchar czym prędzej napelnił i wetknął mu go w rękę.

„Waganty! włokity! wszędybyły! - bryzga winem na te głowy młode - tyle w nas ordinis, tyle sekty, co w, tym kluczu żurawi, podążającym na wyraj ku wiośni. Jeśli złe wichry zmiotną nas w morze, na te fale czasów, bijące wciąż i wciąż o brzegi życia - to i wonczas jeszcze, i w tym tonieniu, okrzykniemy się Sosnom zawołaniem naszym: Bacche!...”

Dudni piwnica od wiwatów młodzieży; obalają się wszędy stolki i ławy pod natłokiem zapałów.

Zwyciężył lekarz w dysputacji. Nad pstrym tłumem wagantów kołysała się siwa broda i czarny kołpak uczonego. A gdy go talk po izbie obnoszą, stagnał się w tym zamęcie płaszcz z jego ramion. Linochód ujrzy z przerażeniem, że lekarz ma na grzbiecie szaty - w znamię kary kościelnej i ku przestrodze przed piętnowaniem - żółtą łatę kacerstwa.

* * *

Jeszcze żaki obnoszą lekarza po izbie, gdy psy kuglców, zadrzemane gdzieś po kątach, zerwą się nagle spod ław i śmigną na schody piwnicy, by tam dopiero wszczać wielce brzechotliwy gwałt sfory całej. Po chwili ścichną tak nagle i głucho, że aż dziwnym wydało się to w gospodzie. Oto znów są u progu, ale na ogonach przysiadłe. Tyłem czołgają się na brzuchach ku panom swoim, aby - im na ostrzeżenie - zawyc z żałośliwym wyciąganiem Łbów.

Kopaniem i przekleństwem uśmierzają kuglce ten niepokój psów swoich jakby urzeczonych światłem księżycy na dworze.

Nad pochylonymi z nagłą kapkami wagantów wszystkich, w rdzawym blasku lampy oliwnej, wyświeśla się u proga przeogromna zbroica - wielkoluda chyba - wypełniając sobą rozwór wnijścia cały. Srogi ceber hełmu jego sięga nad żebro powały, gdy one karwasze naramienne z litej miedzi obłękiem trzymać mu każą ramiona, czyniąc go jakby odętym sierdżiscie. Upiornego miecza jelce w krzyż dzierży prawica pancerna, gdy z lewa osłania go niemal po szyję pawęż czarna w srebrne ćwieki.

Goliardowi chyba po raz trzeci uderzyło do głowy wypite dziś wino, gdyż porwie się oto z ławy, kilka kroków postąpi i zatoczy się nagle w tył, aż póki się o stół w drugim końcu izby nie oparł.

„Wszelki duch Pana Boga chwali!...” - krzyknie z dłonią przy oczach.

Obskoczą go zonglerzy i poczną rozpytywać gorączkowo, czy tego rycerza spotkał już był gdzie w grodzie: dziwne bo słuchy krążyły pod wieczór między ludźmi, jakoby błakali się dziś po mieście przez nikogo «nie poznani...

„Na ulicy złotników i płatnerzy - odpowie im wreszcie głucho. - Przypomnijcie, panowie, jakem was zaklinał, byśmy tam poszli.” „Po co?”

„Świat tam wykuwają wyższej piękności i mocy.” „Więc co z tego?” - zachnęli się niecierpliwie. „Oczyma bodaj odnowić by nam w sobie on głód... Bez tego czymże nasza doła waganka - mówiłem... A skorośmy nie poszli, przyszło do nas sam o.” „Co?” „- zaszepczą w popłochu. „A onoż to.” „Niby jakie: zło?” „Nie człecze ciało w tej zbroi siedzi.” „Ee!” - przerażą się ogromnie mimo nieufności.

„Pojrzyjcie: jestże w ludziach dzisiejszych taka moc i siła? Wyższego to świata nawiedza nas wędrownik.”

Zasapia gromadnie.

„Poucżają mądre Żydy - przypomina jeden z nich z otrząsem zalęknienia - że nie zgadniesz nigdy, jakie słowo nasze i kiedy ziścić się może nagle w życiu. Któryż to prawil dziś w piekarni o Parsifalu, Lancelocie?”

„Pozdrowienie wolnym!” - zadudni nagle jak ze studni spod zawartej przyłbicy onej zbroi u proga.

Nie przywykli waganty do tak szanownych pozdrowień. Pokłonią się po raz wtóry głęboko. „Cześć ci, panie!” Żaki poskoczą oporządzać dla niego stół w wysokiej nyży pod oknem. Ten rękawem, ten czapą, czyszczą ławę, na której zasiąść miał gość tak znamienity. On tymczasem ruszył było od proga z pochrzęstem zbroi i jakby przysiękiem pod dźwigany jej ciężarem. Za tą kolumną ze spiżu teraz dopiero ukazał się rycerz drugi. Ten, zda się, jak to źrebię przy klaczy ciężkiej - aż poskoczny prawie w giętkości swej kolczugi czarnej pod purpurowym płaszczem... „Lancelotowej zbroi barwy!” - przypominają żonglerzy atrybuty bohaterów swoich.

Zatrzeszczała ława pod tamtym wielkim. Utrudzon snadź jest wielce, bo niebawem słania się oto i pokłada na niej, wsparty głową o kułak pancerny. I widzą żonglerzy:

...przyłbicy cień omracza go aż po piersi; niczym dziób ponury sterczy nanośnik hełmu: broda nurza się w łuskowej naszyjnicy; w podłuż spoczywa miecz srogi. Zbodły się nogi, zhańczyły ostrogami stóp długich. Zasepił się, skobuział cały w zamyśleniu. Ulgła się kolcza zbroja w gibkość osmętnionego ciała; słania się głowa w szołomie ciężka - taka w nim całym zaduma nad człeczą dołą, taka frasobliwość zamierzonego czynu...

I otwierały się żonglerom oczy i gęby w zdumieniu nad niesamowitą mocą bohaterów - opowiadanych. Iszczą się snadź w życiu osobliwym czarem.

Drugi rycerz tymczasem tyłem przysiadł się do stołu, rozkrzyżował poza sobą ramiona, szeroko rozwiał poły purpurowego płaszcza. I tak się wagantom przygląda, jakby każdego z kolei na wagę tu kładł i siły jego obliczał. „Chłopy na schwał!” - zwraca się do towarzysza swego.

I rzuci nagle na izbę gromko i weselnie, jakby ich wszystkich do tańca tu prosił:

„Pójdziecie, chłopcy, bić się - za przewodem naszym?”

Posiała się w izbie cisza długa i uparta. Rumor nagły rozlega się wśród niej na schodach.

Ktoś zstępujący potknął się tam w ciemnościach i stoczył o kilka stopni z pomrukiem przekleństw. Na skřęcie ukazuje się fartuch skórzany, broda po pas i ognista gęba płatnerza.

„Hop! - czknęło się w nim zuchowato, gdy całym ciałem uderzywszy o mur, nie poplątał tym razem kroków. - Uch! - stęknął z rezonem, objijając się brzuchem o drugą ścianę. - Jeśli ja w całości zniosę bebechy do tej jamy... Pódziesz!... - Kopie na wsze strony i opędza się psom. - Pewnie dno tego piekła niedalekie, skoro już cerberusy opadają... Beczka, widzę, że sam Bacchus mógłby sięść na nią okrakiem... Jestem na dmie otchłani! Witajcie, włokitowie!” - pozdrawia wagantów niby wojowników jakichś plemię.

A że ledwie pomrukiem odpowiedzieli jemu, więc zwraca się czym prędzej do rycerzy:

„Nie kwapią się, widzę, do boju?... Osmętnieli coś bardzo. A jednak, jakem to wam rzekł, panowie, przydatniejszych ochotników nie znajdziecie tu u nas, w grodzie. Najlepszy do rozruchu na ulicach hołysz każdy, który bardzo nie lubi ładu w mieście,” „Piłeś?” - przerwie mu cierpko lekarz z kąta. Stropił się zrazu płatnerz. Po chwili głaszcząc z godnością brodę po pas:

„A ty nie piłeś, lekarzu? Bibit rudus, bibit magus; bibit constans, bibit vagus - jak śpiewa goliard.”

„Żeś ty nie constans na przykład, po gębie ognistej widać.”

„Nie kłamię ludziom twarzą jak magowie.” „Toć się chwali.”

„A przedsię, włokitowie bić się dziś będziecie! - powtórzy swoje z uporem. - Byście tylko pomogli tym panom przebić się za mury...”

„A jakże! a jakże” - wyraża teraz urągliwie co do siebie powątpiewanie rybałt niejednen, by porwać spod pieca narzędzia swej igry - i dalejże w nogi! Już ich wyprzedzają na schodach z radosnym szczekaniem żwawe psy kuglców.

Daremnież to! - zatrzymuje ich płatnerz. - Już dawno zamknięto bramy, a zbirów nasadzono na wszystkich ulicach... A za kimkolwiek w grodzie zbiry podszczują, za wami wszak mi najgorliwiej zawsze pogonią. Każdy z was śmierdzi im wolnością i tym zalotom rozbestwia.”
„Prawda to jest!” - przytakuja smętnie.

„Zaś z tą nowiną najpilniejszą właśnie do was przychodzę: na mieście dom się jakiś zapalił! A wiecie, jaka stąd dla was wróżba, gdy pożar gdzie wyniknie czasu waszej obecności?... Wagant w grodzie, czym diabeł w klasztorze: wszystkiemu zawsze winien. Na kimkolwiek w społeczności ludzkiej się miele na igrcach zawsze się wszystko skrupia.”

„I to jest prawda.”

„A niech was te rajcę i ławnik! na swe sądy dostaną! Niech się zaczną obliczać z wami za swawole dzisiejsze, za swe żonki i córki! Niech poczną dosądzać akuratnie, wedle prawa ksiąg, co po innych grodach źle osądzone było!... Jakbym widział niejednego żaka i klerka łeb ogolony do krwawej skóry, te łaty kacerstwa przeniesione z niejednej szaty na czoło żelazem czerwonym... A że w dzień waszego pobytu to i owo zwykło ginąć z kramów i po piekarniach...”

„Będziesz świadczył może?!” - doskoczy do niego z nagłym impetem któryś z rybałtów.

„Boże zachowaj! Dla mnie: niech ci wszystko służy.”

„Zarobione sztuką!”

„Te!... taką czy inną sztuką... Na przykład ta szkatuła franciszkańskiego kwestarza: owo na waszym stole? Zna ją przecie miasto całe. Albo owa księga pod ścianą - srebrem okuta?... Już biegały mnichy na ratusz, że opatowi benedyktynów zginęła księga kosztowna...”

„Tańczyłaś u benedyktynów?!” - wrzaśnie w tej chwili goliard jakby ze snu nagle ocknięty. Aż się płatnerz zdziwił, na kogo gniew ten. I obziera się na wsze strony po izbie. „Nie masz jej tu przecie” - uspokaja tymczasem goliarda któryś z żaków.

Inny znów przygląda się smętnie jakowymś ciżemkom i pończoszkom niewieścim, dobytym z zanadrza. Skoczek Bachowy od strojnej pani na rynku zarobił, żak w kości wygrał - ale nie uwierzą temu na sądach. Powiedzą, że od jakiej radczyni za lubość przy studni dostał i - że żak - oćwiczą na goło.

„Masz!” - obdarza tym wszystkim dziewczkę u beczi.

„Szukaj głupszej.”

„Bo za malutkie to na stępory twoje: tak gadaj!” - obraził się żak całkiem.

I odrzuca to wszystko gdzieś w kąt, pod ławę. Jakoż opróżniają się w ten sposób sakwy niejedne z rzeczy niebezpiecznych - jak uważają w tej chwili waganty.

Baczy lekarz na ten ich gorączkowy niepokój; kiwa głową nad płatnerzem:

„Oj, te kowale! duchy rozruchu w każdym mieście najgorsze... Może byś nam jednak powiedział, jaka to sprawa jest, za którą gardłujesz?”

„Jak to, nie wiecie?! - zdumiał się rozkładając ramionami. - Gdy całe miasto o idącym rozruchu już pogaduje? I że wy właśnie tej nocy rozpocząć go macie?”

„Ładny kwiat!... Pokumajże się tu z wagantami i pij potem to piwo, jakie fama dla nich narwarzy. Owo gdzie się kończy wolność wasza, igrce! Każdy z was jest co najmniej przez pół takim, jakim go chce widzieć fama i ciekawość ludzka.”

„Stawasz się w końcu takim” - przytwierdził cierpko gadkarz z twarzą gołą i sprośną.

„Nie poradzicie, chłopcy, i tym razem przeciw famie i oszczekiwaniom publiki! Teraz gotówem wierzyć z płatnerzem, że radzi nieradzi bić się dziś będziecie - nie wiedząc nawet dobrze, skąd są ci panowie. I dokąd was powiodą. A mistrze to nie lada w zamącaniu rebelii: bo gdy zuchom pośród was wolnością pochlebili od proga, reszcie pętle desperacji zarzucają na szyje. Tak się zawsze rozruchy wszczynają.”

Wejrzeniem dzików w ostępie wyzierają teraz waganty ku obu rycerzom. Pochwyci dziewczka te ich spojrzenia i ująwszy się pod boki, natrzęsa się nad nimi z daleka:

„Oj, durneż wy, durne!... Po tym wszystkim, co dziś na mieście było, nie odgadnąć od razu, co za jedni są ci panowie!”

Żonglerzy, a za nimi goliard, doskoczą do niej czym prędzej, z daleka już rozpytując niecierpliwymi gestami. A lekarz wydziwiał za nimi, jak to kobieta każde pismo zawczas nosem zwęszy, gdy nasza natura męska wszystko dopiero wyrozumieć musi głową, domacać łapą. A najbardziej niewczesne w życia każdej sprawie są wiadomo, igrce sztuk wszystkich.

„Bój się Boga, kobieto - woła ku niej - zrób tu co, zarządź jakoś, bo...”

„Już ja tu z nimi...! Siadać!” - Przytupnie odpędzając ich od siebie.

Obsiadą posłusznie ławy.

„Wina dam.”

„Dawaj” - nie uradują się tym razem, lecz westchną.

A że mleczna w przyszłości baba dziewczką była tymczasem, więc bodaj beczki mlekiem pokarmi „to-to” - jak z urągliwym wobec lekarza gestem obzywa rybałty. A jednak przed rycerzami, dybiącymi na tych chłopców zdrowie i życie, zastawia jakby sobą „to-to”: pod boki wciąż ujęta, odyma się ta kwoka. I rada, bardzo rada widzi, jak jeden za drugim maczają gęby, ciągną wińsko.

„Dobra kobieta!” - sam płatnerz przyznać to musiał.

Nieochoczo jednak piją tym razem waganty. Z dłonią u czoła siedzą oto nad kuflami markotni bardzo - w tej trosce o się.

Tylko, którego dziewczka najbardziej uchronić by chciała - ledwie wargi umaczał, już rozochocił serce, smętkom przekorne.

„Na toż bo nam przyszło! - wzdycha niby - za sławione bohaterki samemu szyję dać!...”

I poskoczywszy między kamraty, zerwał któremuś z kuglców kaptur dzwonkowy, by w niego się przystroić.

„Miejcież, panowie, bodaj wesołka prawego na to zakrólowanie wasze wśród igrców. A tym okrzeplej króle na tronach siedzą, im gorliwiej pląta się u ich nóg chwalca z gęsią, by każdy widział - czym jest igra przed frasobliwością czynu.”

Płatnerz tymczasem pochyla się oto nad tym wielkoludem na ławie.

„Przyległo się coś na długo? Hę?... Chociażeś, panie, chłop duży, uprzedzałem cię jednak, że nad dzisiejsze to moce człeczce dźwiganie zbroi takiej. Aleś się uparł!”

Począł się przerzucać na boki olbrzym nieruchawy, chrobotać zbroją o mury, szczękać jej żelazem. Więc towarzysz jego wraz z płatnerzem podejmują go pod pachy, gęślarz w wesołkowej czapie spycha mozolnie stopy jego z ławy. Postawili go wreszcie na ziemi okrakiem szerokim.

„Tu ci się, panie, żelazo nakolennicy w ciało załamuje nad łydką. Nie dziw, że się ruszać nie możesz. Boli?”

„Broczy - zauważa towarzysz jego. - I tu, pod pachą. Pod naszyjnicą, na piersi, drugiego byś schował; zaś na grzbiecie sińce chyba wygniatają się widzę, guzami srogimi.”

„Dobry z ciebie krawiec!” - natrząsa się nad płatnerzem kukła dzwonkowa.

„Nie na niegoż przecie krojono... (Gdzie ten, na którego miarę rzecz pomyślana była!...) Ale to wszystko wnet się tu poprawi i uładzi jak trzeba.”

I odchylając fartuch skórzany, dobywa z wora na brzuchu młoty, cęgi, świdry oraz innych narzędzi garście całe. „Trzymaj!” - Wtyka to wszystko gęślarzowi w ramiona, czyniąc go sobie czeladnikiem na podręczu. - Imał się pracy: rozcina pierścienne sploty zbroi, wielkie kawały kolczugi tu wyjmując, ówdzie znów za łaty wstawia, u nakolanka odgina blach żelazny, nitom obcęgami łby ucina. Tu rzecz całą na ciepło poprawić zamierza: popędza oto przygodnego czeladnika, by na żuźlach komina zagrzał mu klubiki jakoweś - a dziewczkę wprzód o miech poprosił.

Ten ledwie zazberkał dzwonkami po izbie, a już klęczał oto pod dymnikiem. A że gęślarz, więc i z miecha nawet rytmiczne wraz świsty dobywa. I chwali sobie tę robotę:

„Młodzieńcza bardzo jest twoja sztuka, kowalu! że w niecierpliwej gorącości, na sam zapal jeszcze dmuchając, rzecz swoją czyni. A i żywioły dla się popędza: wiatrom dać, ogniewi buchać każe! I niczego się nie boi. Obraz piekła z kuźnicy czyni; diabłu bodaj dzieło swe zleci, gdy mu się w części jakowejś twardzi pod ręką, nie dość prędko ugina w uformowanie kształtne... A że każda rzecz zdziałana ma w sobie tyle ducha i mocy, ile ich robotnik z duszy swej udzieli - hej, zakną się chyba one i w tę zbroicę - zapalu czarnoksięstwem! Hej, kędyż ta zbroja rycerza nie poniesie! jakich zamierzeń szalonych mu nie ziści!... Już, mistrzu, twa „dusza” w ogniu spłonęła cała.”

„Dawaj! A chyżej niżli diabeł duszę.”

„Już!” - ni to z płomieniem w cęgach, ledwie brzęknąwszy dzwonkami w poskoku, przypadł doń czeladnik żwawy.

I drugi młot wraz otrzymuje na podtrzymanie za kowadło. Na nity skują teraz pana, na krzepę, na moc, na sierszistość harna!

Piętrzyła się nad nimi wyniośle ta zbroica wielka, lękami naramiennych karwaszów jak gdyby na wszystko wzgardliwie odęta. Oni zaś w zatrudnieniu koło tej stopy pancernej i srogiej goleni w żelazie, ledwie do nakolennicy tej zbroi głowami sięgają: i mistrz z siwą brodą po pas, i czeladnik jego w dzwonkowym kapturze wesołka. I gwarzą przy robocie:

„Nie dzierzstwa dla się szukają panowie tacy, gdy wyruszają w światy.”

„Wiem: awantiury.”

„Głupiś, błaznie! Wówczas to oni zbroję na się kładą, gdy na świecie nazbyt się już rozzechwaliło to tałałajstwo wszystko, które gnębi życie i niży naturę człeczą. I na to wyruszają w światy rycerze błędni, aby się to wszystko dawniejsze arcywspaniałe oraz to przyszłe, duchem człeczym wolne - zgoła to, o czym wieszczą Muzy w obiecankach ciągłych ~ aby się to wszystko wreszcie znalazło i nastąpiło między ludźmi!... I starł się na ten koniec smutek z oblicza ziemi!” - kończył z szerokim rozmachem ramienia i młota.

Lecz w tejże chwili pełzać musi na klęczkach, gdyż nagle poruszyła się w zniecierpliwieniu ta noga skuwana. A pełzając tak za nią, wciąż jeszcze coś koło niej poprawia, przyklepuje, kołacze. Wreszcie powstaje z klęczek.

„Jużeś, panie, narządzony całkiem i ku wszystkiemu gotów.”

A krzyżując ramiona na fartuchu, przygląda się z tryumfem dziełu swemu:

„Zdziałalem hamasz, o jakim zaledwie śniło się zonglerom. Ale czym pieśni, czym romanse, czym Muzy obiecanki płonę! Owóz rzecz w spiżu namacalnym jawnie przed tobą stoi. Popatrz, dotknij każdy!... Przydatność? Będiesz tedy widział i przydatność, kapcanie niejeden, chocia nie na miarę twoich to piersi i goleni gnuśnych... Moje bo mieszczańcy tylko przedrwi-ny mieli dla mnie przed kuźnicą moją, jak to u nich zawsze, gdy rzecz się zaraz zyskiem nie płaci. A ja kołem tu między nimi tkwiący, od nich to oczekiwałem, głupi, zachęty w rzemio-śle moim, ich pochwały na ratuszu. Pochwalili mnie, jako ja ich teraz chwale: cielce i bycy tłuści!... Przydatność?! Dałem połowę żywota mego - ćwierćwiecze nieomal - dźwierzom kościelnym, na których działałem ze spiżu wszystkie klęski rodzaju człeczego od wygnania z rajy począwszy, a zakończyłem - ku pasji kanonika - ostatnią nadzieją rodzaju człeczego - wedle zamyśleń moich. Pójdź kiedy, popatrz uważnie... Dziś już tylko kowalstwo a płatnerstwo pozostało mi: nie trzeba innej pracy mojej grodowi memu.”

Osmętniał na chwilę; by targając brodę, podjąć znowu w pomrukach:

„A pożytek jaki?! grodzianom, panom i Bogu bodaj samemu?... Nie obraziłby się Pan Bóg i na kościoły prędsze a lichsze. Tylko człek każdy przy nich nazwyczajby się coraz mniej wymagać od siebie, od ludzi - a na ten koniec i od sumienia swego. A ratusze mogłyby wtedy chwalić i wychwalać bez końca wszelką mierność powszedniego czynienia. „Łatwo, rychle, zażywnie i lubo!” - takim się stawa zawołanie mieszczańców grodu mego w powszechnym zzydzeniu dusz.” Hardo podrzucił głową brodatą. I wskazując na obu rycerzy w niży okiennej, powiada dalej: „Przeciwi się temu spornie już tylko to rycerstwo Boże - ramienia, ducha i wiary razem, które jest znowu na wyśmiejach u swoich tam kamratów: rycerzy od pysznych płaszczów i bohaterkiego rozboju... Gdziekolwiek te wielkie dziś kościoły budować Poczęto, w onym grodzie pojawiali się pewnie wprzód tacy dwaj. Przejechali ulicami takiego grodu cicho, na podwiecznerzu, ku zamyśleniu ludzi nad tym: czy nie daremnie to wszystko na Kalwarii było, skoro tak liche wciąż w dążeniach swoich są dusze człeczce? A tym ci bardziej Golgotę przypomną sumieniom, że onego to wszak skarbu Józefa z Arymatei, onej to czary spod krzyża szukają wciąż rycerze błędni!... Miną gród w ciszy. I pozostawiają po sobie nieukoju moce jakoweś, ni to ocknienie, ni to ramion prężenie się wszertz, wzwyż... Spójrz na tum w grodzie naszym: oneż to moce zbudowały i kościół sam. Popatrz. Pierś ci się twoja przed jego pierśią, hej! na jaki oddech poszerza; gdy smukłość żywych kamieni u wrót uwysmukła wręcz i ciebie samego, ciała twego czuciem - podnosi człeka! A za gołębiem białym, który furknął od podmurza, pacierz to twój chyba dopada tych postaci świętych na wyżach spiętrzenia, aż póki nie wzięci na wieżycy storcz, pod niebem ostatni: „Boże, któryś nas stworzył na wzór i podobieństwo Twoje - Synu, któryś roz tęsknił serce nasze ku niedościgłości Twego - Duchu, któryś nas opłomienił dążeniem ku Tobie - nie dozwólcie! nie dozwólcie, by się niżyła natura człeczca w nikkzemności celów powszednich!...””

W dłoniach obu ukryła się nagle owa twarz pod dzwonekowym kapturem: zadumał, przycichł i wesołkowy czeladnik płatnerza. Za chwilę ciągnie go jednak za fartuch ku ławie, usadza. Sam zaś podwinąwszy pod się nogi, przycupnął pod brodą jego, wsparł głowę na łokciu.

„Mów dalej - prosi - skoro już przyszło gędźcowi terminować u ciebie, kowalu.”

„Co więcej rzec ci mam, chłopcze? Gdzie się tacy dwaj - Wskazał znów ramieniem rycerzy obu - przez lat dziesiątki nie pokazują wcale, tam... mija niejednemu w goryczach wiosen

szereg, w cierpkościach mija i młodości lato - gdy po grodach rozlewają się tymczasem trzęsawiska istne: „Łatwo, rychle, zażywnie i lubo...” Tam serca zre acedia „na zimno”, niczym rdza żelazo, by najkrzepsze w sobie... Które ocalić już to jedno tylko może: rzucenie w ogień!”

Tu zerwał się nagle z ławy.

„Nie wierzysz mej doli - pytaj goliarda!”

„Choć on ze mną pić dziś nie chciał - przypomniał w niespodzianym zwrocie tę uraczę do niego. - Wina!..-” - ryknie nagle na izbę całą.

Może uprzytomnił sobie w tej chwili swe opuszczenie w tym mieście, gdzie - za towarzystwo człecze, za kamractwo, družbę i miłość samą - od lat tylu dzban jeno wystarczać musiał.

Przygarnia oburącz do fartucha brodę wielką, by zająrzeć całą gębą w dzban próżny na stole.

„Wina!” - huknie po raz drugi.

Ale dziewczka nie chce usłużyć panom od tamtego stołu za to ich nastawanie na rybaltów życie i zdrowie.

„Mm!...” - odyma się i hardzi przy beczce, pod boki ujmuje na opór. Nawet waganty przysłuchiwały się uważnie wszystkiemu, o czym tu mówiono. I zaduma ich objęła nad wypitymi czarkami. Próżno ich lekarz tak wychwalał i słał, nad społeczność ludzką wynosił. Nie jestże, prawdziwie, nawet to najlepsze, co z siebie ludziom dać mogą - łatwe, rychle i krótkie, by ten płomień konopny, który mało co zaświeci, a nikogo nie ogrzeje?

I pogadują oto między sobą o tych aplauzach na rynku, po których tak prędko zbierają już tylko uragi w wejrzeniach ciekawych. Pytać goliarda o te zmrugiwania się mieszczan przy spotkaniu poety, o te ich wyśmiechy i wzgardliwości pod rzęsą, którymi obluzgać każdej chwili gotowi dufność w klerku mniemaną - choćby goliard zatulał się był pod kapturem w samej Muzy ciszę i zadumy. Żonglerom, wiadomo, nie brak przymizgów pań grodzkich, które nawet przed mężów własnych niechęcią jako tako ich zastawia. Ale innych kamratów ściga już jawnie złość i zohydżanie przed ludźmi. Zasię to piętno urągłości społecznej wszyscy już towarzysze społem cierpieć muszą na sobie - w tym wystawianiu po przedsięniach kościelnych w żebraków kompanii, po onych łaźniach, kędy ich w piątki jedynie z Żydami już tylko wpuszczają. A niech która z ich kobiet - przypominają wreszcie - w kapeluszu przystroić się zechce na miasto, za kurwę ją okrzykną i zapiszą na ratuszu.

Dziewka tak się zasłuchała w te igrców żale i utyski, że się między nich do stołu przysiadła i na każdego, kto tylko zagada, przenosi oczy zdziwione; a sapie za wszystkich, którzy milczą. To kobiety współczujące zasłuchanie budzi, jak to zwykle, ambit wśród ludzi. I przerzuca go zarazem na *rzeczy* najbliższe. Płacić chcą dziewczce i za jej poczęstunek, o darmochoy nie stoją - już nawet do sakiew dumnie sięgają... Życie człecze w ogóle mało warte, zaś ich dola wagancka jest już całkiem psia!... Koniec końców płacić chcą. Ale dziewczka tylko zamacha gołymi ramionami: ostatnia kruża z dobrowoli była - niech im wszystkim na zdrowie pójdzie.

„Bo co?! nie wolno?” - pyta z ambitem i ona. „Pewnie, że wolno.” Więc dadzą pokój.

Żacy tylko nie pochwalają tej ugody. Młodsze bo serca uporczywsze w wdzięczności, osobliwie za trochę kobiecego serca w użaleniu się nad ich dolą. A że od mnichów i klerków nauczyli się żacy za dary doczesne płacić dobrem duchowym, więc któryś z nich wiersz na dziewczynę zdziałał. A pochwalony przez kamratów, ustawia się przed nią i wygłasza jej ten wiersz ustami i dłonią:

Ave formosissima gemma preciosa!

Blanciflor et Helena! Venus generosa!...

Dziewka, nie oświecona wcale, nie stoi o chwałbę, więc przy pierwszych zaraz słowach poklepie żaka dobrotliwie po gębie. Żak zmieszał się, zmylił orację i by podzięka kobiecie zaświadczoną była, cmoknął dziewczkę w łapę. Przerazona tym respektowaniem, spłonie za piwonię. (Wystarczyłoby żakowi poklepać ją w zamian gdzie niżej.) Lecz to jakby węzłem ostatnim związało ją z waganami. Rozkłada się oto na stole gołych ramion splotem, pcha się w niego twarzą i piersią, i wybucha płaczem tak rzewnym, że ściszyło się nagle w izbie.

„Wszystko na was w życiu nastaje!... Moje wy chłopcy poniewierane przez ludzi!... A przecie wyczekują was ludzie po grodach jak tej rosy niebieskiej. Bo świata wy przecie rosa, grodów ucieszyście! Moiściewy!...”

I szlocha już hucznie na waganeką gospodę całą: oplakuje dolę igrców sztuk wszystkich.

Wagantom chyba tkliwie uczyniło się w tej chwili, bo ten i owy pogwizduje sobie na rezon, stroszy wąsa. Może i z tego powodu, że nieco serca kobiecego poczuł na sobie każdy z nich, a wtedy pysznić się zwykła natura męska.

Tymczasem okno gospody dziwnie naświetlać się poczyna po nocy głębokiej. Zda się mrze ją te szyby w ołowiu jak o świcie: zrazu bławym, na poły zielonym jaśnieniem barw własnych, zanim coraz to wyraźniejszy m blaskiem łuny nie rozplonie pod oknem i nyża cała. Coś jak chmury przegania za szybami, a po ścianach piwnicy pomykają co chwila cienie zwiewne.

„Gore!” - wrzaśnie dziewczka, przerywając nagle swe zawodzenia.

I zerwawszy się z ławy, żegna się kilkakrotnie, jakby na ulgę, że pożar to nie w gospodzie, a daleko na mieście.

Rozchwiały się rybałty na ławach w poszeptach gwałtownych: prawdę zatem płatnerz powiadał. A prawda jego większa może, niżli mniemał: srogi bo ogień bucha tam, w grodzie, skoro aż tu, po ciemnych ścianach piwnicy, przewiewać poczynają czerwone cienie grozy - gdy z cizy ulic dolatują głosy rogów na trwożę niczym psów zawycia po oddalach.

„Gore” - zawtórzą chórem.

Niejeden z nich otrząsa się już w sobie lub biorąc głęboki oddech w piersi, krzepi się nazbyt widocznie, spozierając zarazem na rycerza niczym ptak na węża. Bo jakby na nich tu wszystkich poczęło mrugać to krwawe oko łuny: „Chłopcy, pora na was!”

Tak też pojęła to wezwanie i dziewczka rozwrażliwiona płaczem, bo tym gwałtowniej zaszlocha w stronę rycerzy:

„A wy, panowie, jeszcze na rzeź ciągniecie „to-to” - na zatracenie!”

„Nie płacz: narodzisz lepszych!” - pociesza ją rycerz od stołu gromko i weselnie.

Ten bo z niezmaconą pogodą oczekiwał na ochotników akcesy, spozierając na waganów jak na taneczniki opieszale. Wiedział: gdzie oświeceni gromadzie przewodzą, tam decyzja długo w głowach się smaży. Ale potem rzecz cała z miejsca za to rusza w pojętności gromady; musztry niewiele tu trzeba. „No, chłopcy...” - chciał był coś rzec. Rykiem zaszlochu przerwie mu z miejsca dziewczyna.

A lepszego dobosza na „marsz!-marsz!” nie znalazłby a rycerz sam. Jako że właśnie te mdłe spazmy kobiece jurnym już zacięciem się uderzają do głowy waganom. „Cicho!” - uspokojać raczą tkliwość oddanego serca. A w tym łaskawym poczuciu większej krzepkości serca swego krzepią się wraz i ramion mocą - za jej to właśnie płaczu przyczyną! I bodaj że dla

większych jeszcze rzewności kobiety: znaj naszą naturę męską. „Cichoj!...” Co chmurniejszy z nich już kół w myślach chwycił i wbijał go jakby w brzuch jednemu bodaj tylko z tych znieawidzonych zbirów. I tak oto rozdyma już im nozdrza zalot krwi... A kobieta płacze. Zawodzi, tym bardziej że postaci obu panów w nędzy okiennej ciemnieją dziwnie groźnie w tej żarzy na szybach - aż staną pod blask łuny za dwa posągi czarne w surowych obrysach swych zbroi. I, zda się, już tylko tym gestem dłoni pancernych powiadają do się, że on popłoch pożaru w mieście nadarza właśnie chwilę dobrą na przebicie się przez zbiry a strażę i wywalenie bramy grodzkiej.

Jakoż, za rogów wyciem na trwożę, już i bębnow alarmy zawarczały po basztach - na „gore”, na ratunek!

On rycerz wielki, który dotychczas milczał wciąż na ławie, a i potem wobec płatnerza roboty - zwraca się wreszcie ku wagantom z otwartą już przyłbicą. Obie ręce wsparł na krzyżowym jelcu - rzec coś pragnie. Przycichną - korna i dziwnie żałośliwa trzoda przed ogromem tej zbroi, pawęży i miecza.

„Za dnia na rynku - usłyszą wreszcie - zastawiłem sobą któregoś tu z was, że się wolnym ptakiem obwołał i prawdę poety mówić ludziom mniemał. Ledwie kilka ulic z nim przeszedł, poznałem, jaka to prawda poety. Tu zaś leżąc na ławie, wsłuchiwałem się uważnie w sumienia wasze. Wiem teraz, jaka jest i wolność wasza, igrce... Na gościńcach cygaństwa może i wolne, w społeczności ludzkiej wy gorzej niż niewolniki, bo gdy tamtych chlebem i biczem jarzmiono, was tylko aplauzami na rynku.”

Zerwą się na te słowa żonglerzy z ław. Z umysłu miękkim, bo tak bardzo wzgardliwym gestem dłoni odchyli rycerz od siebie to żonglerów oburzenie.

„Nie żelazo wy, wierę, które w ogień rzucone być chce ku skrzepieniu w żywą stal. Ostawajcież tedy z Bogiem. Ja stąd precz odchodzę - pewnie w zbirów łapy. Jeśli, za sztuki samej pohańbieniem w tym grodzie, i rycerskiego ducha na rynku tego miasta Pod pręgierz wystawia, przyjdźcie popatrzeć - piewce bohaterów!”

„Tego nam, panie, nie zadasz!” - doskoczy do niego goliard jakby z pogrozą gromady całej. „Jako żywo, czynię to. Wiemże: wy niczemu, co jest nad dołą waszą, pomocnej ręki użyczyć nie zdołacie - w niedołęstwie tych rączek waszych, miękkich i śliskich od samolubstwa!...”

W tejże chwili zakotłował, się przed nim wrzaskliwy zamęt ramion i głów. Żaki to przede wszystkim ruszyły nań z miejsca. „To jest obraza młodzieży!” - uchwalają między sobą w tym krzyku opętanym. Za żaków natarciem psy kuglców zerwą się spod ław z ujadaniem wściekłym - jakby za obrazę swych panów. Tym tumultem podjuszony podejmie się na zadnie łapy niedźwiedz u pieca. I rycząc jak ten smok w jamie, wali wprost w to kłębowisko ludzkie. Wlecze za sobą łańcuch pochrzestny, oplątuje nim i przewraca niejednego, a kusymi ramionami to z prawa, to z lewa zagarnia: nim kłami chwyci, pazurami może ułapi i pomści - rzekniesz - obrazę sztuk wszystkich.

Zgoła piekło rozpęta, kto igrców i żaków na siebie obruszy.

Podjął się wreszcie z ławy i siłacz okrutnie gruby. Poroztrząsał żaki jak te beczki hałaśliwe, psy kopaniem gdzieś pod ściany poodrzucał, niedźwiedzia za ten kolec u nosa o ziem cisnął, a zbliżywszy się wreszcie do rycerza, dłonią tak w wierzch jego pawęży uderzył, że mu ją kantem w podłogę wbił i osadził. I pięść mu swą wówczas pod nos wyciąga.

„Miękkka ci się widzi ta rączka, panie? Nie daj Boże nikomu popróbować. Ja na tve zbiry tarczy nie będę potrzebował ani w blach żelazny kowalowi zakuwać się nie dam - co mówiąc

ściąga wraz z siebie sajan skórzany. - A i o miecz ten srogi ciebie nie poproszę, nawet kłonicy ze sobą nie wezmę, tylko pierwszego ze zbirów za nóżkę ujmę i nim reszty tych drabów dogruchotam. A ty, panie, popatrz sobie z daleka, podziw się. Aplauzów możesz nie dawać.” I odchylił gieźło na piersi włochatej - iże taka moc człeczka gołą piersią na srogie miecze idzie! Wreszcie obnażył ramię swe niczym udo babie.

I stanął tak u boku rycerza, gotowość swą zgłaszając.

W ciszę komą, jaką to wystąpienie posiało, wtrącił tylko linochód słowo smętne o sobie: „Całe życie wyzywajże tu, człeku, mężnie śmierć i diabła w sztuce swojej - i oto co ci na koniec zadadzą!”

Choć markotnik i zawsze zatroskan o duszę, chłop był głuchego uporu. Wiedziano - że gdy taki upór swój ruszy, do ostatniego tchu dostoi: cel drugiej wieży nad przepaścią nauczył go snadź w życiu tej woli. Widać to było i teraz po tej zawziętości, z jaką znaleziony gdzieś grot nabija tulejką na żerdź swych popisów, sposobiąc do swej blaszkowej zbroi rycerza na linie i włącznię wielką jak topola.

Po czym ustawił się u drugiego boku tamtego zbroiska, pawęży i miecza.

Płatnerz, któremu roiły się wciąż po głowie żywe spiże ku ozdobie kościoła, zapatrzy się w te trzy dziwne postaci podświetlone luną i zamruczy w brodę jeszcze dziwniej:

Fides!- Spes! - Caritas!

Żaki tymczasem zapomniały już całkiem o obrazie. Radzą, zmawiają się i buntują wzajem: choć nie pora już ku temu, wiecują zażarcie. Rycerz, któremu po wystąpieniu tamtych dwóch igrców odmieniły się snadź myśli, czeka spokojnie, aż się żaki wykrzyczą. Ułowiwszy chwilę ciszy, dłoń wznosi i uśmiecha się ku nim - tak że zaszemrzą wraz kłótliwce wszyscy:

„Toż on nas lubi całkiem!”

„Darujcie mi, chłopcy, zem to zostawił na ostatek nie opieszalym ani swarliwym ku namowię, lecz towarzyszom na zawołanie bojowe... Opowieścią żonglera z piekarni w sumieniach swych ruszeni, ślubowaliśmy z mym nowym oto druhem: po przebicciu się z tego grodu - wyruszyć...”

Tu przycichł nagle jego głos i tok słów się odmienił.

„Ostatni już chyba rycerze błędna, ślubowaliśmy wyruszyć na szukanie Monsalwatu...” Przy tym słowie zdarł z siebie nagle hełm i trzymając go u piersi w dłoniach obu, pochyla kornie głowę. Niczym wicher w łan kłośny, uderzy w głowy żaków to słowo, zawsze dla nich osobliwe: Monsalwat!... Zerwą i oni czapy, rozchwieją się w naszeptaniu, pochylą łan głów młodych. A przecie, nawyku siłą, zezem wyzierają ku goliardowi: co on powie na to. W wiecowaniu udziału nie brał, jeszcze nie rzekł swego słowa.

Czuje goliard, że żakom bardzo potrzeba, by i on coś tu rzekł, acz nie do słów było mu w tej chwili: tak cały osepiał nosem i brwiami. Niczym mnich pokutny przed natręctwem pobożnych, zastawia się dłonią. I rzecze krótko:

„Chodźmyż - bodaj by z wiary niedostatkiem byśmy nie stali się jak ta trawa, która prędzej zwiędła, nim ją wyrwano.”

A żakom widzi się w tej chwili - tam, w nyży okiennej - już tylko tego miecza olbrzymiego jelce w krzyż, a na nim cicho wsparte dłonie rycerza, jakby do przykucia u ramion krzyża tego. I słyszą:

„Igrce sztuk wszystkich! Dane jest wam przyłożyć rękę do znalezienia Graala - na odnowienie serc człecznych!”

Trzodą owiec z nagła ruszonych zgarną się waganty pod ten miecz. I takie ich opłomienienie duchem przenikło, że choć z na pół otwartymi ustami wiwatów okrzyknąć zapomnieli. Obwołują się właśnie jak te żaki na ochotę: sprężonymi nagle ramiony i rozwartą dłonią.

Na uboczu stał tylko niedźwiednik, który od swojej bestii na krok nigdy oddalić się nie może. I zdało mu się teraz, że nie on zwierzę, lecz ono jego na łańcuchu trzyma i prowadzi przez życie. I przeklinał w duchu igrę wszelką. Bo każda, nawet żonglerów i goliardów sztuka, wydała mu się teraz takim łańcuchem zniewolenia w tej doli na opak: że nie poskramiacz bestię, lecz ona jego oprowadza przez życie - ludziom na pokaz - póki wszystkich sił z człowieka nie wytarga...

Nagle on łańcucha koniec z garści swej rzuca niedźwiednik bestii na głowę: kołpak swój o ziemię ciśnie z pasją i z jeszcze większą, nie włada po co, przydeptuje go potem. Zdawać by się mogło, że człek zrywa z siebie wszelkie więzy doli, wszystko, co na nim ciąży z dni konieczności, bo nawet i tę czapę z głowy. Nagą wolą ku czemuś tu się zgłasza, sobą - człowiekiem.

„Bierz mnie, dolo gromadzka!...”

I dobywając gdzieś spod bierwion u pieca toporzysko jakoweś, krzyczy całkiem niepotrzebnie:

„Dajże mi który siekirę jaką!”

Ze wszystkich końców i zakamarków gospody znoszono tymczasem w zarojeniu mrowiskowym - topory, czekany, widły, cepy - zgoła broń wszelaką zasobnego domu.

Gęślarz tylko w swej oponce brunatnej i czerwonym kapturze wesołka płatał się beczynn timer między kamratami. Ich męska krężność za orężem - pod łuny mrugania na murach, rogów ponure wycia w oddali i bębnów alarmy po basztach - działała nań nieomal jak na te psy kuglów ponoszące się w tej chwili w zawrotnych poskokach i płasach po izbie całej. Nad te towarzysze, zamienione jakby zakłębieniem w gbury i zbóje, bliższe mu były w onym zamęcie tamte stworzenia - jednakową pobudliwością ciał czujnych, chyżych i bez statku. Bo wręcz w ciało samo gędźca uderzała osobliwość tej chwili - rytmem muzyki: to okrutnie srogiej, to znów tak dziarsko ochoczej, że aż tanecznej prawie. Jakby on sam smyczkiem gęślowym był, rzucanym o napięte struny porywu i szału gromady całej.

„Hej, za dobosza chyba przed wami pokroczę bo mi świat cały nowym tętnem w żyłach gra i tańczy - hej! werble szaleństwa i nadziei waszych!”

A zwróciwszy ma siebie uwagę towarzyszy, wraz kugla jakby przed oczyma im wywinie.

„I powiodę was - za rycerza przewodem - już wiem, gdzie... - Wesołka łapą kreśli coś ku górze... - kędy się ta droga mleczna z gościńcem ku Zamorzcu zbiega. Tam... znajdziecie niechybnie!”

Sarkną, pluną nań nieomal.

A on jakby w skrusze nagłej dopada na klęczkach rycerza, przytula się do tej jego łydki w kolczudze. I całuje w nakolennicy blach.

„Kocham cię, panie, z czcią lękliwą, jak niegdyś tę nogę ojca, gdym pełzać za ledwie po podłodze potrafił. Ale...”

Tu począł odsuwać się od niego po ziemi.

„Ale diabła igracowego we mnie śmiesz twoja wiara!”

Tu już dziewczka nie wytrzymała tych harców jego. I dopadłszy go gdzieś na środku izby, chwytła mocną garścią za ramię, odciąga precz - gdzieś na dalsze izby gospody.

„Czego, ty głupi, tak hycasz? czego się cieszysz? Że się tu ludzie lada chwila mordować zaczęą po ulicach?!... Patrz, już luna dymami odbija się na ścianach. Słuchaj, na jaki gwałt łomocą bębny po grodzie całym. I rozpętało się diablę rybałtowe na chwilę taką!.. Chodźże mi stąd, chodźże czym prędzej, bo jeszcze ci krzywdę jaką uczynią tve srogie, spójrz! towarzysze. Jeszcze ci naprawdę co złego w tej chwili... A może i urzeka tych spojrzeń jadem... Chodźże mi, wilczku ty skrętny, bo cię tu sama chyba roz...! No, chodźże, chodź, luby. Noo!...”

„Dokądże ty mnie?... Do alkierza? - zapiszczy cienko na progu, który wraz przeskoczyć musiał. - Dalibóg, do alkierza! Wprost na... Uch, jakież poduchowe łoża!... Nie liczcie na mnie, bohaterzy! Taka jest nasza, żonglerów, robota - czasu mordowania się ludzi.”

* * *

Za ciemnymi basztami grodu czernił się pod gwiazdy ogrom kościoła. Rzekniesz, z dwóch szczytów tej góry, z wieżyc obu rozpostarł się płaszcz nocy i skrajem o mury miejskie za nieboskłon wsparty, nakrył gród topielą granatu i złotymi gwiazdy - duszom na schron bezpieczny, snom nawet człeczym za kopułę uciszeń.

Odpustową bo porą nageściło się w mieście ludu co niemiara - z za murów, z wszelakich od dali. I naniósło niepokoju z szerokiego świata. Ochraniał ludzi kościół płaszczem grodzkiego widnokręgu, usypiały głuche rogi stróżów i te ich balowe nucenia, błogosławiące ciszę i spokój dusz.

A jednak tu i owdzie wychylała się z okna głowa bezsenna. Gdzie spojrzy, dachów piachy i granie w ciemnościach zadrzemia; wyżej już tylko złote oczy powietrznej głębin nad bezkresem świata,

Urzekło dziś tęsknotą niejednego człeka, zatargało niejednym łańcuchem. Rwą się w światy niestatki młode i złu duszę zaprzedać gotowe - byle na gościńce, byle w światy dalekie! Przez mury i rowy miejskie jak kot przeleźć gotów każdy z żaczków grodzkich, gdy poczuł w sobie dar do igrzy jakiej lub gorliwość do nauki. Za bramą - myśli - u dróg rozstajnych zbierają się pewnie stare igrze oraz żaki ze wszystkich szkół świata zbiegłe - ci wiedzą: gdzie, jaki mistrz, jakiej wiedzy uczy? A z nimi wolna droga - w światy dalekie, we wszystkich królów ziemie!... Na ulicach grodu pusto było i głucho. Tylko z wieżyc i baszt hukwały sówki ponurym śmiechem po nocy. Tylko nietoperze miotają się wokół tych głów młodziańskich, tam i sam, jakby nici uroku snując niewidne, jakby znaki zaklęcia kreśląc w powietrzu. Kto zaś gadkom o rybałkach wiarę dawał, temu zwidywały się jakoweś wyloty z kominów dalekich. Ale do brze ich nikt nie rozpatrzył, bo za przeżegnaniem się ginęło to sprzed oczu.

Pod płaszczem gwiazdnej ciszy, w surowej pogrozie kościoła, zło samo siadło dusze kuszeniem na tułactwo.

„Przeklęte niech będą waganty i sztuki ich wszystkie! Przeklęte niech będą powieści żonglerów!” - zlorzeczył na swym łożu każdy człek stateczny w trosce o dusze młode.

A gdy chmura dymu buchnęła nad dachy i zakołowała się w rudych kłębach pożogi, gdy luna naświetlać jąła ulice, a po oddalach zagrały rogi na trwozę - ludziom statecznym wydała się

i ta ponurość chwili czymś oczekiwanym prawie. Dzień był nad miarę rozpustny, noc zaś jeszcze gorsza - tą gorączką wśród młodzieży, porywaniem się jej na ojców z gębą buntu pełną, odgrażaniem się jakowymś rozruchem, który gotuje się w grodzie.

Zaś te ludzisk pośpiechy ze stągwiami lub ciężkimi kubły - ich dziwacznie pogięte postaci, wynurzające się z mroków w mruganie czerwonego blasku - wzniewały przypomnienie dusz czyścicowych pod brzemionami pokuty. A cóż dopiero biało-czarnych mnichów nagle zarojenie się na ulicach! Niejeden dominicanis biegł z nosem tropiącym i chwycił w nozdrza zalot diabła w grodzie, gorsze jeszcze pomsty Boże obiecując Sodomie i wysłańcom szatana - co oznaczać miało: grodowi i wagantom.

Przy czym wskazują groźnie na kościół w oddali.

I zaprawdę: podświetlone łuną poczerniały jeszcze bardziej obie wieże, zaś tum cały wydaje się teraz ni to w górę zakłęty olbrzym, który na kolana padł i pręży ku niebu ramiona oba, pomsty nieba wzywając na miasto grzeszne.

A nie daremnie, ponoć. Co chwila odbłask pożaru błyskawicowym rozdarcie nocy pada na kościoła szczyty. A w rozwidniony z nagłą zacięń onych kruzganków i podcieni na wyży, pod łukowe wystrzępienia wnek, wstępują blade mary kamieni żywych. Ocknięto grodu popłochem, ruszyły snadź i święte postaci spod baldaszkowych nyż - snują się z pacierzem po błędnikach wież, zażegnywując od ognia dom Boży... Tak rozedrgała się górą u murów gęstwa tajemniczych po nocy cieniów tumu; aż ocknie się i zło samo na poniżu: podejmie to kruczysko przycupnięte na okapie. I załopoce tym skrzydłem jego - od łuny krwawym.

„W imię Ojca, Syna i Ducha!...”

Tak się żegnał co chwila przede wszystkim ten, który leżał oto powalony na ostatnich stopniach kościelnych schodów, ociekając po nagim grzbiecie strugami krwi. Szczerniał od tej posoki i biały sznur franciszkanina w skurczu dłoni. Bokiem rzuciło brata na schody, w tej rozpacz może, iż za późno temu na pokutę, kto za kobietę skarbonkę klasztorną diabłom oddał. Już taki nawet myślami swymi nie włada, bo i pokutę nawet tymi obrazami maci, jakie mu diabeł w uszy naszeptuje.

W ustach biczownika bełkoce się jeszcze jakiś szczątek pacierza, choć ani jeden płomyk jaśniejszych wyobrażeń nie rozświetla mu tej przepaści, w jaką strącony będzie, owca zabłąkana: przyjsć mu wszak kazała pani do siebie. A dusza, w przeczuciu zatracenia, wspominać mu każe wciąż ową chwilę, gdy rycerz pocałunkiem ust swoich wzięnął mu w piersi grzech swój - potężniejszy snadź nad wszystkie pokut moce.

Bo za każdym zelżeniem ręki wraca przypomnienie onej chwili, gdy spod białofutrzaney szaty na złoty łuk strzemięcia wychynęła się łasicą stopka pani a za nią, jak ten wąż, spod spódnicy ukrycia wypręża się z nagłą jej łydka śmigła.

W wspomnieniu zaledwie ośmielał się zobaczyć, co wówczas do obejrzenia było. Po raz setny wywoływał i odtrącał od się to kuszenie. Aż się targnęły oba kułaki mnicha na wszystkie w myślach kobiety:

„Bestiae bipedales!... Viperae pessimae!...”

A szatan śmieje się z tych szamotań swego łupu pod pazurem kobiecej chuci.

Bunt podjął wreszcie kark mnicha i wysztywnił go na klęczkach. I za pacierze, które stygły na wargach, przyniósł mu tę przestrożę świętego Augustyna: „Nie dawaj duszy swej kobiecie!... De carnibus tuis abscinde illam!”

Poderwało się ramię. A co śmignie sznur i uderzy w krwawą już na grzbiecie pluchę, nowy węzeł zadzierzga mnich na nim zębami, by się do żywego mięsa dosmagał, diabła samego w ciele dochłostał.

„Frate!...” - usłyszy nagle nad sobą jakby pod bębnow głucho nagle uderzenie.

I ręka od szpanu mocniejsza powściągnie mu ramię.

„Frate! za co ty mnie tak smagasz? Ja na twą duszę jeszcze nie nastawałem. Kogóż bo tu wlec do piekieł? Z kim się tu borykać? I o co, duszo mizerna? Ty skaczesz w smołę ognistą sam, a głową w dół jak ta żaba w bagno. A zmaganie się z duszą, z rozdwojoną w człeku żądzą, jest naszej natury potrzebą. Bacz, jakoś to poniżył w sobie rycerski grzech pana Lancelota, który - przez żonglera opowieść a serce skazanego rycerza - wzięłeś na się w pocałunku warg jego!... Przypomnij: bez grzechu tęsknoty ku kobiecie może by nawet i Lancelot sam nie pokonał wielkoludów i nie wyzwolił grodu. Tyżeś się twarzą od łuny odwrócił:

Ośłania mnich piersi rękoma w krzyż, mamrocze cicho wszystkie zaklęcia i zażegnania.

Jakoż znikł cień czerwony wraz z tym blaskiem łuny, który zatłumił się nagle - jakby tam, w oddali, dach zapadł się na ożogę. Po ciemnym grodzie wyły tylko rogi ni te psy na złego ducha. A spóźniony dzwon kościoła teraz dopiero się odezwał. Kołysany snadź obcym, nieporadnym ramieniem, targał się ciężko - złym pomrukiem ruszonego po nocy spiżu. Z ciemnej wyży, słyszy mnich, wydzwania się najwyraźniej:

Sint... gunt!...

Bożycy wędrowania imieniem normandzkim odzwania się wieża.

Onże to - szatan wagantów - który kusił go przed chwilą, dorwał się ponoć i do kościelnego dzwonu?! Prawdęz okrakiwali dominikanie, że z wagantami Z ł o samo nawiedziło gród, wysyłało tej nocy swe bezszelestne gońce za duszami, a teraz zdzwania je wszystkie?! Bo nie na gaszenie pożaru odezwał się dzwon, lecz jakby tym ptakom wędrownym na zerwanie się z grodu.

Tam, w oddali, dach przed chwilą zawalony objęły widać, płomienie - bo łuna pożogi znowuż zadrgała nad miastem grozą czerwoną. A gwałtowny jej rozbłysk na murze, tuż przed oczyma mnicha, otrząsł go znów całym ciałem.

„Frate, gdy cię ogień cielesny ogarnał, zapal się w nim cały: rozplomień w sobie i ducha twojego żądze! - wyjrzyj z cieśni klasztoru! - podnieś głowę na wypisane gwiazdami powołanie twoje! - weź w piersi tchnienie pychy! - surge de profundis...!”

I roztoczyły się w wachlarz skrzydła łuny na murach, pod grzmot jakby daleki.

Rzuci się mnich ku niemu z krzyżem różańca w kułaku.

„Apage! apage! apage! Jam franciszkanin, ja minorityta: z maluczkich najkorniejszy.”

Jakoż zgąsł: wsiąknął w nagłą ciemność przedkościelnego placu.

Sintgunt!... Sintgunt!... - huczał już tylko dzwon swym kuszeniem na włóczęgę.

Niczym zamieć gwałtowna zerwał się w dali krzyk gromad całych. Wichrem poniosło to w ulice, rozwrzasło po zaułkach w tumultów wiele: w jakoweś ścierania się zgiełkliwe, w broń wszelakiej poszczęki i gonitwy na „huzia!” tłumów całych.

Docucają te krzyki brata. „Na Boga - szepcze - co się w mieście dzieje?!”

„To samo, co i w tobie, frate: walka dusz osiadłych i tułaczy walka!”

Zatrzepece się mnich nie wiadomo dokąd; może w oprzytomnieniu onym, że gdzie się takie nagłości dzieją, tam i zakonnik bywa ku potrzebie - dla dusz rozgrzeszania.

Lecz tymczasem tuż obok, gdzieś koło kościoła, zatupocą zbiry z przeraźliwym świstem pościgu i wrzaskiem uganiania się za kimś:

„Tego tu gęślarza w dzwonekowej czapie!... Tego kozodoja o łydkach włochatych!... Kukłą wesołkową nakrywa on, ponoć, tonsurę ledwie zarosła, powiadał kanonik. Zetrzeć by z ziemi plugastwo takie!... Ten między nimi wiła i diabła wysłannik najgorszy!... A widzisz? nie ustrzegła cię dziewczka w alkierzu? Wyniosło cię na ulice wścibstwo igrzcowe - na żalony ponoć koniec.”

Głuchy łomot obucha o głowę chyba człeczą - i jeden tylko krzyk rozdzierający: już w niebo miłosierne, już o co innego chyba niżli o zratowanie ciała.

Wystawia mnich krucyfiks w obu dłoniach. Z pacierzem na ustach biegnie w tamtą stronę.

„Maszże ty jeszcze, frate, władzę rozgrzeszania...?”

Zachwiały się nogi pod mnichem; runął bez czucia na ziemię.

Na gwiezdną kopułę grodzkiej nocy, m ten okręt z Zamorza, wypłynął księżyc znad murów. I wejrzał na plac kościelny tą omgloną źrenicą zaświatów, która i grodu mury w zamki-niewidy odmienia, i człecze postaci tak odcieleśnia, że owo parobczak konny błędnym rycerzem na drodze się wyda, a człek zbrojny na koniu Parsifalem samym zgoła.

Wwiał skrzydło jasności wzwyż po schodach kościoła, nasaczyło poświaty we wnękę dzwierz, na te wniebowzięciem smukłe szeregi pań świętych i błogosławionych królowych.

Na poły ockniętemu mnichowi wypatrzyła smuga księżycowa u stóp tych postaci - dwóch rycerzy jak dwie mary pod okiem miesiąca bledsze życiem od onych pań w kamieniu. Rozmroczyły się i cienie po bokach miesięcznej smugi, ukazując jakieś gromady śpiącego na schodach ludu. Acedią to tknięte, grodu smutniki, w poodpustowej nocy śniły tak może u progów kościoła swój sen o wyzwoleniu.

Chyłkiem a czujnie wychyla się zza węgła ulicy pstra wataha rybałtów i żaków wędrownych, każdy z toporem, czekaniem, widłami lub kłonicą w kułaku. Niejeden ramię swe, strzaskane gdzieś koło łokcia, za rękaw przy garści podtrzymuje zębami. Krwią ocieka ta i owa głowa, a wszystkie dymią jeszcze żarem uniesienia.

Na placu aż zakrzepłym w srebrzystej oćmie, w mgławej omartwicy zaświatów, stoi rumaka mara dziwowształtna: ni to koń siwy dwoistym siodłem okulbaczon, ni to łasica wydłużonością ciała swego. Zstępują ku niemu rycerze, spływają po świetlistym kobiercu. Jednego panowie dosiedli konia - w zaświadczenie przyjaźni: - jak chce przykazanie drugie graalowego szukania. Sztywno trzymają się w kulbakach, prężą nogi w strzemionach ku końskiej aż szyi, w górę wznoszą koncerze. I jednym ruchem szyj obu obzierają się za wagantami.

Nie słyhać wcale kopyt tętentu ani kroków ludzi.

Bo takiej ciszy uroki sączą się z naświetlonej wnęki kościoła, kędy w blasku miesięcznym uwysmuklają się jeszcze bardziej żywe kamienie pań świętych. Bo taka ponurość milczenia czerni się pogrozą wieżyc obu. Bo takie zasłuchanie, zapatrzenie jest w tym smoczym kadłubie i dziobie kruczyska, które wychynęło się całe nad wrąb okapu pozierać, jak oto ciągnie w światy wagantów plemię bękartie za błędnymi ojcami wszelkiego - po wieki - tułactwa dusz.

Nieodparta siła podejmuje mnicha z klęczek i wlecze musiem po zaczarowanej kładce księżycowej smugi. Lecz u węgła kościoła, tuż na zakręcie, groza pęta mu nagle kroki.

W poprzek drogi leży wagant powalony, głowa młodego nurza się policzkciem w ohydnej biało-krwawej mazi i świeci nad czołem czerwienią kaptura w dzwonekach; szeroko rozrzuciły się na brukach ramiona martwe, ściskając jeszcze w dłoniach smyczek i gęśle igrca. Szmatką przyplusnął do ziemi człek zabity, tylko bosc stopy i łydki waganta wysztywniają się trupio

spod oponki. A w oćmie księżycowego tumanu widzą się te nogi chwilami niczym racie kosmate.

W poświacie srebrzystej, pod omgloną źrenicą zaświatów, która kształt każdy w niewidy odmienna zda się ze postacią Panka, gędźca i joculara padła tu pod obuchem na bruki igra sama - wagantów bojownica ze świata smutkiem! Mnicha tymczasem już w dal odniosło za tamtymi, którzy wychodzą z grodu. W głębi ulicy - widzi - leży pokotem straż pokonana. Niczym wyłom w murze stoi na ścieżaj po nocy otwarta brama grodzka; most spuszczonej. Bieleje za nim wolny gościniec świata. Między strażnikami, wysztywnionymi i po skonie, leżą w kłębkach ciała żaków jakby porozrzucane tu rogiem szalejącego byka. Acz nieżywy, przysiadł jakby po murem siłacz okrutnie gruby; w piersi jego, pod gieżłem otwartej, tkwią toporzyska czekanów, dziiryty i bełty, miotane jak w tarcz igrzyskową. pod nogi położył mu się linochód, zasiekany całkiem, w swej blaszkowej łusce rycerza na linie. Włócznia z żerdzi jego popisów, strzaskana w drzazgi i wióry, ułomkiem drewna została w kułaku upartym.

Nad nimi trzyma się jeszcze na nogach płatnerz z potężnym dyszłem w garściach; nim to pewnie rozbił i wywalił bramę grodzką. Tymczasem broda jego nabija się okrzepami posoki sączącej się z jakiejś rany na głowie, której nie czuje jeszcze wcale. Żaki ciągną go za fartuch, by pośpieszał z gromadą. Odmachuje się im niecierpliwie, by czym prędzej sami wynosili się z grodu.

Jakoż roił się już na gościńcu wszystek lud wędrowny, jaki tej nocy wysypał się było z bramy miasta. Niejeden na zboczu drogi się zamitrzężył motając w chusty ranną głowę lub ramię, zanim lekarz nieco dalej od grodu nie opatrzy ich jak trzeba. Od barwistości szat rybałtowych aż się mieni gościniec cały. Bokami zasię, chyłkiem - miedzą a ścieżyną - doganiają wagantów żaczki grodzkie, które tej nocy porwały się było w światy - vitam explorare!... probare omnia!... Jakbyś łopot skrzydeł słyszał, podążających za kluczem: tyle w tych postaciach było ciągu wędrownego ptactwa, tyle woli tułaczaj.

Wyruszył i franciszkanin z wagantami na wędrowanie swoje - za morze, ku Ziemi Świętej. Nie z dobrawoli pielgrzymi mnich i nie za pobożnych myśli przewodem, bo go i Ziemia Święta nie Kalwarią już nęci, a pysznymi kolory - na sycenie oczu, na spysznienie dłoni. Oto wiodą go pod ramiona i wloką w miesięczne tonie, ni te topielice w wodę, one dwie pogańskie boginie tułactwa, a panie świata kolorów: Singunt, wędrownica gościńców i jej towarzysza, Saga, wiele wiedząca opowiadaczka!...

Krętym węzem pnie się a wybiela na podgórzu droga daleka i urywa na szczycie w łuku między borami. Zastawia te wrota leśne wielka tarcza księżyca. Widmowo pomykają się ku niej na ostatnim już skręcie drogi obaj błędni rycerze na jednym koniu; płoną koncerze wzniesione. Nie zatrzymuje się to widmo na przełęczy - a sunie wprost w banię ognistą...

Tak wpada w ogień, powiadają, ptak Feniks w polocie przeobrażeń.

Rychło patrzeć, a tarcza miesięczna podejmie się z nimi wyżej - między gwiazdy.

Tak igrce i żaki, za przewodem rycerzy błędnych, wyruszyli na szukanie Graala.

CZEŚĆ CZWARTA

* * *

Wyprzedził lekarz na koniu gromadę całą. Na oklep jedzie - w popłochu chwili nie zdążył osiodłać szkapy, ledwie te wory ziół i kamieni narzucić mu zdołał na szyję. Kiwa się nad tymi wory kołpak i broda starego. Należał się dziś ludzi na odpuście, napatrzył doli wszelakich; duma tedy nad nimi, rozważa w sobie dziwne sprawy człeczce; nade wszystko: jak to niejednemu porwaniu się ludzi przodują żywe kamienie grobów i żonglerowych opowieści duchy. „Bożaż to wola nadaje im osobliwą władzę nad duszami? Czy szatan tak nimi zwodzi? Lub może te gwiazdy, tak dziś rozjarzone na niebie, dopomniały się w duszach, o swoje horoskopy?... A jeśli nie Boża, nie czarcia, nie gwiazd to sprawa, może to one mediae virtutes - doli i żądź człecznych, nie wyżytych w murach - włoką siły młode na przygody, wyrzucając tęsknoty niejedne i ponad to Empireum samo...?”

Przechylała się głowa w kołpaku, gdy lekarz w tych dumaniach zapatrzył się oto w przepaść gwiezdną nad sobą. Aż się koń zatrzymał u dróg rozstaja, nie wiedząc, w którą stronę skrócić mu każą. A że rozkaz nierychły, więc ten łeb swój dziwnie kudłaty i szczeciniasty ku ziemi wyciąga, skubie rozchodników kępę pod sobą.

Tu, za bramą miasta, u pierwszego rozdroża, stał w kamieniu od pradawna Dobry Pasterz z jagnięciem na ramionach i trzodą owieczek długoszyich, garnących się pod jego dłoń. Spojrzy lekarz na **Jezusa-za-murem** i pochyli się na koniu. Milszym nad kościół w grodzie był kacerzom ten **Pasterz**, że idzie, jak mawiali, z czasów dawnej ufniejszej wiary; zanim mnichy poczęły ludzi straszyć a nękać nieustanną wystawą krzyża ku przypominaniu żydowskiego morderstwa nad Synem Bożym; - które to nękanie jest przeciwne naturze Dobrego Boga, uczą kacerze.

Widzi lekarz u podstawy kamienia jakoweś słowa, żłobione w głazie. Więc przechyla się bokiem na siodle z palcem przed się wyciągniętym, by, dojrzeć uważnie, co też tam napisano. „**Dokąd...**” - wypatrzył z trudem pierwsze zaledwie słowo.

I utknął wraz na nim: stropiło go bardzo Boże pytanie z rozdroża.

„Ledwim to nędzne życie swoje w tym gwałcie zratował i bramę grodu minął - wraz: „dokąd...”? Za rycerzami błędnymi, w wagantów kompanii wyruszyłem z grodu. Mamże się tego powstydzic przed Tobą? Za błędnym rycerstwem porwał się wszak po raz pierwszy z rodzicielskiego domu i Twój Franciszek święty; a nie zaparł się przodownictwa tego, aż po próg wtórego żywota swego na ziemi - bo wonczas to właśnie: w chwili najwyższego tryumfu duszy, zaśpiewał hymn błędnego rycerstwa. Więc mamże ja się powstydzic?... Żem człek uczony?... I ze świeczników wiedzy niejednen, za błędnych rycerzy przykładem, wyruszał z ro-

dzinnego grodu w Twoich światów tajemnice - choć z ciężkiej szkapy lat szanowniejszych wyprze się pewnie onych przewodników młodego serca; nie stać go będzie na wdzięczność Franciszka. Nazbyt bo roztropny stawa się z wiekiem stęp uczonych kobyl - brak im wiatronogich za młodu towarzyszków Muzy: igrców i żaków gościńców świata... Więc wyznają bez wstydu: z nimi wyruszyłem ja z grodu. Dokąd zasię sam dążę, człek stary? Do śmierci, pono. Którędy? Droga cierpień i smutków człecznych, którym Ty, jak piachowi morza, rozmnażać się pozwalasz, a my ledwie tysiączne usuwamy gdzie ziarnko. Taka to nasza droga, lekarzy, za widmem rycerzy błędnych."

Nieprędko oderwać się dała szkapa od kęp trawy na rozdrożu. Wreszcie truchtem ruszy z miejsca - roztrzęsie nad swym grzbietem kołpak lekarza, obtłukuje o swe boki cienkie piszczele wędrownego klerka.

„Dokąd?... Dokąd?...” - swarzy się w myślach kacierz i z najmilszym dla się Bogiem.

Z daleka długą po gościńcu wstęgą wił się w blasku księżycy pstry tabor waganatów. A te ich zaszepcienia rozrechocą się raz po raz w pochodowy rozgwar gromady i cichną z nagłą, jak te żabie chóry po nocy. Gdy tak zmiłkną na czas jakiś w zadumie nad poległymi towarzyszami, wyda im się ta cisza jakby poniechaniem żalów nad nimi - więc westchną tłumnie. Żałobników korowodem wyruszyły dziś waganaty w światy.

We krwi spaliło się rozplócenie niedawne. Ofiarą kilku żaków, siłacza, linochoda i gęślarza - ran własnych wcale nie licząc - pomogli oto panom do przebiccia się z grodu. Panowie hen gdzie odjechali! - ku swym sprawom szczytnym, ku swym celom górnym, ku wysokim przeznaczeniom pańskim! Ochotnik! zaciężne na gościńcu pozostali: pogrzeb swoich, jeśli możesz, i wracaj, jak umiesz, do swej doli - już jest niepotrzebny. Dymem gryzącym dopaliła się pochodnia zapalu. Ostała po wszystkim ta gorzka próżność, z posmakiem jakby krwi samej, że się tego biło o coś, ku czemuś, za coś - czego ani oczy nie zobaczą, ani dusza nie dozna. Panowie sami tylko wiedzą. Graal?... Będzie, znajdzie się niechybnie, powiadają. Bóg ich tam wiedzieć raczy!... Żonglerzy bo nasi obiecują to - tak tylko: dla sztuki - duszom na rozprężanie się z powszedniości. Panowie zasię - po prawdzie. A Bóg chyba tylko wie, w czym jest więcej prawdy.

Powracali tedy myślami ku swej doli, kurczyli się ku niej duszami.

Ciągną oto po gościńcu i wzdychają tłumnie.

Niedźwiednik, który dla ciężkiego kroku swego zwierza pozostawał zawsze w tyle, mitrężył dziś nazbyt po drodze. Że śmierć u bramy grodzkiej go nie dosięgła, porzucił krwawą siekierę i chwycił się znowu łańcucha igry: dawał się z powrotem bestii. Kto zaś do doli swej od progu śmierci powraca, tym żarliwiej oglądać się pocznie za dawnych dni ciepłem lub tęsknotą ich bodaj.

Od czasu do czasu zatrzymują się towarzysze na gościńcu i hukają na niego z daleka. Patrzą: przysiada znów niedźwiedź na zadzie pośrodku drogi, pysk żałośnie jak na zawycie wyciąga, rozdyma chrapy - śle niuchy w gościńca mgliste po księżycu dale.

Daremnie obaj tęsknią za swą panią, daremnie wypatrują skoczki na gościńcu, od bramy grodzkiej.

Muza wagancka zdradziła tym razem nie tylko goliarda, lecz i towarzyszy wszystkich.

Alić niedźwiedź tak się szarpnął znienna, że aż wyrwał swemu panu łańcuch z ręki. Z mgły księżycowej wynurzyła się nagle od strony miasta garstka najbardziej zapóźnionych żaków. Czyjś płacz rozlega się między nimi. A oni prowadzą tę płaczkę z pogrzebową atencją i nawołują kamratów, aby przystanęli pojrzeć, kogo się tu przywiodło z grodu.

Wrzawą, raczej śmiechu i zdzwienia niżli radości, powitali waganty - dziewczkę z gospody. Żaki wdzięczne nie opuściły jej w żałobie: oderwawszy siłą od bruków ulicy przy ciebie gęślarza, tu ją ze sobą przywiodły. „Ma całe życie przy beczie teraz płakać, niech szerszej i welskiej doli na świecie zazna, Zwłaszcza że i z gospody niewiele zostało po tym porąbaniu stołów i ław.” „Niech idzie!” - godzą się wszyscy. Gdzie? po co? nikt w tej kompanii o to nie pytał. Gadkarz płaszcz swój czarny na ramiona jej zarzuca, by się tak nie trzęsła w płaczu i godniej przedstawiała się oczom w swej żałobie. „Sądzono!” - pociesza ją zarazem po kochanka stracie.

„Moiściewy! moiściewy!” - rozrzewnia się tym bardziej dziewczyna. I ciągnie z nimi w światy, prawie że nie wiedząc o tym.

Kobieta rosła wydawała się całkiem okazale i dorodnie w płaszczu czarnym. Aż się nad nią zastanawiać jęli waganty. Nauczyć by ją igry jakiej?... Skoczki nie ma - i może wcale już nie wróci... Że za gruba?... Schudnie, nie bój się, na chlebie naszym; zwłaszcza gdy kawał świata po gościńcach przebiegnie... Ze gęba jej się świeci? Zblednie, odglansuje się i na policzkach, wybiela się i te ręce czerwone przy robocie naszej. Tańczyć zasię będzie miała czym: dziewczyna jak łoś! Byle tylko nauczyć.

„Niedźwiedzia naucz, dlaczegoż by kobiety nie miał? Nie święci garnki lepia, nie święte ponoć i tańczą. Niech tylko z nami wytrze się nieco po świecie. Najmądrzejsze, najbardziej szczone stają się zazwyczaj te, które za młodu pogrzebały tkliwość. Niech tylko zeszcupleje, uwysmukli się, wypieści i udelikatni rączki, a pod rzęsy weźmie to aksamitne nastawienie oczu ku niedbałości. Jeszcze o kwiatuszek polny skomlić będziesz za nią, młodzieńcze niejeden!... A niech się dopiero przyozdobi dumnie w stroje i futra, niech ubarwi szafranem wargi, nozdrza i uszy, niech w chrapki weźmie to pomiatanie wami - panowie!... Wy to wszak wiecie najlepiej, że wszystkie one: brylantami przez was obwieszane, zmysłów waszych panie - z naszych to szkół kobiety, z naszych akademii waganckich!... Z jakiej gospody się wywodzi, od jakiej beczi wzięta, rozpytywać nas pewnie nie będziecie; a my, kamraty dobre, jak kamień w wodę w niepamięć to rzucimy.”

Narybek zasię najmłodszy: zaczki, dziś dopiero z grodu od matek zbiegłe, zbyt są oszołomione wszystkim, aby dziwić się czemukolwiek. Uskakują tylko każdemu z drogi, czapkując głęboko nawet tym rybałtkom o barwionych twarzach, które przypatrując im się baczenie, już sobie wybierają wśród nich kęsy co najsmaczniejsze. Za matkami w grodzie te pierwsze na szerokim świecie powiernice młodzieży wypytują ich życzliwie: dokąd też Pan Bóg prowadzi? ku czemuż to wyniosło ich dziś z grodu? Więc młódź zwierza się z zamierzeń swoich tym paniom nieszeptnym:

Długo w waganckiej kompanii nie zamierzają pozostawać, co innego ich nęci. Płonie nad światem wielkie lumen wiedzy i sztuki wszelakiej: Paryż się zowie. Goliard będzie wiedział na pewno, kędy droga do Paryża, i wskaże im, kiedy i gdzie skrócić trzeba. Okrutnie to daleko, mówią - daj Boże za rok tam zajść. Byle tylko przez bramy wpuścili, bo, słyhać, przepelnione jest to miasto od żaków, a ze wszystkich świata stron płyną wciąż i płyną ku niemu te rzeki młodości.

Więc się tym zamartwiają żaki, czy starczy aby dla nich miejsca w Paryżu.

„Starczy!” - pocieszają panie uprzejme.

Pozwoli Bóg i lichemu zączkowi z najgłuchszego grodu dotrzeć jak pątnikowi do onej krynicy cudownej. Inny tam jest porządek społeczności niżli wszędzie. Króle tam panują święte,

a duchowne władztwo dzierżą biskupy najuczciwsze, kolumny Kościoła Bożego. Miasto zaś dla lepszej zgody podzielone jest na dwie części, mówią: na wyspie, przy zamku gród dla mieszczan i wszelkiego gburstwa; za rzeką zaś, na górze świętej Genowefy - miasto dla oświeconych: uniwersytet się zowie. Zaś w tym to grodzie klerków, po wszystkich klasztorach, kanoniach, przykościółkach, największe mistrze świata uczą wiedzy wszelakiej. Zaś na ulicach usłyszysz tam rzeczy takie, za które u nas turma i kłątwa. B j co mistrz w terminach uczenie wywiedzie i łaciną w głowy włoży, to żak niejeden piosnką na ulicy wyśpiewa ku zohydzeniu mnichów i ich nauk - bo z mnichami wre tam walka okrutna. Muzy - na które u nas wypaskudza się mieszczuch gburny i dufny, którymi pomiatają wzgardliwie panowie - są tam w wielkiej estymie i osłonie. Żonglerom wszystkie tam pieśni wolne... Duch tam króluje, a wielkość rządzi i oświeca.

Tak wynurzają się żaczki przed rybałkami. Młodzież, w życiu świeża, nie umie jeszcze wymiarować granic kobiecego rozumu i zaciekawień. I owo „Mużę”, „duchem” i „oświeceniem” atakować zechce każdą.

„Mhm!... mhm!... mhm!” - za jedyne żakom przytakiwania słyhać było tamtych kobiet chrząkania maciorne.

Tak się skończyła przyjaźń żaczków z nieszpetynymi paniami. „Głaby zielone!” - myślą o nich kobiety.

Ciężka głupota kobiet lekkich musi poczekać, aż młodzież schytrzeje lub zgnuśnieje duchem do damskiego towarzystwa.

Pierwsza iskra pychy klerków zatliła się w urazie żaczków. „Non des feminae animam tuam” - szepczą do się, zdobywszy osobiście tę wstępną mądrość życia.

„Wróćcie do nas!” - myślą rybałki.

Wiadomo: kto żaczkiem od waganctwa rozpoczął, temu mierznąć będzie zawsze życie stateczne; ten do goliardowej familii i ze szkół jak do rodziny powraca. A choć w skrusze znów przez roczek jaki fałdów w szkole przysiedzi, aliści zwieje znowuż na gościńce - żak wędrowny! Kościół biskupa mieć z niego nie będzie. Bo nad szkoły i kościoły miłszą mu się stanie ta po gościńcach academia vagorum i jej Musa pedestris. Przy niej wykształci się w rzeczach, których z książek nie wyczyta: życia się nauczy, kobiet się nauczy, rozumu się nauczy. A inne Muzy nie zobczają mu przy goliardzie. Bo choć wiele mądrości wiedzą nauk doktory po szkołach - poeta wie wszystko: poetam omnia scire oportet, napisane jest.

Tylko te żaczki, które dziś dopiero z grodu zbiegły, nazbyt to jeszcze nieopierzone było, aby im po, nad wszystko na świecie nie imponowały szkoły i nauk doktory. Na to jedyne junactwo stać ich był od siebie w marszu waganctwa: owo na zaśpiewanie chórem tej pieśni goliardowej „Gaudeamus!”

Aż ich starsza młodź przyciszać musiała: że te pieśni goliard nawet sam już całkiem nie lubi, jaki że nazbyt często ryczą ją żaki pilne po szkołach. Spotkało tedy żaczki drugie dziś rozczarowanie w afekcie - tym razem do goliarda.

„On nie lubi szkolarzy?”

„Nie.”

„Hm!...”

Innej by pieśni posłuchać im - powiada młodź starsza - najpiękniejszej, nawardziej waganckiej, jaka jest: pieśni Arcypoety!

To słowo elektryzuje żaki: jakżeby nie wiedzieć ale słyseć nie przytrafiło się nigdy.

Więc starsi i najmłodszy hurmem zgarną się do goliarda; otoczą go rzeszą wyznawców; dopraszają się o rosę słowa, o chrzest pieśni. Goliard gdzie indziej błądzi myślami (hej! za dziewczyną lekką; nie wiedzą o tym żaczki niedoświadczaniem dumne), więc w pierwszej chwili nierad ich koło siebie widzi. „Ja nie bakałarz, bym kilka razy cokolwiek powtarzał.” Skomlą żaczki o słowo Muzy, głaszczą go po rękawach, w ramię całują. Kotłuje się wokół niego na gościńcu rzesza młoda.

Więc, dla skrzepienia w młodzieży waganckiego ducha, miał się wreszcie gęśli z tymi słowy **Archigoliarda:**

Factus de materia

cinis elementi,

similis sum folio:

de quo ludunt venti.

Mądry w skałę wbija

domu fundamenty,

wagant, nurtem płynę

w błędnej doli skręty.

Nie zdzierzą mnie więzy,

nie strzymają klucze:

wolnych w świecie szukam,

z luźnymi się włóczę.

Ni to ptak w podniebiu,

za nieścigłym krążę;

ni to łódź bezsterna

[.....]

Urwała się nagle pieśń i przycichły gęśle. Gdyż oto towarzysze wszyscy, jeden za drugim, klękać poczynają u figury na rozdrożu. A szyje rybałtów wydłużają się po niewoli, jak u tych owiec Dobrego Pasterza. Żaki odczytują uważnymi usty słowa nie doczytane wonczas przez lekarza na koniu:

Dokąd idziesz, drogie dziecię!...

Jam Zbawiciel twój jest przecie!

Pozdrówże mnie, chrześcijanie,

Pochwal Boga w Bożym Synie.

„Bądź pochwalony!” - zatrzepoczą się gromkim chórem na odczytane przez żaków wezwanie.

I poczną wraz odmawiać pacierze, a żegnać się gęsto i w piersi bić. Tak się namodlą za poległych towarzyszy, nasmucą u figury; wreszcie powstaną z westchnieniem i ruszą dalej szlakiem wędrowania.

Nie dźwignął się tylko goliard z klęczek. Zatrzymał go przy sobie Pasterz tym pytaniem swoim:

„Dokąd?”

„Otom bezwiednie sam wprzód odpowiedział słowem Archigoliarda. Takie to nasze drogi poetów - za widmem rycerzy błędnych. Ten ci wyspie, wał je - wiekom ponoć.”

Zwisać mu jęła głowa w kapturze.

„Odrywasz nas, Panie, z drzewa zakorzeniałego w murach życia, aby się rozsiewały po świecie ochoczość serc i ducha czujność. Po co?... Ty jeden wiesz. I Paweł Twój. Który zasię liściem płonym który owocem rozsiewnym od drzewa się oderwie - kto z nas wiedzieć może?”

- i kiedy - i przed kim?!... Grzmia kościoły od pieśni naszych, my w kuglców i wesołków kompanii z sprośną piosnką i gawędą ciągniemy przez gościńce. Roznosimy po świecie człowieczeństwa kielnię i młot, i gęśle i pieśń, i słowo, sami - wytracony ze społeczności chór człowieczeństwa...”

Aż się w tym zadumaniu wmyślił po niewoli w żarliwość zamodlenia. Kłoni się jeszcze niżej głowa, splatają po niewoli ręce,

„Jeśli mnie liściem płonym mieć nie chcesz, nie daj zatracać ziarna Twego w skorupie ciała mego! Nie daj, by pierś zbyła prawej gorącości wagantów: pątniczego łaknienia i żaru tułaczy. Nie daj ich ukoić u żadnej strugi!... Zasię u pierwszej bodaj kałuży wolnego gościńca daj zmyć - zmyć z oczu i serca! - wszystką miałkość żądź i smutków razem: lęgną się, niczym w ciasnocie murów grodzkich, w każdej cieśni dusznej... Wyzwól! upogodnij duszę! Skoro mnie za bramę każdego miasta, na wiatry żeniesz, nie daj brać w duszę murów zacieśnienia. Skoroś ze mnie świata włóczęgę uczynił, dajże ku tej doli i serce świata, by ogarnęło wszystkie rzeczy człecze: Jesu! cor mihi crea mundum!...”

Uderzyło czoło w kamień na rozdrożu.

Po drugiej stronie gościńca pomyka się chyłkiem brat franciszkanin. Za siebie, w stronę klasztoru wciąż się ogląda, żegna raz po raz i zatula w habit.

Z miesięcznej mgławicy, z gościńca opylnej bieli wynurza się w pełne światło księżycy stwór dziwny: chwije oto skrzydłami w podrywach miękkich, ni to płąsa, ni polata rozchwiejnymi pióry. „Ptak czy strzyga?!...” - przeraził się mnich. Nie skrzydła to ponoć wieją w oddali, spostrzega wreszcie, lecz dziewczyny ręce białe. I nie pióra to na wietrze łopocą, lecz jej ramiona w stroju czerwonym, pod rańtuszkim zwiewnym, ustrzępionym jak w pierze. Niesamowicie to jednak giętkie i skrętne, i polotne na stopach, a ochocze po nocy u dróg rozstaju. Srebrzą się po księżycu blade ręce i twarz dziewczyny... „Nie nimfa to jaka znad tego tu strumienia?...”

„Wolnam i ja!” - huknie nagle, wyrzucając ramiona ku górze. Jak żagiel powiała chusta w obłoku pierzastym.

„Bacche!!” - dzikim wrzaskiem odkrzykną jej się zewsząd rybałty.

Witają panią swą zapóźnioną - królową cygaństwa swego.

Gdy tuż za nią, na gościńcu, wyłania się nagle przed oczy mnicha postać już dlań nie obca: człecza na pozór, lecz na koźlich radach; w kudłach głowy wiją się rogi capa. Na przedkościelnym placu dopadł go już było stwór taki, różę królowej wyjął mu wówczas z garści i parsknął nad nim jak ten koń. Tym razem struchlał mnich tak, że o zażegnaniu nawet zapomniał. „Onoż to jest! - myślał - to zło, które z rybałtami w gród naszło. On ci to w postaci własnej: Zły pasterz! który wypędza w światy trzodę swoją. Ostatni wynurzył się z grodu, gdy wszystkie już dusze tułacze z niego wygarnął.”

Lecz on stwór, mijając oto figurę u rozdroża, przykleknął na jedno kolano, żegna się raz i drugi...

Z nieufnością oglądał się mnich na kamienną postać Jezusa-za-murem, Więc nie darmo chcieli dominikanie zburzyć tę figurę, że kacerska: pogańskim kształtem zdziałana. I zło a czary na rozstaje przynęca.

A tamten cap tymczasem popędzając trzodę swoją, przygrywa sobie na fletni pasterskiej. Stapa lekko na kopytkach, kołysze w chodzie zad tłusty. I dmie w dwoiste piszczałki swoje. Gra cicho - rzekniesz, głosem tego strumienia, który na nurcie skrętu w dwa zabełtania dwoistą nutą

ciągle się swarzy. Na organach nocnej ciszy wygrywa się wciąż ta muzyka sprzeczna: gdy nuta jedna szklanym głosem jakby nimf swawolą pluska, ta druga - samego nurtu koniecznością bulgoce, prądem rzek wartkich na kamieniach zagra, a pod dali zawiewem i morzem wielkim w przecuciach swych szumi... Tak się gędzie pieśń Pana u każdego nurtu... Po dniu wielce słonecznym skoczniów murawianych bezliki biorą strumienia nuty na tysięcogłosowy chorał swoich namiętności po nocach utęsknienia. Czyni się wtedy muzyka zaklęta: mrużą się - bacz, grają! - gwiazdy na wyży. Świat cały za organy staje, na których wygrywa się gędzba tęsknoty niebieskiej - pod te chóry na niży jak pod wielki spazm namiętności ziemskich.

Dmie Panek w dwoiste fletnie obie nuty życia i wiążę, wieczyście sprzeczne, w swoich uroków harmonie.

Kiedy niekiedy zawtórzy mu z oddali **Arcypoeta** sam w żaków chórze:

Factus de materia

cinis elementi,

similis sum folio:

de quo ludunt venti...

I ten chorału spazm:

nunquam permanenti!...

Idzie mnich na wędrowanie dalekie za morze, ku Ziemi Świętej. Nie z dobrowoli pielgrzymi brat i nie za pobożnych myśli przewodem. Wiodą go w światy, ni te topielice w wody wielkie, one dwie: Sintgunt, wędrownica gościńców, i jej towarzysza Saga, wiele wiedząca opowiadaczka.

Gdy rybaltów tabor w mgławej poświacie dotarł nad urwę gościńca, w łęku między borami i zakłębieniem mar czyścicowych (zdało się mnichowi) zaroił się tam, w górze - księżyc nie opierał się o przełęcz, nie zamykał przepaści, lecz umniejszony kształtem i jaśniejszy barwą, płynął jak w chmurze w mglistej otoczy.

W czym ledwie się rozejrzawszy, daremnie mnich powieki przecierał: już i śladu nawet nie było po wagantach.

Pochód ich cały runął snadź na tamtą stronę: w przepaść świata i czasów - właśnie jak ten strącony chór człowieczeństwa!...

Na mlecznej omgle wokół księżyca rysowała się tylko cieniem rogata głowa z piszczałką u wargi. I choć tak wyogromniała kształtem, olbrzymieje wciąż jeszcze, rozwiewa się na widnokrąg cały - wsiąka, rzekniesz, w Empireum samo...

Przedświt to może rozsuwał tak gońce obłoków wokół późnego księżyca.

Na dalekim gościńcu doganiają już oto mnicha pierwsze głosy świtania z murów grodzkich. Pieje kur klasztorny jak co dnia przed świtem, odzywają mu się ze wszystkich stron miasta te głosy powszednie. Tam, w klasztorze, na długo przed jutrznią zrywają się w tej chwili bracia franciszkanie, wszyscy zatrzepotani w ocknieniu radosnym, jak to Boże ptactwo czujności. Każdym serca uderzeniem wracał mnich do klasztoru: przepaść dusz tułaczyh ujrzał na widnokręgu grodzkim.

Dobry Pasterz podjął na rozdrożu owcę zbłąkaną, na bary ją wziął i odnosi przeorowi - w stronę grodu o świcie idący.

Wśród tych opałów i perliskości cichego zaranka.

Oto mury miasta otrząsają już z siebie tuman nocy: dołem zatulone w bielejące opary, po wieżach i blankach ociekają już rośnią czerwienią. Gdy uroki tęsknot księżycowych zalegały

jeszcze nad duszami pierwsze głosy świtu obwołują zaprzańcom radosną czujność dnia powszedniego - już oto kury wtóre pieją najwyraźniej: Christus natus est!...

* * *

Gdy u furty klasztornej imał się brat krzyża kołatki, stężała mu ręka... „Szkatuła twoja kwestarska - gdzie?! I w czyich rękach?... A za co oddana?”

Kłoda zwisło ramię, odpadłe od krzyża. A i próg furty, gdy doń czołem przy legł, odpycha precz:

„Po coś tu się zwłókl, mnichu? Rozwłóczyć chuci po klasztorze? Zamącić te święte cisze wziętym w siebie zgiełkiem kobiecego ducha? On duch i najsurowsze mury samotności pokruszyć zdoła. Idź, idź, przeklęty, z myślą o kobiecie w świata zgiełk! Za żonglerami śpiewaj na kobiet cześć! za skoczkami po rynkach skacz! za goliardem Kościołowi bluźń! Oddaj habit, oddaj sznur!...”

Rozpaczliwym zaciskiem ramion przygarnia mnich do piersi habit, sznur i różaniec. I odstąpiwszy od furty, jał się błąkać koło muru, dłonią po nim wciąż wodząc. Tak szczeznął, powiadają, mnich niejednen wypędzony z klasztoru, choć go miłosierdzie braci podkarmiało u furty z misy wystawianej dla psów zbłąkanych.

Wreszcie powalił się na klęczki gdzieś u węgła na zakręcie muru.

Tu bywał kres jego wędrówek codziennych: tu przychodził co ranka, zdobić kwiatami podnoże Tej oto, którą pobożność braci wystawiła w kamieniu, by strzegła od złego granicy klasztornej. Oto kwiaty na poły już zwiędłe, które wczoraj o świcie wychodząc, na kwestę złożył było u Jej stóp.

Wszystkie święte i rycerskie panie nabierały pod pędzlem brata cichości Jej kamiennego lica; karty przeorowej księgi zaludniały się jakby smukłymi siostrami Tej oto postaci; w złoto, błękit i purpurę przystrajał je pracowicie pędzel mnicha. Jakże się cieszył przeor każdą taką panią na karcie! Każda mu była najpiękniejsza, że zawsze do Tej tu podobna. Głaskał mu wtedy głowę pochyloną nad pracą i mawiał:

„Z najczystszeo źródła piękności niebieskich pijesz, bracie Łukaszu, dary sztuki twej... Pomnij na onego żaka, który się łaski tego cudu dopraszał: by ujrzeć na własne oczy Przenajświętszą Pannę. Że oślepnąć musi, powiedziano mu, kto ją ujrzy za życia w glorii niebieskiej. I na to się godził: takie miał oczy chciwe najwyższego piękna! A przecie, w chwili iszczenia się wymodlonego cudu, żak chytry jedno oko przysłonił, by je zratować dla życia. Ujrzał. Oślepl na oko, które widzenia doznało. Lecz odtąd okiem uratowanym na żadne piękności świata spoglądać już nie chciał. Habit najsurowszej reguły na się wdział i strasznie tęsknił do śmierci - by zjawioną na chwilę d o s k o n a ł o ś ć móc oglądać zawsze.”

Jakże się spłakał mnich przy tych słowach przeora. I jakże nawiedzał odtąd co ranka tę tu Postać, kwiatami ją przystrajając. Jakże pił oczyma cichość Jej lica w kamieniu i z surowości dziewiczego kształtu to miękkie wychylenie szyi. Jakże śnił dla Niej na karty księgi obiele i błękity szat najpowłóczystszych w najpiękniejszej glorii złota.

Lecz poczał go przeor wysyłać za kwestarza na odpusty, by nieco farb świata w oczy wziął, Tej tu na płaszcz a korony do księgi zdobniejsze. Blednąc poczęły mnichowi własne kolory

na kartach księgi, pełzły i klasztorne ogrodu kwiaty: kramów blaski barwiste przynosił w oczach, w sercu tęsknotę ku Ziemi Świętej, a w myślach nieodgonione wspomnienia tyłu wejrzeń niewieścich. I jęły panie rycerskie pod pędzlem mnicha przystrajać się w barwiste stroje sukiennic, występować stopą spod szat długich, przeginać umilnie kibicie, a rączkami wywodzić coś zalotnie przed twarzami swymi. Ożyły postaci przeorowej księgi.

Powiadał przeor dobry, że grzechu w tym nie masz jeszcze żadnego. A jednak tu się zamąciła krynica piękności niebieskich, tu się odwróciły oczy ku ziemskiej krasie!

Czołga się mnich na klęczkach i bije w piersi:

„I oto wziąłem dziś w oczy najpłomienniejszą purpurę świata. I w ogień żył swoich. I na usta. Tu, tu na wargach ją mam! - bo tej róży, rzuconej mi przez królową, ustami tknąć nie śmiąc, jam wszystkie jej ciernie... Nie pomogły bicze!”

Porwie się mnich z kolan i przygarnia piersią całą do podnóża żywego kamienia, między te lilie wczoraj tu zniesione.

„Weź, bracie Łukasz, te kwiaty...”

W ten szelest osypywać się jęły kwiaty już powiędłe.

„Weź... I nie przynoś Mi ich więcej - słyszy dalej w tym poszumie smutnym. - Sprawię, że nie odtrąci cię od furty przeor dobry. Ale obrazu zwiastowania nie maluj: ja nie chcę, by Mi ona zwiastowała!”

W załkaniu gwałtownym przypada mnich ustami do stóp świętych; śluby wierności w przysięgach odmawia.

Alić z tyłu za ramię coś go kleszczem chwyta i odciąga precz od żywego kamienia.

„Frate - usłyszysz nad sobą - zakończże wreszcie to bogomolstwo swoje. Moja sprawa do cię zwłoki nie ścierpi: rozkaz! wola królowej!” „Ktoś jest?!... .jeśli jesteś?”

„Karduelowego dworu marszałek, królowej Ginewry poufnik, ksiązę z żonglera opowieści sam!” Uskoczył mnich w tył - zastąpi ono mu drogę „Na zamek mi z miejsca do pani pójdziesz!... Daremnie tak się zwijasz, skręcasz, w habit zatulasz, a ręce przed się prężysz... Jakżeś ty nędznie poniżył w sobie rycerski grzech pana Lancelota, który - przez żonglera opowieść a serce skazanego rycerza - wziąłeś na się w pocałunku warg jego... Terazże ci to, mni-chu, dopiero za głowę się chwytać i ciemię rękoma jak od razów przysłaniać!... Gdzie pokuta obiecana?!... Więc po grzech pana Lancelota samego, w twoim sercu dziś żywy, zgłaszam się tu. Pojąłeś?... Najskrzętniejsza to dziś robota nasza - szatanów - zbierać żonglerowych opowieści żniwo po sercach ludzi osiadłych.”

„O, czemuż raczej z wagantami na kres świata nie uciekłem?!”

„Do kobiety czy od kobiety precz - gdy z myślą o niej - jedna to droga!... Wiesz wszak, frate: opuścił i święty Aleksy umiłowaną żonę dla duszy swej, żadnej zbawienia. Aliści, po siedemnastu latach tęskliwej męki, żebrakiem zwłókł się pod jej progi, aby się lica napatrzeć. I umrzeć pod jej drzwiami. By po nierychłej śmierci swej małżonki, w trumnie nawet ustąpić się lubej jak w łożu - i zatulić zbielełymi kośćmi ramion.” Wyrzuci mnich ku niemu dłoń obie. „Przekleństwo słowu twemu! Niebieską to już wonczas miłością święty Aleksy...”

I usłyszysz on śmiech piekieł, o którym powiadają pokutnicy, że jest jak rozdarcie żagla, jak starganie łańcucha kotwicy i strzaskanie steru. Fala wspomnień świeckich porywa lichą łupinę łodzi naszej i niesie na falach marzeń w okrutny zamęt światowego zgiełku.

„Nie umkniesz się, mni-chu, woli orlicy. Posłuchaj, jak skwirem tęsknoty odzywa się z zamkowej wyży.

Więc zładź mi wreszcie mniszego pełgania ciałem i duszą: odraza w nim dla kobiety! Tym oto płaszczem pana Lancelota, który ci na bary zarzucam, przystroisz się do pani. Lancelotowy miecz i tarczę w rękach dźierz!... W puchach purpurowego łoża czeka na cię przebiła pani w złotych włosów chuście. Płacze noc całą i kaprysi w rozmarzeniu piękności swojej, że za twym uściskiem wstąpi w wieczność - urodą ciała swego.”

„Nie pójdę” - tuli się mnich do ziemi, rad by jak kret ciałem się w nią wcisnąć.

„W jeństwo wziąć muszę i siłą do pani przywieść. Kazano!”

Rozchyła się ciemne skrzydło płaszcza; błyska zbroi i miecza pogroza.

Porwie się mnich z ziemi i przypada piersią do żywego kamienia:

„Ty mnie chroń!”

„Czynnie złu się broń!” - usłyszysz Głos. I starł się w tej chwili ze szczęką miecz w dłoni brata: nie mnisza wola, nie człeczca siła targnęła mu ramię.

„Z prawa szczyt! - ostrzega Głos. - Zastaw się!”

O tarczę huknął cios wroga. „Krzep się!”

Mnich poły habitu za sznur zatyka, by się nie plątały. „Nastąp!”

Natrze mnich ze wszystkich sił - nie swoich sił wszelako. „W szłom!...”

Uderzy Lancelota samego mocą, gdy na cześć swojej pani wielkoludów gromił. I usłyszysz trzask okrutny hełmu i czaszki razem - runął do stóp mnicha szatan pogromiony!

Jeszcze się targa ramię brata zwycięsko, jeszcze ściska krzepko w kułaku - nie rękojeść miecza przecie...

Różaniec tak kurczowo trzyma - postrzega mnich teraz dopiero.

Zaś ręka druga za tarczę całą dźierz - mocno przed piersią...

Lilię - widzi brat teraz dopiero. Otworzyły się mnichowi oczy.

Padł na kolana, sunie na nich ku stopom kamiennym swej Pani. Lecz oto krzyk tryumfu w zwycięstwie nad szatanem zastygł, zamarł mu na ustach rozchylonych. I w nagłą jakby niepamięć zapada wszystko, co było przed chwilą. Bo stokroć większa radość, przemożniejsze nad wszystko zachwycenie rozplówienia go wskroś. Oczy otwarte na świat nieziemski widzą, widzą jawnie! - czego dusza nie ogarnie chyba... I już tylko ten szept olśnienia wytrzepocze mu się z piersi:

„Królowo wszechcudna!...”

W otwartej furcie klasztoru stał przeor z bratem furtianem i coś mu prawi nad głową pochyloną. Milczenie snadź nakazuje, bo z palcem na ustach, a drugą dłonią na piersi chyli się pod kapturem brat furtian.

Z posochem w dłoni i torbą przez ramię wyrusza pasterz szukać owcy zbłąkanej. Z rzadka za furtę wygląda: i oczom, i nogom starym świat nazbyt rozległy; daleka mu tedy droga pod klasztornym murem - dalekie wędrowanie...

Trzęsie się głowa i broda siwa w śniecie pielgrzymiej zadumy.

Aż na koniec - gdzieś u węgła, przy muru zakręcie - ujrzy najmilszego dla się brata.

Kłęczą oto mnich z rozstawionymi ramionami, a tchu prawie w piersi nie czerpie: taki się odezwany zdał od świata. Spadł przeorowi ciężar z piersi: nie ciałem, a duchem zabłąkał się ten wagant mniszy wśród odpustowego wczoraj zgiełku w grodzie. Znał pasterz doświadczony trzodę swoją: po samej skrusze klęczkowej odgadywał łącno popełnionego grzechu naturę. Zaś ten tutaj wspomaga jeszcze klasztor gorliwą modlitwą i pod jego murami.

Podchodzi tedy do mnicha, kładzie mu rękę na głowie i powiada za wymówkę całą:

„Strzeż się, bracie Łukaszu, by ci Bóg nie odjął darów sztuki twojej z duszy nazbyt wątlej, którą nawet odpusty zamącić potrafią; by nie uprzykrzył sobie i mojej powolności dla cię. Wszelako słusznie czynisz, włóczęgo, że się do Tej tu garniesz, która i za wagantów dusze najniestateczniejsze zastawia się zawsze przed Bogiem - za co ma od nich pieśni i muzykę, jeszcze piękniejsze od mniszych.” „Ojcze, jak nie oślepiłem, chocia...!” Wzniesieniem dwóch palców mówić mu przeor nie dozwala. „Ojcze, ja doznałem...!”

„Nakazuję ci, bracie Łukaszu, milczenie w mowie innej nad pędzle i farby, aby tym wymowniejszą stała się przed Bogiem. Im głębsze doznanie, tym cichsze milczenie - i w modlitwie. A kto pracuje, modli się - powiada święty Bernard.”

Poczuł się mnich pod mocną ręką: wracała mu ufność do samego siebie.

A gdy stanęli u furty, śmiało ujął krzyż kołatki. Przepuszcza ich brat furtian z palcami na ustach, a drugą dłonią na piersi. Zamknęły się za nimi wrota świata, okoliły mury milczenia. Baczenie spogląda przeor na krok jego ślaniający się i to drżenie co chwila, które nim wstrząsa bezwiednymi już może wspomnieniami doznań na świecie. Każe mu iść za sobą do piekarni, na ławie sadza, sam mu przynosi kubek mleka i bułkę. Długo trzyma to mnich w garściach obu, nie spożywając przecie, choć mu bułka, jeszcze ciepła, nie zakwasem niecki pachniała, lecz dobrocią samą.

I nie posilając się jadłem wcale, krzepił się oto chleba dotknięciem: ustępowała z czoła blaśność miesięczna. Gdy wtem odstawi nietknięty posiłek na ławę. „Szkatuła moja kwestarska!” - szepnie. I w pałąk pogięty w przygnębieniu, ku ziemi opuszcza ramiona. Aż się przeor nachmurzył przez chwilę; odpędza jednak sprzed czoła domysły wszelakie.

„Nie godzi się nam biadać nad stratą doczesną Nie ty nas będziesz żywił, bracie Łukaszu, lecz łaska Boża. A czyś ze szkatułą i cenniejszych skarbów klasztoru nie uronił, okaże się rychło miarą tego, coś przyniósł w wewnętrznej skarbonce.”

Każe mnichowi odpasać sznur. I kiwa siwą brodą nad śladami krwi na nim, nie racząc nawet zapytać przeciw jakiej to pokusie było: w tak wielkiej pogardliwości miał grzech myśli cielesnych wśród braci. Zadzierzgnął natomiast pętlę na końcu sznura, zarzuca ją bratu na szyję. I wie dzie go jak na postronku.

Pojął mnich kary zamierzenie: ukrył się jak najgłębiej w kapturze, a i dłońmi jeszcze się przysłania - szepcze pacierze. Wie dzie go przeor podcieniem krużganka. Dygocą ściany pohukiem organów, z krypty dochodzą pomruki litanii i głucho przyjęki śpiewacze niczym oddechy i westchnienia samych murów klasztornych.

Wprowadza przeor mnicha do celi, wie dzie w nyżę okna i przywiązuje do wysokiego stołu księgi. „Tę ci, włóczęgo, penitencję zadaję, skuteczniejszą nad bicze. Do dzieła twego wiąże cię! Stoisz przed tą księgą jak przed wrotami czyścica, pod którymi przejdą postaci twego zaznania ziemskich pierzchliwości, aby się tu oczyściły sumieniem świadomym. Zasię powłoki cielesnej, szat i farb tyle im tylko uczynisz, by kiedyś nie do ciała, lecz do dusz przemawiały.”

Łzy ciche spływają po twarzy mnicha, gdy ręce same sięgały nad księgę po pędzle i farby. A przeor dobywszy dla się inną księgę, zajął swe zwykłe miejsce na skrzyni. Dobra, powszednia praca głąskała przez czas długi obie te głowy. W wielkiej ciszy słyszał mnich tylko te westchnienia znad skrzyni - nie ciężkie wszelako - takie ot: potoczne wzdychania starości, niewiele co różne od gołębich turkań na dworze.

A gdy się przeor naczał w księdze, kładzie oto rękę na kartach i prawi: jak to brat Łukasz, choć w pętli pracy, jest najwolniejszym w tej chwili człowiekiem na świecie. Bowiem, za

łaską Bożą, odczuwa niechybnie, jak z chaosu materii grubej, przez ciała człeczego skorupę uwięziony Duch się wyświeśla.

I wyszła ta światłość z księgi i mnicha słońcu samemu naprzeciw. Za słońcem zajrzały przez okna i gołębnie ciekawe; dziwią się i wypatrują ruchliwymi główki: czy nie Franciszek to może sam w błogosławieństwie glorii?

Póki ich przeor chustą z dala nie spieszy powiadając, by nie przeszkadzały bratu Łukaszowi. Furkną nad klasztoru wieżę, polecą w górne kręgi. I znów oto spadają na okna celi, przynosząc bratu za kolory do księgi - złote błękity podniebia na swych skrzydłach białych.

Ale przeor chustą znów je płoszy, powiadając, by nie przeszkadzały bratu Łukaszowi.

Acz z księgą na kolanach, już jej przeor dawno ponoć nie czyta - spostrzega mnich po niejakiem czasie. Kierował się ojca wzrok gdzieś przed się i jakby mury celi przenikając wpatruje się bacznie w to widzenie dalekie, a czoła uwagą nasłuchuje w ciszy - wewnętrznego chyba głosu. Więc mnich pędzle odrzuca i ostrzy pióra. Rychło mówić pocznie z przeora, a wtedy pośpieszać trzeba z zapisywaniem. Nierad powtarza słowo nie dosłyszane, a rozpytywaniem zmylony w toku, zasmuca się bardzo i mówić całkiem przestaje.

„Pora nam, bracie Łukasz, przystąpić do ostatniego już, przy Bożej pomocy, rozdziału księgi. Niech nam wybaczą mistrze, niech się nie pogniewają poeci, żeśmy lichym słowem i pędzlem mnichów podjęli to dzieło - na klasztoru chwałę. Nie gotowym zawsze mistrzostwem doktorów zdziałane ono było, nie przy Muz codziennej pomocy jak u poetów - lecz w godzinach łaski. Ileż to razy daremnie zawisało twe pióro nad kartami księgi; nieme były usta moje: ponurzony bywał duch nawałnością trosk, nie wylatywała gołębica z serca, które zawarł smutek... Aż nastawał ten dzień najradośniejszy, kiedy wszystko w nas weseli się i woła z Dawidem: „Gotowe serce moje! Boże, gotowe serce moje: będę śpiewał i grał... wstanę o świtanie!” Owóż w szeregu ranków błogosławionych ten poranek ostatni.”

„W imię Ojca, Syna i Ducha” - zęgnął się brat Łukasz, ujmując pióro.

Już przeor palec do czoła przykładając łowiąc te odporne słowa pierwsze, które przebijają się przez skałę materii ku źródła gorącościom.

Gdy w tejże chwili przez uchylone drzwi wsuwa głowę brat furtian i, choć z palcem milczenia na ustach, szepcze w alteracji jak ten zausznik dobrą nowinę:

„Wędrowny poeta u furty...”

Oburącz odmachnie się przeor w niełasce gwałtownej:

„Niech Pan Bóg opatrzy!”

Zasapał się, zadyszał cały, a i poczerwieniał na twarzy w gniewie - tak nieoczekiwanym dla brata furtiana.

„Daj mu co jeść i niech rusza z Bogiem” - złagodniała przecie niełaska chwili.

A i teraz oto jeszcze wypręża drżącą rękę poza się ku drzwiom: zatrzymuje brata furtiana. Co ten zdał się przewidywać, bo z okiem nastawionym przenikliwie nie ruszał się wcale od proga. Opadło ramię, a wraz z nim i gniew; odmieniły się myśli przeora:

„Nie godzi się nam, franciszkanom, odpędzać od furty zonglerów i goliardów ze świata: są jak oni „**mdli bracia**”, o których mówił Paweł, że im wolność na pokazanie serc idzie. Nie godzi się nam zapominać, że zonglerów to opowieściami o rycerstwie błędnym wykarmiła błogosławiona Pia serce i tęsknoty Franciszka. Nie powstydzil się święty Franciszek przywołać igrców imienia na nas, franciszkany! Czymże my, słudzy Boży, powiada, nisi quidam joculatores ejus, którzy serca człecze poruszać winniśmy ku radości duchowej.”

Z lubością słuchają brat furtian i Łukasz pouczenia przeora. I błożą się tą myślą, że są igrzami przed Bogiem.

Zaś przeor powiedziawszy swoje, zapomniał już całkiem o goliardzie u furty. Nie zdziwiło to wcale mnichów obu: z starości przytrafiało się to przeorowi, a i z lekceważenia spraw ziemskich, że przy duchownym pouczeniu o jego świeckiej przyczynie zapominał zgoła. Oto teraz rozsiada się znów wygodnie na skrzyni i powiada:

„Ad laetitiam spirituałem daj nam Boże poruszać serce człecze i w dziele naszym. Na czymżeśmy to stanęli, bracie Łukaszu?”

„Jeszcześmy nie zaczęli, ojcze.”

„Powiadasz?...”

Wówczas to dopiero brat furtian zdecydował się przypomnieć goliarda. Wysuwa się na środek celi z palcem na ustach, a drugą ręką wskazującą jakby na mury, ku furcie.

„Aa?!... twój poeta! - przypomina przeor teraz dopiero. - Przyprowadź go, przyprowadź. Pozwalam.”

Gdy na progu stanął goliard w czarnym płaszczu i kapturze klerka, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, a z gęślą i smyczkiem w kułaku - wydało się mnichowi, że zmora tej nocy dościgła go w celi.

I ze zgorzeniem nieomal postrzega, jak żwawo podjął się ze skrzyni przeor stary, witając goliarda z tą łaskawością dworną: sali nowe pieśni i wiersze na świecie i że chętnie ich się tu posłucha, gdy piękne.

Ale on spojrzawszy spod oka na księgę i pióra przy niej, posępnie coś odpowiadał, że zamilknąć po, no goliardowym gęślom, gdy pospolitą mową Muza i z ksiąg nawet klasztornych przemawiać poczyna.

„Nasza, mnichów, Muza cicha - uspokaja go przeor. - I po staremu łaciną tylko, jak goliardy, swoje powiadać potrafi. A i z tym nawet przed trony biskupie nie pójdzie ani przed swarliwe stoły oświeconych. Tu zostanie, gdzie i kości nasze.”

I na to cierpko odpowie goliard, że gdy żywe słowo pieśni i wierszy martwe, bez tonu, w księgi się znów jak u pogan składa - pora goliardom i zonglerom gęśli swe o kamień przydrożny roztrzaskać... A i próżne zresztą te zabiegi mnisze: wina igry nie przechowa beczka księgi. Muza w niej sama jak w trumnie leży. Mistrze po szkołach i żaki o pilnych zadkach lubią trupy takie. Goliardy zaś nic innego podczas nie czynią, jak owo, że się piersi swych żarem przykładają do tej Muzy omartwiałej niczym pątnik do żywego kamienia przy drodze. A gdy się im wyda, że choć niejaki w niej ocknęli tony, biorą je czym prędzej na struny gęśli swoich - nie mistrzom, przedsię, i żakom po szkołach, lecz ludziom, łaknącym po świecie żywego tonu Muzy.

Zrazu wyblęsnął ku niemu przeor mądrym okiem i czołem. Ale przyjrawszy się baczniej osobie, opuścił powieki.

„Bardziej ty mi się, bracie, o Muzę troskasz w pysze swojej niżli o duszę. Jabłonki, widzę, zaniedbałeś, nie pożywisz jej korzeni, a o jabłka stoisz.”

Przysiadł się goliard na skrzynię i - skarcony - już nic złego nie powiada. Po chwili, chcąc naprawić swe wejście opryskliwe, wyciąga obie ręce w kierunku księgi na stole.

„Gdy, naszym zwyczajem, do oświeconych tylko przemawiać pragniecie, niech Bóg po stokroć błogosławi tę księgę: niech jej użyty ciepła serc waszych i tonu najprzedniejszych gęśli goliardowych... Z gościńcam tu przyniosł, ojcze, gorycz swoją: inny mnie tam cierń głuchą

wieścią tak piersi rozranił, zem odbiegł kamratów do waszego klasztoru. Niech się tu, w ci-
szy serc waszych, wykrwawi ma rana swą czarną krwią pychy aż do tej pokory ostatniej,
w której krzyknę: przekłete niech będzie życie moje!” Pochyli się przeor ku niemu gwałtownie
i dłonią stłumi na ustach ostatnie słowa.

„Pierwsze!... pierwsze życie! powtarzaj za mną, bracie, czym prędzej, by diabeł, który się
w tobie miota, nie zamknął ci tym bluźnierstwem drogi do **wtórego** życia: za tymi tu murami
- gdy do nich prawdziwie zatęsknisz - serca skruczą, a nie pychy raną... **Pierwsze!** mów za
mną, jak każę!”

„Pierwsze” - powtórzy goliard posłusznie.

I wtedy dopiero przeor, uspokojony, odjął mu dłoń swą sprzed ust.

Goliard tymczasem o wtórym, o nowym życiu pytającym głosem do się coś powiada i po celi
franciszkańskiej jakby za nim się ogląda. I ukrywa twarz w dłoniach. Zmaga się a boryka z za-
lem jakowymś, który mu piersi aż podrywa. Póki mu przeor siłą tych rąk sprzed lica nie ode-
rwie i nie zatrzyma w swoich.

Mnich zaniepokoił się wobec tego nad swą księgą; a że przywiązany do stołu, wyjść nie mógł,
nasunął czym prędzej kaptur na oczy i oburącz przysłania uszy - przed świętą tajemnicą spo-
wiedzi.

Omylił się jednak brat Łukasz w pobożności swojej: obu tamtym nie do spowiedzi było. Oto
przeor, po krótkiej z goliardem rozmowie i wypytywaniach o coś, chodzi tam i sam po celi,,
a choć się bardziej niż zwykle trzęsie broda jego siwa, krok zdał się mocniejszy, zwawszą
postać cała. (Tak bo zawsze odmładzał się przeor, ilekroć poeta jaki wędrowny zamakał się
bywało do klasztoru.)

„Ktoś, bracie goliardzie, te wieści o mistrzu przyniósł?” - rozpytuje oto ciekawie.

„Ultramontanus, który nam drogę na gościńcu zaszedł; człek zza gór.”

„I tenże ci mówił, że Pitagor to po piekle i czyścicu mistrza za żywa wodził. Żleć powiadał!”
Zaprzeczy goliard niecierpliwym gestem. „Mnież to - powtarza widocznie po raz drugi - mnie
Pitagor czeluście piekiel otwierał i za mnie z potępionymi duszami gadał - w zrojeniach mo-
ich, z których zaledwie strzępy jakoweś, tu i owdzie spisane, błąkają się między oświecony-
mi po świecie.” „Znam, znam!” - usłyszał niespodzianie. Daremnie goliard czegoś więcej
wyczekiwał oczyma: przeor zadumał się raptownie. A po chwili powiada:

„Dopełnienie w duchu, tonie i kolorze na wielceć pono szlachetniejszej dojrzało jabłoni.”

I w starczej nagle krzętności pośpiechu spędza goliarda ze skrzyni. Nurzając się w niej na
kolanach, powiada, jak to najmiłsi bracia franciszkanie, ni te kruki Eliaszowe, znoszą mu tę
karm. Bosymi nogami przebiegają skalne w górach pustynie, gdzie i żebrem bogobojnym się
nie pożywią, a takie oto skarby bezcenne przynoszą mu na plecach.

Z tymi słowy dobył ze skrzyni księgę skórzaną. „My zasię, żonglerzy i goliardy, zawsze o gło-
dzie i nie na żebraczych karkach pokory, lecz w piersiach dumnych - i żywym słowem - przy-
nosimy ludziom wszelaką karm ducha; a przedsię nie mnichom tylko” - zamruczy goliard
w nowym ośpieniu.

A że przy tym mnichom po dwakroć w swych słowach urągał, więc się przeor obraził. Poniechał
księgi, którą ucieszyć chciał goliarda; na bok ją odłożył, dłonią przyklepał: niech leży, skoroś taki!
I kroczy znów po celi, z sobą gada, sobie przytakuje.

„Kto wedle ciała po świecie chadza, wedle ciała błądzi, temu nawet wieści o rzeczach z du-
cha ledwie musną ucho na gościńcu, gdy trafem koło niego przewieją - ku naszym samot-

niom! Kto wedle ciała chadza i błądzi, ten choćby cudem nawet natrafił na jaki skarb ducha, zagubi potem w pamięci nawet drogę ku niemu - jak Parsifal sam za młodu, który otrokiem był pono raz na Monsalwacie... Tyżeś w piekle i czyścicu duchem był i rozproszył to potem po gościńcach świata - komu innemu na dopełnienie." Goliard zwieszał głowę.

Tym mocniej przeżyła się głowa starca, już wcale teraz nie roztrzęsiona brodą. Odmładzała ją myśli ożyłość w słowie. (Martwą, bez tonu jest i mądrość nawet sama w księgach, i klerków samotna nad księgami zaduma!) Po wielomiesięcznej ciszy klasztoru, w obcowaniu z nieoświeconymi braćmi jedynie, nadarzyło się oto klerkowi echo - ku zadumie głośniejszej. Dziwnie pełnym, organowe zasobnym w ton, wydał się w tej chwili bratu Łukaszowi głos przeora:

„Kto ducha oświeceniem w sobie nie wywyższy, oddaleniem od zgiełków świata nie skupi i duchem na szukanie rzeczy z ducha nie pójdzie - ten chociażby i czysty prostaczek wobec Boga i Muz, jak Parsifal za młodu; choćby i ziemskich wrogów pogromca i ofiarny prostotliwiec jak Lancelot sam; choćby i niebieskich rozręsknień **prosto-duszni**k tkliwy jak owca tu moja każda - prostakiem miłości zostanie mi nade wszystko!" Goliardowi zaokrągliły się oczy w zdumieniu. „I franciszkanin to powiada?! Tak miłość, by najczystsza, niży? i tę ofiarność rycerską, jaka z niej się rodzi? i ten cud, jaki ona dokonywa w waszych sercach, franciszkanie?... Prostakiż to, gbury nieledwie?!"

Mało baczy przeor na to oburzenie:

„Wiódł Żydów Zakon gniewu. Wiedzie nas on wtóry Zakon miłości ku wywyższeniu rodzaju człeczego - i ponad miłość samą.”

„I franciszkanin to wszystko powiada?!"

A przeor podejmie tylko na niego to ciche rozświetlenie oczu.

„De spiritu sancto któż wam tedy powiadać będzie?..."

A gdy te oczy jego, nastawione jak gdyby na dale, na bliższe rzeczy po chwili wejrzały, zatrzymawszy się przelotem na twarzy goliarda - zachmurzył się wzrok starca. Ujrzał przed sobą chciwą ciekawość artysty, może paryskiego dysputacji ucznia - a nie wejrzenie duszy łaknącej światła.

Więc przeciął jakby dłonią tamte wynurzenia myśli swoich, odsuwał je w surową dal przed ciekawością włóczęgi.

I dla przerwania ostatecznego spraw tamtych sięgnął znów po księgę, odłożoną przed chwilą na bok.

„Wiedźże tedy, bracie, nieco więcej bodaj o tym, coc ostatnio musnęło ucho na gościńcu i z czym do mnie tu przybiegłeś: gdy twe rojenia na poły płonę Pitagor po piekle i czyścicu wodził - dopełnieniom tamtego przodował Wirgil, zatrzymując się również u wrót niebieskich. W niebo wiodła mistrza cnotliwa pani Beatrice.”

Bratu Łukaszowi wypadły w tej chwili pędzle z rąk, dłonie same złożyły mu się przy ustach: „Oby między święte policzona była!..." Gdy z poprzednich słów przeora wiało nań ziębem i ponurością, zdało mu się teraz, jak gdyby ciepły promień słońca weń uderzył. Więc się zapamiętał, ubłóżył w tym zamyśleniu: „Oby między święte policzona była, skoro duszy ludzkiej za żywa raję doznać..."

Nie pochwalił wcale tej pobożności przeora stary, bo wystawił palec i karci go surowo:

„Nakazałem ci, bracie Łukasz, milczenie w mowie innej nad pędzle i farby! Słowo zostaw oświeconym.”

Sam zasię przysiadł się do goliarda na skrzynię. Zwaśnionych klerków pogodziła księga. Pochylają kaptury nad jej kartami: na głos czytają a pilnie. Czasami się prostują, odsuną od

siebie na skrzyni, w oczy sobie popatrzają: zachwycają się społem, by tym gwałtowniej pochylić się, na tym gorliwsze czytanie. Cieszą się oświeceni nową karmią ducha.

Goliardowi żyły nabrzmiewają na skroniach, a pod oczyma zapalają się rumieńce gorączki. Zasię w palcach ma dziwny niepokój, jak ten mnich, gdy różańca pod ręką nie czuje. Aż sięgnął bezwiednie po swe gęśle. I tak je jakoś na kolanach ułożył, tak na nie osobliwie popatrzył, jakby to dziecko było jego, o całun. proszące zamkniętą powieką.

Mowa księgi jest pospolita - ludzi z za gór. Zna wagant bywały wszystkie gwary po ziemiach cesarstwa, obie mowy z za Renu i tę z za gór. Więc czyta chciwie, póki mu oczu nie przyćmią łzy. Ale przeor nie spostrzeżę tego; po drugą księgę już sięga - i z tej rad by coś na głos wyrecytować. Tymczasem pieści się nią, głaszcze jej okute skóry i niczym do skrzyni cedrowej onych skarbów z za gór, dobiera się wreszcie do niej: chroboce u klamr.

Wreszcie otwiera na traf. Goliard czai się uchem i powieką na słowa mistrza, rozkołysane jak katedralny dzwon.

I słucha:

Którzy chadzacie drogą miłowania,

Słyszcie i wejrzyjcie na mnie!...

Przerwał sobie stary na samym początku, wystawia palec i rozważa:

„Do chrześcijan to wezwanie. „Którzy dążycie drogą miłości!” - tymi słowami ich nazywa. Za przechodnią drogę ku dalszym celom snadź i mistrz sam ją uważa. Z nami jest! Nie z dominikany.”

I w cichości wywodzi coś jeszcze dłonią sobie Przed oczyma. Goliard zniecierpliwiony czytał dalej sam przez ramię przeora:

Słyszcie i wejrzyjcie na mnie:

Bywał li kędy żalu moc, równa mej boleści?...

I w tejże chwili kułak goliarda uderzy z całych sił w otwarte karty, aż się księga zwali z kolan przeora i runie z łoskotem o ziemię.

„Z żonglerowych to ust spisał, słowo w słowo mistrz twój!”

Na tę profanację księgi tylko wargi przeora rozchyliły się niemo, bo gniew powoli dopiero zapalał się na policzkach. Przemógł go jednak w sobie w brodzie ukrył.

I klęka starzec nad swą księgą cenną, podejmuje z ziemi.

„Owóż i krewkość słabości twojej, mdły bracie!” „Pytaj, ojczy, zaków naszych, którzy wszystko pamiętają, zali na ziemiach francuskiego króla nie słyszeli tego - słowo w słowo - chociaż w innej mę wie!... Zasię tamto drugie bodaj (że to jeszcze jem wypomnę!): „Nie masz większej boleści nad wspomnienie szczęścia w niedoli...” Boetius to pisał w więzieniu, Boetius! Każdy zak ci to powie i na pierwszych zaraz kartach jego księgi odnajdzie!”

Widzi przeor: miota się goliard w takiej złości, że aż kaptur osunął mu się na plecy. Spod jego stroju, na pierwszy rzut oka rzekniesz, mniszego, wyjrzała oto jawnie dusza inna - płowymi aż po ramiona kędziory.

„Nie stoim my skąpo o pieśni i wiersze nasze: żaden z nas imieniem się do nich nie dowiesz! - woła i trzęsie w alteracji tą czupryną. - Wagant wagantowi za kufel piwa odstąpi pieśń, wiersz lub gadkę przez się zdziałaną... Ale tamtemu nawet za najlepsze wino w karczmie nie oddałbym żadnej pieśni mojej! I w kości nie przegrałbym do niego wiersza mego. Nie przegrałbym!” - zgrzyta w pasji.

„Nie z wędrownych on” - powiada przeor na uspokojenie.

„I to jest nieprawda! - sprzecza się goliard już całkiem gburnie. - Ultramontanus inaczej powiadał. Z grodu do grodu wędruje on tam. Tylko przed studniami nie staje ani do piekarni nie zachodzi, lecz wprost do pałaców pańskich, gdzie go słuchają z wielką atencją, a goszczą i nocują nawet u siebie. I u nas może taki stałby się i dojrzał, gdyby panowie innego byli ducha. U nas, przedsię, wołają panowie zasadzać się na kupców juki i wory, a ducha samego odtrącili od się precz - na rynki grodzkie!”

I tak się w nim wszystko burzy, że te gniewy w wielki niespodzianie żal ściągnęły mu twarz bladą. „A ostatniego może poetę przy gęśli oddali owo skoczce na przekarmienie.”

Oburącz zasłonił się przeor od tych słów.

„Skoroś tu do mnie nie przyszedł ze spowiedzią, wiedzieć nie raczę o tej plugawości grzechów twoich.”

W nazbyt bo wielkiej pogardliwości miał przeor wszystkie grzechy z ciała.

A jednak srogim po chwili nachmurzeniem popatrzał spod oka na goliarda.

„Tyś jeszcze, spod Zakonu gniewu jak Żydzi duszą nie wyrósł... Obaczysz! doznasz! - pogroził. - Każda dusza pod taki Zakon się dawa, ku jakiemu wartością swą dojrzała.”

A on na to:

„Surowszy jest twój Zakon Ducha, widzę, i od Bożego bodaj gniewu... Nie lepszy ponoć jest i ten mistrz twój - podjął na chwilę księgę, by ją wnet odłożyć - ...Dante?... Który ze strun naszych wszystkie zdjął... niedopełnienia, on to właśnie i te gęśle nasze zapowiedne, i nas samych za stracone łamie!... Takie to, ojczco, twojego Zakonu mesjasze, że swe Jany...”

Tu goliard załamał się całkiem: osuwa się na kolana u skrzyni, a czołem uderza mimo woli o księgę. Bratu Łukaszowi wydało się w tej chwili, że słyszy głuche podzwonne strun, jak gdyby tam kto gęśle o ziemię rzucił i roztrzaskał.

A przeor chmurzy się wciąż nad tymi znamionami największych targań się, niestatków i grzechów świeckich: nad zwichrzoną czupryną wędrownego poety, rozwianą oto w tej chwili na skórze i okuciach księgi wiecznej. Kiwa głową nad tym widokiem i szepcze do się: „Pierwszy człowiek z ziemi ziemski, wtóry człowiek z nieba niebieski, powiada apostoł.”

Nawet księgi przestały cieszyć przeora, gdy powrócił od furty, dokąd jako gospodarz klasztoru odprowadzał goliarda. To jedno już tylko powiadał mu na rozstaniu: aby nie minął bez pacierza postaci Tej, która i za wagantów dusze najniestateczniejsze zastawia się zawsze przed Bogiem - za co ma od nich pieśni i muzykę, jeszcze piękniejsze od mnisznych. Dobrze by goliard uczynił, gdyby dla oczyszczenia duszy i zaskarwienia sobie Jej łask pieśń taką zdziałał. A jeśli, prawdziwie, zmiłknąć goliardowym gęśłom, niechże Ona weźmie na się ich strun tony ostatnie; odda je niechybnie wiekom.

Dziwnie odmienił się wygląd przeora, gdy powróciwszy do celi, zasiadł znów na skrzyni. Już nie te potoczne westchnienia dobywały się z jego piersi, lecz ciężkie, chrapliwe przydechy zgrzybiałości. A i myśli odwróciły się w nim od ksiąg i ducha ku ludziom i ich dolom: kamieniem leżała mu na piersiach własna surowość sprzed chwili. (Nic tak samotnych nie udręcza jak ten wyrzut głuchy, że się nie dość dobrym było dla tego, kto nas przypadkiem nawiedził.)

„Poszedł - powtarza teraz wciąż - poszedł, bracie Łukasz: w światy, do Magdaleny tej swojej, na grzeszną goliardię żywota swego poszedł mdły brat nasz, vagus!... A nowych wierszy ze świata - widzisz - nie powiadał nam wcale - choćby o jakiej świeckiej miłości... zgrzeszeniu. I pokucie... A sukna na nową szatę - uważałeś? - nie dostał dziś w grodzi ani płaszcza nowego, ani butów, ani czarki, z której gościem pił. Oziębły serca ludzi dla Muz.”

Sapliwie wtórzył mnich westchnieniom przeora. I duma:

„Przybiegł tu ze świata jak do prawej rodziny swojej, mdły brat franciszkanów: joculator świecki, poeta. Był - i poszedł, ucześć się może znów zalotnego płaszcza swej Magdaleny. Był - może wyspowiadać się nawet pragnął, a pogrozę gniewu Bożego jeno usłyszał. I poszedł - z nie ulżonym grzechem swej duszy.”

Zdało się mnichowi, że zerwie chyba w tej chwili więzy penitencji przy księdze, wybiegnie za furtę i dogoniwszy go na drodze, padnie mu na szyję, wołając: „Przerzuć, bracie poeto, grzech swój w moje serce mnisze! na moje barki pokutnika! w żarliwość moich pacierzy!...” Lecz oto baczyć musi na biadanie starego przeora, który każdym słowem dopomina się o spójrzania brata.

„Gęśle swoje - spójrz, Łukaszu! - goliard nam zostawił: za votum do kościoła powiadał. Co miał, to klasztorowi w pobożnej myśli oddał. Sam zaś od nas pogrozę gniewu Bożego jeno dostał. Bo nawet kromki chleba na drogę nie otrzymał... Kto tu grzeszniejszy? Kto - franciszkanin na wskazania miłości mniej baczący? Kto dołą, sumieniu łatwiejszą, od Pana Boga dostawszy rad innych sądzi surowo i okrutnie: zły sędzia, Kajfasz?!...”

„Ja! - ja! - ja!” - żarliwie, po trzykroć, uderzy się w piersi brat Łukasz.

„W imię świętego posłuszeństwa nakazuję ci, bracie Łukaszu, abys mnie słowem nie omijał, gdy sumieniem ominąć nie zdołasz!”

„My...” - rzeknie mnich cicho i ulegle,

I tym ciężej uczyni mu się na sercu.

Nielekko było snadź i przeorowi. Serce stare surowo sądzi ludzi z oddalenia ducha; w pobliżu zetknięcia się z cudzą dolą srogość dla ludzi w smęt nad życiem łącno odmienia i, sądzące, samo osądzone się czuje - że owo stare, że z życia odchodzi, że nie ma już uczucia z żywymi...

„Odpuść nam winy nasze, nie czyn z nas Kajfasze!” - czytać się dało w zadumie starca.

W takich chwilach rodzi się w sercu starym ogromna potrzeba zatulenia dobrą myślą czyjejs młodości całej - wraz z jej błędy i grzechy, „Oto - myśli - sznurem do księgi przywiązany, pracuje nad nią pędzlami mój prostak z duszą przez Boga obdarowaną! mój wagant mniszy! mój grzesznik największy, który mi z klasztoru na noc całą zabałamucił się na świecie!... Jeśli nie dość surową ręką dotykam go, niech ta powolność na mnie grzechem spada. Baczę na kruchość Twego naczynia, Panie! Na to burzenie się w nim ziemskiego tworzywa dolewam niebieskiej oliwy owładania i harmonii za całe moje tu włodarstwo.”

Zatrzymał na nim tak ojcowskie wejrzenie, że spod kaptura nad księgą wychyliła się jak po błogosławieństwo ta głowa mnisza z wiankiem włosów wokół wygolonego ciemienia - o ileż bliższa przeorowi nad zwichrzoną czuprynę waganta!

I znalazła się wraz ta głowa przy piersiach starca, w obu dłoniach jego.

„Ułomiłem cię, kwietna gałęzi, z płonej oliwy wagantów, byś wszczepion w klasztor franciszkański, jak w to dobre drzewo, stał się uczestnikiem korzenia i tłustości oliwnej!...”

* * *

Ponurą była ta droga w **świat**, między murem i okopem klasztoru. W długi zacień tego rozdołu ziało zewsząd wonią ziemnej próchnicy i piwniczną zatechlizną cegieł. Stopy grzęzły

w omiękłościach drogi: za kobierzec ciszy porastały mchy nie jezdny gościniec mnichów. Czyjegoś tu jednak przejazdu z dawna nie zatarty ślad widniał w głębokich na drodze wyciskach; niegdyś nasączała się w nie chyba woda tego mokradła: dziś grzybnia liszajów wyłabiała niesamowite ślady kopyt tuż pod zamkiem mniszych samotności. Gdyby czarne i ściągnięte w tej chwili żagle nawy żałobnej zwisają nad furką olbrzymie gałęzie; żaden w nich nie zaświegotął ptak Pod igliwia ciche jak pacierz zaszumy. Nad omszałą czerwienią murów klasztornych czerniał się tak ogrom cedru w rozprężnej owisłości konarów - drzewo dumań Salomonowych w ciszy majestacie.

Nasłuchał się było goliard z ust przeora, naczytał w księgach tyle ducha, że mu owo i cedro-we drzewo samo u klasztoru furty wydawało się Salomonowych mądrości arką:

„Nauka dobra da łaskę, na drodze gardzących przepaść!...”

Szedł pod klasztoru murem jak ścieżką wygnania z przystani ducha i dobrej samotności na niestatek tułactwa, na gorycz poniechania. Już nie gęśle pod pachą, lecz jakby kłodę psa włóczęgi dźwigał u szyi oglądając się co chwila na tę cichość zakorzeniałego spokoju w rozłożystościach cedru.

I przekorą natury waganckiej swarzył się mimo wszystko z tym wejrzeniem statku i osiadłości: „W habicie zakonnika pod konarami tej ciszy błędnego rycerza i wędrownego poetę razem znalazłem ja przecie! Bo czymże są te słowa przeora powiadane w celi?... Pomrukują wszak głucho dominikany o nowej znów nauce, zagnieżdżającej się wśród franciszkanów co znacniejszych: o ich wyczekiwaniu nowej Ewangelii, wyższej nad objawione!”

I aż się przeraził w tej chwili takim ich wyczekiwaniem. I zapatrzył się po raz drugi na te dziwne, pieczęciami grzybiej plechy odcisnięte ślady w tym pustkowiu. „Diabeł - myśli - krąży wokół tego klasztoru. Zwiertzył snadź grzech waganctwa i w skrzyni przeorowych ksiąg. Konno, postacią błędnego rycerza może, snuje się tu. I zostawia po sobie ślady diabelskie w grzybiej piesze: te jasnoszare wyciski podkowy w mchów szmaragdzie na pustynnej drodze pod klasztoru murem... Tam, u furty, zatrzymuje się pewnie i czeka na przeora, by się przysiadł na jego konia. Bo nie jednoż to: od kielicha w cyborium szukać Graala czary czy od Ewangelii na ołtarzu nowego zakonu?!...”

Wiatr przebiegł nagle szelestem po chaszczach przydrożnych i jął skrzypiec cedru konarem, ocierającym się o mur. „Głusz! - pustkowie! - omartwica!” - skowyczało to skrzypienie nad klasztoru furką. I wypłoszyło coś żywego z gałęzi. Bezgłośny trzepot skrzydeł ciężkich, przelatujących nisko, chyłkiem, tuż u muru samego. Ziemi grudą przypadła gdzieś sowa na krzew. I z wklęsłej twarzy swej błyska żółtym okiem.

„Gołębica kacerskiego ducha!” - Otrząsnął się w sobie.

I jął się rozglądać naokół, jak by z tej uroczej drogi samotnictwa wydostać się czym prędzej w tchnienie świata i życia - w słońce gdzieś wyskoczyć, polem szczerym przebiec, choćby jak ten pies włóczęga z kłodą u szyi, dlatego niczyj, że bezpański.

Rzucił się w bak, między te głogi i ciernie na okopy klasztornej granicy, strzeżonej od złego przez oną tu Postać w kamieniu.

Szamoce się i targa wśród krzewów ciernistych, depce chrusty pod stopą, póki zadyszany nie zatrzymał się na wale.

I nie obejrzał poza się.

Za klasztorem ostro rysował się w tej chwili gród w baszt wieńcu pod obłoków przegonem. W dali nad tonią borów wypiętrzały się po skałach czerwone murowiska zamków pod błękitu banią

i chmur białych przelotem - dziwna powietrznosc wypełniała świat. Tuż pod sobą widział klasztoru rozłożyste dachy i cedru czarną nad nimi zastygłość. Spoglądał na te zamki, gród i klasztor jak na przystanie, w których stargał po kolei łańcuchy wszystkich kotwic nadziei. Z gęsią w klasztorze jakby i ster swej łodzi zostawił. Chyba się teraz na wznak w łódź swą bezsterną rzuci i - pod obłoków przegonem nieustającym na błękitu bani - spłynie, gdzie wichry poniosą.

Jakby dla zagłuszenia tych myśli zaczął z nową zawziętością przedzierać się przez krzewy naprzeciw onej Postaci, która strzeże od złego granicy klasztornej.

Lecz tym razem czepne witki cierniowe chwyciły się już nie szat jego, lecz ramion, oplatając je wzwyż aż po dłonie: „Na Boga prawdziwego, stój! Nie chodź tam!... Nieprawda to, żeś niczyj na świecie. Bożys ty, Boży, jak wszystkie dusze człecze! Nieprawda to jest, żeś wszędy poniechany. Panią swą macie wszak waganty u Bożego wprost tronu! Onaż to wszak za te pieśni i muzykę, którymi ją obdarzacie, za wami to właśnie - żarliwiej niżli za wszystkie inne dusze - zastawia się zawsze przed Bogiem. Spójrz na Nią: stoi tam w kamieniu, pod klasztoru murem. Wyciągnij ręce do tej Orędowniczki nędz ostatnich, Skarbonki łez najbardziej gorzkich, poniechanych Matki boleściwej!... Słysz! dzwonią w klasztorze.”

A choć się łzami w tej chwili zachłysnął, ponura już zawziętość ogłuszyła go rychło i na ten ostatni zew franciszkańskiego ducha. Zaciskał zęby.

„Raczej mieć pogan lub Żydów serce niepłodne a myśl ich pojemną i bystrą w pogodzie, niżli się zatruwać mnichów smutkiem: po holokaucie wypijać jad acedii!”

Jakby pod wiatru nagłym zawiewem otworzyła się przed nim gąszcz cierniowa.

Prędką stopą zbiegał po upłazie tamtej już strony.

Patrzy: świat dziwnie biały, kolumn potrzaskanych rumowisko pod ciemnymi osłonami bluszczu. Ledwie mignęły w popłochu zielonych jaszczurek bezliki na głazach - i oto zaczarowana jakby pustka w przejaskrawym słońcu. Między złomami kolumn jakoweś usypiska kamiennych szczętów, gdzieniegdzie na oko jak ciało obłych i miodnie pozłocistych od marmuru starości. Bracia to snadź ogrodnicy łopata i motyką, z zagonów swych dobyte, te białe gruzy pogaństwa wyrzucali tu pewnie - za klasztoru niedobłą granicę - jak to zło ruszone w ziemi. Jaszczury się na tym lęły i rozsnuwały bluszcze.

Wstrząsa się jednak ta cisza zakłeta: krzyk, zrazu gardłowy, rozbija się wnet w pohukiwania dzikie, a wraca echem zawodzeń. Dziwnie się to słyszy - może ptak jaki z gór dalekich opadł tu gdzieś na złamaną kolumnę i cietrzewi się skrzydły a głosem; budzi wszystkie echa słonecznej tu głuszy, wygrywa gardła krzykiem gamę gór echową: grda, tokuje, tęskni... I urwie nagle.

Tam przycichło - gdzie jak maku kwiat zapaliła się nagle czerwień jakowaś u ciemnej zasłony bluszczu nad kamieniem. Coś się tam zatrzepece w podrywie gwałtownym i dwoistymi jak gdyby skrzydłami cheruba wionie wprost na piersi goliarda.

I spadają mu całunki na policzki, na oczy, na usta, w tym śmiechu zębów białych: że owo zakłęk śpiewanych mocą wyczarowała go przecie zza murów smutku i śmierci - że nie został, nie został w klasztorze!...

Ledwie poznać ją może w żalonych strzępach wczorajszego przepychu. Zalotne wczoraj wypukłości sukni stargały się oto przez jedną noc w kraśne i zbrukane szmaty cyganki. Te buty, których tak dumnym tupotem wypełniała wczoraj gospodę, zawiesiła sobie dziś u pasa; dziką stopą ...li snadź przebiegać gościńce włóczęgi. Wstażkami w podłuż splecione rękawy, teraz wzdłuż rozdarte, czerwienią się u gołych jej ramion, niczym druga para skrzydeł tego ptaka waganckich przelotów. Krótkie bo zawsze bywały przystrojenia skoczki:

ciało jej stworzone do rozprężnych wolności tańca pieśczoły stargałoby na sobie i najdelikatniejszego bisioru oponkę, a cóż dopiero te nakrochmalone sztywne pancerze strojów, którymi tak lubo utrapiają się wszystkie kukły niewieście po grodach i zamkach. Ale dziś nazbyt prędko poszarpało się na niej to wszystko.

Widząc tę ponurą badawczość w spojrzeniu jego, opowiadać mu czym prędzej poczyną o jakiejś sprzeczce z niewiastami w grodzie, gdy z heroldem przechodziła przez ulice. Kobiety, szukając z mą swaru z zazdrości o modną suknię, narzuciły się na nią, że zgorzenie swym strojem w miasto wnosi i że się z ludźmi wałęsa - swojemu niewierna. (Ku temu opowiadana była rzecz cała, aby w przypuszczalnym gniewie jego na te wtrącania się babskie spalić od razu rozrachunki między nimi dziś najprzykrzejsze.)

On mało w to wszystko wierzy, a jednak słucha tak uważnie, że aż mu żyły obrzmiewają na skroniach.

„Nie ich rzecz!”

„Nie ich rzecz” - powtarza za nim jak echo.

„Moja sprawa. Gdy zechcę, sam obję.”

„Objesz” - wtórzy echem, byle przytakiwać męskiemu słowu, gdy gniewne.

On chmurzy się coraz bardziej. Zaś ten wstyd ogromny, że o zdradach jego dziewczyny wiedzą już wszystkie kobiety w mieście, wraz z pomstą na tamte jędze w grodzie - tak mu się mieszały w gniewie, że diabeł by sam nie odgadł, na kim się to skrupi. Co chwila czerwienieje na twarzy i ogląda się przy tym na miasto. Zda się, że gotów nawrócić tam i w odwecie za jej krzywdę obić do krwawych sińców najcnotliwszą w mieście matronę.

Więc ona popłacze nieco dla podjudzenia w nim tych pomstliwości. Po czym ciągnie go za obie ręce, sadza przy sobie na kamieniu.

„Nie zostałeś w klasztorze?” - pyta o rzecz tak oczywistą.

„Mm!” - nie raczy nawet odpowiedzieć słowem.

I gwałtownym ruchem wrywa jej coś z ręki. Badawczo rozkłada to przed sobą.

„Kapelusz - mruży - z czterema rożkami... Widział to kto coś takiego!”

Ta całkowita jego ignorancja w rzeczach stroju przejęła kobietę tak głębokim oburzeniem, że ucięła z nagła wszelką jej potulność sprzed chwili. Obezwiała go głupim, powiadając, że się na niczym nie zna. „Toć to czapka! potrzebna do sukni.”

„To suknia, to kapelusz!... A każda przy niej szmatka bardzo potrzebna i ogromnie ważna. Takie to wasze, kobiet, czarnoksiężstwo nad naszymi głowami.”

Czapka!” - poprawia go dziewczyna z uporem.

On tymczasem zwiesił głowę w nagłym zamyśleniu.

Zelgane było wszystko, co opowiadała mu przed chwilą! Po prostu burmistrz spotkawszy rybałkę z kapeluszem na głowie, pociągnął ją na ratusz do podatku i do zapisania w grodzkie księgi nierządu. Na taką jawność już przyszło! Opiszą ją niebawem po wszystkich grodach - a jego za pomocnika w tym jej rzemiośle... Zaś to odziewku potarganie tak gwałtowne? Kto zgadnie, gdzie ryba w wodzie bywała...?

Odpycha skoczkę od się precz. I powiada, że nie obję cholewą lub rzemieniem, bo nie pan mąż, bo gardzi onymi mieszczany, którzy objęją swe żonki, by do splakanych pchać się rychło pod pierzynę. Wstrętną jest każda sprzeczka z kobietą, ale wstrętniejsze bodaj jest takie godzenie się potem. Więc to jej powie tylko: że pieśczołą nie dotknie się jej już nigdy.

„Nigdy!” - dodał wybłyskiem oczu spod kaptura.

Stropiła ją bardzo ponurość tego wejrzenia. „Od mnichów wraca - myśli - kto go wie...?” A rozbrojona z kłamstwa swego, już nie wie, co począć; aż omiękły nagle te jej usta bezradne.

„Nie zostałeś w klasztorze?” - pyta nie do rzeczy, po raz drugi już dzisiaj.

I wybuchnie nagle takim zaszlochem, że aż stuli się cała i rozdygoce ciałem.

Chwycił ją mocno za ramiona oba.

„Bij!” - woła w szlochu dziewczyna.

„Głupiaś!...”

W tył ją przegina tym uchwytem, odsuwa od się, ku lepszemu podpatrzeniu prawdy.

„Mimo piachu łyzy twej głupiej, jaki mi sypiesz w oczy?...”

„Nie mogę bez ciebie!...” - buczy dziewczyna w obie swe dłonie u twarzy.

Więc podjął odruchowo dłoń dla pogłaskania tej głowy: niechże się uspokoi wreszcie. Prawdopodobnie wcale tak nie jest, jak powiada, może przed własną duszą teraz coś płaczem kłamie, pewnie wcale nie to jej dolega, nad czym się użala. U kobiet mody nie wiedzieć. Bo one same nie wiedzą nigdy. Inne w nich dusze.

„I niech je Pan Bóg sam sobie sędzi!” - kończył w zniecierpliwieniu.

Ale ta miękkość w myślach i dłoni, niczym przez gęśle i smyczek, zapadła mu w piersi. Gdy mu dziewczyna po jakimś czasie o sobie opowiadać każe: czemu odbiegł od kamratów na gościńcu, co wśród mnichów porabiał - on rozpoczął swe zwierzenia po męsku: od końca - od najdokuczliwszych na razie uczuć. Jął jej tedy opowiadać swe myśli ostatnie, gdy z tego tu wału spoglądał na gród, zamki i klasztor: jak to wytracony jest ze społeczności człeczej.

A z samego nadmiaru rzetelności, w przystosowaniu się do kobiecych myśli, zdrobniały się jakoś te żale.

Oto i wśród kamratów nawet obcym się czuje. Żaden mu z nich przyjacielem nigdy nie był. Linochód, że melancholicus; niedźwiednik, że zazdrosny; zonglery i żaki, że się o sztuki ciągle swarzą; inni, że zgoła rudes. Sam jest. Nie ma przyjaciół na świecie.

Tak jej się użalał, tym męskim wynurzaniem się przed kobietą, w którym się wszystko w jedno miesza i na drobne miele. Do nie wiadomo, jak zboczył z tego na opowieść o wielkim mistrzu zza gór, którego słowo jest jak dzwon, duch jak Pawła apostoła, a ton nie gęśli, lecz organów.

„W czyścicu i piekle był za żywą duszą jasnowidzącą” - kończył w zamyśleniu.

„Nad czym to się utrapia pod kapturem!” - dziwi się w duchu dziewczyna, spoglądając nań mimo woli z zezem politowania.

Ale gdy to i owo z księgi mistrza opowiadać jej począł? zaciekawiała się niebawem tak bardzo, że oto już nie na kamieniu przy nim siedzi, lecz na ziemi. Ramiona splotła na kolanach jego, zapatrzona weń w tej chwili jak w tęczę: że mądry jest i wszystko wie! Oderwały się na chwilę jej myśli od siebie samej; jęły się błąkać po świecie.

Nagle dotykając jego ręki, rozpytuje potulnie:

„Powiedz... te nimfy? Sali jeszcze prawdziwe na świecie? choćby tam - za morzem?”

Aż się goliard zachnął rozczarowany: „Złożyłaś i w to nawet swe jaje!” - A głośno parsknął tylko:

„Kobieta!...”

Przytuliła się doń, cała rozpromieniona wdzięcznością za to słowo. „Nie satanassa przecie!”

„Nie trzeba i diabłu pomocnic lepszych!”

Ale gdy się myśl kobieca czego uczepli, nieprędko daruje ciekawościom swoim. Niechże jej tedy opowiada, co wie o tych nimfach: jakie one były z siebie? czy ładne nade wszystko? i czemu ich dzisiaj już nie ma, skoro dawniej były? Na wygodzenie tym naprzykrzonym rozpytywaniem powiada jej - ot, by rzec cośkolwiek - że po łąkach nad strumieniem kwiaty tkaly osadzając je na łądogach traw.

„One?!...”

Objęła ją nagle sapliwa nad tym zaduma. Podbródek wtoczyła w dłonie i patrzy, a raczej słucha oczyma, co dalej będzie. Coś się tam kłębi, coś mota żywo w tej głowie. Więc on podsuwa temu motkowi jeszcze jakąś tam nić, powiadając, że one takie były zawsze zwiewne ku śmierci, iż wystarczyło wyrwać im jeden włos, a umierały natychmiast.

„Ee?!...” - zdumieniem aż nieufnym spojrzała nań. I w tejże chwili obie jej ręce poderwały się ku włosom na ciemieniu, by poprawić rozrządzone, przygłaskać nieco dłońmi. A przyłapaną uśmiechem jego na tym odruchu bezwiednym, zarumieniła się aż po uszy. I przyznaje ze skruchą, że jest bardzo niemądra.

Jemu podobała się widocznie ta niemądrość, bo głaszcze ją długo po dłoni.

Tym ośmielona przysiadła się doń znów na kamień - z przyjaźnią zresztą tylko; nie naprzykrza mu się wcale, niech Bóg broni!... Smutne jest jednak takie sztywne siedzenie w przyjaźni, więc się przytuli tylko nieco, ramieniem szyję mu ogarnie, przy sposobności wasy mu poprawi. I zaszepcze przy tym niskim nagle głosem:

„Te usta twoje... daj...!”

Zresztą cicha jest przecie i uległa w wielkości przytulenia.

„Opowiadaj. Mów.”

Ale jemu nie do opowiadań żadnych było już w tej chwili. Zmąciła się w nim powaga i surowość cała. Zaś jedwabista ochłodność jej ramienia, wyczuwana szyją, parzyła go w tej chwili jak po krzywa w tym przypomnieniu gwałtownym - że wszakże to jej ciało tak niedawno jeszcze...?!

Chwycił ją znowu za ramiona i trzęsie z całych sił.

„To jedno powiadaj mi - szepcze gardłowo nad nią. - Na twoją i moją duszę, prawdę mów! - nie diabełże to był chociaż?!...”

„Któż tobie znowu?” - zachnie się, bardziej zdumiona niżli zagniewana tą przerwą w pieszczocie. - Któż tobie znowu?”

„Herold on?!...”

Ledwie to rzekł, już po łbie dostał - że przypomina. Że zaś dobrą chwilę miłości tak przykro zepsuł na samym początku - „niech przepada, skoro taki!”

Zepchnięty z kamienia, przewrócił się tuż obok. A powstawszy z ziemi, zawija się w swój płaszcz i mruczy:

„Na ten koniec - ja obity zostałem!”

Ale ona nawet pomyśleć mu o sobie nie pozwala: rozsierzenie swe na żale mu przekłada, że ją teraz zazdrością swą zanęka, zamorduje powoli. I pókiż to tego będzie?!... Zechce ją może zanudzać akuratywnym rozpytywaniem bakałarza: quis? ubi? quomodo? quantum.?” A przecie w kochaniu jest rzecz główna nie w tym, co się komu przytrafi. Przytrafia się zaś każdej kobiecie; niechże raz wie, durny, każdej! Żadna jednemu wierną nie zostanie bez szczególnej pomocy Bożej. Tylko że każda wówczas zatai swoje, wyprze się w żywe oczy, zabałamuci. O, jakież niedobre bywają kobiety! jakie pełne fałszu i obłudy wszelakiej! Ale przez was to właśnie stają się takimi - żebyście wiedzieli. O, jakżeście wy wszyscy jednakowi!”

„Wszyscy!” - podkreśli goliard jadowitym tonem.

Więc ona czując, że się przegadała, tym gniewniej wywodzi swe żale. I to jeszcze: czy diabłem aby tamten nie był? - tym się, głupi, troska. Gdyby ona była mężczyzną, tożby jej wtedy wszystko jedno było, jakim tamten był z siebie, choćby i diabeł sam.

„Choćby i diabeł sam!” - odmachnie się goliard oburącz, nazbyt już cierpko w tej chwili.

Ta niezazdrość znowu zupełna stropi ją w nagłe zamyślenie. A po rozważeniu urazi tym głębiej. Więc pocznie tym gwałtowniej snuć swoje żale i motać je niecierpliwie. A gdy się w tym pośpiechu mówienia nasuła znowu jakie uogólnienie niepotrzebne - wybuchnie na pewno płaczem krzywdy serdecznej.

Tego się goliard bał najbardziej; nie z tkliwości przecie, lecz z niesmaku oświeconego człowieka: wszędzie na świecie jest więcej ładu niżli w głowie kobiecej.

Zza cierni i głógów klasztornego wału wychylił się zając, a spostrzegłszy ludzi, położył słuchy na grzbiecie i śmignął co tchu w skokach polotnych. Powiódł goliard oczyma za tym przypadkiem; zamyślił się, zatulił w swą szatę klerka.

„Poucza wiedza - mówi - jak to wąż grzech oznacza, zając - namiętności człecze. Spłoszyć obu nietrudno; tylko gdy wąż gnuśnie tu przy nas w ukryciu się zaczał, zając szparko precz odbieży gdzie indziej.”

Nie wierzy coś dziewczyna, by zając aż tak daleko odskoczyć miał. Wie natomiast, jak to oświeceni consolationem i żądzą opanowania w filozofii szukają.

I że z nią łatwiejsza kobiecie robota niżli z zazdrością.

Więc po jakimś czasie tak ciepło na niego popatrzy, tak długim zaciąganiem wyblśnie ku niemu spod rzęs, że on tylko się nachmurzy w tym żywszym przypomnieniu herolda. I palcem surowo przed sobą zamacha.

„Nigdy!”

Z okrągłych w tej chwili warg mignie ku niemu ruchliwszym od żmii językiem. I wzruszając ramionami, odchodzi sobie na bok. Poprawia warkocze, nuci coś przekornie.

Dąsa się.

Lecz oto jeden, drugi kamień, na który wskoczyć wzięła ochota; potem już jak wiewiórkę z głazu na głaz ponosiło samą. Że grobowcowe to niegdyś głazy, więc ją nęci płocha wśród nich psota. A że cisza tu taka surowa naokół, więc huką; drażni echo - że ponure.

Póki nie parsknie jak to źrebię i, zgarniając swe szmatki powyżej kolan, nie zapatrzy się ciekawie na tę obrzydliwość czarną i śliską, która w drgawkach spłoszonej gadziny stepie się oto u kamienia śród szmeru traw.

„Waż!” - powiadają wtedy dopiero okrągłe usta i zaokrąglone oczy dziewczyny.

Goliard najeżył brwi pod kapturem, acz uspokaja się rozważą, że gdy się wśród ruin węże przytrafia, zawsze bywają czarne z natury swojej.

Dziewka przycichła. I poszła między kolumn białe złomy, a bluszczów ciemne na słońcu gąszcze. Migoce na ich tle czerwonymi jak mak szmatkami sukni: wnosi w tę ciszę barwy bodaj krzyk i wyskoki, gdy usta zamilkły i nie skaczą już stopy. A rusza i drażni wszystko. Oto bluszczu potężny kierz zwisa czarną kaskadą na jednej gałązce tylko: rozkołysze go więc, rozbuja nad swą głową. I niczym kasztany wytrząsa z jego gąszczy ślimaków mnóstwo: gradem uderzyły małże o głazy.

Skryła się wreszcie za tą kaskadą.

I wtedy takie milczenie zaległo w słońcu śród ruin, że zamigotaniem zielonych jaszczurek ożywiać się znów jęły marmurów biele.

Aż jego zaniepokoiło przykro to długie zaczajenie się ciszy. I nasłuchiwać mu każe. Zło nie śpi w takich kątach uroczych. Począł oglądać się za dziewczyną i szukać jej w milczeniu, by nie nawoływać głosem - łatwo wywołać co w takim miejscu niedobrym.

Uchylił wreszcie nawisłą zasłonę bluszczu. Patrzy - stoi dziewczka jak ta Ewa pod jabłonią: golu-sieńka na całym ciele, nawet przyrodzenia żadną gałązką u bioder nie przysłania. Tylko za jabłko pierś własną w dłoni waży. I wygięta skrętnie, przypatruje się biodru i nodze swojej.

„Sprośna ty!... Oto nad czym przycichła nareszcie.”

Za całą odpowiedź wskaże mu przed się. O mur wsparta stoi oto pochyle jakowaś postać w kamieniu o odbitej głowie i strzaskanych stopach. W biodrach ma takie właśnie wygięcie, jakby pod własne spojrzenie wystawiała się ciałem.

„Nimfa!” - naszeptuje dziewczyna.

„Sprośna ty!” - zgromi ją po raz wtóry. A jednak wielkie zdumienie objęło go.

I odwróciwszy się od ciała niesromnej dziewczki, zapatrzył się w kamień żywy. Tuż podle, we wnęce muru, dostrzega jakby podstawę tej figury; na niej dzban zdziałany w marmurze i stopy przyrosłe do cokołu. Poniżej widać zatarte w kamieniu głoski.

Rzuci się ku nim klerk, pisma starego zawsze chciwy. Zna dziewczyna tę żarliwość jego w odczytywaniu starego pisma na zmurszałych przy drodze kamieniach lub na głazach wmurowanych w bramę niejednego grodu.

A naszym ku czemuś zapałem przejmują się tak bywa, nasze kobiety, że gotowe i w sprawach ducha współdziałać tą krzętną niecierpliwością swoją. Że zaś w odczytywaniu pomóc mu nie zdoła, więc przynagla bodaj: kopie bosą stopą klęczącego nad napisem goliarda. „No! prędzej!” - niecierpliwi się nad nim.

Ale on przynaglić się nie dał tym poganianiem. Odczytał akuratnie:

„Divae Aphroditae sacr...”

Dziewczynie przywarło coś w tej chwili powiew I nim się spostrzegł, runęła czołem o ziemię, włosów nagle rozploty wyrzucając przed się, na głowy przysłonięcie rabie:

„Pani Wenus sama!”

Ten krzyk bałwochwalstwa urzekł go chyba jawnym już czarem tych ruin - za klasztoru nie-dobłą granicą.

Bo oto te złomy, jak pnie potrzaskane, dopełniły mu się nagle w oczach aż po one szczęty okapów, które tu i ówdzie zawisały na słupie. I nakryły się dachem w świątyni, ogrom kolumnowy. Zaś te marmurów obtłukł nijakie - z przypadku jakby gładkie lub z kaprysu natury upodobnione czemuś - szeregiem bożyców z kamienia stanęły u wewnętrznych ścian. Pośrodku bieli się ołtarz, w bluszczu osnuciach, pod ofiarnego dymu kłębam i smugą.

I słyhać głos zza ołtarza tego:

W progi Apolla świętego siedliska
piewca z czym wkracza? Świeżych gron obiata
na łask jakich zblaganie spłynie z jego czary?

Siebie samego widzi tam, u ołtarza. Klęczy owo wagant na poły mniszy, z gęślą pod pachą, w czarnej i ciężkiej szacie klerka, zapyłonej kurzem ksiąg i piachem włóczęgi: jocularo niby dzisiejszego ducha z czołem nie jaśniejszym i nie lżejszym ponoć od onych szat. I bijąc tam czołem o ołtarza stopnie, kończy w duchu modły jakoweś:

[.....]

nie Indu złoto i słoniową kość,

nie winnic plony lub sardyńską włość
- pogodę duszy mej, o Synu, daj, Latony!...

Nie mniej żarliwie od krzyku dziewczyny przed chwilą dobyły mu się z piersi ostatnie zwłaszcza słowa tej modlitwy. A na pół zaledwie ocknięty z tego czaru, pojął, że na tych bogów cmentarzu żywe kamienie przemówiły doń - przypomnianym tak nagle słowem Horaca.

Wczoraj to wszak jeszcze, na kamieniu grodzkiej ulicy, siedział było nad ona księgą, którą od mnichów wykradła dla niego dziewczyna. „I znowuż ona!” - pomyślał niechętnie. Ścierał z czoła ten czar i urzeczenie, jakie nań rzucił jej bałwochwalczy tu krzyk. Ale czynił to daremnie. Oczy wędrownego poety - jak źrenice mnicha w godzinę cudu - zdołały widzieć przed sobą już tylko świat inny.

Oto kłoda marmuru w bruzdach; popatrzysz: opony to widoczne fałdy na kadłubie, u góry bark się wyznacza, ramienia osada, a u piersi podruzgotanej cytary ślad. Niczym trzon kolumny zwalonej wrósł pochyło w ziemię ten tułów z przyrośłym do piersi szczętem lutni. O n to pewnie sam, który za siebie i Muzy pacierze tu brał, promieniem boskiej pogody dotykając czoła wybrane.

Za chwilę klęczał goliard prawdziwie u ołtarza, który odnalazł w środku tych ruin. I na marmurowej tafli jego, u samych stopni, głaszcze dłonią kształty tańczącego Pana z fletnią. I szepcze do się słowa pieśni śpiewanej jakby pod fletni wtór:

Faune! nimpharum fugientum amator...

Śmiech był w tym pacierzu pogańskiego ołtarza i radość a rąk klaskanie... Potknął się niebawem, jak o kulę, o głowę ze śpiżu zielono-czarną, spozierająca białkami... „Diabła?!“ - pomyślał z otrząsem. Ale wcale nie szatanów złością spoglądają te oczy. Błyskawica i płomień żywy zataja się w uśmiechu tych źrenic; aż po granice upojenia stuliły się z lekka powieki. Usta bożyca są w zadumie poważne, gdy rozsiewną jakby pogodą czoła uśmiecha się brodacz ludziom życzliwy. Liść winny i grono oplata mu czoło.

Odgadł: Bachus to sam, w wieku dojrzałym - Dionizos!

A ta ust i oczu boskich sporna jakby ze sobą mowa wlała goliardowi w żyły ogień uniesienia w tyra przypomnieniu nagłym:

Kędyż, o Bacche; uwodzi Twój duch?

wskroś pełen Ciebie, Tobą upojony w szal,

kędyż się rwę? przez jakąż przedzieram się gąszcz?

[.....]

ku gwiazdom śląc, pod Zeusa tron

pieśni me nowe, które z żadnych ust...

[.....]

O, słodka grozo! w Twe ślady, o Boże! o Leneusie!... gdy winnic boski liść uwieńcza skronie Twoje...

Urwały mu się słowa tej pieśni; myśl w bok nagle \ odskoczyła. I wyciągnęła się dłoń jakby po własnego życia tajemnicę, która w tej chwili przewiała, zda się, tuż obok niego.

A że tak oczyma i duchem w innych był światach, więc nie spostrzegł wcale, jak zza bluszczów wystąpiła dziewczka jego, dziwnie niesamowita po swych niedawnych pokłonach u kamienia. Zwarta nagimi wciąż kształty, stoi jak ta kolumna opodal, jak ona pozłocista na smągłym ciebie. Zaś tych ramion sprężeniem przyzywa snadź wielkiego pogromcę smutku i ociężenia: jego łaski w siebie bierze aż do tej bladeści na licu, do oczu śmienia, aż po tę rozchwiejność ciała i oczadzenie w bezwiedny już chyba tan...

Wówczas na miękkich stopach kocicy obiega goliarda kołem urzeczenia - by odgonić mu znad głowy acedii zmory - wypłoszyć spod kaptura tęsknienia w klasztory - by corde jucundo poszedł znów z kamratty na waganctwo, na włóczęgę - w światy.

Życia radosność sama zataiła się wokół ruin świątynicy dawnej jakby zaklęta w cmentarne jej milczenie.

W żywy kamień, w marmuru wyraz i gest, zastygł i goliard tu sam, upojon Bakcha upojeniem bez kruż.

* * *

Faun chyba tylko odgadnąć by zdołał na fletni tych zamyśleń goliardowych rytmy i tony.

Jak gdyby zasiadł wprost niego na ruin którymś głazie, rac podwinął pod kolano drugie, gębę odął przy fletni, wytrzeszczył ślepią w zapamiętałości grania - i dmie:

O tych prządkach opowiada pewnie, które wśród polotnych skoków dziewcząt łowią oto w powietrzu lata nici wszystkobarwne, by na tkankach słońca i zieleni tkać żwawo wszystkim kwiatom kielichy złote, kraśne, modre i białe - pod nieba lazurem.

Lecz słońca spiekota nuży je rychło w tej pracy i rozkaprysza ciała. Już nie rączymi wyskoki za przedzą barw wszystkich, lecz płasem wiotkich opieszłości pomykają się ku brzegom strumienia, kędy pięć kolumn białych pod dachem osłania ich to ołtarz może - jak niegdyś nad Lirisu wodą.

Oto biorą już na stopy te pierwsze wstrząsy ochłody, pełzające wzwyż, ku ich ciał takiemu zjędrnieniu, że plecami w tył przechylone, wydają się całe jak Diany łuki napięte.

Południowej pory ocknięto zewsząd gwary i bez Fauna fletni obejdą się teraz. Starczy za nią dziewcząt śmiech szklany w rozbryzgach dreszczów od ziąbu kąpieli: a i te bluzgi, tryszcze i kaskady wokół ich ciał atłasu, tak błyskliwie roześmianego w słońcu i w takie szafiry zasnutego po cieniach. To w cień, to w słońce pstrągiem wyrzuca się z wody z dziewcząt najmłodsza: jeszcze chłopię prawie o kształtach niegiętkich i tak twardo rozrzuconych w poskokach, że się z tych nóg, ramion i główki pod dzwonnymi loki rozgwiżdza co chwila czyniła - za krzyk radosnego ciała na „Evoe!” młodości.

Nie matka się o nią troska, lecz - jak to bywa, gdy macierz płocha - siostrzyca nieco starsza. I stateczniejsza - tą porą pierwszego u dziewcząt ściszenia: gdy ich oczy do śmiechu pochopniejsze niżli usta, w młodej już powadze panięstwa. Źrenice jej natomiast są takiej ciekawości pełne, tak słońcem wraz z rosą nasiąkłe i tak rosiście roześmiane, jak te bławaty o wczesnym ranku. Rankiem i wczesnością jest cała, a giętka aż zaczepnie w swych wiotkościach rytmicznych - choć szczupłe ma jeszcze łydki, piersi jak jabłka i różowe ramiona.

Siostrzyce starsze tymczasem, czujnością łani u wody, zasłuchały się nieufnie i w strumienia samego głoś, który na nurtu skręcie w nuty dwie, dwa zabełtania i z dziewczęty się teraz swarzy. Oto ledwie zanurzyły w nim swe stopy lekkie, on basem o nurtu głębiach coś im tam prawi i bulgoce w powadze. A prządek piękna rączki chyże czerpią co żywo z tych głębi, roztopione słońca złoto na piersi swoje. Póki prąd wartki u skrętu nie klaśnie znięcka wodą o kamienie. I strumienia nutą wtórą jak sam satyr wysokim chichotem się nie zachłyśnie.

Dziewczęta spłoszone wypłusną się nagle z wody gromadką całą. I wioną za kolumny swej świątynicy otwartej. Wychylają się zza tych marmurów bieli, Po których pulsujące plamy słońca trzepocą się niczym motyle złote. Wynurzają się wiotkie zza gładów stęgłości, biorą na swe plecy i ramiona tych blasków roje. Tak dyszy, tak się trzepoce na ciałach dziewcząt niepokój słoneczny, gdy okrągłymi oczyma zapatrzyły się z lękiem w strumienia wody.

Z rozchylonych trzcin sitowia wystawia ku nim Panek chrap swych niuchy, bródkę złośliwą i te strzygące pod rogami uszy.

I pędzi wraz ku nim z chwytną już z dala garściązda się, za biodro, za udo z miejsca ułapi, gdy zgoni. Lecz oto biegnąc brzegiem strumienia, zaplątał się jakby kopytami między te kaczęce złote, pomieszane z skocznymi promykami słońca w cieniu osiny. I zaloty swe całe wytupotał oto wśród kwiatów i promieni, wyklaskał w grzechotki swych dłoni. Tylko że do tańca miał nogi nazbyt długie - w kolanach - jak te skoki zajęcze. Więc choć drepce wciąż posuwiście, cietrzewi się i klaska, śmiech jego dziewcząt wzgardliwy otrzymał w odpowiedzi. Nie stropił się tym bynajmniej, na nic w tej chwili nie baczący. Sobie tańczy. Sam się weseli.

Oto coraz to wdzięczniej nad rogami klaska i, zasłuchany w te grzechotki swoje, przebiera kosmatymi łydy: jak umie, tak tańczy sobie żwawo. Dopiero gdy się tym nacieszył, zwrócony ku dziewczętom zatrzepie się łapami po udach i parskanie rzeniem śmiechu tak żartko jurnym, jak samego południa wyiskrzony skwar:

„Cha! cha! cha! chaa...”

Południowej pory zestrojona już muzyka ledwie tego śmiechu rozhuiki przewali po wszystkich dalach, a już oto sama zaplątała się w jakoweś zwiewne, skoczne nuty.

Dziewczęta zalęknione wyskoczyły zza jasnych kolumn swej świątynicy. I rozpierzchły się, i rozwiały na wsze strony - pod gwałtownym nagle rozedrganie osinowych liści (w które prządki dziewicze wetkały, wiadomo, dusz swych młodych niestatki i trwogi).

Te dwie najmłodsze nie nadążywszy siostróm, pozostały nieco w tyle. Oneż to chyba?! - te dwa blaski słońca przejasne, które zwiały oto z kolumn bieli na murawy głęboki cień? I pędzą gdzieś przed się po tego cieniu szafirach pod lęklwym zaszumem drzew.

Dali powietrznej oddech i pół tchnienie rzeźwią południa skwar. I łączą nagle, splatają ze sobą te siostrzane blaski oba: młodsza siostra starszej na szyje++ snadź skoczyła? Lecz oto znów je dwoją: jedna promieniem w bok odbiega, druga wnet zawiruje, zakłębi się w niepokoju i - leci, łopoce skrzydłem słonecznym: zagania, zawiewa... Próżno się o to pisklę siostrzane troska, gdy jastrząb na nią tu spada. Ku niej to pewnie Panek pędzi w parskanu i kopyt tupocie, bo cykady z kryjówek swoich ślą jej na gwałt zazdrosnych ostrzeżeń plotki i sykania natarczywe.

„Cyt-cyt!... Cyt-cyt!...” - słyhać naokół. A ta mała jeszcze tu swywoli, jeszcze ją obskakuje psotnie! Zaś w tych jej płasach jest taki upór rytmu, że, choć bezgłośnie, tętnem samym śpiewają:

„Wciąż się siostra czegoś lęka - boi - nad czym sama u krosien!...”

Na ramiona ją snadź siostra schwyciła w nagłości chwili, ustami cisząc pewnie jej usta nie-dobre; gdyż jednego już tylko promienia światłością, by skrzydłem rybitwy, ponoszą się śmigle w dal - w ogromnym nagle niepokoju rozedrganych liści, w ich skardze i szemraniu, w rozżalonym szumie popłochu...

Liris je schłonęła - pod te szelestne nieukoje osin i szum łąnów dalekich.

Obłok, na błękitny nawiany, płynie żaglem cienia po tych dalach, jak gdyby struny smętu zatraćał przelotem, wygarniając wszystkie współdźwięki utęsknień, zatajone wśród południa ciszy. Aż buczenia bąków odezwały się w murawie ni to organowych dudów pierwsze zaciągi na basie. Po chwili wysokie skrzypki pszczoł rozżaliły się wokół i wielotysięcznych muszek zbrzęki zgodne w ogromnej rozchwiei słonecznych wyiskrzeń...

Południowej pory orkiestra skrzydłata z wszystkich utęsknień chorału gra kwiatom żądź swoich peany.

Oto u winnicy skraj, nad zielony aksamit liści, wychyla się zjawą kwietnego kielicha - pierś biała i różowe ramiona w rozwiewnym zasnuciu strzępiastego jak gdyby okwiatu, który słońce złotym grzebieniem wciąż czesze, naświetla i puszy. Lica nie widać w tym włosów owiewie, rączki zajęte są czymś gorliwie u krzewu. Zapędziły ją snadź siostry do pracy przerwanej.

Na utrudzeń południowych zakończenie tkają oto prządki gronom Bakcha co najzacniejszym płaszczem słonecznej purpury - z krwi swojej młodej kolorów może?...

A jeśli tymczasem złoci się za ledwie wino, snadź w krwi młodej więcej słońca niż purpury, póki lata gorącości nie dopała krwi w żyłach i winnej macicy gron!

Więc słońce dopieka, skwarzy, żga pąki nie rozkwitłe.

I dojrzewa wino.

Zaś jego strażnik przy winnicach: Panek z fletnią, i ku zadumie w słońcu wiadomo skory, przysiadł z dala na głazie, podjął oburącz kopyto i zamyślił się nad tym, że za ciężkie ono ponoć ku onym prządkom - które swoich rozkoszy obietnice wetkały w kwiaty, żył swych purpurę przelewają w wina i tańczą zdziałane przez się upojenia ziemi.

Z dala u krzewu pracowite prządki tkają wciąż pod tych warg dziewczęcych skupieniem w pąk. Gdy spod rżęs wyblyska ku niemu ukradkiem, raz jeden tylko! - i raz drugi jeszcze - krosienkowych jej dumań treść cicha. Zerwał się na nogi.

„Twych ocznych uśmiechów kroplistości ciężkie!... Soki!... przesłonecznych kiści... cypryjskiego grona! Wróżę, latoć zbiór będzie jagody z płomienia!”

I spłonawszy sam jak żagiew, dymi z chrap w południa pełną spiekotę:

Gdy mnie twych oczu spoi ciężkie wino,
nie wytrzeźwieję i śmierci godziną!...

Gdy się ust twoich gronem do skonu opiję,
pijany, Chronosa przestawię klepsydrę,
spośród mar elizejskich do ciebie się wydre!
wiosłem umarłych do życia odbiję!

A gdy skoczył ku niej jak do życia i użycia samego, uwikłały mu się wnet racie między jaskry i słońca promyki, roztańczone znów po murawy cieniu. A kwiatów, by motyli, płas i zakłębienie obtańcowuje go kręgami szału, łechce łydy do skoków, skrzydła słoneczne radości za hermesowe lotki do pęciny mu przypina...

I o nimfie znowuż zapominać każe.

Natury samej bachanalią w południe staje się Pan tańczący - łanom tu w krąg wszystkim na błogosławieństwo plenności.

Jakoż u stóp jego nawet bąków basy bucą wokół kwiatów niskimi tony: „Gdy mnie twych miódów spoi ciężkie wino, nie wytrzeźwieję i śmierci godziną!” A wtórują temu na najwyższej nucie skrzypkowej wielotysięcznych muszek zbrzęki zgodne: „Gdy się swą żądzą do

skonu opiję, w szale Chronosa przestawię klepsydrę!...” Rzekniesz, szalem jego porwane’ wirują w słońcu wszystkie te bezliki nikłych stworów ziemi - i wraz, jętek zakłębieniem, giną w żądź chaosie. Oto na wody strumienia proszą śniegiem ich białe już mary. A tych pogrzebów płaczki po murawach muzykę śmiertelnych upojeń słońca targają wciąż nie milknącym spazmem rozplodu, który Chronosa przestawia, klepsydry.

Jak żagiew i płomień tej słonecznej pożogi doniosło Fauna w tańcu i pod winnicę samą. Tu przypomniał sobie nagle przyczynę radości swej i szału. Więc zarył się czym prędzej w on krzew u skraju, zaplątał raciami w jego pnące i wasy. A gdzie ślepą żądzą ramion sięgnie, stamtąd w całych naręczach łodyg i listowia przygarnia do się - czuje: potworną mnogość piersi kobiecych.

I zjeżyły się na nim kudły w grozie tej myśli, że goniąc córkę, prądkę piękną, wpadł oto w objęcia matki - ziemi samej: w polipie ramiona Cybeli wielopiersnej.

A przytrafia się to, wiedział.

Jednakże woń luba odyma mu przy tym nozdrza i rozciąga wargi w szerokim aż po uszy uśmiechu. Sięgnął oburącz po jedną z tych piersi i waży oto w łapach żrzale już grono winnej macicy!

Doznał tedy objęcia ziemi: poniżył w sobie bożycą ton, zapadł się cały w kozłą swą naturę. Już pod krzewem na wznak leży, jak pod kozą, karmicielką swoją. I ssie grono ciężkie. A raz po raz przed się, na oślep gdzieś wierzgnie. I niczym to szczenię u wymienia warknie czasem niecierpliwie. Aż zamruczy wreszcie:

„Wiecie, kobiety, czemu wolimy, bywa, wino od was wszystkich?... Bo jest w nim wspomnienie najpiękniejszej.”

Beknął w bródkę. A z lubością smakowania czochra się wciąż po «kudłach. Rychło patrzeć, a spotniał na gębie i zjeżył mu się czub między rogami. Już nie pije. Tylko leżąc wciąż na wznak, wymachuje łapami nad głową; z sobą się swarzy. Paluch ku niebu wystawia: z słońcem pewnie się sprzecza. Nagle rozwała nogi i ramiona i ku słońcu na zenicie, w spiekotę jego żarów jurną, wytrząsa z brzucha sprośne chichoty samego Sylena:

„Cha! cha! cha! - chaa...”

Południowej pory rozpętana już muzyka opija się chyba sama cypryjskiego wina słońcem i purpurą.

Alić i ona opróżniwszy rychło plenną czarę szaleństwa, wszczęła jakby swoje ze słońcem swary ni ten strumień przelewający się w złotych jego blaskach. I ozwała się niebawem strumienia nutą wtórą nad nurtu głębiną.

Wydymił, zda się, on szął winnego wyskoku, w którym kozioł z Sylenem razem w człeczka wstępuje naturę: Cybele wielopiersna wypuściła Fauna z polipich ramion swoich.

A w tym ściszeniu i zadumie odmieniało się powoli grube oblicze kozodoja - w jakowyś półsmęt, połuśmiech nad dwoistością natury własnej. Koło ust zmysłowych marzeniem to się osnuwało rozjaśniając w oczach błyskiem odgadywań i woli: uczyłowieczał się zgoła wyraz jego. Leżąc wciąż na wznak, pod słońce na zenicie trzyma oburącz grono zerwane, za czarę rżniętą w ognistym rubinie, za boga samego kielich napełniony po wręby życia radością wielką - wszyskorodną siłą!

Zaś ta misa słońca i purpury, w której skapano niegdyś na Olimpie nowo narodzonego Bakcha, ta przez ludzi na ziemi poszukiwana wciąż, boża czara - Bakchowa „cista mystica” - zwidzi mu się nagle pod słońce by żywe serce człeczce.

Jak gdyby oczyma olśnionymi słońcem wydarł bogom ich tajemnicę największą.

A w tym jasnovidzeniu ogarnia go i to ostatnie uczucie szczęścia: wdzięczność przelewająca się modlitwą przez wszystkie wręby.

Więc warg zmysłowych szeptaniem składa bogu i człecze dziękczynienie - za życie, za szaleństwa ludziom nawet podarowane, za śmierć i tak rychły z niej powrót nowym ciałem i radośniejszą duszą: za ziemi odmładzanie wieczne. Pije Bakcha upojenia bez kruż: bóg przez żyły jego przepływa, serce samo w taniec wzywa - Dionizos!

Jak gdyby widział bluszczowego tyrsu jego rozmach na przodowanie:

Za najad płasem i w bachantek szal!...

I tego berła szaleństwa wzniesienie się nagle błyskawicowe:

Nie zdrabnian, nie niżon i nie śmiertelny

niech mi będzie ton!

Cześć mu zaś oddaje nie tylko taniec z pogrzebów pochodnią, która u tego boga ołtarzy oznacza **odrodzenie...**

Największy wśród bogów samych miłośnik gędźby kocha się, wiadomo, w słonecznych ukojeniach fletni. Lubują się w nich i panie tej świątynicy białej nad strumienia wodą: nimfy, które u pogan niegdyś i Muzami były.

Więc by bogu i im może wygodzić, przysiadł było Pan na głazie, podwinął rac pod kolano drugie, odał gębę przy fletni, wytrzeszczył ślepią w zapamiętałości grania i dmie.

Z nawilgłych, rehotliwie przelewnych tonów fletni tchnie ros i rzeźkości na poły jeszcze rozmarzony wiew - porankowy zew: świtanie!

I nowych świtów zjawą wywołuje przed oczy tę nimfę a Muzę najmłodszą: chłopię prawie, o ruchach jeszcze całkiem niegiętkich. Dwie dziewanny, za pochodnie dwie, pręży oto w ramionach, wytrząsa z nich rosy jak tony złotych dzwonów idącego ranka. I dodzwaniając ochotę pozłocistych kędziorów wstrząsem na wyskokach, wywabia z roś cykady ocknięto, by w wirze ich skrzydeł z płomieni pędzić przed sobą gnuśne opary świtania, ponosić się za nimi gwiazdą tańczącą - pod ten fletniowy krzyk radości młodej:

Evoo-Bacche!....

Bezsłowna już teraz mowa muzyki dosnuwała goliardowi rojenia słoneczne: gęśle rybałtowe grały mu w piersiach posłowie strunne - na przymierze z wszechradością życia.

I rzeźwiły mu skronie.

Długo trwało, zanim się spostrzegł, że tą zwiewną pieścizną darzy go ochłoda dłoni jakowych, które mu kaptur z głowy ściągnęły i muskają czoło. „Wypogodziła się wreszcie ta fra-sobliwa głowa?” „Nie do ciebie wcale!”

„Ale przeze mnie!” - upiera się dziewczyna. I przytwierdza mu to na ustach wargą mięciutką. „Że z mniszej kapucy wychylała się czasem ta głowa na uradowanie się życiu - to przeze mnie tylko! I przez mój taniec skuteczny.”

Za kapturem zwleka zeń i szatę klerka. A wyłuskawszy go tak sobie z tej skorupy powagi, głaszcze rada, że jest teraz taki zwięzły ciałem, taki utoczony pod ramieniem, które go ogarnia. Wywinał się z tego objęcia i rzucił się opodal gdzieś, między wrzosy, by raczej w skwar-nych woniach się tarzać, w słońcu pлавić i swarzyć się śmiechem z myślami swymi.

Ona spogląda na te jego zadowolenia przy niej samotne z głębokim politowaniem kobiety. Wreszcie doskoczy doń i ogarnawszy dłońmi tę głowę oporną, szepcze mu w usta nieomal:

„Choćbyś się wyparł tego, zakić przypomną, coś o mnie śpiewał: „Nympha non est formae tantae!” Zapamiętałam przecie! wzięłam, kobieta, w upór rojeń, w krew żył moich!... Że pani Diana nie wszystkie wytępiła z zazdrości, tym się, głupi, uciesz nade wszystko!”

A i przytakiwania temu słyszeć się dały niespodzianie. Stado gołębi, spadłe z nadklastornych wyży, chodzi tu sobie korowodem - a gwarzy, grucha, potakuje wciąż.

„Ptaki Afrodyty!” - usłyszysz nad sobą. Wyjrzał ku niej zezem.

Nurza się oto stopami w rojnym puchu gołębich skrzydeł. A te jej ręce opalone na brąz, z palcami, by jaszczurki, ślizgają się po bieli obnażonego ciała niczym tamte gadziny po kolumn marmurze: przesuwają je sobie spod piersi na biodra i uda, powiadając swym głosem głębokim: „Natarłam się dla cię miętą i tymianem.” Jemu i bez tego drgały już nozdrza. Lecz gdy się zerwał do niej, odwiała wstecz - jak tamte. Lub może tak mu się tylko wydało w tej rozchwiei błysków i migotań południowej pory. Bo gdy niedawno, w bluszczu ciemnej kaskady zdała się tylko cielesniejsza barwą od tamtej w kamieniu, tu się tak wyzłaca promieńmi, tak nasrebrza powietrznymi fioleto, tak się zgoła upowietrznia cała - że zda się prawdziwie jak tamte prządki słoneczne.

Rozchwiała się na kibici jej szyja i główka wśród ramion wzniesionych jak pęk w rozchyleniu pierwszych płatów kielicha. I zdawać się mogło, że między jej rękoma nad głową rozsnuwają się tęczą nici złudy wszystkobarwne, że w tych ramion kwietnym ku górze rozwarciu trzepoce się motyl w kielich zabłąkany.

Gibkością jest cała. A spod tak wiotkiego stanu wystawia prężnie długą nogę jelenia: do tańca stęp bierze. Zanim ją taneczne poniosą skrzydła, już się ku wzlotom podejmuje noga niecierpliwa - a tak miękko, tak chwiejko, jak gdyby nie łydka i stopa, lecz białe strusie pióro wiało tam. I już tylko palcami drugiej stopy ziemi się trzyma; bo gdy dłońmi powietrze jak skrzydły teraz trąci, to zda się, sfrunie i porwie za sobą kokosz zaczepna! Ale ludzi tym tylko i omamia. W rytmy ciałem się rzuca jak w obłoczne puchy; w tańca lotnej kołysance zwiewa snu podmuchem i snu kaprysem nawraca.

A gdy w tych płasów labiryncie przewinie tuż, tuż obok kolumny, wówczas fala dreszczów nagła tak w tył przegnie plecy jej białe, na tak płochliwe „och!...” zatulą się piersi w ramiona - jak gdyby z głazu samego wyrwały się ku niej łapy żądz a i coś więcej jeszcze prócz rąk. Przed brutalnością zatajonych tu wszędzie chuci odśmignie rybitwy zerwaniem się i skargą: „Och!... och!... och!...” - Tańczy mewy rozżalony lot. I drobi, drobi wstecz na palcach stóp - odpływa ramię, wieje dłoń...

Tak się żegna ze smętem, już tu nie powróci wcale. W tej rzeczki zanurzy się falach: Liris ją schłonie.

Lecz oto znów się jawi snu nowym podmuchem, lotnej kołysanki nowym snadź kaprysem. Rozpieszcza się ramiony i użala szyję, piersią łąka, a mota brzuchem, gdy w wiotkim pasie za węża się gniew i wystawia na boki kłęby twarde. Krzepczy ciałem, płasza zwiewną nóżką, aż póki w błędnika tanecznego kłębek nie omota się sama, Ariadna szalona! póki jej nie urzeknie igry własnej moc, nie oczaruje koliskowy płas i nie ośmignie w krąg włosów mietlica...

A gdy, tak spętana, w tył się przegnie, na dreszczową biel pleców przerzuci włosów kir, piersi obie jak te czary ku górze wystawi, to zda się, czeka - wargą i zębami! - na Fauna samego czeka, Bakcha korybantka. Że zaś ramion jego natychmiast nie poczuła w pasie, więc pantery dziki skok miotnie ją nagle w zawrotny targaniec i wir...

Bacche!! - dygocą w krąg powietrzne wokół niej śmigi.

Z piargu krzemieni czarnych wśród rumowiska, gdzie tylko w pogoni za nią uderzyła stopa goliarda, Podrywały się na mgnienia czerwone wachlarze świerszczowych skrzydeł z suchym trzaskiem zapalonych ogników. Ponośli się i on jak w wirze skier i płomieni ziemi by tych ruin wywołany duch.

A gdy doskoczył: ramieniem kibić wiotką, piersią dwoje piersi twardych wyczuł, a wargą Fauna ledwie jej szyi sięgał tymczasem - z jej ust, w tył wciąż odchylanych jakby ku słońcu na zenicie, rozległ się dzikim śmiechem triumfu Faunicy głos gruby:

„Cha! cha! cha! - chaa...”

I wzięła mu w piersi wszystkie skry słonecznej pożogi wszystkiego pogaństwa tony najgorętsze wraz z pełną spiekotą pól. Wina dojrzenie wcałowuje wargę w wargę i żary ziemi w słońcu całej. Południem szaleją.

A gdy ich sam nadmiar upojenia od się wzajem odtrąci to jak te jętki, jak ważki w słońcu nad strumienia wodą: za tę chwilę rozłąki tym gwałtowna rzuca ich ku sobie ramion skrzydłami. I żenie - to gdzieś między wrzosa, to na płytę strzaskanej tu trumnicy, to pod ołtarza pogańskiego szczer.

Południa bachanalii korybanckie wtóry, południowej pory cykady szlochające, zawodzą spazmowy już pean upojeń i śmierci.

* * *

Już cienie długie stały się po rumowisku i czerwieniały kolumn szczyty, gdy goliard opamiętał się wreszcie. I spostrzega teraz dopiero, że leży na płycie sarkofagu, którą czas strzaskał, w ziemię wrył i mchami przez wieki znów spoił. Stygło pod nim to łożo kamienne, żar południowej pory oddając wieczorowi. Na tym legowisku rozkoszy, która minęła, przeciąga się w kapryśkach wciąż jeszcze ciepłe ciało kobiety - aż póki nie zepchnęło go precz, jako coś niepotrzebnego już zgoła. Cybele wielopiersna wypuściła go z polipich ramion swoich.

Ustał bez słowa i jał się błąkać wśród ruin. Odmieniła się pora. Głucha siność ogarniała już dale. Mierzchnie świat. Z oparzelisk za wodą mgły wylażą i snują się u brzegów jakby zjawami mar nie doksztalonych, jakby strzępami potarganych rojeń. Za strumieniem tylko czajka nad łągiem polata w pokrzykach skargi wieczornej jak ta dusza za dnia oszukana słońcem. Zorza na nieboskłonie wchłonęła, rzekniesz, w siebie Wszystkie żary i żądze ziemi; na kłębiastym granacie chmur krwawi i dymi zarazem. Dyskiem rozjarzeń świetlistych rozgorzał słońca krąg: jak gdyby ponad ziemią urodzajnią w Bakcha chaosie wystawiała się w tej chwili na wyży - Bakchowi spornie - ta wiekuista tarcz światła i harmonii, która za Apolla na niebie niegdyś czczono, zanim go mistrze świątnicy nie zdziały w kamieniu.

Pod purpurę zachodu, czarną swą postacią w kapturze srodze wyrazisty, stał goliard u kolumny prawdziwie jak słońca bogomolec pokutny: że owo słoneczną skrę w duchu swoim spalił znowuż - i znowuż! - w cielesnym naczyniu pierzchliwości wszelkich.

Oto leży za nim to naczynie pierzchliwości. W długim przelewaniu się po żyłach dawno zaznanej rozkoszy przeciąga się wciąż jeszcze na swym łożu kamiennym; pije rozwrażliwioną

skórą rosę wieczora. Zanurzona w mroku, wydaje się, w smagłości swej, jak z brązu cała, nawet przy tym wieńcu winnego listowia na czole, z kiścią gron u skroni. Głaszcze w tej chwili swe ciało, dłońmi w biodra pluska. Niebawem zaśnie na pewno snem głębokim. Tymczasem aż wzdycha w lubości dosytu. A cielesna, długa u kobiety, pamięć pieszczot skreca ją wciąż kapryśnie i wystawiać każe piersi - nie wiadomo już komu - jak gdyby ziemi samej oddawała się było popołudnie całe.

Jak dwa żywioły sporne, dwie dusze świata, są w takich chwilach kobieta i mężczyzna. Że duchowi mierzo już w tej chwili rozpusty wspomnienie, więc otrząsał je z siebie myśli pogardą.

Z dłońmi w rękawach, z kapturem na oczach zlorzeczył klerk kobiecie:

„Femina res rea, res mala, carnea, vel caro tota! - kobieta rzecz potępiona, duszy szkodna, cielesna wskroś: zgoła mięsem śmiertelnym cała!... Jama ostateczności ziemskich!... Rabuśnica i korsarka duszom naszym - tą pięknnością ciała a duszy swej rozkładem: pulchra putrida!”

Żaden ojciec kaznodzieja tak nie grzmi na kobiety jak człek oświecony, gdy w chwilach cielesnego przemytu chce oczyścić myśli z kobiecego ducha tkliwości, fałszu i mętu.

Zgasły zorze. A w tym okłębieniu ciemnej grozy na nieboskłonie zamigota raz po raz błyskawicy płomię. I zamruczy powoli grzmot nierychły. Zimna siność ogarnęła świat.

Tylko marmury rumowiska sprzeciwiają się zmierzchowej porze: pożółkły ciepło w siności okólnej, snują się po nich błyski jakoweś, pełgają lśnienia, jak gdyby ruina pogaństwa spętała w sobie słonecznych promieni niezniszczalne moce. To dziwne światło wśród mroków sączy się z kolumn, ściele po gładkach: mży i błyska, acz nie jaśnieje.

Gdy świat mierzchnie ponuro, na cmentarzu żywych kamieni wyświetla się w mrokach gloria bogów pomarłych.

Dobyl noża, by z pobliskiego krzewu uciąć gałąź jakowąś, przydatną na kij pielgrzymi. A porając się z tą robotą, myślał:

„Pójdę w świat - owo i bez gęśli już teraz! Ni ten niedźwiednik oprowadzać będę swoją bestię - dziewczkę swą - z grodu w gród, z czasem pomocnik w jej rzemiośle. „Owóz Muza panom i mieszczanom dziś najmilsza!” - powiadał burmistrz, rzeczy świadomy. Będziecie jej tedy mieli w bród! A gdy tak po zamkach i grodach nastaje królowanie waszych brzuchów i podbrzuszy, nie żałować mi tedy gęśli za votum oddanych. O winie i kobiecie śpiewać można i bez gęśli tonu, a głosem opoja. Tylko na nic mi już wtedy będzie i klerkostwo me całe: na nic ta szata oświeconego, na nic i ta ksiąg reszta tam, na wozie towarzyszy, wśród sprzętów igry kamrackiej.

Przegram w kości i tę pychę klerka z grzbietu! przepiję uniwersytet cały! Za psalterz, mszał i dewocjonał, smętne resztki mej duchowości dawnej, niech sobie dziewczka gdzieś u grodzkiego kramu wstążek nakupi. Ja zaśię i te kudły swe ostrzygę, łeb jak kuglec zgołę - nie będą już dominikany szcuć mnie po wszystkich grodach „cesarstwa: Lotterpfaff mit dem langen Haar!... W pstrych łachmanach gburą powlokę się z wami, towarzysze - rybałt najędzniejszy: bez igry swej narzędzia, pieśniarz i bez gęśli już nawet - poeta pauperior omnibus potetis!

Nie poradził z nami Kościół, nie poradził cesarz i króle ziem wszystkich, nie poradzą ponoć i dominikany! Ale gdy ta człeczka żądza weselności pod ziemią się ukryje, na ponocnych gdzieś schadzkach po młynach, gdy się z trwogą i grozą w duszach zmiesza, gdy się szalem

po ciemnościach stanie, gdy i my ostatni łachman swej godności zostawimy w waszych łapach, mnichy - biadaż wtedy i życiu samemu!... Pospołu z tamtymi grodzianami znajdziemy my sobie boga, który jeszcze kocha radość! Co się dziś ledwie majaczy po okrutnych zwidzeniach mniszych, iść się pocnie czarnych mocy władzą nad ciemnościami... Biadaż wtedy duszom i Kościołowi!”

Coś zadudniało w dali, niczym wóz ładowny po kamieniach, i wstrząsało jakby ziemią pod stopami: Lewiatana kadłubem toczyła się chmura wzyż po nieboskłonie.

„Grozisz?!...” - zdał się pytać jej grzmot ponury. „Wróżę!... Po młynach opuszczonych, po złych rozdrożach, na schadzkach ponocnych - doznacie... Doznacie, czym jest to rozprężanie się dusz waszych po ciemnościach... Już tam nawet między dziewczętami a żakami różnicy czynić nie będziecie, wedle Horacjuszowego: in pueris aut in puellis urere. A stare baby, których żak, choć zapłacony, pieścić nie chce, chwytają w pazury swych chuci miódki hoże. A kto nie wrywać się będzie tej nocy z grodu?!... Niejedna z kobiet, pilnie przez męża strzeżona, tym razem prawdziwie przez dymnik na dachu wychyli głowę zapatrzona zielonymi oczyma kota w ognie pochodni tanecznych - tam, na grobli, przy opuszczonym młynie. W czerwonym blasku tych żagwi już nie Bachowych skoczków obaczy, lecz diabłów czarnych rej. A wiatru w jej włosach poświsty przyniosą zewsząd ni to zszepetywania się w oddali, m to zaświsty strzyg - pod spódnic łopotanie w ciemnościach...

Sabat!...”

Przerwały się goliardowi w myślach te obrazy.

Bo kłębowisko jakoweś zawieruchą gwałtowną zerwało się tak zniecka wśród ruin, jakby ten wichur spod ziemi uderzył. I zawirował lejem kurzawy po rumowisku całym - zaświstał, zawył - strzyg tysiącem chyba! I kręgiem rudego dymu okolił pogan świątynię.

Niemo mrugają ku sobie błyskawice przez nieboskłon cały - to tu, to tam. Olbrzym, zda się, przeciąga się w tej chmurze rdzawej, która szmatem skraju tak ciężko zwiśla ku ziemi. Pomrukuje w niej głucho, warczy na ziemię całą potwór bezmiarów - tymczasem wciąż jeszcze leniwy.

Tylko marmury rumowiska przeciwiają się i burzowej pogrozie. To lśnienie ich płomieniste sączy się wciąż z kolumn, rozściela po głazach.

Wśród granatowego prawie mroku jaśnieje i wyogromnia się widmowo świątynica bogów pomarłych.

Podrywał mu ten wichur i wydymał poły płaszcz, ledwie się nimi otulić zdołał oglądając się za jakimś tu schroniskiem dla siebie i dziewczyny - może pod bluszczu gęstą gdzieś zasłoną. Oto rozdzwonił się już na burzę sygnaturki lęk; a osiny nad strumieniem już nie szemrzą liści wszystkich popłochem, lecz szumią gałęzi trwoga, łopocą nimi jak żaglami nawy zabłąkanej w burzę - borykają się z wichury przemocą. A czasami konarów skargą tak się dziwnie rozżalą, tak echa klasztornego dzwonu w zaszumy swych gałęzi wplotą, że przypomną zniecka goliardowi... duszę towarzysza poległego na brukach grodu - i jego pieśń. Wczoraj to na kanoniach śpiewał ją. Tu pewnie gędziec pieśń swą podsłuchał. Nie szumiż, nie gędzie to echo sygnaturki w pogańskiego jaru zaszumię basowym:

Pomnę!... pomnę!... nie te dzwony!...

nie te trwogi wszędzie...

[.....]

jak tu drzewiej bujnie było,

a jak rabio ninie,
drze-wiej! - czasu bożka Pana,
w Bakchowej kontynie!...
Eheu!... - wywiało oto z jaru szlochem i zawyciem, pod słyszne w tej chwili gony zamieci...
W pieśni gęślarza Panek tak biegł przez pola z ciałem nimfy ostatniej. Eheu!... eheu!... - sły-
chać jakby wciąż, pod raci jego tupoty dalekie.
Przeczuć to ślepych zatajona w duszach władza przypomniała goliardowi tak niesamowicie
tę pieśń. I targnęła go całym ciałem, by zwrócić twarzą ku ruinie. Lękiem oczu szukać mu
każe dziewczyny - tam, na wieku sarkofagu wśród kolumn.
I stęzał cały w zimnej grozie czoła - zdrętwiał w bezoddechu chwili.
Ujrzał z daleka coś, jakby czarne śliskie powróło na piersiach śpiącej dziewczyny. I skrętny
w oka mgnieniu ruch spłoszonego na ziemię gada.
Krzyknął goliard tak przeraźliwie, że aż zagłuszył w tej chwili grzmoty dalekie. Wąż kijem
przezeń uderzony wymignął się na razie spod tego ciosu, by za chwilę dopiero załamać się w so-
bie i zbroczyć czarny w swej juchy purpurze jak to zło samo a najstraszniejszy niemotą swoją.
Aż się ozwało coś wreszcie na ulgę nieomal w tej niemej pogrozić śmierci. Potwór bezmia-
rów zawarczał w chmurze; zagruchotało coś po niebie całym. Krzyża jawny b łysk w górze
i ogień przestworów otchłannych - pod ten suchy trzask i łom nad głową, w światów chyba
całych załamanie się nagle.
Niczym łez krople rzęsiste wielkie oka deszczu opadły z rzadka gdzieniegdzie na głazy
Popłochem lęku i przynaglaniem świętych zaklęć dzwonu osłaniały się mnichy przed groma-
mi burzy.
I przed władzą czarnych mocy nad ciemnościami.

* * *

Jakżeś ty mi cudnie oblamił tę kartę, bracie Łukaszu, w przedziwne sploty mleczów i różań-
ców, tarcz i lili!... Lancelota to chyba miecz, Franciszka samego różaniec! Tę lilię jakby Prze-
najświętsza Panna trzymała w ręku, bo promienieje - widzę!... Na dole zaś: gęśle żonglerów,
organkowe fletnie i palety z pędzlami. A w środkowym wieńcu tego błamu - ptak Fenix, wzła-
tujący nad popioły i ognie swego odrodzenia!...”
I wybłysnął ku niemu przeor mądrym okiem spod czoła. Lecz pomiarkowawszy wnet, że nie
pytać tej głowy mniszej, skąd się w niej te rzeczy biorą, głaskał ją tylko po ciemieniu.
„Z najczystszej źródła piękności niebieskich jesz, bracie Łukaszu, dary sztuki twej! I nie
pędzle farbowe pod palcami twymi, lecz promienie pora maczane w kwiatach klasztoru.”
Ta pochwała tak uszczęśliwiła brata, że napływ wdzięczności do serca wyczałował za podzię-
kę - w trzony pędzli własnych. A że zwolniony z pętli wiążącej go do księgi, więc w nagłym
wyskoku radości i swobody zakręcił się po celi, zafurkotał połamami habitu. Ale tańczyć brat
Łukasz nie umiał wcale.
Więc rozkracza tylko nogi pod kutą zakonną i niczym kukła drewniana sztywno przerzuca ciężar
ciała z jednej stopy na drugą. I kręci się tak w kółko, wymachując w tryumfie garściami pędzli.
Przeor tym płasom jego bynajmniej nie przygarnia:

„Nie powiem ci dokładnie, w którym to mieście cesarstwa się przytrafiło, że ksiądz młody po obrządku wyświęcenia chwycił w objęcia matkę swą i zatańczył z nią przed ołtarzem - na tym weselu swoim. J choć to bardzo zgorszyło dominikanów, biskup miał w oczach łzy, błogosławiąc tej matce: „Takich by nam księży najwięcej: Boga radośników!””

„Och, z matką bym ja swoją!...” - Wyrzuciły się ramiona mnicha w tęskliwości nagle aż upojnej. „Nie poruszaj grobów spokoju. I tajemnic onej trumny, które znam ze spowiedzi i powiadań twoich.”

„Żonglerów, zonglerów to opowieści sprawiły wszystko, co się z nią w życiu stało! Słabe są bardzo serca kobiet.”

„Nie poruszaj grobów tajemnicy. Grzech czai się zawsze w weselności natury kobiecej.”

„A przedsię jam krew z jej krwi!” - zamyślił się mnich z bezwiedną przekorą.

„Pacierz za jej duszę mów! - odgadywał przeor tego zamyślenia treść. - Nie tkliwy, lecz twardy, lecz surowy stawać się winien głos nasz, zakonników, wobec rodziców naszych cielesnych. Przypomnij te słowa świętego Bernarda: Cóżem to wziął od was prócz grzechu i niedoli? To liche ciało, przyznaję, wam zawdzięczam. Nie dośćże wam, nędzni, żeście mnie, nędznego, w nędzę tego życia stworzyli? żeście, grzeszniki, mnie grzesznego w grzechu spłodzili? a w grzechu poczętego, grzechem żywili?!...”

Opuścił głowę mnich, zamamrotał się nad różańcem.

„Wspomnij, bracie Łukaszu, i swojej doli koleje. Nie wzbraniałże ci ojciec iść drogą powołania? Nie ciągnął z uporem na ścieżki doznań i zysków? Nie groził? nie zaklinał? nie zadreślał? A matka?... Może i ta twoja, w chwili postanowień twych, do nóg ci padła, ciałem u progu się powaliła wystawiając ci przed oczy te piersi, które cię karmiły?... Owoż święty Hieronim każe ojca odepchnąć precz! matkę, powaloną na progu - przekroczyć! I nie oglądając się na nich, iść, kędy dusza wzywa. Do pustelni, myślał Hieronim” - kończy mnich z zamkniętymi w tej chwili oczyma.

„Pod krzyż!”

Brat Łukasz przyległ czołem do murów celi zakonnej.

Więc by oderwać to czoło zadumane, a malowaniu mnicha dać nową podniętę, sięga przeor po jedną z ksiąg swoich. Chce bratu pokazać obraz w niej: jak to cnotliwa pani Beatrice wprowadza mistrza zza gór we wrota niebieskie. Brat Łukasz rzuci się ku księdze jak żak: piersią na karty się pokłada, dłońmi wзира w obraz. Pobłąza przeor tej ciekawości. Lecz pod jego uśmiechem życzliwym twarz mnicha ściąga się, z wolna i krzepnie jakoś, by za chwilę z wielkim zdumieniem spojrzeć przeorowi w oczy. A potem utkwic ponure wejrzenie gdzieś pod się.

„Kamiennego lica, przydługie i sztywne, jak ta śmierć kościana, są moje królowe i święte, zakrzepłe w okapującym złocie gdyby muchy w bursztynie!”

Do głębi oburzyły te słowa przeora. I przejęły go aż łękiem o duszę brata; niezwykle bo pokornym głosem i słów nawet nie własnym jakby składem przemówił tu nagle mnich cichy. Daremnie karci w nim przeor tę nieufność we własne siły a pomoc Bożą, nieufność, którą w godzinę zwątpienia podszeptuje nam szatan pychy urażonej.

Mnich tylko się kurczył i zatulał kornie, powiadając coś o tym, że pędzle nie przemyte przyschną, że zgęstniały inkausty - że pióra się rozszczerpiły i trzeba wystrugać nowe - że... Nie to go gnębi, iż czyjeś tam pędzle lepiej wypowiedziały się przed Bogiem, lecz że jego widzenie, w niczemności umienia mniszego, nie wypowie się nigdy. „Jakie widzenie?!” - niecierpliwi się przeor stary. „Doznane.”

Sarka starzec w brodę nad grubością materialnych doznań i widzeń wśród dusz prostaczych. „Nigdy!” - biada tymczasem mnich z tępym uporem smutku. Uderzy przeora pięścią w stół. „Nie powiadaj w tych rzeczach „nigdy”, bo to jest bluźnierstwo wobec Ducha!... Nie mnich lichy i pospolicie w myślach swych grzeszny staje tu nad księgą, lecz wyzierający z doznań człek wewnętrzny, który się w nas odnawia, ode dnia do dnia, powiada Paweł... I to jedyne duszy doznanie, a cud prawy: Ducha **cud!**”

Spostrzega jednak starzec mądry, że nie poradzi gniewem z tą w korności zatajoną przekorą mnicha. Więc zejść mu każe z oczu - niech omięknie w pacierzach samotnych. Już drzwi celi przed nim otwiera.

A ze wzniesionym palcem powiada mu ku przestrodze ostatniej:

„Zapamiętaj i to jeszcze, bracie Łukaszu! pogańska żądza doskonałości w kunszcie czyni serce bezpłodnym.”

Jakby te mroki klasztornych korytarzy wystąpiły za bratem Łukaszem i na słoneczne ścieżki ogrodu. W kapturze na oczach, z dłońmi w rękawach, kroczył chmurnie po ścieżkach.

Omierzły mu pędzle i farby własne po ujrzeniu tamtego obrazu; obrzydło to czynienie powszednie rzeczy łatwych w bogobojnym mozole mnicha. Odpychał nawet myślą i pochwałą przeora, dla którego każda postać spod pędzla brata była zawsze najpiękniejsza, bo zawsze do jednej podobna. Oderwała się dusza od swych cisz wśród pracy, w wielkim spokoju sumienia. I rozterce oddała się sama.

Tym ci większej, że z myśli ukrycia, w czuciach zaledwie, wynurzały się nieraz najpiękniejszych obrazów zjawy. Ale zatajało to się jeszcze na poty w chaosie materii. Borykała się z nim dusza. „By choć jedno dobre słowo czyje!... By choć ramię jakie dobre, ku pomocy bodaj złudnej!...” I gotów był w tej chwili wzywać przyjaźni człeczkiej onym krzykiem świętego Hieronima w liście do któregoś tam mnicha:

„Ślę ci łzy tylko i rozpacz, i skargę, i ból rozłąki! Ile zaru, ile namiętności w sercu człeczym, tyle próśb było moich: „pozostań!...” A ty zląkłoś się samotnictwa mego! Tkliwością pożegnania łagodziłeś pogardliwość dla błagań moich: dzieckiem uczyniłeś mnie wobec siebie. Inną zaiste jest miłość wasza!...”

Aż się przeraził brat w przypomnieniu tych słów najsurowszego ponoć z pustelników, który wszak ojca i matkę odepchnąć nakazywał.

I zadumał się mnich nad tym, że nawet bólu rozstania się z druhem nie zaznał nigdy, bo go w życiu żaden nie nawiedzał przyjaciel - nad tym, że jego ducha zapłonienia gasną wciąż pod wejrzeniami niechęci wśród braci.

Znękanie aż cielesne wiodło go po ścieżkach ogrodu. Skrzypiały pod nim tylko te kroki odludzia, okalała czyścowa w takich chwilach głusz... „Więc nawet świętym pustelnikom dopełniała się dusza w przyjaźni? A mistrzowi zza gór, który światy w sobie stwarzał, Raj się sam uwyraźnił w źrenicach miłowania?... Czytałże wszak przeora goliardowi z księgi, że co mistrz w duchu swym ledwie dojrzał...” w jej źrenic szybie widział wyraźniej.

„Grzechem szlochasz, mnichu, grzechem!” - biło w nim serce chore.

I przywołało do się jakby zjaw i słowo przeora. (nie raczył przeora nigdy karcieć surowo mniszych myśli o kobiecie, w nazbyt wielkiej pogardliwości dla grzechu tego wśród braci. Rzecz więc tylko słowem poważnym):

„Bluźniesz, bracie Łukaszu. Nie dałże ci Bóg stokroć dobrotliwszej pani, gdy pętlą moją nad księgą poślubiał cię samego Franciszka siostrze ochoczej: pani Pracy? Gdy cię ona opuści,

smutek nierządny odbierze ci z pacierzy on Franciszka dar, klery wszystko nam w duchu uwyrażnia, a żywe serce nadawa wszystkim rzeczom świata: radość przed Bogiem!”

„Martwemu sercu rzeczy wszystkich służą pracownicy!” - rzekło z mnicha, nie jego już snadnie rozumieniem i słowem. „Więc i przeciw pracy??... „Bunt!” - warknie w piersiach mnicha. Trzykrotnym znakiem krzyża w powietrzu zażegnywa przeor zło w bracie już jawne:

„W imię krzyża! - który nas od cię odkupił! - rozkazuję ci, szatanie!...”

Całkiem opadł mnich na ścieżkę ogrodu; kurczył się i stulał pod habitem jak to zwierzę zachorzało pod futrem, gdy się serce nazbyt w nim rozłopoce. A było tym gwałtowniej, że i przeora zjaw a słowo ułuda były tylko: ledwie tym upragnieniem człeczego serca, które w zachorzeniu ostoji wśród ludzi szuka, zawszeć pono jednakowo daremnie.

Samarytanka serc zachorzałych, cisza, przyniosła mu wreszcie swe ukojenia nierychłe. I poi z pełnego dzbana: krzepi. A zanim ozdrowi, uzalić się pozwala u swego łona.

„Bunt jest we mnie! - zachłysnął się jakby mnich przy jej dzbanie. - I hardość! A pierś moja jest pełna gorzkości!”

„Gdzie słodycz twoja, mnichu, ogrójec twych cichych pacierzy? Gdzie miłość twoja wszystkich rzeczy świata w słońcu i kolorach? Dlaczego wyrzekłeś się jednak doznań wśród nich i czynienia? Dla kogo w ten grób wstąpiłeś milczenia?!... Gdzie radość twa dziś jedyna? gdzie najszlachetniejszym winem upojenie? gdzie żywe płomienie w ogniu piersi własnych?!”

„Dla niej!... przez nią!... przy niej!...” - zaszlochał mnich, czując w sercu swoim, że żadna to pani śmiertelna.

A gdy się podjął z ziemi, wśród chudych krzewin klasztornego sadu dziwnie się uwysmukła postacią zakonnika; rzekniesz: wystawiał się ciałem - spłonionemu duchowi za świecę obiatną.

I wskroś, poprzez splecione na oczach dłonie, widzi (przypominając słowa mistrzowe), jak tam, w górze... rozpłomieniona w krąg wieczystych żarzy stoi ona...

Wówczas poczuł mnich w sercu swoim: że i on się począł od tej świętej twarzy. Więc jej imienia nie szukał w pamięci.

Przychodzi na ozdrowienie ta chwila, gdy oczy już nie spojrzeniem, lecz jakby uściskiem ogarniają rzeczy wszystkie. Gdy tym wzrokiem powiódł po zagonach ogrodu, wyrwał się nagle z objęć ciszy samej, strzepnął z siebie jak ptak to znieobecnienie w czasie. I zostawiwszy chodaki pośrodku ścieżki, popędził bosonóż ku studni.

Bo kędy rzuci okiem, słaniają się mdłe lodygi wczoraj i dziś nie podlewanych kwiatów. Już nie brzęczały nad nimi owady, odbiegły od tych smutków motyle. Lecz oto mnich z konwiami w rękach pośpiesza już z oddali.

„Pijcie! pijcie! pijcie!...” - szemrze wnet i pluska wszystko, jak gdy ulewa krótka przebiega w dzień skwarny nad sadem. A wówczas liście i kwiaty same ptakami swawoli trzepotać się zdają w słońcu i deszczu na przemian. Bo taka jest w onych chwilach migotliwość łez i uśmiechów w jaskółcze wręcz poloty i gony, taka radosność słoneczna omywa rosą życia by najsmutniejsze oczy.

Cienkim wieńcem okalały kwiaty półka warzywne braci klasztornych. „Na rabatach wyłącznie wolno im było kwitnąć, za ramą z gruzu cegieł, w kształt warownego blankowania ułożoną u ścieżek, rzekniesz, ręką ciepłego dziecka. Mogły się tu oczy jak pędzle namaczać w każdym kielichu barwy z osobna. I znosić do celi miody najsoczystszych kolorów: słoneczników złoto jasne, niejednej róży ochłodne aż purpury, nasturcji gorące czerwienie i bratków

trójbarwne aksamity - na stroje, płaszcze i glorie dla świętych i królowych w przeora księdze.

Nie pochwalali bracia tego wszystkiego, powiadając, że kwiatami odwodzi się od pacierzy, duszę materią kusi. W obronie jedyne go swego umiłowania na ziemi wszczynął brat nawet dysputacje z zakonnikami, wywodząc - jako pro primo: Nazaret kwiat oznacza, pro secundo: matka świętej Anny poczęła wachając różę, pro tertio... Nie słuchali mnichy.

A niechęć ich rosła; nie tyle za kwiaty może, ile za to malowanie. Ktoś tu inne ma prawa i łaski u przeora. Święty Franciszek nie pozwalał zajmować się księgami, by swarliwego ducha klerków nie wnosić między braci. Obserwancja całkiem się psuje!

On zaś zmęczone nad księgą oczy wynosząc z wieczora do ogrodu, myślał nieraz wśród pacierzy, że nie ma chyba człeka (krom braci w klasztorze!), który by pod kwiatów wejrzeniem nie rozjaśniał ducha. Cieszył się wszak i on najsurowszy z pustelników, święty Hieronim, gdy mu dziewica Eustochium kwiaty i gołębie słała.

A teraz oto, gdy mnich skończył zraszanie i z rozkoszą ogrodnika jał grzebać w ziemi, niedawne przygnębienie jego i rozterka ustępować jeły niczym mgła sprzed oczu.

Więc myśli o kwiatach, że są chyba tęczą i rozjaśnieniem świata; że najbardziej bezkorzystne uradowania się **człecze** chłonie ziemi rodzimej ciepło i rozsiewa za kwiaty - by potem co wiosna, co lato rozkwitały w słońcu tym wołaniem na ludzi Pawiowym: „Zawsze się **weselcie!**”

Bo szarych trosk siedliska, nie rozwidnione u okien tymi lampami czuwania, smutne są bardzo. I głupie w nich mieszkają panny.

A ileż to dusz samotnych umiłowaniem kwiatów i troską o nie warowało się smutkom! Nawet święta Klara sama...

Tak oto mówić do się, opowiadać swe zadumania kwiatom bodaj, przy krzątaniu się koło nich brała go zawsze nieprzezwyjężona ochota:

„Nawet święta Klara sama na daszek pod oknem swej celi nanosiła ziemi pod kwiaty, by ta jaskółka uwiła ziemne gniazdo swej potrzebie pieczołowitości i przywiązania: serca macierzyństwu! Bardzo niewiele było tam kwiatów. Ledwie czasem dla **niego** - by z bólem oczu ślepnących, omackiem przychodzący pod klarysek mury, znajdował to pozdrowienie z ciszą. I wyczuwał, przez głuche mury nawet, jej ręce błogosławiące mu wciąż... A że słabo już w onczas widziały chore oczy Franciszka, jakże się tedy cieszyły jego palce, jakże się one cieszyły!... Bo, w onczas to, z tymi kwiatami jak z lutnią w dłoni, wyśpiewywał do słońca swój hymn radości jocular sanctus!”

Po niedawnym zraszaniu rześkie czyniły się tymczasem kępy na rabatach - w jędrnym sprężeniu łodyg i liści, a barw krasie niczym w zdrowia rumieńcach. Jakoż zaległa rychło nad kwiatami taka weselność barw i wejrzenia, że zwabione ku nim motyle zdały się jak te tańcownicy na uczcie słonecznej. Bo płaty anemonów tak się gdzieniegdzie z motyli mieszały skrzydłem, że nie rozróżnisz: co się tu kłębi w płasach, co wabi kwiatem, co prószy barw roziskrzeniem w słońcu. Tańczy i płąsa wszystko. I skrzy się zalotnością oczu niewidnych. Aż usłyszał i mnich tego tańca muzykę w nagłym przypomnieniu rybałtowych gęśli - onych z piekarni! - gdy kołem po ławach, spod chust czarnych i czółek bieli wyzierały kwiatów chyba samych lica i oczy jawne.

I zasłuchał się po niewoli w tę gęźbę przypomnianą.

Pod pierwsze tchnienie zachodu szumiały tak nad nim wszystkie jabłonki w sadzie. Rozwiały się kędyś motyle. Czerwonożłote odbłyśki zorzy na drzewach sączą w dół ku kwiatom

bursztynowe pyły. I klejnoty z nich czynią olbrzymie. Bo tym ogniściej rozplonęły w tej chwili róż szkarłaty, tym głębsze stały się pod swym puchem szafiry irysów, tym soczystsze lili nagie biele, wtopione w poświatę żarzy jak w złoto kart psalterzowych.

I chyla się w tej światła zastygłości wszystkie na rabatach róże, gdy dołem po ścieżkach rozsuwać się jęły cieniów kobierce - jak gdyby na te dywany wstąpić miały słoneczniki zadumane w zorzach odwieczerzy...

I gasły zarazem ostatnie błyski niespokojnego na liściach światła: równa złocistości toń zalewa sad cały; jaśnieją w niej już tylko kształty, świecą kolory same. Uwyraźnia się rzecz każda postacią i duszą swoją. Zadumane zdają się w tej chwili drzewa i mury. Stworzenie całe spogląda na człeka, nie on zasię na nie.

Na dalekich gdzieś zagonach błysło nowej barwy płomieniem zgubione chyba skrzydło ptaka w przelocie? Nierychło spostrzegł brat na ciemnej w dali kępie zieleni różę złotopłomienistą. W tej właśnie chwili dobyła się tam z pąka. I choć jeszcze zmieszana, że jej ciche zjawienie się rzuca taki urok w przedwieczorną porę, wzywa przecie jawnie oczy wszystkie: „Zawsze się weselcie!” W takiej to właśnie chwili najsamotniejszej, myśli mnich, bursztynową tonią światła, jak błogosławieństwem Bożym nasiąkłej - anioł zwiastował Marii,

Rychło przypomni to ludziom sygnaturka klasztorna.

Tymczasem cisza. Tylko te nagłe świry i gonitwy jaskółek, którym Pan Bóg w pobłażliwości wielkiej, ni tym dzieciom niesfornym, poigrać jeszcze pozwala - acz nie w porę: w ostatniej chwili przed pacierzem. Lecz i one ścichły niebawem; zagnały je matki na noclegi wczesne. I już tylko wilga, w ogrodzie ostatnia, powtarza trójgwizdem swoim to jedyne słowo, jakie natura głosić jej kazała: „Zo-fi-jo!” - słychać tak donośnie.

Mądrości Bożej imię, na Amen ptaszego za dnia chóru, śpiewa głos ostatni w mszalnej prawie ciszy letniego wieczora:

„Zo-fi-jo!...”

Marzy się ogrodnikowi kwiat Boga samego: kielich łez i uśmiechów, które nieba sięgły, korona wszelkiego piękna, jakie być może - żywe po wieki źródło rozradowania świata...

I jawi mu się tą cichą Postacią, która strzeże od złego granicy klasztornej.

Nie w purpurze i złota glorii wyjawia się myślom z żywego kamienia, lecz w modrościach niezabudek u strugi i w jaśminowych aż zapachach bieli. Widzi mnich: z kamiennej prawie surowości dziewiczych kształtów to miękkie wychylenie szyi na matczyne uśmiechu smęt i łagodność błogosławienia. Z jej objęć wyrywa się ramionami ku ludziom całe to radosne ciało dzieciny: jocularatory idą!...

Więc się wokół Matki i Syna czyni natłok główek ciekawych: wszystkie te panie widziane - tam, w piekarni! - tu się nagle zgarniają - na obraz - w całej sile przypomnienia. „A nie będzie w tym grzechu żadnego - odpychał mnich czym prędzej wątpienia wszelkie - bo nie urodą anioły przewyższają piękne na świecie kobiety, lecz szczęśliwością niebieską.” Tak też namaluje one panie wszystkie: za anioły u niebieskiego tronu.

Pod jego stopnie bardzo nieśmieie zbliżają się waganty: dusze nazbyt snadź zahukane w życiu pogardliwością możnych, bo choć się podginają ich kolana ku ukłęknienu, każdy jedną rękę w tył wyciąga, poza się - kędy umknąć się wraz gotów pod niełaski wejrzeniem. Gdy w tej przypochebnej pokorze wyraża się cała ich dola i natura ziemską, w gwałtownym sprężeniu drugiego ramienia jest jakby dusz tych krzyk, każdy w dłoni wyciągniętej podaje kwiat - za życia swego niechlebny plon: „Zmiłuj się nad nami!...”

Żaki niecierpliwe już się przepchały na klęczkach przed starsze towarzysze. I całują żarliwie popielicową obramkę modrego płaszcza na stopniach tronu. Ten żak z boku więcej miejsca sobie czyniąc odepchnął kamratów i całą głowę oto zatula w pochwycony rąbek Miłosierdzia. Goliard, że dłuższe lata żył na świecie, cięższe, widać, porachunki czyni pod dłonią na oczach. Gęśle swoje tym razem nie za votum daje, lecz jakby zwraca tam, skąd je był otrzymał. I zda się obliczać w sumieniu poety niedopełnienia wszystkich strun na gęśli, przez Boga darowanej. Żonglerzy i tu jeszcze, jak na świecie, pasą bardziej oczy niż dusze. Pieśniarz bosy, który za życia gieżła się jeno dorobił i o niebieską nie troska się zawczas nagrodę: już gra, już śpiewa; sobie i Dziecinie. Gędziec kładzie dłoń poważną na strunach symfonii: jasną harmonią lazurów i tęczy grają kolory tu same.

Wraz z towarzyszami klęka reszta goliardowej rodziny: linochód w blaszkowym stroju rycerza z zerdzią popisów w rękę; siłacz wielki i gruby jak święty Krzysztof; gadkarz przepołowiony w podłuż na kraśną i zieloną połacie człeka; kuglce z mądrymi psami; rybałtki o malowanych twarzach i z niedźwiedziem swoim płowy poskramiacz znad Odry: zgoła tota jocularum turba! Tuż za nimi klęczy na obrazie i mnich sam z paletą i pędzlami w wyciągniętych dłoniach, cały w doznanym widzeniu oczu i tych dłoni - jak rankiem u żywego kamienia.

Zaś na samym przedzie obrazu, w postaci i doskoku capa, skoczek Bakchowy do wzdętej wargi nad bródką przykłada oto gorliwie organkową fletnię Pana...

Tu, w gwałtownym z nagłą zaniepokojeniu sumienia, zatrzymały się myśli mnicha. I zgasło widzenie obrazu. Z zadumy jak ze snu ocknięty począł się brat trwożnie oglądać poza siebie, przepatrując ogród cały, wszystkie jego ścieżki głuche.

Nazbyt bo dobrze, i zgoła bez wiedzy, a z niesamowitą wyrazistością, wywołał z pamięci postać j e g o. Zda się woń bydłą jego kudłów capowych czuje w tej chwili i słyszy niemal much bzykanie nad nim.

Takim jawił mu się wówczas po nocy, gdy z ogrodu bram wylegały na gościniec zbiegłe od rodziców żaki. A po przelocie tego żurawianego klucza dusz tułacznych w ocmę księżycowego blasku wystąpił na gościniec on sam. Szedł wolno, wielki jak koń, kolebał tłusty zad na skokach i radach kozła; a tak stąpając, na fletni przygrywał sobie. Wyprowadzał w światy trzodę swą błędną on sam - w postaci własnej: Zły pasterz.

Tak było wówczas po nocy.

A gdy tu, w klasztoru ogrodzie, wśród słonecznego roziskrzenia kwiatnych i motyli barw, wraz z mnichem i kwiaty same zdały się nasłuchiwać muzyki jakowejś - nie rybałtowej gęśle rozlegały się tu snadź, lecz jego fletni głos! A gdy wraz z mnichem zamysliły się na przedwieczność i kwiaty, gdy wydało się duszy samotnej, że jest jak kwiat miodu pełna, gdy coś dobywało ją z pąkowych zatuleń, jak te róże w sadzie, i ku Stworzeniu spręzało ramiona mnicha. - Panowej fletni był to pewnie czar!... I uwodzenie.

Oto nagły w tej chwili szelest, stuknięcie i plusk w ziemię miękką przerażeniem wstrząsa mnicha. Opodal słyhać drugi - trzeci - szmer i plusk taki... Skokówże to czyich wybijany w miękką ziemię takt? czy żrzałe jabłka osuwają się z gałęzi w ciszy letniego wieczora?

Dziwnie swawolne rytmy wybijają te ziemi odgłosy! w taniec ciało proszą. Dziwnie taneczną zda się ta gędźba jego - gdy w zadumę letniego wieczora, jak w tęskliwość organowych dud, radość nagle wyskoczy - i płąsa skokami Pana. Istna serc młodych muzyka.

Więc słyszy ją znowuż?!... Słyszy w tej oto żywej chwili one fletnie Pana z gościńca porywów młodych:

Factus de materia
cinis elementi

. . .

Kapturem i dłońmi na uszach zagłusza mnich w sobie słyszenie wszelkie. To jedno wie już tylko: że z onych to elementów zrodziły się i jego obrazy nowel A i Najświętsze na nich Oblicze... (jakże się cieszy diabeł, jak płąsa tu wkoło, na fletni przygrywając sobie!....).

Goliarda i żonglerów duchem, a młodości za nimi porywem usidlał go szatan.

Nieprędko odróżniły uszy pod kapturem, czy jabłonki w sadzie zaszumiały znów na wtóre tchnienie zachodu, czy też sygnaturka zagrała tak szelestnie w oddali. Nie zerwał się z kłęczek, by jak trzeba zejść z braćmi do krypty. Przytrafiło mu się to po raz pierwszy w życiu powołania. Wytrąciła się dusza z obserwacji dnia powszedniego i z zatajonym jakby urągowskiem widzi, słyszy ciało swe tam wśród braci. I baczy z daleka: na tę powagę kołatów, z jaką zwykli bracia zstępować gęsiego do krypty; na to sadowienie się ich po stallach w rozruchu - po kilkanaście razy na dobę - uroczystym; na wychylanie się podgołonych głów z wiankiem włosów na ciemieniu i głuche zawieszanie oczu na obrazie ołtarza.

W rudym blasku lampy oliwnej czerni się tam, na deski pozłocie, surowa Matka kalwaryjskich boleści z wargą ściągniętą w podkowę jakby z pogardy dla zbirów Golgoty. Wznosi ramię groźne; a tych palców przydługich nachyleniem - z głębi ponurości swej - błogosławić jednak raczy: Bogarodzica!...

Szumi pod nią fala przesmutnego pacierza, jęczą, zda się, i wzdychają mury klasztoru.

Wtórują temu kawki u dzwonnicy.

Rzekniesz, dzwonu samego tony, że smutną snadź ręką, w rozpamiętywaniu Męki Pańskiej ze spiżu dobyte, kołują wciąż u wieży na kawczych skrzydłach smętu - dzwonu samego tony!...

I kraczą...

„Krew! krew!... zalewała oczy Chrysta na krzyżu: ty swoje przysłaniasz kwiatami, by nie widzieć kalwaryjskich życia dróg!...”

„W cierń! w cierń!... na czoło swe zamienił Chryst każdy życia kwiat, odtrąciwszy pokusy szatana!...”

Zawodzi w krypcie nad gradualem głos śpiewaka przodowny. Zaś po stallach mnisze brody żują swe litanie głuche...

A kawki u wieży kołują wciąż...

- wszystkich smutków duszy kiry uskrzydłone!...

- kalwarii samotnych płaczki rozżalone!...

„A! - a! - a! - a!... A! - a! - aa!...” - donosi z krypty mnichów chór wysoki.

I dudnią organów basy tym przyjęciem lamentacji:

„Zmiłuj się nad na-ami!...”

Dziwnie wąskie w tej chwili i sine wargi mnicha dygotały w takt pacierza niemą już suplikacją. Tym gorliwiej modliły się dłonie, jakby uchwytu jakiego szukając przed sobą - by na ślepo już zgoła okalać jakowyś kwiat u ścieżki, który pod te ręce przypadkiem się podchylił. Tak matka grzeszna w kłęczniku gdy się jej dziecko cudzołożne i w czas modlitwy naprzykrza, ogarnie tę główinę, przychyli ku niej czoła i tym gorliwiej zaszepota się w pacierze: „Zmiłuj się nad nami!...”

Ścichła krypta. Nawet kawki zamilkły wykrakawszy swe poruszenie. I znów te kołaty, to mnisze zarojenie się w murach, te gęste dreptania chodaków po schodach i korytarzach

wszystkich. Odrywały się raz po raz w ciszę czyjeś kroki: chłonęły mury każde to życie z osobna - w samotnictwa przedgrobowy schron. Ostatniej stopy szmer u takiego progu uza-
lił się chyba echu tej ciszy grobowej. Bo klasztor zamarł już cały.

Brata Łukasza w ogrodzie ogarnęło w tej chwili to ostatnie, nieludzkie już przerażenie samotności przed grozą idących smutków. Ledwie porwał się oto ducha zamierzeniem na rzeczy nowe, a stargał wraz ostatnie swe spójnie człeczce: wytrącił się sam w kaczerza jakby oddalenie-
stwo i nęk.

Tą nagłą omartwicą murów jak gdyby równie przerażone porwały się znowuż kawki u dzwon-
nicy. I kraczą...

Jął się brat Łukasz tak dziwnie słańać i przeginać pośrodku ogrodu, jak gdyby ciałem bory-
kał się w tej chwili z ucieleśnionym już oczom jego potworem smutku. Szatan, odmieniwszy
snadź nagle postać kozłonoga, dopadł go wreszcie upiorem. Oto zatrzepotał się mnich niczym
ptak pod łasicą i runął na wznak- odchyłał szyję.

Acedia upiorzyca obejmowała mu pierś skrzydłami wampira.

* * *

Urażony głęboko na brata Łukasza, porządkuje przeor jego pędzle, farby i pióra. „Nie zwie-
rzaj swych myśli młodemu! - pomrukuje w brodę. - Oto skończyć mieliśmy dzisiaj dzieło
nasze, a on po tylu latach wspólnego trudu, wmiast świętem radosnym dzień taki dla nas obu
uczynić poczyna mi kaprysić - że się pióra rozszczyły, że wyschły inkausty, że... Poszedł
sobie na ogród, do swych kwiatów. I Bóg z nim!... Nie zwierzaj nigdy swych myśli młode-
mu!”

Po chwili jednak kiwał smętnie brodą:

„Nie jesteścież, klerki stare, nad swymi księgami jak te Behemoty - nawet Jordan wypić go-
towe?!... Podczas gdy serca młode będą zawsze wołały liche czarki własnych „**doznań i wi-
dzeń**” byle pełne po brzegi wszystkich mętów ziemskiego tworzywa!”

Może te dalekie pomruki grzmotu, szyb rozbłyski co chwila, a i ta okrzepłość powietrza przed
burzą, za oddechu ciężkością, wypełniały piersi stare takim dziś rozdrażnieniem. W gniew-
nej krzętności porządkowania wszystkiego w celi, jął układać i swe księgi w skrzyni, dzisiaj
bardzo jakoś pomieszane.

Oto: *De unwersalibus*; oto: *De periculis novissimorum temporum*; oto: *Gesta principum, a Vi-
tae sanctorum* w księgach wszelakiego kształtu; oto: mistrza z za gór *Commedia*; oto: przez
mnichów spisana żonglerowa opowieść *O graalowym szukaniu*; oto: *Tractatus de malitia
mulierum*; zgoła rzeczy najbardziej odmiennego ducha i wszelakiej treści pomieszaly się dziś
w nieładzie wielkim. Jedno nawiedzenie celi samotnej przez człeka świeckiego wprowadziło
wszystko w zamieszanie! Dużo czasu upłynie, zanim się to do porządku znowu przywie-
dzie!...

Oto aż na samym dnie znalazł księgę dla się najmilszą, a tak rozczytaną, że jej skóra starła
się by podeszew, a omiękła zupełnie; zasię obrzeża kart wszystkich zapisane były ręką prze-
ora nieskończonym szeregiem cyfr i uwagami dysputacji.

Tę księgę pod pachę wetknąwszy, resztę zatrzasnął w skrzyni. I przygnębieniom myśli na przekór, spornie i tym grzmotom burzy, otworzył księgę na kolanach. Zwała się ona *Introductorius in evangelium aeternum*. Napisał zaś ją franciszkanin Gerardus - niech będzie błogosławione imię jego!

I zatonął przeor w ciszy wewnętrznej - zaczytał się w księgę.

Po pierwszym okresie człowieczeństwa: epoce gniewu Bożego i przymierza w Testamencie Starym, po epoce Syna i Sakramentów Jego, nastanie wieczny czas Ducha - swobody wewnętrznej u najczystszych krynic poznania. Obwieścił to światu Joachim święty. I wtedy - powiada - kierować będą losami człowieczeństwa najbardziej oświeceni i najwolniejsi od pęt własności wszelkiej. Bowiem poucza święty Ambroży, iż Bóg chciał, aby użytkowanie owoców ziemi wszystkim wspólne było, i że chciwość tylko człeczka stworzyła posiadanie. Za prawa nakaz, za króla rękawicę czerwoną i mistrza miecz ład rządny między ludźmi utrzymywać wtedy będą wszystkie cnót siedem: wiara, nadzieja, umiarkowanie, mądrość, dzielność, sprawiedliwość i miłość. Wówczas dusza pogodzi się z ciałem.

Prorok czasów pochrytusowych, święty Joachim de Floris, ustanawia pierwszy okres człowieczeństwa od Adama do króla Osjasza: do roku 630 przed Narodzeniem Pana, odkąd poczęło się przez proroków wysiewanie ziaren okresu drugiego; każda zaś epoka równą być winna co do ilości pokoleń. Że zaś Chrystus Pan od trzydziestego roku życia począł mieć synów z ducha, tedy na lat 30 ustanawia Joachim długość każdego pokolenia z ducha. I oblicza dokładnie pokoleń 63 od Adama do Osjasza. Równość okresów wedle pokoleń, pozwoliła z kolei obliczyć Gerardusowi, że Ducha królestwo nastanie na świecie w roku **1260!**

I oto minął dawno rok ten! Nie nastąpiło. Gerardus pono w więzieniu za kacerstwo skończył. Franciszkanów generał, który mimo wszystko podjął wróżbę Gerardusową dla sprawdzenia, czy się w niej aby jaka cyfr omyłka nie zataiła była - generał ten został strącon przez papieża. A zawiedziony duch człeczki sprawił, że na synodzie w Arlu, w roku 1263, potępiono Joachima naukę o Ewangelii wiecznej. Dognębić ją starał się nawet uniwersytet paryski sam, ona księgą nienawistną: *O niebezpieczeństwach czasów najnowszych*.

A napisane jest wszak najwyraźniej w Apokalipsie Janowej, jak to apostoł... „ujrzał anioła lecącego przez pośrodek nieba, mającego Ewangelię wieczną, aby ją opowiadał wszystkiemu narodowi i pokoleniu...” I przeciw temu śmieją oto powstawać synody, uniwersytety i mistrze! Tak dumał kacerz w czas burzy nad księgą potępioną.

Ten ból nie spełnionej wróżby wypełniał serca tylu franciszkanów co znaczniejszych! Zawiodła jeszcze jedna nadzieja człowieczeństwa, chybiła jeszcze jedna graalowa obietnica!... Błędni rycerze wedle ducha: Toachim i Gerardus (niczym Parsifal i Lancelot na jednym koniu!), odjechali na księżyc rojeń płonących, sprawując i stamtąd jeszcze tajemnicze władztwo nad nadziejami wszystkich wagantów wedle ducha.

I one to zmory księżycowe sprawiały chyba, że księga przeora na obrzeżach kart pokrywała się cyfr bezlikami, sprawdzeń i obliczeń nieustannym trudem.

I teraz oto w burzowym ściemnieniu świata za oknami celi. gdy klasztor stawał jak w ogniu w błyskawic rozblaskach, pod sygnaturki alarmowe rozdzwony - przeor, ogłuchły na głosy świata, skupiał się coraz bardziej nad księgą rozłożoną obecnie na klęczniku, pod wiecznej lampki płomykiem.

Już pierwsze krople ulewy zaszumiały na liściach sadu. Przed nawałnicy ostatecznym uderzeniem uczyniła się, pod to kropel deszczowych padanie, taka cisza w ich rytmach, że sły-

chać było na drodze za murem gdyby jeźdźca jakiego skradanie się pod klasztor w stępie kopyt, głużonym we mchach. Pod klasztoru furtą zatrzymał się jakby ów konny. I czeka... A cedru gałąź zaskrzypiała o mur tak tajemnie, jak gdyby u furty zatrzymał się było przyjezdny nie z tego świata - pod konia niecierpliwe tupotanie o próg...

Kacerza nad księgą w tej właśnie chwili jakby na konia wsadziło: w nagłym rozbłysku myśli nowych pogoniło pióro jego po obrzeżu karty. I pisze.

„Jako żywo omylili się Joachim i Gerardus w obliczeniach swoich!.... Okres drugi człowieczeństwa nie od króla Osjasza, lecz od narodzenia Chrystusa Pana, jako słusznie, liczyć się winien. Ducha więc królestwo na ziemi: panowanie najwolniejszych wewnątrz i najbardziej oświeconych nad wolnymi i oświeconymi, a czerpanie z najczystszych źródeł poznania - zacznie się (wedle 63 pokoleń po lat 30), od roku **1890!**

Wprzód jednak ziścić się ku temu muszą przed wstępne wróżby Janowego Objawienia: jak to... „będzie rozwiązań szatan z ciemnice swojej i będzie zwodził narody; zbierze je na walkę, których liczba jest jako piasek morski... I rzucon będzie w jezioro ognia i siarki.” I wówczas dopiero... „otrze Bóg łzę każdą, a śmierci dalej nie będzie ani smutku, ani krzyku, ani bóleści dalej nie będzie, iż pierwsze te rzeczy przeminęły... I niebo będzie nowe, i ziemia nowa, albowiem pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeszły!...”

A gdy pióro z ręki przeora wypadło, zatrzymała się myśl jego nad wyliczonej cyfry ogromem. Jeśli nawet sądzono światu doczekać lat tak bezmiernie odległych, ileż to jeszcze łez, ile bóleści, ile smutku przewalić się musi przez takie czasu oceany?!...

„Rok tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty!...” - Chwytał się oburącz za skronie.

Długo siedział tak starzec na skrzyni skarbów swoich - pod czarnym skrzydłem melancholii. I nie mogąc wymotać ducha z tych myśli pajęczyny, na poły bezwiednie, a smutną ręką, zaczyna znów kreślić cyfry jakoweś: sprawdza, liczy, mnoży...

Jakże się nie miały mylić obliczenia przeora, gdy brat furtian z palcem na ustach, a drugą dłonią na piersi, stał już od dawna na progu celi! Cierpliwie wyczekiwał mnich spojrzenia ojca, które mu przemówić pozwoli.

Tymczasem tuż nad klasztorem samym zagruchotał grzmot, potoczył się górą jak ta kula przez kręgle niebieskie. I trzasnął... Furtian poczuł nagły ból w piersiach, w uszach szum okrutny i ten szczypiący z nagła posmak w ustach.

„A słowo stało się ciałem! - zażegnuya gęsto przerażenie swe. - Chryste, z jakąż furją trzepnął piorun! pewnie w to złe miejsce za klasztoru granicą.”

Z zaświstem jędz rozchichotanych a strugami ulewy smagała nawałnica małe okienko celi. Wejrzał wreszcie przeor ku tym szybom. „Burza” - stwierdził teraz dopiero. „Od dwóch godzin” - objaśnia furtian nie bez urągliwości w głosie.

Ocknął się ojciec z ciszy wewnętrznej. I wtedy wreszcie mógł doń podejść mnich ze swą wieścią od furty:

„Igrce u klasztoru bram!”

Dwa razy powtórzyć sobie kazał przeor tę nowinę. Po czym schwyci się za skronie; największy oto zgiełk świecki chce mu spaść na głowę! Głośniejsze to od, burzy i piorunów - hałasem dusz swych niestatecznych.

A tam, na korytarzu, już się jakoweś szepty wszczynają między braćmi. (Pewnie furtian poroznosił już po klasztorze tę nowinę.) Niczym myszy z nerek wystawiają mnichy bure swe kaptury zza uchylonych drzwi celi każdej. „Joculatory?!” - rozlegają się szeptania ich rado-

snej alteracji. Przemówiły samotnictwa przedgrobowe schrony. Pojął przeor niebezpieczeństwo grożące ich duszom. I nachmurzył się cały. Jakże bo przepędzić od furty tamtych włóczęgów - w taki czas ulewny?!

Brat furtian dopowiada tymczasem nowiny swoje, długie snadź dzisiaj i niezwykle:

„O trumnę igrce u furty proszą. I o ciała kamrackiego pogrzebanie w klasztorze... Czego żadną miarą uczynić wszak nie możemy?” - kończył z wyczekującym a byстрым zapatrzeniem się w oczy przeora. „A któryż to z nich zmarł? Jakowej igrzy mistrz?” Doskoczy furtian i przez dłoń w trąbkę szepnie przeorowi:

„Goliardus sam!”

„Aa?...” - Aż się stary w tył zatoczył, pod samo okno celi. By stamtąd dopiero zdumione oczy zawiesić na obrazie u klęcznika.

„Matko Przenajświętsza?!...”

A potem już tylko gestami pokazuje, przypomina bratu furtianowi, że wszakże dziś przed południem goliardus tu w celi był, tu owo na skrzyni siedział gęśle oto swe (jakby w śmierci przeczuciu) kościołowi za votum zostawił.

Przytwierdza, potakuje wszystkiemu brat furtian. A ręce jego splecione i pobożnie zwiśla głowa zdają się wygłaszać tę medytację: „Śmiercią samą i grobem cuchnącym jest każdy z nas. Żyjąc umieramy każdej chwili nieustannie i dopiero w konaniu umierać przestajemy.”

„Myśmy go od się odepchnęli precz! - wybuchnął przeor, nieskłonny snadź w tej chwili do pocieszeń filozofii. - My, mnichy niemiłosierne! My, bracie furtianie!”

Ale mnich skrzepł nagle na twarzy, zsurowiał sądem sumienia swego: nie chce przytwierdzić rozżaleniom przeora. I kończąc swe nowiny od furty, powiada głucho:

„Znaleźli kamraci ciało jego w złym miejscu - za granicą - kędy niejedna już dusza dokończyła się na Sabacie...”

Lecz w tejże chwili ujrzał nad swą głową wzniesiony nagle kułak przeora:

„Do dominikanów mi z tymi baśniami o sabatach idź!”

W okamgnieniu skurczył się mnich, a zezem spod kaptura wyblęsnął zdumieniem ku twarzy ojca. I wtedy przeraził się już zupełnie.

Zwichrzona była w tej chwili broda starca, potargany nad czołem włos, spod najeżonych brwi krzeszały się skry jawne: mojąszowy gniew objął tę głowę.

„Nie ma sabatów, dusze wy obłędliwe!” Starł się w proch brat furtian przed srogością ojcową. Powalił się na klęczki. I oburącz chwyta się tej nogi nad bosą stopą w drewniaku.

„Ojciec najświętobliwszy, w przedburzowy czas na złym miejscu za klasztoru granicą tam był! był! był Sabat!... Sumienie mi o tym u nóg twych krzyczeć każe - skoro dusza twa najczystsza odpycha nawet wyobrażenie takich mroków i niskości grzechu!... piersią na ciele dziewczki nagiej - i jak on już martwej - leżał trup goliarda. Potargane miał na szyi opatrunki jakoweś, założone mu nocy poprzedniej przez lekarza - po krwi puszczaniu, powiadają towarzysze jego. Może te rany nie zgojone ku wnętrzu krwawić jęły - z żalu za kochanką - więc je roztergał. A może z umysłu na się rękę podjął, w rozpaczy, że dziewczka umiera?... Szatan wie o tym tylko! On ci to jadem grzechu i krwią rozpusty spętał te ciała na śmierć. Bo krew z tych otworzonych żył goliardowych zalała posoką okrutną całe jej ciało. A pierś dziewczki od ukąszenia węża wzdęła się w pęcherz siny aż po szyję i twarz... Wąż grzechu w pobok leżał - zabity a czarny w juchy swej purpurze jak piekło samo!... Widziałem to wszystko na własne oczy - w łuczywa świetle. Bo igrce furtę wyłamawszy, siłą mnie tam

zawlekli (pierwszego schwytanego mnicha), bym wypowiadał jako że dziewczka zipała pono jeszcze. Ale zanim mnie przez te gąszcze na wale tam przywlekli, już było i po niej... Ustrzegł Bóg (nawet pod tych igrców przemocą) od pochylenia się bodaj nad tym ścierwem... Choć oni za tę przemoc przepraszali mnie potem bardzo, po rękach wszyscy całowali, do kolan się moich garnęli i wypłakiwali swe żale w habit mój... Biedne to i żalosne plemię! (Może dał Bóg ustrzec bodaj te dusze przed diabłów naporem w onej chwili...) I to jeszcze widziałem w łuczywa światła - pokazały żaki: palcem we krwi własnej maczanym wypisał goliard przed skonem te słowa dziwne na marmuru złomie... „Żem zdrabniał, żem niżył, uśmiertelniał ton! - rozszarpały mnie Bakchowe...” Na tym się urwały one słowa: już snadź dusza odlatywała zeń wtedy. „Rozszarpały **Bakchowe...**” Wiedźm, wiedźm szpony! Kobięcych chuci pazury widział goliard w chwili ostatniej strzyg wokół siebie taniec sabatowy!...”

Odepchnął przeor mnicha od się precz. A i uszy przysłania przed tym, co tu wysłuchać od niego musiał.

Brat furtian połę jego habitu chwyta, rąbek całuje i szłocha już wręcz:

„Ojciec oświecony, nad księgami od żywotów oddaliłeś ty się człecznych. Nie chcesz wiedzieć o najciemniejszych przepaściach dusz. Życia czucie zatraciłeś w mądrej głowie klerka, w piersi nazbyt już dla świata szlachetnej!... Są! są sabaty na świecie!”

Za te bary, szerokie jak u wołu, chwycił przeor klęczącego mnicha. I trzęsie nim by snopem. „Nie Ducha nawiedzenia oczekiwać wam, franciszkany, w codziennych świątkach duszy, a mieć ku temu tatarakiem tę świetlicę radości: izbę swą samotną?!... lecz w ciemności, lecz nad przepaście chaosu z gromadami ciemnych biec i po ciemnych gdzieś kątach wyczekiwać duchów nawiedzin?! Franciszkaninze ty?!... Nie radość jasną przychyłać światu? lecz zaświaty kusić? lęk i grozę rozczyniać w ponurej ciekawości żądz?!... Bo z żądz zatajonych rodzą się w zwidzeniach wszystkie duchy, widma i upiory! A gdy się te błota w gromadach całych wzburzą, wondrous na złych miejscach schadzek tych dusz obłądliwych - wierę - nawet ogień i siarka buchać poczną! Wondrous - wierę - nastaną i sabaty... Ale tymczasem nasz duch - franciszkanów! - dźrzy władzę nad duszami świata! I nie dał jej sobie jeszcze wydrzeć mnihom czarnym!... Więc sabatów nie ma - wiedz!”

Brat furtian na klęczkach wyciąga już tylko niemo ręce obie na przebłaganie ojcowego gniewu. Ale przebłagać nie zdołał.

„Nie igrców przemoc wywlokła cię tam - za granicę - nie ich prośby nawet, lecz własna twa ciekawość... Wyznaj mi natychmiast grzech swój!” Mnich w piersi się bije, aż huczy w celi: „Rzekłeś, ojciec!...”

„Jaka dusza, takie i widzenie. Nie inne ponoć i świadczenie. Opowieściom twym wierzyć nie raczę! Nie targnął się na swe życie ten, kto wyśpiewał o Sądzie Ostatecznym pieśń ona, która wstrząsa kościołami świata... A to jedno, bracie furtianie, waży przed Nią - przeor wskazał na obraz u klęcznika - może więcej niżli moje i twoje życie!”

Mnich ukrył twarz w dłoniach i poczołgał się na kolanach do klęcznika.

„Tam - przeor wskazał ręką ku górze - ważyć będą na drugiej szali i winy goliarda. Położą na nią wszystko!... I tę dziewczkę nagą. I te grosze, jakie mu ona wtykała w trzos. I w one j hańbie tę wielką zawsze pychę klerka. I te jego bluźnienia Rzymowi a biskupom: że papieża Plutonem obezwał, dźrzy naby piekielnym, a biskupów za capita cornuta opisał. I te pieśni jego na cześć Bakcha i Wenery. I te śpiewki sprośne o wdziękach kobiet i dziewcząt. I te najplu-

gawsze: o powabach chłopiąt. I te wszystkie księgi kradzione przezeń po klasztorach. I wzgardzoną niegdyś sutannę. I szarganą w poniżeniu a hańbie szatę klerka.”

„Och!...” - jęknął mnich pod tych brzemion śmiertelnym wyliczeniem.

„Co więcej rzekęć, bracie furtianie: nawet te liche grosze, jakie goliard niegdyś otrzymywał od oświeconych za one pieśni, które ubogaciły serce człowieczeństwa - nawet te liche grosze położyć mają - ponoć! - również na tę drugą szalę. Bowiem powiada najwymowniejszy ojciec kaznodzieja, dominikanin, Berchtoldus: Kto im grosz daje, w grzechu daje; a co w grzechu dane, na potępienie tych dusz obróci się w dzień Sądu Ostatecznego.” „Och!” - jęczy mnich w klęczniku. „Przeważy, bracie furtianie, ta szala druga. Przeważy niechybnie! nie pomogą tu i nasze pacierze... W tej chwili ostatecznej może już tylko Ona - Przeor wskazał na obraz nad klęcznikiem - może ta Ucieczka nędz ostatnich, sponiewieranych, Matka boleściwa, a igrców Orędownica przed Bogiem jedyna - może Ona to właśnie zwróci goliardowi votum jego... I położy na szalę pierwszą gęśle poety.”

Mnich runął przeorowi do nóg. Lecz on podjął go natychmiast. „Powtórz - rzecz - to wszystko braciom, aby godnym sercem franciszkanów przyjęli tu dziś mdłych braci naszych ze świata.” I wyprowadził mnicha za celi próg. „Joculatory?!... - Wybiegają za furtianem po korytarzach wszystkich dygocące aż w gardłach ciekawości mnisze. - Czy aby przeor na igrę pozwoli?!... Opat benedyktynów, powiadają, pobłąza czasami.”

Z palcem na ustach, a drugą dłonią na piersi przemykał się po korytarzach plotkarz klasztoru. Podwójnym szeregiem od furty ku wrotom kościoła ustawili się igrce i żaki wędrownie.

Gdy goliard pozostawił ich był na gościńcu, oddaliwszy się w żarliwej rozmowie z onym człkiem zza gór, który mu tyle opowiadał o wielkim mistrzu tamtych stron - towarzysze czekali nań cierpliwie, rozbiwszy obóz cyganów w najbliższym gdzieś lesie. A nie doczekawszy się jego, gdy skoczka zaniepokojona pobiegła za kochankiem, postanowili szukać i oni. Pobłąkawszy się po okolicy pod sam wieczór, a w burzowy czas - jakby złym przecuciem wiedzeni - trafili w ono miejsce za klasztoru granicą.

A teraz oto, gdy burza już minęła, ustawili się dwoistym szeregiem od furty, na tym uroczystsze podniesienie ciała pod kościół i uproszenie mnichów o pogrzebanie towarzysza w klasztorze.

Już oto niosą go żaki na marach zdziałanych naprędce z desek jakowychś. Pochyla się przed zmarłym pstra gromada towarzyszy sztuk wszystkich - zbita i zszargana ulewą - żaloszny obraz waganctwa i poniewierki!

Jeśli mnichy pogrześć goliarda w klasztorze nie zechcą, wonzas na żywy protest przed Bogiem i światem położą ciało jego na samym progu zamkniętego kościoła. Niech mu kruki wieży klasztornej sprawią pogrzeb włóczęgi: niech rozdziobią przed oczyma mnichów!

Taka ponurość ogarnęła ich myśli. Nie ma bo, wiadomo, gorszego poczucia sponiewieranej doli nad pogrzeb towarzysza nie dość szanowny. Wtedy najboleśniej odczuwali swe wypchnięcie za ramy społeczności. I co to znaczy na świecie: nie należeć do żadnego cechu.

Czuwa jednak nad zmarłymi tajemnicza wszędy ręka bractwa Misericordii. Oto, nie wiadomo skąd, już się znalazł u furty on słup kiru z czarną larwą na twarzy, rozciętą w krzyża znak.

Z ramion tego krzyża na licu, by gwoździe Męki Pańskiej, wyzierają żagwie oczu... „zmarłego człeka czy śmierci samej?”, - zapytasz mimo woli, ujrawszy takiego w pogrzebu czas.

Pochodnię dzierży w dłoni, w olejach snadź maczaną, bo rzucającą blaski bławe, a rozpinające się po nawilgłym powietrzu w koliskowe łuki fioletowych aż glorii. Z tą pochodnią wstępuje w ulice żałobników, wystawia się przed mary niesione.

Wkroczywszy na próg kościoła, wznosi pochodnię. W jej świetle, gdyby nieziemskim, zagrobowych, rzekniesz, mzeń, ukazuje się teraz dopiero ciało niesione na marach. Pod przemokłym na wskroś czarnym płaszczem i kapturem klerka rysuje się jawnie zeszywniały kształt trupa. A śmierć na progu kościoła uderza po trzykroć w odrzwia zamknięte. I w echową głusz wnętrza woła zza larwy a krzyża:

„Ja, goliardus, poeta wędrowny, bez imienia u ludzi, zmarłem tej nocy grzeszną śmiercią włóczęgi - za murami, w polu. Wymódlcie duszę z czyścicowej męki, wyzwólcie jałmużną!... A ciału pogrzebanie chrześcijan dajcie!”

Niczyją, zda się, ręką nie tknięte, jakby same otworzyły się na ścieżaj wrota kościoła. W głębi jarzą się na ołtarzu świece wszystkie. Pod nim stoi trumną czarnym suknem obita; na jej wieku widać gęśle i smyczek złożone w krzyż.

Gospodarz klasztoru zgotował włóczędze szczodrobliwie przyjęcie w domu wiecznych cisz. Brat Łukasz powrócił było z wieczora do celi z bielmem acedii na oczach. Doświadczony pasterz trzody swojej, przeor, dojrzał pierwszy nierządny smutku zmazę w źrenicach brata. Jakby lampę zgaszono w tych piersiach: nie świeciły już oczy blaskiem wewnętrznym. Nie pracowała już w sobie dusza; na zewnątrz zwracało się wciąż spojrzenie trwożne a tępe. I zawiślało gnuśne na powierzchni rzeczy każdej. Już i różaniec nawet sam szeregiem kostek dłań tylko był, obracanych w palcach nieustannie, a bez pacierza. Ku niczemu utrudzały się palce; dusza drzemała. Posiwiła najwyraźniej przez jeden wieczór koronka włosów na ciemieniu. O potępieniu swym wciąż mówił nie wierząc, iż zdoła kiedykolwiek wymodlić duszy swej zbawienie. Do farb i pędzli poczuł nagle odrazę. Do ludzi zaś - do braci w klasztorze - nienawiść; o czym (w jadowitej potrzebie bluźnienia) mówił im wprost w oczy.

„Acedia! - myślał przeor ze zgrozą. - Boże bądź mu miłosiw!”

Jakoż Bóg zmiłował się: i ocknął, wstrząsnął tę duszę - ale śmierci owo obrazem i zjawą. Za tym słupem kiru z larwą krzyżową na licu - ni ten skowronek za sową - z musu, z bezwoli, w tkliwym prawie oddaniu się grozie przemocnej błędził brat Łukasz krok w krok. I już nic nie widział, co się w kościele działo. A gdy ona po niejakiem czasie wyszła z kościoła nawą boczną i z bławym światłem swej pochodni wstąpiła czarna w krużganki ciemne - w tymże blasku zagrobowych mzeń trzepotał się skowronek u krużganka ścian.

I łkał.

W otchłanną ciemność świata mruga wciąż jeszcze burza przycichła, lecz już nie oknami błyskawic, a wrotami niebios całych, otwieranymi cicho, raz po raz. Drzewa za furta, nawałnicą tak długo targane w upiorne po nocy zjawy, teraz dopiero powracają do kształtów swoich. A tak stulone, jeśli rozchwieją się jeszcze niekiedy, to chyba tylko grozy przypomnieniem - i szeleszczą, szumią po oddalch minionej już burzy muzykę i rapsody... Ledwie tu i owdzie roztargety się chmury, ukazując niebo jak gdyby omyte, o tak diamentowym rozbłyszczeniu gwiazd. Wokół pachniało ziemią jak o świcie, choć ciemność jeszcze zalegała świat. A taka rozgłośność jest w powietrza pełni, że słyhać po oddalch jakoweś rozgwały, nie wiada skąd - jakby nad pioruna śladem i ofiarą, nad gromowego ognia zgliszczem i ruiną.

Brat Łukasz szlochał wciąż.

A śmierć tymczasem wystąpiwszy za furta, skierowała się w stronę grodu.

I zdało się mnichowi, że nad jej to wędrowaniem ten szum i szelest przebiega po wierzchołkach drzew; że o goliardowej doli szumią te poburzone rapsody, że jego to życia burza jakby nową woń ziemi dała i odnowiła gwiazd rozbłyski na niebie.

I wydało się bratu Łukaszowi, że gdy w grodzie gaszono już gromnice po oknach, a stróże nocni podejmowali od nowa przerwane nucenia - że w onej to chwili trzykrotne uderzenie w bramy głuchym echem rozległo się po mieście całym. I że ten i owy, co się do snu już było z powrotem układał, znów się zrywał, by po raz wtóry zapalać gromnicę.

„Kto zacz?!... Werda?!...” - krzyknęli na rogach stróże nocni, podnosząc latarnie nad swe czoła. Bo śmierć, przewiawszy przez bramę zamkniętą, wstąpiła w ulice grodu.

I obwołuje spod kiru a krzyża:

„Ja, goliardus, poeta wędrowny, bez imienia u ludzi, zmarłem tej nocy grzeszną śmiercią włóczęgi - za murami, w polu... I karą męki czyścicowej umierać będę wciąż, w coraz to innych duszach

tułaczach, po wieki szukających szukaniem dośmiertnym... Wymódlcie dusze tułacze z wiekowej poniewierki, wyzwólcie z niedopełnień katuszy czyścicowych!...”

* * *

Idzie śmierć przez miasto nocą w poburzowy czas; zbiry grodzkie za nią w trop a chyłkiem - nie aby zaczepiać ją śmieli, lecz by się wszystkiego wywiedzieć, jak każe szpiegów rzemiosło. Widzą tedy, na ulicy złotników i płatnerzy wychyla się z okna osoba otyła i wszczyna po nocy larum żałobne. „Ludzie wy moi! goliard, słyszę, umarł!” A sąsiady zaspane wychylają z alkierzów oczy i gęby wciąż jeszcze zaokrąglone łękiem burzy. Cóż to za osoba taka ważna, by aż po nocy?...

I jedyna oto w mieście całym wielbicielka Muzy powtarza sąsiadom to wszystko, co w nią wgadał było przypadkiem zongler, zaproszony wczoraj do łoża:

„Jakże, nie wiecie, ludzie?!... Człekże to w Salerno i w Paryżu bywały! fizyki i lekarstw u mistrzów nauczony! w filozofii biegły, dysputacji artysta!...”

„Cicho tam, pani, po nocy bądź! bo na ratusz weźmiemy!” - zawarczą pod jej oknami zbiry. Ale jejmość nie była z lękliwych. Zapewniwszy zmarłemu poecie cześć i pamięć wśród ludzi, odbiega w głąb alkierza po swe kosztowne pierścienie za jałmużnę wyzwolenia dla jego duszy. Aż ją mąż w tym pohamować musiał. Dobywszy się spod pierzyny, sam w czepcu nocnym jak i ona, przekłada kobiecie u okna, że lepiej było to wszystko dać w porę żywemu, że przez taką szczodrość nie w czas śmierć sama wypyszniła się tylko nad życie, a wszystko, co było, nad tym, co jest.

Ale serce kobiece tkliwsze bywa zazwyczaj na śmierć czyją niżli na najsmutniejsze bodaj życie. Wszczęła się tedy kłótnia między małżonkami - co sumieniu ważniejsze: życie czy śmierć? i kto bardziej szanowny: poeta żywy czy umarły? Wysprzeczawszy wszystkie racje swoje, postanowili na koniec ofiarować świecę patronowi wagantów, świętemu Julianowi, ubogiemu - co i mniej rozrzutne będzie, i bardziej pomocne duszy czyścicowej.

Pochwalili to widocznie sąsiedzi, bo niebawem zamykać się jęły okna wszystkie.

I gasły światła po wnętrzach.

Na tejsze ulicy, widzą zbiry, mży za szybami światło czerwone i rozjarza się co chwila żywym blaskiem. Z dawna mają zbiry baczenie na te okna: kacierz w nich mieszka i ponocny jak czarodziej pracownik.

„Spać! - krzykną. - Nie kusić zła i śmierci, które błakają się dziś po grodzie i okolicy.”

Z traskiem otwarło się okno wykusza. Ukazała się w nim postać ogromna w skórzanym fartuchu, z ramionami obnażonymi po łokcie, a z gębą ognistą jakby od kuźnicy blasku. Naprzód chrząknął piersią potężną i splunął zbirom na łby.

„Pracuję” - rzecze.

A usłyszawszy z opodał, kogo śmierć obwołuje za łup swój ostatni, wychylił się z wykusza.

„Bój się Boga, jędzo czarna, gdzieżeś ty go już ułapić zdążyła?!... Toć wczoraj na sumę goliard tu, pod mymi oknami, przechodził - a pić ze mną nie chciał, bo się do kościoła śpieszył. Zasię wieczorem pod wiechą gospody widziałem go. I wychodzącego nocą z igrcami przez wywaloną bramę. Czyżby i on ranion był na ulicach?... W polu, powiadasz, za murami zmarł?... Bodaj to! Mnie w murach tego przemierzonego grodu zdechnąć nawet przyjdzie! Daj Boże wagantowi odpoczywanie wieczne.”

„Żadnej ci jałmużny pod nogi z okna nie wyrzucę - wychrzakał za chwilę. - Chodź tu, na górę; może ci co dam, gdy uprosisz przy dzbanie... O! - uradował się pomysłowi swemu - za goliarda, który wczoraj pić ze mną nie chciał, chodźże ty mi dziś w zastępstwo, skoro się za jego duszę w grodzie podawasz. Dobry mi dziś będzie przy dzbanie i taki bodaj kmostr ponury. Cni mi się bardzo tej nocy w samotności mojej. I łeb, i ramię nie do pracy dziś: potrzaskano mi wczoraj bardzo głowę - u miasta bram. Śwista w niej jak w miechu i kuje w skroniach jak na kowadłach... Chodź mi na stypę po poecie, i śmierci bodaj sama!”

Zbiry pod murem aż się w tył pomkną w przerażeniu. Bo oto po schodach domostwa rozlega się tupot kroków. Słychać klucza chrzęst w bramie. I wytacza się oto z kuźnicy swojej ten kowal tajemniczy z głową (jak teraz dopiero widzą) snadź ranną, bo ukutaną w chusty.

„Chodź ze mną pić! - krzyczy. - Nie szmucisz mnie strachem. Wiem przecie: tyś z Misericordii tajnego znaku, a nie śmierć prawdziwa.”

Ona wionie na bok z kirów szelestem. I zastawia się dłońmi przed szaleńcem zuchwałym... Zgonił ją jednak, ułapił jak tę dziewczkę oporną. I wiedzie we wrota domu swego. Przymknęły się zbiry bliżej po drugiej stronie ulicy. Za węglem ostrożnie ukryci, widzą pod beczkowym sklepieniem schodów, jak na stopnie, piętrzące się stromo niczym w drabinie, wkracza powoli ona, wysuwając co chwila spod kirów białe kostki stopy swej długiej.

Na stypę po poecie wkracza śmierć w kuźnicę pracy ponocnej.

Ni to izba mieszkalna, ni to komora rzemieślnicza, raczej spichrz chyba: bez powały całkiem, otwarty aż po stropowe wiązania domu. Za dnia dachówki tam pewnie widać, teraz, po nocy, ciemność jeno ponura zwisa stamtąd na wnętrze całe. Bo żuźle na kuźni przed miechem rzucają cały blask swój ognisty w czeluść nawisłego dymnika, a boki zamrok już tylko ścielą czerwony - aż po te balaski nawisłego w izbie ganku, aż po tę zieloną polewę pieca, wielkiego jak chałupa. I mienią się te blaski kuźnicy, skrzą tu i owdzie, na żywych spizach, których pełno wszędy.

Dziwne kształty!... Oto drzwi do ambony kościelnej w spizu kute. Na nich, wśród kunsztownego poplotu liści, jakoweś półmęże i półtygrysyce w objęciach grzesznych, jakoweś centaury, smoki, dziki, sprośne małpy i rozszalałe lwy... Pogaństwa majaki? czy piekiel upiory? czy może żądź i szarów człecznych wyobrażenia na przestraszenie sumień w kościele? Bo nad tym wszystkim koguta widać: ptaka czujności i pokuty. Tym ci bardziej niepokoi sąsiedztwo takie: kacerza to może robota potępiona? Oto u podstawy olbrzymiego świecznika, zdziaływanego przy samej kuźni, widać jednoroźca z głową na łonie dziewicy - za figmentum Zbawiciela u łona Matki. I owo: jelenia u strugi - obraz duszy żądnej zbawienia.

Alić tu obok: śmierć tańczy z mnichem zakapturzonym. Na ratusza wieżę zdziaływane to jest, by co godzina pod hejnał wyskakiwała ta para z budki na swe płasy przed oczyma ludzi. Machina ku temu, cała z kół zębatach, już się - widać pobok - przez mistrza obmyśla, buduje i klepie... Kształtów z gliny lepionych, których tu nie brak wokół, nie rozeznasz wcale, bo płachtami przykryte - dla nagości niesromnej? czy dla kacerstwa może, zatajonego w ich wyobrażeniu? - nie wiedzieć!...

Gospodarz, jakby odgadując zdziwienie nawet pod tą larwą krzyżową na licu człeka przypro-
wadzonego tu z ulicy, powiada od proga:

„Zdumiewają zawsze grodzian te kształty u mnie oglądane. Rzeką: czarodzieja jaskinia, w której wykuwają się postaci wyższego piękna i okrutniejszej mocy niżli w życiu... Daw-
niej, gdy kościół budowano w grodzie, jam cały - duszą i dniami wszystkimi - był przy tej
robocie. Dzisiaj jam za dnia płatnerz, zbrojmistrz pański, by owo kęs chleba do; gęby mieć.
Tymi czasy, jakie w grodzie naszym nastały, jam nocą już tylko sobą i dawny: Bożego Domu
kował, żywych spizów mistrz!”

Co mówiąc usadzał gościa w głębokim krześle u stołu - a godnie: na ręczniku podesłanym.
Za czym dobył z puzdra dwa szacowne puchary; przetarł je, wydmuchał, jak trzeba, i napeł-
nił winem ze dzbana.

„Na goliarda... - mówi siadając naprzeciw - na wędrownego poety wspomnienie!”

Trącą się, brzękną szklenicami.

I piją pod rozzwón ten.

Gość imał się czarki przez rękaw przydługi - garścią czarną. Skrzywił się na to płatnerz, wi-
dząc, że gbura snadź do się zaprosił. Więc pijąc wyziera ku niemu niechętnym zezem przez
kielicha szkło. I postrzega, jak pod uchwytem tej łapy puchar jego szacowny gdyby do wną-
trza się wtłaczał: przewężała się szklenica za klepsydrę wewnątrz sypką.

Odstawia tedy stary kielich swój, kułakiem gębę i wąs przeciera - alić ani śladu tego wszyst-
kiego nie było już przed oczyma. Patrzył było przez wrąb puchara, a spojrzenie przez krysz-
tał jest - wiadomo - niedobre. (Stąd wiedźmy i wróżki ciemne uprawiają żarliwie tę magię
patrzenia w kryształ.) Koniec końców widzi przed sobą teraz tylko, że gość wsunawszy kie-
lich pod larwę na licu wychylił go zacie do dna.

A nic tak przy dzbanie nie rozbraja i nie cieszy, jak taka rzetelność w picciu. Więc człek go-
ścienny zapomniał niebawem o swym niedobrym spojrzeniu sprzed chwili. I nalewa czym prę-
dziej po raz drugi.

„Tam owo w kacie przy kuźni - pogaduje z dzbanem w rękę - piętrzy się aż ponad dymnik
świecznik siedmioramienny; wije się wokół niego Drzewo Życia... Nie odlewów sposobem
rzecz tę buduję, lecz kowam to w żelazie od lat dziesięciu - dla kościoła... Tak, od lat dzie-
sięciu!...

Wina zasię zbraknąć nam nie powinno. - Nalewa po raz trzeci. - Przedałem bo wczoraj zbro-
ję, na którą kupca znaleźć nie spodziewałem się wcale. Kowalem ją sobie przez lat cztery -
akuratnie wedle żonglerowych opowieści o Parsifalowej zbroi. I znalazł się przecie taki, któ-
ry ją kupił!... Pewnie zapatrzył się był on rycerz w moje wrota kościoła, na których zdziała-
łem Wszystkie klęski rodzaju człeczego od wygnania z rajy począwszy, a skończyłem ostat-
nią nadzieją człowieczeństwa, wedle wierzeń moich... Za sprawą tej zbroi zakupionej wsz-
częła się wczoraj ona bitka na ulicach i u grodu bram. Stąd i moje dziś guzy i rany na łbie.
Nie żałuję... Ucieleśniły się spiże moje: wyruszyły z kościoła wrót na nowe szukanie Gra-

ala... Płonę było o nim słowo zonglerów, nie wskrzesiły go w życiu i poetów gęśle: posąg jeno ze spiżu budzi przeszłości wielkie i wyprowadza w życie bohatera jak z kościoła bram. I rozwała wszystkie mury zniewolenia a zacieśnił żywota naszego... My to jedynie zdziałać potrafimy, żywych kamieni i spiżów mistrze. Bowiem sztuka nasza jest służką nieśmiertelność!" Nie podobało się gościowi słowo chyba ostatnie, bo tak zachrząkał i wstrząsnął się raptownie, jakby pod chłodu skądś zawiewem nagłym. I zębami nawet klapnął pod tym ziąbem, nie wiada skąd.

Aż płatnerz zapalił czym prędzej lampę na stole; zawszeć jaśniej nieco, widać przynajmniej, z kim się gada. Ale gdy wprzódy, w czerwonym blasku kuźnicowych żuźli, tak błyszcząły, zda się, tamte źrenice z krzyżową larwą - teraz w skośnym a rdzawym świetle oliwnicy zgasły jakby te oczy zupełnie. I widza się w tej chwili na kształt dwóch jam czarnych.

„U!...” - natrzęsa się płatnerz nad ponurością takiego kmotra przy dzbanie. I tknie go zniechęta, jakby palec w jedno z tych ślepi wrazić chciał.

Aż on cofnąć się musiał wraz z krzesłem. Lecz że się nie obraził, a swoje wypił znów rzetelnie, więc napełniły się znowu szklenice: „Milczek to jakiś, nie rodził się, widać, pod horoskopem Merkura, który ludzi rozmownymi czyni. I niech go tam lichy!... Na to człek z drugim rad pije, by się sam mógł nagadać.”

Więc pogodziliby się rychło przy dzbanie, gdyby nie to, że gospodarz nagłym ruchem odstaawił oto kielich i ciężko wsparł głowę na kułaku. Pot kroplisty w jednej chwili wysączył mu się na czoło; poczerwieniała szyja, pośmiały skronie...

Nierychło przyszedł do siebie. A gdy odsapnął, jał kłąć na czym świat stoi:

„Łeb mi wczoraj porozbijali już nazbyt u grodu bram... A i bez tego przytrafiały mi się ostatnimi czasy one zaszumy i zawrotności - jakbym się w piekła czeluść zwał za życia!... Że z onych to prac ponocnych w zawziętym czynieniu dzieł swych - powiadał mi wczoraj lekarz na odpuszczenie. No, i ze dzbana! - mówił. Jakimże miechem mam dmuchać na tę kuźnicę wewnętrzną? Z serca i ona wszak zapalność do roboty idzie? Że się przepala z czasem i serce człecze - powiadał - nie podoła. Więc niech go szlag!...” - zerwał się sprzed stołu z tą klątwą na samego siebie.

„Hm!...”

Ale mistrz nie baczył na te pomruki. Pilno mu było otworzyć okno wykusza, by przewietrzyć resztki tego zaszumu z głowy, wziąć w miechy płuc dech świeży. Powłókł się za nim kamrat od dzbana.

Między poburzonych chmur okłębny wypływał właśnie nad mury księżyc olbrzymi ni ten okręt z Zamorza, który po przetrwaniu nawałnicy dopływa oto do portu. I wywiesza swą latarnię zaświatów, która grodu mury w zamki-niewiady odmienia i zagrobowym jakby tchnieniem owiewa postaci człecze w oćmie światła tego.

Zbiry i stróże ukryci za węglem ulicy jęli w tej chwili pokazywać sobie palcami siwobrodą na wykuszu postać mistrza, a przy nim ona zmore w kirach, z larwą krzyżową na licu. Onże to - odbiorca dzieł z kuźnicy samotnika, trudów jego nocnych poplecznik, czarów sztuki kupiec.

Od wylotu ulicy złotników i płatnerzy spoziera na tamtych obu kościoła pierś. Nad rozłogiem schodów w okolu dźwierzowej wnęki, pod ustrzępionymi baldaszki, stoją tumu stróżki przesmykłe, Bożego Domu gospodynie. Wwiała smuga księżycowego światła na kościoła schody, nasączyła oćmy srebrzystej we wpuklinę wnijścia i uderzyła blaskiem, jak w zwierciadło

wielkie, w brązowe odrzwia - na których mistrz zdziałał wszystkie klęski rodzaju człeczego, a zakończył ostatnią nadzieją człowieczeństwa wedle wierzeń swoich.

Górą zaś nad połamane piachy dachów wypiętrzały się widmowo obie wieżyce tumu, połykując koronami u czół podniebnych. Nad nimi gwiazd roziskrzzone bezliki w ciemnym granacie nieba. Gdyby ogon komety, zawisłej między storczami wież, wyrzucała się w przestworza droga mleczna ni to gościniec błędnych rycerzy, wabiący tajniami świata, czasów i ducha - aż po nieukojów wędrowniczych kres: po Monsalwatu zamek sam i Graalową w nim czarę!...

Mistrz jakby zaczerpnął oto w płuca dech głęboki, bo aż ręce na piersiach skrzyżował:

„Ćwierćwiecze zaledwie, połowę może tylko lichego życia mego, oddałem wrotom twoim - opoko rzeczy wiecznych !...” „Mhm!... Mhm!...” - zachrzakał tamten drugi w nagłym znów niepokoju. I zatula szyję kirami swymi, jak gdyby ziań gwałtowny powiał nań od kościoła wież.

„Chłodno” - przytwierdza pocziwie gospodarz.

I zamknawszy okno, powrócił z nim do stołu.

„Na wędrownego poety wspomnienie!” - powtarza nalewając czarki.

I piją pod rozdzwon zderzonych pucharów - tym razem jakoś bardziej żałobny.

Hejże! to nasze przebicie się wczoraj! - pogaduje gospodarz. - I e h e u!”

Zwieszał głowę w przypominaniu.

„Fides! - spes! - caritas!... Ledwie ujrzał wczoraj w oberży żywe zjawy tych z dawna marzonych spizów, a zasiekano mi w przebojach miłość i nadzieję. Tak i w doli mojej... W upartych przebojach przez mury zacieśnień grodzkich legła miłość i nadzieja moja. Wiara w życie wyższej piękności i mocy tuż znad kościoła progu odjechała ponoć na księżyc. Tak i w sercu mym kacerskim, które w rojeniach poetów i żonglerów więcej szukało niżli w kościele samym. A w oddaleństwie od ducha powszechności na bezmiłość i beznadzieję skazało się samo!...”

Pogiął mu się kark, po kolana zwisła broda siwa.

„Czas sam chce, byśmy ustąpili innym ludziom - inny stawa się duch powszechności... Hej, zamilkło trubadury pańskie! i ty, goliardzie, któryś owo zmarł! i wy, żonglery, ostatni opowiadacze o Graalu! - pora wam pono ustąpić duchowi grodzian. A i mnie z wami - bo inne już po grodach budują kościoły...”

Gdy sięgnął teraz po dzban, już nic nalać nie zdołał - wysączyli go do dna. Nad pustymi szklenicami pochyłili się obaj.

I uderzył w te głowy wypróżnionych kielichów smęt.

W ciszy, jaka nastąpiła, słycać było pod dachem jakowe chroboty; wnet potem kwik ohydny, tupotliwe uganianie się górą - i nagle plusk jak w wodę opadających gdzieś na izbę szczurów. Rdzawe światło oliwnicy, krzyżujące się w powietrzu z blaskiem dogasających żużli, rozsnuwało jak gdyby w kuźnicy pajęczyny smugi. Chyżo zwijał się snadź po tych niciach tkacz tej przędzy w ciemnościach kątów, gdzieś między szczurami ukrywając swe cielsko pająka - z krzyża białym znakiem na grzbiecie.

Śmierci brat, trudów człecznych grabarz, osnuwał w sinosrebrzyste całuny zaprzepaszczeń wszystkie żywe spiże.

Chodzi mistrz tam i sam pod tym namiotem ciemności, nawisłym nad spichrzową kuźnicą. I z nawyku chyba lub dla myśli samotnych rozpogodzenia dostępuje czasami do dzbana i czar-

ki. A że puste, więc z pomrukiem kroczy znów po izbie. I już z niechęcią spogląda na kamrata tej nocy, który pił, bo pił rzetelnie, ale za poczęstunek nawet nie porozmawiał. Gospodarz już się dosyć było nagadał; niechże teraz gość coś powie. „Niemyś?!”

I rozdrażniony nagle tą larwą na jego gębie, doskoczy doń znienacka, by mu zerwać zasłonę sprzed twarzy. Lecz tamten uchylił się od tej napastliwości; a tak dziwnie łagodnie, tak wiotkim przegięciem się w pasie, tak falistym ruchem ramienia - że gospodarz zmieszał się niespodziewanie.

Człek pijany, choć gburnym się stawa, rozwrażliwione ma bardzo oczy i uszy.

Więc ten gest niespodziany sprawił, że staremu uczyniło się na duszy jakoś delikatnie - kawalersko. Na tapczan prosi. „Miętko!” - powiada klepiąc miejsce wskazywane tuż przy sobie. „Jakie powstanie z miejsca wspaniałe! jakie płynności królewskiego chodu!” - baczy mistrza okiem, na kształty i ruchy zawsze czujnym. I w tym zdumieniu pomrukuje do się:

„Chyba to nie mężczyzna?... Kto ich tam wie - w Misericordii tajnym znaku!... A gdyby tak trafił nastęrczył dzisiaj?... Hm! Lepsze to podczas niżli wino!”

Więc nie dorywa się już gburnie, lecz za rąbek larwy licowej ujmuje.

Przedziwnie miękkie uchylenie się od tej ciekawości; a w tej odmowie tak przekornie wabny i pieściwy gest zgarnianych ku piersiom ramion, tak niespokojny szelestek kirów u stóp, a kolan tak trwożne - uch! - zatulenie się przed raptem, sprawiły, że człek krwisty rozpalił się w okamgnieniu. Wiew kobiecości uderzył mu w nozdrza, zdzielił jak obuchem po łbie nietrzeźwym.

Już ją ma przy piersiach. „Szczupła jednak ogromnie!...” - rozczarował się w pierwszej chwili. Bierz lichu! Schrupie dziś i taką chudiznę, choć pewna, że wolałby pulchniejszą... Ta zaś piekielnicą się widzi - jak to chude zazwyczaj - bo w tym szamotaniu taka smaczna się czyni!... Nie pora mu delektować się obliczem, by najpiękniejszym - nie stara się już odchylić licowej zasłony. Już tylko na wznak ją przeginając podrywa gwałtownie te jej szmatki u kolan.

Ujrzał piszczel i kostkę za łydkę całą, gnat biały za udo i, pustą aż po krzyże, miednicę kości łonowych.

Odrzuciła go groza pod piec. I zatargła własnymi jego rękoma ten łeb nietrzeźwy. Nie ufając swym oczom podbiega do stołu, chwyta w garść lampę, podejmuje ją wysoko. I patrzy spod dłoni.

Na tapczanie leży szkieletem nagim śmierć w postaci własnej - kir stargany osunął się na podłogę.

Pot kroplisty, już po raz drugi tego wieczora, jał mu zalewać czoło. I znów poczerwieniała szyja, posiniały skronie. A żyły tak się wzdeły na nich, że słycać było nieomal w izbie bicie tych pulsów. A gdy mu i garście oto własne rozchyłać się jęły Przed oczyma jakowymś skurczem drgawkowym, sam instynkt rzucił go w stronę okna.

Ona zerwała się wobec tego z tapczana i zbliża się doń.

Widzi przed sobą tylko tę jej czaszkę, w tej chwili ponuro opuszczoną na żebra, a tak śliską na ciemieniu i potylicy, że się odbijał w niej kuźnicowych żuźli blask, czyniąc z niej samej gdyby spiż żywy po nocy.

On już tylko włos wicherzył nad czołem i przysłał dłońią oczy.

A gdy znów spojrział, widzi ciemnię tych oczodołów bez dna i tę ohydę nagich, zębiastych szczęk pod zapadlinami policzkowych kości - co wszystko czyniło wyraz tak gorzko uragliczym: „Czego ci żal w życiu?!...”

Zadumał się jakby nad jej pytaniem niemym. A ramię wyciąga po niewoli w stronę kuźnicy. Aż z głębi piersi chyba wydarte zatkanie wstrząsnęło nim nagle:

„Świecznika przed ołtarz nie dokończę kościołowi!...”

I widzieli stróża a zbiry z ulicy, jak przy otwartym oknie wykusza pada oto na klęczki chłopisko to olbrzymie, jak wtula twarz i brodę w jej kolana - jak szłocha całym ciałem u nóg pani Śmierci.

Ona to chyba podjęła go z klęczek i usadowiła przy stole, na swoim już teraz krześle: sama gospodarzy w tej chwili. Oto dzban, już wysączony, za jej ręki dotknięciem napelnia się winem po wręby. A że mistrz zamilkł, przemówiła teraz ona.

„Byś się nie bał! - powiada nalewając mu szklenicę. - Zuch! - Zderza i rozdzwania puchary. - Z jakimżeś ty diabłem pakt zawarł za cenę własnego życia oddanego spiżom?... Choćbym ci przedłużyła dni twoje, wiem: strawisz je wszystkie w utrudzeniu samotnym - nad tym owo Drzewem Życia, za resztę własnego żywota. Po coc to, człecze?... Pij! Zuch!... I odłóż się to serce na życie i ludzi, ku najsmutniejszej dla się doli, w czynieniu dzieł nad życia miarę i kres. Takeś się to do mnie wciąż palił, wieczności opętańcze! Do mnie!”

Poklepie go po twarzy kostkami długiej ręki, a pod stołem aż zawierzga z radości, zatupoce chrzestnymi stopami.

Cha! cha! do mnie! Choć pewnie wolałeś bardziej otyłe? Tylko że ja nawiedzałam cię często w samotności twojej, a te pulchniejsze panie ze świata rzadko kiedy zaglądały do ciebie. A tyś ich szukać nie raczył - z wierności dla mnie. Cha! cha! - dla mnie! - (Jęła znów wierzgać jurnie pod stołem.) - Oto maszże mnie wreszcie całą, masz!... Prawda, już się tam, na tapczanie, sam wprzód dobierał do wdzięków wytęsknionej. Dam ci, dam pieśczoły moje wszystkie, rycerzu ty mój tęskliwy!”

I w pochrzęstnych skokach a zagrzechotaniu kości wszystkich rzuca mu się na szyję, wtula na kolana i w piersi.

A odrętwiałego grozą chce widocznie upieścić oto, zagrzać ku sobie najłechotliwszym powabem swoim. Bo tą jedwabistą śliskością ciemienia a potylicy głaszcze mu policzki, pod wargi mu podsuwa czaszkę swoją.

W trupim tchnieniu tych kości, tuż u twarzy, odrazie samej na wspak działał się czar: z dna serca wyrwała się wspomnień zwidem - jakowaś głowina złoto-falista w rozkwieconego sadu promieniach - zuchowate czoło radości dziewczęcej - zatulonych rzęs łzawa nagle rosiłość - rąk opałowych jabłonkowe u skroni zapachnienie - żar, który wargami dziewczyny w policzki mu uderzał jak nasłonecznionego okwiatu osypem - i usta własne, wtulone w różę chyba... gdy dwa nagle serca zabiły mu w piersiach!

Stara tymczasem odgadując zazdrośnie te wspominki jego, powiada głucho:

„Przed wami to, minionych złud, minionych śnień bezpowrotne chwile, przed wami, miłośnice zazdrosne - zatańczy tu dziś ze mną kochanek mój!... Patrz, dokończony już dzban i tej uludy ostatecznej, jaka jest w kielichu samotnych. Jeszcze kropel kilka... Pij! Zuch!... Może dopijesz się wreszcie tej prawdy człeczego istnienia, jaka jest w kroplach ostatnich: nigdy już! - nie powtórzy się nic! - nawet sen o szczęściu już się nie przyśni!...”

Z chciwością opoja wysączył te krople nikłe z dna kielicha: wziewał piersią już tylko woń puchara - za ostatnie tchnienie życiowych wspomnień.

I trzasnął mu w tejże chwili puchar w dłoni, aż z okrwawionej wraz garści wytrząsać musiał kryształ szczyby. Tym ci większym zuchem zgłasza śmierci swą gotowość: i na tę dumę stać winno człeka! Grabi palcami długą po pas brodę, wąsa podkręca, w bok się ujmuje:

„No, Kostusiu! podajże mi rączkę na ten taniec twój.”

Ona tymczasem przeciąga się w ramionach jak ten siłacz ocknięty. A wytrzaskawszy z przegubów ociężałości wszystkie, spręży nagle gnaty, piętą skrzese przed sobą ochotę, przy tupnie kostkami stopy... I zaklaska w grzechotki rąk.

Rozhulałeś we mnie ducha:

hej! zatańczy dziś Kostucha!

Na śmiertelną płasawicę

ksienię z kurwą razem chwycę,

zrównam pany i żebraki:

każdy skoczek mi jednaki,

żwawe wszystkie taneczniki:

opat, prior, kanoniki!...

Nie dbam o godności czyje:

raz się żyje!... raz się żyje!...

I śmierć w szale rozpustnicy rzuca się przed jego oczyma w dzikiego szału płas. A chrzęści, grzechoce i zgrzyta wszystkimi kośćmi szkieletu... Nagle po” chwyci szklenicę ze stołu, przewęzi ją jednym zaciskiem - w klepsydrę wewnątrz sypką. I z tym roztruchaniem w sprężonym ramieniu chwyta wreszcie mistrza w pół - zakręci, zawiruje nim w koło - świszcząc i przyśpiewując tą szczęką zębatą:

A kto do dna wypił dzban,

komu puchar w ręku trzasł,

patrz, jak płasza pod mój tan:

raz się żyje!... tylko raz!...

Wypuszczony nagle z jej ramion, rozpędem śmigi potoczył się pod piec i osunął na ławę. Po chwili już się ślania; poczerwieniała mu znów grdyka, spęczniały skronie. Lecz tym razem już nie trwoga, a dziwna gorzkość wykrzywiła mu wargi. Co widząc, ona doskoczy doń - z tym drapieżnym wyszczerzeniem szczęk, jak owo u tej pół-kobiety, pół-tygryscy na żywym spiżu opodal. „Moje ty kochanisko najwierniejsze!...”

I pocałowała go w te wargi gorzkie.

Głową w dół runął całym ciałem na ziemię. A powalony na wznak, zasiepał rękoma, zatupał jak koń. Chłopisko było mocne, bo oto głowę raz jeszcze podjął, na łokciu ją wsparł. I wystawił oblicze potwornej sinicy: za pocałunkiem onym już się snadź rozpękiwały pod skórą kruche żyły pijaka. „Ratujcie!” - zabełkotał w nim, duszy już chyba samej na wspak, ślepy instynkt życia, jakby wzywał na ratunek bliskich jakowychś, których koło niego nigdy nie bywało. Poczekawszy tedy daremnie, opadł znowu.

Okrutny, gardłowy stek jak w rzeźni wypełnił izbę całą.

Spod pieca wymknęły się nagle szczury i przewijając się koło tego ciała, migwały zaledwie futerkiem swym skrętnym i ogonem łysym. Najśmielszy z nich wdrapawszy się na but, wystawił wreszcie ryj węszący. I aż nosek zmarszczył pod lubym tchnieniem rozkładu. A dziwi się czarnymi perełkami oczu, że palce mistrza - i w tej jeszcze chwili! - lepią jakby w glinie kształty jakoweś; to znów podrywa się ręka niby z młotem w garści: gdy ciało już gnić po-

czyna, utrudzą się jeszcze dusza tworzeniem - szczerom na żer, pająkom na osnucie. A tworząc wciąż, boryka się z ciała ostateczną bezsiłą: raz po raz tężcowo przeginał mu się grzbiet. Nagle głuche stuknięcie głową w tył: „Chryste, w ręce Twoje!...” Miętko plusnęły dłonie o podłogę. Już cisza. Exitus.

Wówczas śmierć - widzieli stróże i zbiry - opuściła chyłkiem dom jego.

* * *

Gdyby dwa dziecięty garbate rysują się w mroku krypty postaci dwóch mnichów zakapturzonych, kujących w wieko trumny. Z gwoźdźmi na podręczu - w zębach - świstliwie pogadują ze sobą bracia. Złe są mnichy w tej chwili. Za igłę, której się spodziewali, owo jakie rzemiosło grabarskie sprawować im kazano po nocy. I to dla kogo?!... Tyle bo o goliardach wiedzieli zakonniki, że klerki to najbardziej zuchwałe, wynoszące się nad stan duchowny, wierszami pyszne, nauką dufne i gardzące mnichami.

Puka któryś z nich młotem w trumnę, tuż nad głową goliarda, jak gdyby budził uspiętego snem wiecznym. I powiada:

„Spokorniałeś, bracie?! Poczekasz w tej pokorności na Sąd Ostateczny!... „A wtedy już wam nie pomoże, klerki, Aristotelesa logika. Ani Wenus z synem swoim, ani Zeus wasz z piorunami w dłoni, ani Platon, szaleniec, z żakami swymi!” Tak pisze Hieronim święty.”

„Nie pomogą!” - zamruczą mnichy, przerwawszy swe pacierze.

„Chocia oni wszyscy zjawią się wtedy, zmartwychwstali, by pospołu z najpotężniejszymi królami świata drzeć przed Sądu chwilą. „Ty jedynie - powiada święty - będziesz się wtedy radował, człeczko ubogi i prosta czy! Ty jedynie będziesz się wtedy śmiał i wołał: Oto Ukrzyżowany nasz... który niegdyś w pieluszkach, krzykiem dziecka wypełniał stajenkę prostacza! Oto Syn prostego rzemieślnika i kobiety, która z pracy rąk swoich żyła - a dziś sędzią świata! - czarodziej! - szatanów pogromca!”... Tak pisze Hieronim.”

Wynurzony zniemacka zza ciemnych kolumn krypty, stanął nad mnichami przeor z latarnią wzniesioną,

„Franciszkany!...” - usłyszą nad sobą słowo głuche.

Odezwały się znów pomruki pacierza, uderzyły młoty w trumnę.

A przeor załamując ręce przed sobą, oddalał się w kolumnowe mroki.

„Z jasnych promieni Twego ducha, Franciszku, owo co pozostało w sercach Twoich „maluczkich”! - odwieczna tkliwość pieluszkowa i stajenkowa dla Bożego Syna. A pod nią głucha, mroczna pomstliwość prostaków... Oni to uzacnią świat, rozmnożą wiarę, rozszerzą serca człeczko, lepsze życie zgotują i na ziemi: Laici fructuosi sunt! - powtarza za Antonim Padewskim wszystko to prostactwo, dla się tkliwe, dla oświeconych pomstliwe. My to, klerki, kazimy serca - bodaj i przeory, biskupy, papieże nawet! - my krzywdzimy świat, a poniżamy prostotliwe... Zaiste, głęboko wejrzeć musiał w serca maluczkich on człek, który na grobie swoim w kościele Wormacji te słowa wyryć sobie kazał:

Rychlej morze wypite a demon pod gwiazdy wywyższony będzie,
Niżli oświecony przyjaźń prostaka posiędzie.”

Przysiadł przeor w głębi krypty u grobowej ściany, by w świetle latarni wyciągnąć z zanzadza jakoweś karty, dobyte niedawno ze skrzyni. „Znam! Znam!” - powiadał dziś jeszcze niedbale o tych strzępach goliardowej *Apokalipsy*, błakającej się w odpisach wśród oświetlonych. Śmierć, osłoniwszy powagą i te strzępy, każe mu teraz odczytywać niecierpliwie one wędrowania goliarda z Pitagorem po piekle i czyścicu.

Czyta tedy na traf:

Za dymu siarkowego chmurą ujrzałem czarny korowód postaci mniszych, wlokący się ponuro. I usłyszałem, jak okrzyknął się chórem siedmiokrotnym:

„Panie!... Panie!...” Zadrzałem na to wołanie straszliwe. I opuściły mnie czucia wszystkie, gdy się łamała pieczęć siódma...”

Wypadły przeorowi z rąk te karty.

Ileżes ty, człecz, przemarnotrawił ducha w waganctwie! Bo oto i w tym miejscu urywa się rzecz twoja... I nie wiadomo: one mnichy czarne - nie dominikanyż to czasem? za ogniami zapalonych przez się stosów? i siarkowym dymem onych piekieł, którymi zastraszą świat?... Ów zaś ich krzyk okrutny, który ciebie z nóg zwałił - nie wzywaniem to było Boga mściciela na dominikańskich stosów zapalenie po świecie?!... Możeś ty, bracie poeto, doznał w one j chwili widzenia wróżebnego? Może za ona siódmą pieczęcią tajemnicy ujrzałeś przeznaczenie wszystkich jasnych dążeń z ducha: zwycięstwo ponurości w sercach człecznych i okrutną nad duchem przemoc prostactwa?!...

A na zwiastowanie Ewangelii wiecznej długo przyjdzie czekać człowieczeństwu! - powracał uparcie do swych obliczeń niedawnych w celi.

I szeptała doń melancholia przypomnieniem tej dziwnej opowieści z jakowychś ksiąg kacer-skich:

„Niecierpliwił się w niebie Duch Święty przed innymi osobami Trójcy, kiedyż mu nareszcie zstąpić na ziemię, wedle pragnienia apostołów i obietnicy Chrystusa. Pokazał mu na to Zbawiciel ranę boku swego i znaki po koronie cierniowej. „Heu mihi! - westchnął Duch Święty - lecz wiem teraz, co mi czynić: zjawię się w postaci takiej, której tknąć nie śmia.” - Rozłożył mu na to Zbawiciel przed oczyma swe dłonie przebite...”

Czarne skrzydła melancholii wygarnęły się z kostnicowej ściany i objęły starca po raz wtóry. Otaczał go tymczasem las kolumn niskich i te dołem ścielące się blaski od ołtarza - gdyby błędne ścieżyny światła przez życia pomroki, aż po grobów niemą ścianę. Woń popiołów z szuflad stalli, kapturów mniszych warta nad zmarłym, białe karty brewiarza w czyichś dłoniach, odczytywanego pacierza pomruki i te kucia młotów w wieko trumny. Znad ołtarza wychylają się ku niej - pogrożą raczej niżli błogosławieństwem - te przydługie palce bizanc-kiej Bogarodzicy.

Sądu Ostatecznego przedsięnią zdawała się krypta klasztorna.

Joculatory tymczasem, z pokornego po grodach nawyku, nie śmieli wykraczać z przedsięni kościoła. Kilku z nich przekradło się jednak do organów, by tłumionymi akordy poddać towarzysom pienia żałobne. W goliardową pieśń uderzyli igrce, a tak żarliwie, że rybałt, w śpiewaniu przodowny, wysunął się po niewoli na środek kościoła - z zamkniętymi nieomal oczyma i szyją wyciągniętą - jak ten ptak rozśpiewany:

Te Verbum incarnatum

clamant fides, spes, caritas!

[.....]

Nad prochami poety **Ucieleśnionemu Słowu** skarżyła się w pieśni - wiara, nadzieja i miłość. Gdy organów tony wyciągnęły ich z kruchty na środek kościoła, zapomnieli wraz igrce o pokorze swej sprzed chwili. I po odśpiewaniu modłów tak się rozwałęśli po nawach wszystkich, takim gwarem wypełnili cisze zakonne, że przeor ocknąć się musiał z zadumy w przypomnieniu obowiązków gospodarza.

„Który z braci - obwoływał - spowiadać ich tu zechce, niech się ku temu przysposobi pacierzem...

W piekarni zasię posiłek dla tych ludzi narządzić... A sztuk mi żadnych - hej tam, igrce! - ani opowiadania romansów przed mnichami po kątach nie wszczynać! Bo nie rozgrzeszę. A jeść nie dam.”

I wstąpił między te postaci pstrokate, obcałowywany wraz przez nich po dłoniach i rękawach. Nad goliarda końcem użalali się przed nim, oczywiście, od pierwszego słowa. Żaki winili w tym lekarza, który mu wczoraj w gospodzie krew puszczał, choć był to dzień świętego Floriana, niedobry na krwi puszczenie. „A lekarz wiedzieć o tym powinien... Nieuk!”

Wczoraj na rękach przez nich obnoszony doctor miraculosus et admirabilis poniewierany był teraz bez miary w kłótliwych gawędach żaków. (Biada temu, kto stoi o żaków chwałbę i porwy!)

Przeor wiedział snadź o tym coś niecoś, bo z uśmiechem pobłażania przytakuje niedbale ich słowom. Wiedział ponoć, że dobry i zły porywają zarówno te dusze - acz obaj nie na długo. Wiedział, że niechby Judasz sam, ze swym postronkiem na szyi, z grobu wstał i siarczyście im przypochlebił, pójdą za nim i w piekło. Daremnie byś wtedy im przekładał: „Żaki, Judaszże to: Pana Boga sprzedał!” „Nie możeż to być - odpowiedzą - by człowiek o tak pięknej wymowie...” - Z czasem, gdy doń ostygną, raczą przyznać niedbale: „Pewnie tak było, jak powiadałeś.” Ale sprzedał czy nie sprzedał, to ich, żaków, teraz już nic nie obchodzi. Gdzie te czasy! gdzie te kalwarie! Życie naprzód pędzi. A żakom pilno w życiu.

Najtrudniejsza to na świecie sprawa i nie lada pasterza rzecz pasać trzody takie. Niestatek szukania ważniejszy im zawsze będzie nad wszystko, co się statkiem zdobyć daje. Ów kur świtów wszystkich - młodość - ma jednak osobliwy zmysł przeczuć duchowych, acz pogrążony w niewiedzy i zamętach życia stadnego.

Więc mimo wszystko czuł przeor słabość do żaków Oto raz po raz kładzie rękę na jedną z tych głów rozgadanych, jak gdyby rzec chciał: „Ucisze się w sobie, sięgnij w przeczuć twych milczenie!”

A gdy nie przestawali się uskarżać nad stratą goliarda, przerwał im wreszcie:

„Nie przystoi młodości być płaczką nad grobami osobliwie, że w każdej żałobie, nawet waszej, będzie zawsze więcej wewnętrznego swaru niżli łez. Zaś te utyski wasze, że właśnie tymi dniami tyłu z was skończyło z przyczyn wszelakich...? Nie baczą na to nigdy ludzie, acz przytrafia się to, że nie wedle ciał starości śmierć kosi, lecz wedle ducha, który już się postarzał. Może u Muz minęło właśnie jakoweś lat 30: przeżyło się jedno pokolenie z Ducha... Nie wam, przedsię, żaki, lecz dla was. Dla was! zrozum każdy. I korność przed tym miej. Zmarłe wprowadzają cię we wrota życia.”

Żak niejeden rozelzawił się w tej chwili, bo słyszało się to nieomal, jak gdyby przeor ofiarowywał i życie, i serce swe stare - młodości ducha i nadziei nowej.

Ze przeor „jest mądry!”, murem pewności stanęło natychmiast w sercach młodych. (Najmądrzejszy dla nich zawsze ten, kto ich rozrzewni i przypochlebi im zarazem.) Więc już ani na

krok nie odstępowali od niego. Gdziekolwiek przeor się ruszy, oni trzodą całą za nim - jak to żaki!

Igrce tymczasem już się pokłócili ze sobą, w którą stronę nazajutrz wyruszyć, do jakiego miasta dążyć. Niejeden tak się przy swoim upierał, że innych, którzy z nim iść nie chcieli, do diabła odsyłał. Wywiązała się z tego zwykła sprzeczka: która sztuka Bogu i ludziom milsza, a która tymi czasy całkiem już niepotrzebna. Że zaś zbrakło między nimi goliarda, który, choć z pustym mieszkim, respekt wzbudzał wśród towarzyszy - więc oto zarobków grodzkich miarą oceniano teraz sztuk ważność. A nie tylko przodownik ubył im, lecz i ta „królowa cygaństwa” a matka beztroski: skoczka, pełna zawsze pogardy dla każdego grosza, którego nie przepito, nie przebawiono gdzieś na świecie. Gdy zaś gromadzie jakiej ubędzie onego respektu przed czymkolwiek, co się zyskiem nie wypłaca w życiu, gdy wystygnie i on zapął, który się żywi beztroską wszystkich - wonczas samolubstwo przezorne wypęła z każdego serca. Tak się rozbijają gromady wszelkie - osobliwie te, które skojarzył duch czasów.

Więc wzdychając po goliardzie, użalał się każdy właściwie nad samym sobą. Spochmurniał nawet gadkarz, wyskarżając się ludziom, że nad sztukę gadkarską woła dziś mieszczyzny grodzkich ucieszników urągliwe wyskoki przed cudzymi oknami; że od najpiękniejszych gadek ze świata ciekawsze im zawsze najbliższych sąsiadów sprawy i dole; że na nich to, na sąsiadów, gadki układać proszą - a i szczerymi być obiecują.

„Przyjdzie na te ciężkie czasy imać się tego rzemiosła; żonkę i bachory tu sprowadzić i osiąść w tym mieście jako magister sedentarius.”

„Nie ma to jak sztuka opowiadania romansów! - powiadają inni. - Dość spojrzeć na dumne szaty panów żonglerów. Rychło patrzeć, jak taki rumaka dostanie i samopas w świat ruszy, chętnie spoglądając na dobrych niegdyś kompanów Muzy pedestris.”

„Nie drażnić bestii!...” - rozległ się w tej chwili głos niedźwiednika sprzed kościoła.

Ten bo nawet progu kościelnego przekroczyć nie mógł, największy zawsze niewolnik sztuki swojej. Tymczasem oganiał swego zwierza jak od much od pustoty rybałek. Goliarda pożalował było pacierzem, jako chrześcijanin, bo nie jako towarzysz: miał z nim porachunki zazdrości o skoczkę; a teraz i za śmierć jej winić go musiał. Tam oto, za fosę i wał klasztornej granicy, rwało się przygnębienie jego. Wyprosiwszy wreszcie od mnichów łopatę i latarnię, ruszył wraz z niedźwiedziem, by pogrześć te resztę, jaka z niej pozostała - dla nikogo już teraz.

A przedzierając się wraz ze zwierzem przez ciernie na wale, wspominał jej chwile ostatnie, na które nadbiegł jeszcze z towarzyszami. Goliard już nie żył było, a przecie głową tak się jeszcze rozpacznie do jej piersi tulił, że ona, nieprzytomna już całkiem, głaszcze go wciąż jeszcze po włosach i powiada cicho:

„Żeście mi dziecka nie dali, jeszcze mi wam i matkować...”

To było jej słowo ostatnie - za kobiecego życia pieczęć na ustach.

Przedarł się wreszcie niedźwiednik przez te ciernie. W ponurych ciemnościach wśród ruin, błyskiem latarni nagle objęte, leżało - żywym kamieniem, rzekniesz, na wyzwanie - skoczki ciało nagie.

I w czarodziejskim jakby okolu tego światła na złym miejscu za klasztoru granicą święcić się począł tej nocy - żądz sabat wtóry. Wzgardzony za życia kochanek pełza oto na klęczkach wokół tego ciała i całuje bez pamięci jej włosy, usta, kolana i stopy.

Aż niedźwiedź niuchem poczuwszy trupa, począł trącać swego pana: „Spójrz, co czynisz!...”

A gdy w swej trosce nazbyt natarczywy się stał i kadłubem owo całym odpychać go począł, oba kułaki pana bić go jeły po łbie.

„Przez ciebie to, bestio okrutna, od której ani na krok w życiu oddalić się nie mogłem! Przez ciebie, krwio pijco mój!... Jakże mi było o kobiecie łaski zabiegać - z tobą, upiorze?!... Każdy był przede mną zalotnik ruchliwszy i rywal szczęśliwy! Dawno by ona moją była, gdybym ja od cię wolny był!”

Niedźwiedź obity przylegał jak pies, pysk na łapach położył, nos w ziemię wbił. I u kopanej oto mogiły zdał się rozmyślać nad tym, że w onym dole, zasypane piargiem, w marmuru biel zastygnie z czasem nimfy ciało doskonałe.

Śpieszy przeor przez środkową nawę - żaki za nim - i już ma zstąpić do krypty, gdy spod ramienia wywinął mu się przed oczy wagant któryś.

„Mistrz kamieni żywych!” - przedstawia się i zaleca swe usługi.

„Witaj, mistrzu!... Wiem - za śmiercią ludzi drogich lub cennych następuje w ślad sztuka wasza. Ale nie u nas, franciszkanów.”

Nie zrażony tym, jał mu mistrz wyklądać, jakby to on, u ściany kruchty bodaj, zdziałał goliardowi nagrobek. W podłuż by go postacią ułożył, niby na kamieniu przydrożnym wsparłby głowę jego, stopy zaś nie o lewka jak u panów, lecz o księgę, na znak, że człek oświecony spoczął tu na wieki. Za tarczę i miecz - gęśle i smyczek by mu dał, by ludzie rozumieli, że poeta tu leży. I choć nie w zbroję, lecz w płaszcz i kaptur klerka przyodzieje go, wszystko inne - w każdym szczególe - działa jak na grobowcu wędrownego rycerza. Tak mu zbodzie, zhaczy stopy długie, taką mu osmętnicę da w pierś, ulgą pod brzemieniem zadumy, tak mu osępi, skobuzi lico pod kapturem, na sumienia frasobliwość wielką. Dziwi, się przeor, ale potakuje. „Widzę! - rzecze. - Jużeś to wszystko zdziałał ustami, już tu ręka mistrza nic ponoć nie doda... Nakazuję wciąż memu bratu Łukaszowi milczenie w mowie innej nad pędzle i farby, aby tym wymowniejszą stała się przed Bogiem tamta jego mowa. Ty, baczę, nie otwierasz okna milczenia dla onej gołębiczy, która w czas pracy najchętniej nas nawiedza... Bowiem nie ty, mistrzu, lecz Duch żywymi czyni i kamienie... Obawiam się bardzo, zali dokonywane bywają zamierzenia twoje.” Cmoknął mistrz przeora w łokieć niby w podzięce za duchowne pouczenie, a właściwie po to, by mu przeor gadać nie przeszkadzał.

Gadał tedy dalej, wywodząc gorączkowo: jak to on zamierza - jak uczyni - co to z tego będzie... W racjach i kausach bardzo wymownych tłumaczy, jaka to w ogóle powinna być ekspresja żywych kamieni.

Dziwi się przeor bardzo, ale potakuje wciąż Wreszcie przerywa mu:

„Czynienie w milczeniu jest powagą rzemieślników Bożych. Takimi byli budowce onego tumu w grodzie: zawzięci w milczącym przykrawaniu ciosu i kamieni, od grubych głazów na podwalinę, po najlotniejszą strzelistość wież. I nie doczekawszy się nawet dokonania dzieła obliczonego na trud pokoleń kilku, schodzili w grób po dwakroć bezimienni - bo za życia i po śmierci - jako my, franciszkany... Tedy i goliard nie będzie miał nagrobka w kościele moim: raz, że ty go w ogóle nie zdziałasz, po wtóre że przeciwi się to regule naszej. Vale.”

„A marmuru tyle poniewiera się za wałem klasztoru!” - sarkał mistrz.

Idzie przeor dalej - żaki za nim - gdy z ciemnej nawy występuje ku nim brat Łukasz, cały schowany w kapturze i sam jak ta zmora ciemności. Ujął przeor chorego za rękę i prowadzi między żaki, jak gdyby go z nimi zaprzyjaźnić chciał.

„Oto mój najcichszy - powiada - mój najbardziej milczący! I nieustannie w sobie pracujący - w lęku wątpliwości ciągłych... Przydajcie mu, żaki, nieco własnej lekkomyślności, obudźcie w nim wasze młode władze radości i śmiechu - beati ridentes!”

I objawszy go wpół przed oczyma żaków, błaga ich nieomal:

„Zleczcie mi go, chłopcy, bo starość moja bezradna jest przed acedią duszy młodej. Jeśli cieniem samego siebie ma się wałęsać po klasztorze, raczej tańczyć mi go nauczcie. Bo tańczyć brat Łukasz (widziałem) nie umie wcale.”

Zapalił wraz żaków ten apel do ich władz dusznych - już okrążają mnicha.

Lecz on nachylił się tymczasem przeorowi do ucha i szeptem coś tajemniczego, wskazując poza się - w ciemności za ołtarzem.

„Zwidy to i zmory, bracie - przerywa mu ojciec. Z żądź zatajonych rodzą się one wszystkie.”

Opadły przeora żaki w gwałtownym rozciekawieniu: co też się mnichowi zwiduje po ciemnościach?

„Powiada, że na fletni mu wciąż przygrywa w uszach, a podczas i wyskakuje przed niego - płasający na kopytkach swoich.”

„Faunus! - odgadują żaki radośnie. - Pan!” „Ci!...” - zgromić ich musiał przeor za takie uradowanie się w kościele.

„Że zwid, wiadomo - tłumaczył za wszystkich żak najroztropniejszy. - Aleć i taki bodaj nawet - nie z piekła on rodem. Bowiem święty Antoni wywiódł ich z ciemności pogaństwa; sami się o to doń zgłosili na pustyni egipskiej.”

Powtarzał żak akuratnie to, co dzień przedtem usłyszał było w gospodzie od goliarda. Ale po rozważeniu dodaje ku temu racje już własne:

„Za radosnością ciągnęło ich naturę zawsze. Aż ich dowiodła ta tęsknota do nowiny najradosniejszej, jaka kiedykolwiek była: do betlejemskiej!”

Tu przeor zagarnął oburącz głowę żaka i wycałował policzki jego świeże.

„Dobrześ to rzekł, bracie żaczku! Sam brat Leon, najpogodniejszy przyjaciel Franciszka, nie powiedziała by lepiej.”

Mnich tymczasem szeptem dalej przeorowi na ucho, że na nic teraz i klasztorowi pacierze jego, że między trędowatych mu teraz iść, ich rany omywać, wszy z ich łachmanów wygarniać: dobroczynność sprawować.

Smętnie kiwa przeor głową na to:

„I taką bywa ostatnia ucieczka nierządneho smutku! A w misericordię dla się rade by zamienić wszystką serc szczodroblliwość - corda miserorum.” Tu żak roztropany aż ręce w zdumieniu załamał. „I franciszkanin taką rzecz powiada?! Tak miłość dla ludzi poniża?” Przeor poklepał go tylko dłonią po czubie.

„Jak to mistrz i po śmierci nawet z ust żaków gada! Słowo w słowo słyszałem to już od niego. Jakbym z goliardem wciąż jeszcze rozmawiał tu, w waszej kompanii.”

Widząc jednak pewne zaniepokojenie sumienia w wejrzeniach młodzieży, dodać musi po chwili:

„Więdnie wszystko, co nie wyrasta z korzenia miłości. Przedsię nie amor, nie misericordia, lecz caritas zwie się miłość nasza. Tu zaś - wskazał w dół, jakby na fundamenty klasztoru - tu posiewem Franciszka najgłębiej w łono ziemi sięgnął ów korzeń. Więc młodym płonkom z niego nie bluszczem czepiać się ziemi, lecz drzewem ku górze wyrastać!”

Zstępuje przeor do krypty - żaki za nim - i zatrzymawszy się nad trumną goliarda, uprzedza żaków zasapanie nagle:

„Nie masz smutku w śmierci! Żywię goliard w was każdym swym słowem - słyszałem przed chwilą.” „Żywie!” - przytakują smętnie. „Wodzi was i teraz jeszcze. I tu owo przywiódł was wszakże - już po skonie.”

„Przywiódł!” - potwierdzają żałośnie. Zasiadł przeor w stali opodal i spod oka przypatruje się tym żakom wędrownym, którzy wedle ducha wszakże chadzają po świecie. „Nie smućcie się, chłopcy!”

I przypomniawszy sobie coś ze swych medytacji dzisiejszych w celi, na skrzyni - poczyną myśleć głośno przed żakami:

„Gdyby brat Łukasz nie zawiódł mnie było dzisiaj, za ostatni rozdział księgi naszej o błędnym rycerstwie dalibyśmy o błędności waganctwa wszelkiego zaświadczenie w prawdzie: jak to nie na kresach świata, nie na zamkach-niewidach zrojeń, lecz u progu nieomal, w pierwszej samotni za grodem znalazł Franciszek Graala! - na starcie smutków z oblicza ziemi, na odnowienie serc wszystkich. ...I napisalibyśmy z bratem Łukaszem na sam koniec, jak to nam, franciszkanom, rozmnożył Święty w klasztorach swoich on znaleziony zamek graalowego cudu!”

Tu, czarem jakby nagle odmłodzony, porwie się przeor z ławy. I okrzyknie w rozpromienieniu oczu:

„Cieszcie się, żaki! wy jesteście na Monsalwacie!... Tu mury same dyszą wiarą Abrahama, nadzieją proroków i miłością Zbawiciela naszego! Tu odnowicie w piersiach waszych tę nowinę najradośniejszą, jaka kiedykolwiek była: nowinę chrześcijan! A spragnione usta wędrowników przyłożycie do onej czary, która rozjaśni wam w duszach świat cały - do żywego serca Franciszka!”

I nad ona trumną czarną z gęsią u wezłowania wyciąga ku żakom ramiona.

„Wy jesteście na Monsalwacie! A chociaż niedługo mi tu, wiem, pozostaniecie, choć was nie przyoblekę w habity nowicjatu, jednak tercjarzami Zakonu Ducha czynię was błogosławieństwem moim... Gdziekolwiek Ducha sprawę jaką podejmiecie młodego serca żarem - ku temu, aby się starły smutki z oblicza ziemi i odnowiły serca człeczce - tam graalową służbę pełnić będziecie!”

Tak żaki wędrowne, za pośmiertnym przewodem poety, znaleźli Graala.

* * *

Ta jest powieść o duszach tułających i o ducha człeczego wiecznym nieukoju in figmentis rzeczy dalekich wam tu wiernie opowiedziana. Sobie i wam wiernie. A i w czwórton, jaki gęśle poddały: w trubadurski, żonglerów, goliardowy i mniszy ton, by kamieniom wschodów człecznych nadać czasów życie i kolory.

Za żywe kamienie postawiłem wam - błędnych rycerzy, wędrownych igrców, klerków i żaków oraz wędrowników wedle ducha.

Pomnę... jeszcze głową do szyb okiennych wonce nie sięgał, gdy na podwórze zaszli raz waganctwa. Szalone „Bacche!” brzmiało nieomal w hałasie moim na dom cały. I z oczyma dziecka u szyby, widziałem... Tak cudnie było, że opowiedzieć tego nie potrafię dziś wcale: zbrakło może w duszy tych najświeższych kolorów radości pierwszych. Może kto z was widział ich również za młodu?... Ten przypomni może wraz ze mną, że ani skoczki już między nimi nie było, ani gędźca lub śpiewaka, ani żonglera ku opowiadaniu romansów, ani poety z gęsią... Więc smętnie dziś ogarnia nad tym, że od czasu śmierci goliarda tak się owo rozbiła, rozproszyła familia cała.

Ta już tylko uboga gromadka kuglców, z siłaczem i symfonistą, włóczy się po świecie. Daj im Boże zarabiać igrą na chleb powszedni!

My zaś, towarzysze Muzy - którzyśmy dawniej razem z tamtymi po świecie chadzali, a dziś w odosobnieniu nieufnym ślęczymy, każdy po izbach ciasnych, by lucrare scribendo panem nostrum - czym my lepsi dziś od tamtych poprzedników naszych? czym godniejsi przed ludźmi?... Goliard, mimo licznych grzechów, był przed ludźmi człkiem po stokroć wolniejszym niżli my dzisiaj, skoro najbardziej respektowanym osobom w mieście odważył się powiedzieć na rynku, że są wobec Muz rudes et idiotae. Wprawdzie zastawili go sobą towarzysze, obronił rycerz. Za nami nie ujmie się na pewno towarzysz żaden, nie wstąpi w szranki żaden rycerz błędny. Toteż i wolności ducha naszego nie takie dziś wolne, i szyje nie takie zuchwałe. A spragnione usta wędrowników do innej przykładamy dziś czary: niepokój piersi tułających koimy najskuteczniej u pierwszej strugi powodzenia... Bo czyż budzą się w nas one ducha troski a nieukoje, wzywające wciąż do nowego szukania szukaniem? Hej! ledwie za żakowskich i waganczkich lat, gdy nas wodził po świecie zwid rycerzy błędnych na księżycu! zanim te mieszczańcórzy, a potem żonka i bachory, te baldachy i pierzyny ludzi osiadłych nie nauczyły... respektowania respektowanych i pomiatania tym wszystkim, co się w grze życia nie wygrywa kartą. Daj Boże i w tym grodów smutku zarabiać Mużą na chleb i szacunek powszedni!

Wy zasię, Muzy Terpsychory, panie dzisiejsze, nie pogńiewajcie się za waszą przodownicę przed wiekami: za skoczkę płasającą po rynku grodzkim. I przez wzgląd bodaj na te brylanty dziś wasze darujcie jej oną suknię z nędzy, tę jej rozpustę, nieopatrznie lada jaką - w której i największe podonczas ladacznice zachowywały coś z dziecka, nimfy i matki zarazem: ową niestępią wrażliwość kobiety! Onaż to czyniła nieraz i z takiej nawet - królowę cygaństwa, ślepa żurawicę ziemskiego piękna na czele igrców sztuk wszystkich, po gościńcach swobody i beztroski!

A wy, żaki dzisiejsze, z paznokciami poobgryzаныmi od pilnego czytania ksiąg: którzy wedle ducha przede wszystkim szukacie, by najgórniejszym lotem zerwać się do życia... nunquam permanentes! Nie znajdę dla was w sercu lepszego życzenia nad ten żurawiany krzyk zapomnianego Arcypoety. Nie znajdę ponoć i bardziej płonego: osiadzicie rychło i wy - osiadłością wedle ciała i ducha.

Warn zaś, słuchacze miłościwi, wyznam i tę ostatnią tajemnicę kacerstwa w rzeczach Ewangelii wiecznej.

Omylił się przeor we wróżbnych obliczeniach swoich. Pokolenie Chrystusa i apostołów jako siewne liczone być nie powinno: ziarno dojrzewało w następnym, osobliwie od czasu nawrócenia Pawła. Tedy do wróżbnego roku 1890 jeszcze jedno pokolenie z ducha: czyli lat 30, dodać by wonczas należało. Dziś zasię uczynić w tym i drugą poprawkę niewielką, licząc od onego czasu, gdy papież Grzegorz dobył nas z omylności Cezarowego kalendarza...

Zatem Ducha królestwo na ziemi: rządy najwolniejszych i najbardziej oświeconych nad wolnymi i oświeconymi oraz czerpanie z najczystszych źródeł poznania - nastaną...

Obliczcie sami lub, co łatwiej: spytajcie błędnych rycerzy czasów naszych.

Gotyckiego tumu strzelistość podniebna rzuciła gdyby cień przez wieki - tajń dziwnego proctwa na głowy naszego właśnie pokolenia. I wywiodła z kościoła jakby bram, żywe spiże rycerzy błędnych - wiarą w starcie smutków z oblicza ziemi, w odnowienie serc człecznych!

A jeśli i was omylą obliczenia wróżbne, a zawiodą znów rycerzy obietnice - niechże ten ich duch, odradzający się na ziemi wciąż, uzacni nam dążeniem wszelakie dole ludzi osiadłych!...

Może to lepiej nawet będzie, jeśli nie doczekamy się ziszczenia Królestwa Ducha, gdy w zamian pozostanie nam dążenie? Niełacno odnawiają się serca z nawyknień czucia, myślenia i posiadania. Więc lepiej to może będzie, jeśli nowe niebo czasów przyszłych zajaśnieje nad głowami dzieci naszych? gdy stare niebo i ziemia stara - miną wraz z nami.